



*Niekiedy los pozwala
poznać samą siebie
i odnaleźć szczęście*

*Anna
Karpińska*

ZA JAKIE GRZECHY?

Prószyński i S-ka

Anna Karpińska
ZA JAKIE
GRZECHY

Prószyński i S-ka

Mojemu Tacie na pamiątkę pewnej wspólnej podróży

1 CZERWCA 2008

Przepraszam cię, Alinko, ale nie mogę – powiedział Miłosz nieswoim głosem.

Mimo że od tamtej chwili minęło pięć lat, wciąż powracały traumatyczne wspomnienia mojej rozpacz, zdziwienia i całkowitej porażki.

Robiłam wszystko, by nie stracić przytomności i utrzymać równowagę w długiej białej sukni, która nagle zaczęła cisnąć niczym zbyt mocno zawiązany gorset. Nie patrzyłam na zgromadzonych w kościele gości, nie spoglądałam na bukiety białych róż zdobiących rzędy ławek. Szumiało mi w głowie. Przed ołtarzem stał obok mnie Miłosz, piękny w tym swoim czarnym garniturze, stanowiący wyraźną plamę na zamglonym tle barokowego wystroju katedry. Wpatrując się w niego z niedowierzaniem, nie zauważyłam, że chwila naszej konsternacji przeciąga się, a ludzie zaczynają szeptać. Krew odpłynęła mi z twarzy, na nogach utrzymałam się wyłącznie siłą woli. Jeszcze wczoraj nic nie wskazywało, że sprawa przybierze taki obrót. Albo przygotowania do ślubu zajmowały mnie tak bardzo, że nie zauważyłam, iż narzeczony mnie nie kocha...

– Mamo, nie wiesz, gdzie położyłam wizytówki gości? – Biegałam z parteru na pięterko w poszukiwaniu akcesoriów na weselne przyjęcie. – Są! Dzwonili z firmy cateringowej?

– Tak. Pytałaś mnie o to przed godziną.

– Dobrze. Dlaczego nie ma jeszcze Aldony? Miała mi pomóc przymierzyć suknię!

Moja siostra spóźniała się jak zwykle. A ja starałam się nie dostrzegać jej obojętnego stosunku do mającej nadejść jutro (już jutro!) ślubnej ceremonii. Aldona nigdy nie obdarzała mnie nadmierną serdecznością. Ponadto wizja zamążpójścia młodszej siostry nie nastrajała jej optymistycznie.

Też jej się kiedyś ułoży, pomyślałam. Przecież na brak męskiego towarzystwa nie może narzekać.

Porzuciłam myśli o siostrze i wyjęłam z foliowego worka suknię.

Jakim cudem mogłam nie zauważyć zniecierpliwienia Aldony, gdy w końcu dotarła do domu i z tym swoim wyniosłym (choć wówczas wcale mi się taki nie wydawał) uśmiechem ściągnęła mi troczki na plecach.

– To boli! – krzyknęłam. – Poluzuj!

– Chcesz być piękna, to cierp. – Docisnęła mocniej.

– Daj spokój. Nie muszę być szprychą.

– To po co było wydawać tyle kasy na tę princeskę, skoro teraz chcesz z niej zrobić worek?

Miała rację. Suknia „na księżniczkę”, efekt wielokrotnie odbywanych z moją kumpelą Moniką wizyt w salonach, stanowiła mistrzostwo świata w swojej klasie. Biała, bez ramion, z udrapowanym gorsecikiem z tafty, odciętym pod biustem koronką spływającą delikatnie na rozkloszowaną, tiulową, mieniącą się błyszczącymi punkcikami spódnicę. Cudo! Całości miał dopełniać tiulowy welon, upięty w lekko uniesionych do góry włosach. Pojedynczemu kosmykowi pozwoliłyśmy z fryzjerką fantazyjnie opadać na ramię.

– Już dobrze – zgodziłam się na tortury.

– Wciągnij trochę brzuch. Dobrze. I nie nadymaj się tak! Okej. W miarę. Podoba ci się?

Spojrzałam w lustro.

– Alina, czy to ty? – zdumiała się moja siostra.

Żadnego brzucha, żadnych wałeczków na plecach, które trzeba ukryć, brak jakichkolwiek niedociągnięć! Było pięknie, słodko, świeżo. Ucałowałam ją.

– I jak? – Okręciłam się wokół niej, trzymając dumnie głowę.

Jutro stanę z Miłozsem przed ołtarzem w tej cudownej sukni. I nie jest ważne, że moja siostra siedzi teraz na krześle, patrząc na mnie krytycznie.

Założyła jedną zgrabną nogę na drugą zgrabną nogę, odsunęła za ucho niesforny kosmyk ciemnych włosów. Rozumiałam. Jej się też kiedyś ułoży.

– Suknia leży dobrze – powiedziała. – Uważaj tylko, żeby się nie garbić. Będę ci jeszcze potrzebna?

Nie mogę sobie wybaczyć, że straciłam wtedy czujność. Wciąż nie mogę zrozumieć, jak ja, absolwentka psychologii na kilka miesięcy przed obroną pracy magisterskiej, nie wpadłam na to, żeby porozmawiać z własną siostrą? Nie przeczuwałam, co się stanie.

– Nie. Dzięki i do jutra. Pamiętaj, o dziesiątej.

Wyszła, zanim zdążyłam się rozebrać.

Na kolację były kanapki z wędzonym łososiem. Tata postawił na stole portugalskie wino.

– Twoje zdrowie, córeczko! – wznosił toast. – To twoja ostatnia kolacja w tym domu. Przynajmniej jako panny. – Wypowiadając te słowa, patrzył na mamę.

Wydawało mi się, że zmieniała się na twarzy.

Uniosła kieliszek.

– No to wypijmy.

Byłam ślepa i głucha. Zamroczona czekającą mnie uroczystością, podchmielona dwoma lampkami wina, targana niepokojem „jak to wszystko się uda”, podniecona nowym, zakochana w Miłozszie wbiegłam na pięterko. Po raz ostatni w panińskim stanie położyłam się na dwuosobowym materacu na podłodze i wyśniętą ostatni paniński sen!

Gdzie mineralna?, rozejrzałam się. Niestety, trzeba było wrócić do kuchni.

– Waldemar, ja niestety mam rację. – Usłyszałam podniesiony głos mamy.

– Krysiu, nie przesadzaj.

– To się źle skończy, zobaczysz.

– Nie sądzę. A zresztą wszystko zaszło już za daleko. Uspokój się.

– Rozmawiałam z Aldoną jeszcze wczoraj.

– Wciąż rozmawiacie?

– Waldek, nie bagatelizuj. Proszę.

– Uznałaś za stosowne, żeby rozmawiać z nią o tym na dzień przed ślubem? A może powinnaś wcześniej porozmawiać również z Alą? Nie uważasz?

– Źle się stało, Waldemar. Nie ma o czym mówić. Pozostaje nam czekać na rozwój wypadków – westchnęła mama.

– Idę po wodę! – krzyknęłam ze schodów. Żeby nie pomyśleli, że podsłuchuję.

– Jasne, jasne... Śpij dobrze – odezwał się tato.

Następnego dnia, w nowym grafitowym garniturze i śnieżnobiałej koszuli przybranej eleganckim fularem i takąż samą poszetką zdobiącą zewnętrzną kieszonkę marynarki, stał przy mnie przed kościołem. Czekał na znak, by poprowadzić mnie do ołtarza w białej sukni i welonie.

– Tato... – Spojrzałam na niego.

Był poważny. I teraz już wiem, że smutny.

– Musimy iść – powiedział nieprzytomnie, jak wyrwany z zamyślenia. – Trzymaj się,

córuś.

Czy mi się wydaje, czy widzę łzy? Na pewno mi się wydaje, ojciec nigdy nie płacze!

Szliśmy wzdłuż rzędów ławek. Po lewej stronie moja rodzina, po prawej rodzina Miłosa. Nagle znalazłam się w epicentrum wielkiego wybuchu. Byłam główną aktorką na planie, odbierałam Oscara. Moje pantofelki w kolorze pudrowego różu stąpały po czerwonym dywanie. Wsparta na ojcowskim ramieniu zbliżałam się do ołtarza, na którym za chwilę miałam złożyć wszystkie swoje nadzieje. Powierzyć przyszłość czekającemu na mnie narzeczonemu. Zdobyć szczęście i miłość.

Wszystko przestało się liczyć. Opuściły obawy o wesele, o zadowolenie gości i inne nieważne sprawy. Za chwilę powiemy sobie sakramentalne „tak”, a Miłosz będzie już ze mną na zawsze. Zachwycony jak teraz. Widziałam jego wzrok, a w nim podziw i zaskoczenie.

Warto było pozwolić się katować Aldonie!

Tato przekazał moją dłoń. Spojrzałam na Miłosa, ale zamiast podziwu zobaczyłam w jego oczach popłoch.

– Przepraszam cię, Alinko, ale nie mogę...

Wpatrywałam się w niego przez chwilę, która trwała wieczność. Kościół zaczął szeptać. Wokół latały stada szerszeni.

– Dlaczego...?

Niczego więcej nie pamiętałam. Obudziłam się następnego ranka, chociaż miałam zamiar nie obudzić się już nigdy.

W głowie pulsowało tylko to jedno pytanie.

2 CZERWCA 2013

Od kilku dni padało, więc wszyscy zgromadzeni przed cmentarzem na Grabiszyńskiej trzymali w rękach parasole. W tej chwili niepotrzebne, bo przez czerwcowe chmury przebijało słońce.

Mieliśmy już za sobą poranną mszę żałobną w intencji zmarłego Stanisława, a teraz czekaliśmy na ciąg dalszy. Wujek, który zażyczył sobie kremacji, miał być pochowany we wspólnym grobie z ciocią Anielą, ukochaną, zmarłą trzy lata wcześniej żoną. Wejście do kaplicy okupowała niewielka garstka żałobników, złożona głównie z pracowników firmy zmarłego i jego najbliższych sąsiadów. Bo wujostwo nie mieli dzieci. Jedyną rodzinę stanowiliśmy my – dziadek Bronek, ojciec mojego taty, i wuj Staś byli braćmi. Wprawdzie dziadka nigdy nie poznałam (zmarł na zawał przed moim urodzeniem), ale jego miejsce z powodzeniem zajął właśnie wujek Staszek. Stałam przed kaplicą, mając przed oczami jego oddalony o jakieś dwadzieścia kilometrów od Wrocławia, trwający niezmiennie od ponad stu lat stary dworek otulony sosnowym zagajnikiem, który z czasem przeistoczył się w całkiem potężny las. Uśmiechnęłam się na wspomnienie Zastawna i pobliskiego bajorka, zwanego dumnie jeziorem, miejsca moich dziecięcych letnich zabaw. Rodzice wysyłali mnie tam najpierw z siostrą, a potem samą, kiedy Aldona kategorycznie sprzeciwiła się wyjazdowi „na wiochę”. Mnie, dziesięcioletce, wciąż wypadało okupować domek na drzewie i staczać się z piaszczystej skarpy wprost do wody, jej, czternastoletniej pannicy, już nie uchodziło. Wiejscy koledzy, towarzysze moich plebejskich zabaw, najwyraźniej nie odpowiadali żadnej innej wrażeń „księżniczce”. Aldona częściej niż na podwórku przebywała przed toaletką cioci Anieli, próbując jej szminek, cieni i pudrów. Ostentacyjnie czyściła buty i strzepywała każdy pyłek ze spódnicy, o jaki na wsi nietrudno. Stale narzekała na zapachy dochodzące z pól i oddalenie od cywilizacji, choć prawdę mówiąc, warunki u wujostwa były nad wyraz komfortowe. Wujek Staszek prowadził drukarnię, znajdującą się na sąsiedniej posesji, ciocia zajmowała się domem. Przyjeżdżające codziennie ciężarówki zabierały do klientów tony papieru.

– Wujku, pokażesz mi, jak się drukuje książki? – zagadnęłam kiedyś, zdradzając zainteresowanie ruchem na placu.

– Naprawdę chcesz odwiedzić moją firmę?

– Aha.

– Ale ja nie drukuję książek, Aliś. Chodź, pokażę ci, co robię.

Najpierw poszliśmy do biura, gdzie wuj całkiem poważnie przedstawił mnie pracownikom. Potem odwiedziliśmy wielkie magazyny. Na ogromnych, sięgających sufitu regałach piętrzyły się różne dziwne rzeczy. Zamiast papieru i książek dostrzegłam potężne role przezroczystych taśm, beczki z farbami, paczki kartonów. Zakryłam uszy, gdy znaleźliśmy się w hali produkcyjnej.

– Głośno tu, prawda? – Wujek podał mi słuchawki, które nieco tłumili ryk pracujących maszyn. – Teraz popatrz. – Wskazał na hałasującego kolosa. – Tu się drukuje nazwę firmy. Na takiej taśmie samoprzylepnej. I ta firma zakleja tą taśmą kartony ze swoimi wyrobami. Żeby wszyscy wiedzieli, że to ich produkt. Rozumiesz?

Dziesięcioletce trudno było pojąć. Po co to komu?

– Popatrz tutaj – tłumaczył dalej wujek. Staliśmy przy kolejnej maszynie. – Mama kupuje w sklepie na przykład zapakowane parówki, tak?

– Najbardziej smakują nam lubisie na wagę, z naszego sklepu na rogu – pochwaliłam się wiedzą na temat maminych zakupów.

– Dobrze, to inaczej... – Nie poddawał się. – Lubisz keczup?

– Tak. Ale tylko łagodny.

– Niech będzie łagodny. Na butelce ma etykietę, tak? Są tam wszystkie informacje o tym keczupie, prawda?

Musiałam się zgodzić.

– A my właśnie drukujemy takie etykiety.

– Wy? Wszystkie? Dla całej Polski?

Nie miałam pojęcia, że wujek robi takie ważne rzeczy!

– No, może niezupełnie wszystkie – roześmiał się. – Ale dużo.

Od tej chwili szanowałam wujka Staszka jeszcze bardziej. Już nie tylko za bardzo wygodne kolana, zawsze chętne, żeby zrobić „tak pan jedzie po obiedzie”, i za wielką siwą brodę, jakże przypominającą mi zarost starych wilków morskich, których zdjęcia oglądaliśmy razem w żeglarskich czasopismach.

– Zobaczysz, mała, jeszcze gdzieś razem wypłyniemy – obiecywał w takich chwilach wujek, zapatrzony w kolejny jacht.

Był wtedy daleko od Zastawna...

– Już dobrze, Stasięku – wtrącała się wtedy ciocia Anielcia. W myślach nazywałam ją „anielicą”, bo podobnie jak mąż miała bujną siwą czuprynę, przez co wydawała się dużo starsza. Dopiero później dowiedziałam się, że osiwiła po śmierci kilkunastoletniego syna, który zachorował podczas rejsu z wujkiem. Nie zdążyli dobić do lądu, gdzie czekał ratunek.

A teraz nie ma już ani Poldka, ani cioci Anieli, ani wujka Staszka...

– Wchodzimy! – Zdecydowanie w głosie mamy przywróciło mnie do rzeczywistości. Poczulałam w dłoni miękką łapkę Tosi.

– Ciociu, ja chcę z tobą.

Mała patrzyła mi w oczy w ten swój charakterystyczny sposób, który obracał wniwecz wszystkie mury, tak skrętnie budowane przeze mnie od chwili jej urodzenia. Miała oczy Miłosa i ten jego filuterny, lekko skrzywiony uśmiech małego urwisa, który próbuje uniknąć kary. Poruszała się jak ojciec, tak samo wycierała usta grzbietem dłoni. Że jest jego córką, można było poznać nawet po podobnie nastroszonym na czubku głowy kosmyku włosów.

Córka mojego Miłosa. I mojej siostry.

– Dobrze, kochanie.

Nachyliłam się, aby zapiąć guzik przy jej płaszczyku.

Nie spojrzałam w stronę Aldony, która wyjątkowo nie rzuciła się, żeby wyrwać małą z moich rąk, zajęta okazywaniem głębokiego poruszenia i żalu po śmierci wuja Stasia.

Przygotowała się zresztą znakomicie. Elegancka wąska spódniczka, dopasowany płaszcz tej samej długości, pod nimi długie, z pewnością wczoraj wydepilowane nogi w znakomitej jakości pończochach. Całości dopełniał tiulowy szal, dodatek do gustownego toczka z woalką. Ja również nie przyszedłam na pogrzeb w zgrzebnym worku, jednak z pewnością dzień wcześniej nie buszowałam po sklepach z odzieżą...

Nie patrzyłam również na Miłosa. Mimo że minęło pięć lat od naszego pamiętnego niedoszłego ślubu, mimo że Tosia była naprawdę fantastyczną, kochaną dziewczynką, Ignącą do mnie z niewiadomych powodów, w głębi duszy, a nawet na jej powierzchni, nie umiałam mu wybaczyć. Jego obecność na rodzinnych imprezach stale przypominała mi traumę i wszystko, co było potem. Był jak pochodnia, która nieustannie przypieka żywą ranę. Czy to się nigdy nie skończy? Czy ja, pani psycholog, udzielająca porad innym potrzebującym, nie uporam

się z własnymi demonami? Wujku Stasięku, pomóż!

Nie mógł. Właśnie wchodziłam, żeby w kaplicy pożegnać urnę z jego prochami. Obok stało zdjęcie, na którym był razem z ukochaną Anielą.

– Nazywam się Tomasz Krukowski – dobiegły mnie słowa rozpoczynające pożegnalną mowę. – Byłem związany z, hm, wujostwem, można powiedzieć, bardzo blisko. Jeżeli państwo pozwolicie, pożegnám zmarłego od nas wszystkich...

– Muszę wyjść, mamo.

Przekazałam jej rękę Tosi i resztką sił dotarłam do wyjścia. Powietrze pomogło.

Przysiadłam na kamiennej ławce, oparłam dłoń o mur. Nie próbowałam nawet powstrzymać łez, lecz na cmentarzu nie powinny chyba nikogo dziwić? Żebym chociaż, jak Aldona, kupiła sobie toczek z woalką... Może nie byłoby widać?

Ktoś uchylił drzwi od kaplicy. Tato.

– Będzie mi go bardzo brakowało – usłyszałam kolejny fragment pożegnania. – Mogę być dumny, że traktował mnie jak syna...

A mnie jak córkę!, miałam ochotę wykrzyknąć.

Dlaczego wyszłam, dlaczego mnie nie ma w środku? Co ten facet sobie wyobraża? Jestem babą, która potrafi tylko beczeć!

– Dobrze się czujesz, córeczko? – Tato przysiadł przy mnie na ławce. – Wrócisz?

Czy wrócę? Do kogo? Gdzie? Do kaplicy? Chyba o to pyta? Do domu? Przecież od chwili, kiedy własna siostra zabrała mi narzeczonego, nasze spotkania w rodzinnym gnieździe stały się nie do zniesienia. Do równowagi? Od pięciu lat nie jestem sobą. Do taty, który tęskni i cierpi, że jego młodsza córka zniecka odsunęła się, a on nie wie dlaczego? Nie rozumie biedak, że życie jest sztuką wyborów i nie można mieć wszystkiego naraz. Ani żony, która któregoś dnia po niedoszłym ślubie powiedziała do mnie: „Córciu, bardzo mi przykro, ale stało się i się nie odstanie. Jesteśmy rodziną, musisz zaakceptować, że Aldona będzie z Miłozsem. Zrozum, to dla dobra wszystkich”, ani rozżalonej na cały świat córki. Gdy chciałam się wypłakać na jego ramieniu, usłyszałam tylko: „Matka ma rację”.

– Tak. Wrócę do kaplicy. – Podjęłam decyzję. – Nic mi nie jest.

W tej samej chwili drzwi się otworzyły i na zewnątrz wylała się grupa żałobników. Ustawili się w procesji za księżowską limuzyną.

– Dzień dobry, Alinko. – Przy moim boku jak spod ziemi wyrósł Tomek Krukowski. – Widziałem, że wyszłaś. Coś nie tak?

Znaliśmy się jeszcze z Zastawna. Chociaż był ode mnie starszy o osiem lat, od zawsze zwracałam się do niego po imieniu. Ale dziś nie miałam ochoty z nim rozmawiać, a już tym bardziej opowiadać mu o swoich nastrojach. Na szczęście zajęty dalszym ciągiem pogrzebu Tomek uznał za stosowne pozostawić mnie na łonie rodziny. Na pożegnanie uściśnął po przyjacielsku moje ramię.

Potem była już tylko długa droga do grobu, *Ave Maria* na trąbce, kondolencje, stypa. Mama wystąpiła z propozycją.

– Może zostaniesz u nas na noc?

Od chwili kiedy zabrałam swój dwuosobowy materac, trzy regały na książki, dwa taborety i kilka innych drobiazgów, by wstawić je na wynajmowany strych w starej kamienicy, nie mogłam (nie chciałam, nie byłam w stanie) traktować rodzinnego domu jak bezpiecznej przystani. Tam pojawiła się Aldona, tam był Miłozs. Tam przymierzałam suknię ślubną... Wprowadziłam się stamtąd definitywnie.

– Wrócę do siebie.

– Mogłabyś już przestać... – Mama okazała zniecierpliwienie. – A zresztą rób, jak

chcesz.

– A może przyda ci się porada psychologa? – Monika musiała usłyszeć naszą rozmowę.

– U mnie czy u ciebie?

Dobra, niezawodna kumpela. Zawsze w odpowiednim miejscu i czasie. Nie mogłam się nie uśmiechnąć. Krzywo, przez łzy, ale jednak.

– Przyjdź do mnie, Moniczynko. Coś tam się w barku znajdzie...

3 CZERWCA 2008

Obudziłam się na kanapie w salonie. Nie otwierałam oczu. Przysłuchiwałam się dochodzącym z kuchni odgłosom przypominającym pobrzękiwanie garnkami i wyjmowanie naczyń ze zmywarki. Poza tymi dźwiękami były tylko cisza i ciemność. Przez chwilę nie mogłam zorientować się, gdzie jestem i co robię w tym pomieszczeniu z zasłoniętymi oknami, o które bębniły krople deszczu. Dopiero ciepły język jamnika Fikoła na policzku uświadomił mi miejsce akcji.

Z fotela w rogu pokoju dobiegł mnie głos ojca.

– Dobrze, że się obudziłaś, córuś.

Zareagowałam racjonalnie, pytając o godzinę. Jak gdyby ta informacja była najważniejsza.

Wczorajszy dzień pamiętałam jak przez mgłę. Wszystko, z wyjątkiem Miłosza przed ołtarzem. Grom z jasnego nieba.

– Nie wstawaj tak szybko! – Tato podbiegł do kanapy, próbując z powrotem ułożyć mnie na poduszkach. – Wzięłaś silne środki nasenne. Poleż jeszcze, bo zakręci ci się w głowie. Już bardziej chyba nie mogło.

Pod zamkniętymi powiekami pojawiły się obrazy z dalszego ciągu ślubnej ceremonii, która po pamiętnym sakramentalnym Miłoszowym „nie” przeistoczyła się w farsę rodem z nieistniejącego filmu *Uciekający pan młody*. Patrzyłam na narzeczonego, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Z kościelnych ławek dochodziły coraz głośniejsze szepty, ktoś kierował się w naszą stronę. Tato jako pierwszy zorientował się w sytuacji i rzucił na ratunek. Zapytał o coś Miłosza, ale ten w milczeniu zszedł ze schodków ołtarza i szybkim krokiem opuścił świątynię. Zostałam sama. Patrzyłam na skonsternowanych gości, na bukiety kwiatów, pośpiesznie chowane pod ławki. Tłum zafalował, ktoś wybiegł za Miłoszem, ktoś inny dał znak fotografowi, żeby przestał robić zdjęcia. Mimo tatowych perswazji nie mogłam ruszyć się z miejsca. Zanim osunęłam się na posadzkę, dostrzegłam jeszcze, że Aldona wychodzi z ławki, lecz zamiast udać się w moim kierunku, kieruje się ku wyjściu. Myślę, że właśnie wtedy zorientowałam się w sytuacji. Organizm wyłączył wszystkie receptory, pozwalając mi odpłynąć w niebyt.

– Chyba znowu zasnęła, Krysiu. – Przez zasłonę pólśnu przebiły się słowa taty. – Myślisz, że powinniśmy jej powiedzieć? Już dzisiaj?

– Oczywiście. Im prędzej, tym lepiej.

– Może niech lepiej dowie się od Aldony albo od Miłosza...

– Waldemar, szczegóły to sobie wyjaśnią później. Trzeba powiedzieć. Prawdy nie da się ukryć.

A więc moje wrażenie z kościoła nie było imaginacją! Leżałam z zamkniętymi oczami. Moja racjonalna mama usiłowała wytłumaczyć ojcu, że takie rzeczy się zdarzają, a mnie trzeba najpierw zreanimować, a dopiero potem przekonać do odpuszczenia grzechu w imię rodzinnego spokoju i szczęścia.

– Nie stało się dobrze, że Miłosz zostawił przed ołtarzem Alinę dla Aldonki. Ale lepiej wcześniej niż później. Widocznie tak musiało być. Szkoda tylko, że wpędził nas w koszty związane ze ślubem...

Tak. Tego mama nie wybaczy Miłoszowi zbyt szybko. Najchętniej zapewne przepędziłaby go z domu, skoro jednak się z Aldoną kochają...

Miłosz kocha Aldonę. Ten fakt był odkryciem zgoła niewyobrażalnym. Gdyby nie to, że środki nasenne przestawały działać, najchętniej po raz kolejny zapadłabym w stan błędnego odrętwienia. Ale pamięć nieubłaganie przywoływała zdarzenia z przeszłości, które powinny dać mi do myślenia. Jak choćby impreza u Zuzy, koleżanki mojej siostry.

– Mówię ci! Chyba się całowali – relacjonowałam Monice wydarzenie na tarasie domu rodziców Zuzy. W samą noc świętojańską.

– Coś ty! – niemal krzyknęła. – Aldona z Miłoszem? Przecież to niemożliwe, on jest od niej cztery lata młodszy! A zresztą... – Zbagatelizowała ten nieistotny fakt. – Aldona? Pani, ups, pańcia Aldona całowała się z takim chłoptasiem?

– No, no, koleżanko! Tylko nie z chłoptasiem! – oburzyłam się.

W końcu Miłosz był moim poważnym narzeczonym. Pierścienek z ametystem, symbol naszej dozgonnej miłości, nosiłam na palcu. Czyżby Aldona zasługiwała na kogoś lepszego niż ja?

– Dobra już, Aluta. Gadaj, co widziałas.

Musiałam się zastanowić. Może rzeczywiście uległam halucynacji? Moja siostra i Miłosz stali przy barierce blisko siebie. Zbyt blisko na zwykłą znajomość. Wydawało mi się, że on spoglądał na Aldonę z góry, jakby prowokując ją do uniesienia ust i zbliżenia ich do jego twarzy. Ona nie stawiała oporu. Uniosła lekko nogę, za nogą podążyła ręka... Gdybym nie pojawiła się zniemacka, zapewne oparłaby się na jego ramieniu. Odniosłam wrażenie, że usta Aldony były rozchylone do pocałunku.

– No... Właściwie to się nie całowali, ale...

– Sama widzisz – skwitowała Monika. – Masz chorą wyobraźnię. Znasz Aldonę. Lubi być w centrum zainteresowania, ale żeby odbijać ci faceta?

– Pewnie masz rację...

Rzeczywiście, znałam swoją siostrę. Wystarczająco, by nie zawsze wyrażać się o niej pozytywnie. Tak czy owak, Aldona była jednak moją siostrą. Należało się jej domniemanie niewinności.

– Krystyna! O czym ty mówisz? – Tata ściszył głos.

Usłyszałam i tak. Teraz już łowiłam każde słowo.

– Co to znaczy: „widać tak musiało być”? On jest niepoważny i nieodpowiedzialny. Takie sprawy załatwia się przed ślubem, a nie w kościele, kiedy goście siedzą już w ławkach!

– Ciszej, Waldemar. Jeszcze usłyszysz... Przecież mówiłam, że niepotrzebnie naraził nas na koszty...

– Tu nie chodzi o koszty, tylko o Alinkę! Nie rozumiesz?

– Kochanie. – Mama zmieniła ton. – Oczywiście, masz rację. Ale czy my możemy ingerować w tę sytuację? Nic nie poradzimy. Możemy jedynie starać się, by wszystko załagodzić, pomóc Alince. – Głos łagodniał z sekundy na sekundę. Znałam ten ton; zawsze działał na ojca. – I ratować rodzinę. Wierz mi, Ala to w końcu przelknie. Ułoży się.

– Tak myślisz?

– Oczywiście, kochanie.

Usłyszałam cmoknięcie i domyśliłam się, że mama pocałunkiem rozwiązała resztki wątpliwości u mojej ostatniej bratniej duszy. Nie było po co otwierać oczu, nie było na co patrzeć. Zrozumiałam, że właściwie „lepiej teraz niż później”. Narzeczony porzucił mnie dla

mojej siostry, wystawił na pośmiewisko obu rodzin. Straciłam Miłosza, siostrę, mamę, która była już stracona od dłuższego czasu... A teraz może i tatę. Miałam do wyboru nadal udawać sen albo się „obudzić”.

Intuicja podpowiadała szczerłość.

– Wszystko słyszałam. – Zaskoczył mnie mój własny głos.

Rodzice spojrzeli zdumieni.

Odrzuciłam pled.

– Pójdę do siebie. Nie musicie mi niczego tłumaczyć. Gdzie moja komórka?

– Co ty chcesz zrobić?

Nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że tato powitał mnie wśród żywych z uczuciem ulgi.

– Chcę znaleźć telefon.

– A po co ci? – zaniepokoiła się mama.

Zignorowałam ją. Komórkę znalazłam w torebce, która nie dostała zaszczytu uczestnictwa w ceremonii.

– Monika? Czy mogę wprowadzić się na strych? – przystąpiłam do rzeczy bez wstępów.

Jeżeli nawet moja kumpela była zaskoczona, nie okazała tego.

– Jasne. Kiedy?

– Zaraz.

– Miało być za kilka dni... Muszę spytać właściciela. Alinko, dobrze się czujesz?

– Powiem ci później. Teraz oddzwoni, kiedy będzie mógł przekazać klucze. I powiedz mu, że wprowadzam się sama, bez męża. Monia, postaraj się. Ja muszę już dzisiaj...

Nie wiem, czy zrozumiała. Ostatnie słowa utonęły w potoku łez.

Za dwie godziny załadowałam do furgonetki dwuosobowy materac, trzy regały na książki, dwa taborety i kilka innych drobiazgów.

– Alinko, naprawdę musisz się wyprowadzać tak nagle? Mama przygotowała obiad, zostań. – Tato starał się mnie powstrzymać.

– Ala, czy ty nigdy nie pozwolisz sobie pomóc? – Mama, oparta o framugę drzwi, przyglądała się działaniom firmy spedycyjnej. – Porozmawiajmy.

Zignorowałam propozycję.

– Cześć, Fikoł. – Na pożegnanie podrapałam jamnika za uchem. – Przepraszam za wszystko, ale wybaczcie. Muszę mieć trochę czasu dla siebie.

Nie obchodziło mnie, czy rozumieją moje zachowanie, lecz w ogóle niewiele mnie obchodziło. Potrzebna mi była klinika mogąca uleczyć duszę, a najlepszą w tej chwili wydawał się stary strych, który mieliśmy wynająć z Miłoszem po ślubie...

Komórka nie sygnalizowała żadnych połączeń, żadnych esemesów. Miłosz najwyraźniej nie czuł potrzeby, by mi wyjaśnić cokolwiek. Podobnie jak Aldona.

Zgodnie z ustaleniami klucz leżał pod wycieraczką. Wysupłałam kilka banknotów, żeby zapłacić panom od przeprowadzek, którzy wtaszczyli mój niewielki dobytek na górę. Rozejrzawszy się po nieszczerólnie dobrze utrzymanym pomieszczeniu, sięgnęłam po telefon.

– Moni, dzięki za szybką akcję. Jestem już przeprowadzona. Wpadnij do mnie na dużego drinka i pociesz mnie jakoś.

Pijąc szota za szotem, mimo wszystko czekałam na esemes od Miłosza. Zamiast niego pojawiła się wiadomość z nieznanego numeru.

„Nie ma tego złego... I nie należy się martwić. Przepraszam, że pozwoliłem sobie napisać. Trzymaj się, jesteś bardzo fajną dziewczyną. Tomasz”.

– Tomasz? Jaki znowu Tomasz?

W tamtej chwili nie kojarzyłam żadnego. Zaraz, zaraz... A może...
Monika pojawiła się, zanim jeszcze zdążyłam się sromotnie urznąć.
– Chodź. – Przyciągnęła mnie do siebie. – Źle z tobą. Siadaj, zrobię kanapki.

4 CZERWCA 2013

Od przeprowadzki na strych minęło już pięć lat, lecz Monika za każdym razem, gdy wdrapywałyśmy się na piąte piętro, pomstowała na niewygodę.

– Mogłabyś w końcu zainstalować windę!

Fakt, podniebne usytuowanie mojego gniazdka nie było zbyt komfortowe, co ujawniało się zwłaszcza podczas wnoszenia sześciopaków wody mineralnej, taszczenia siatek z zakupami czy ton książek, których nigdy u mnie nie brakowało. Stosy tych już przeczytanych i tych czekających na swoją kolej zalegały znaczną część trzydziestosześcioletniej podłogi z dębowych desek. Wypełniały regały, piętrzyły się w witrynce, spychając na bok porcelanowe filiżanki i inne bibeloty, którym nie potrafiłam się oprzeć, gdy przemierzałam z niezmienną przyjemnością targi staroci. Środek pokoiku zajmowała olbrzymia kanapa z odzysku, własnoręcznie pokryta przeze mnie pluszową tapicerką w kolorze lipowego miodu. Zaraz po mojej przeprowadzce wypróbowałyśmy z Moniką pozostawiony przez poprzednich lokatorów mebel, oczekujący w korytarzu na firmę odbierającą „śmieci wielkogabarytowe”, i stało się jasne, że należy odwołać transport. Odnowiona, zaopatrzona w kilkanaście poduszek (prezenty od Moni przy wszelakich okazjach), kanapa stała się naszą wyspą, przystanią, miejscem pogaduszek i popołudniowych jesiennych drzemek, kiedy deszcz uderzał o szyby, a pogoda nie sprzyjała innej aktywności. Nieduży kącik pod antresolą, służący mi za otwartą kuchnię, urządziłam w stylu prowansalskim. Białe przecierane meble rozświetlały ciemne wnętrza, a dodatki z lawendowymi akcentami przywoływały francuskie klimaty. Na ścianach zaczynało już brakować miejsca na obrazy, które zwoziłam z zagranicznych wojaży, przedkładając podróże nad gromadzenie kasy. Po co mi wkład własny do kredytu hipotecznego? Miałam na karku niemal trzydziestkę, ale wciąż było mi dobrze w moim studiu, moim miejscu na ziemi, a raczej – zważywszy na piąte piętro – pod niebem.

– Już zamówiłam. Jutro instalacja. Zadowolona? – odpowiedziałam jak zwykle.

– Ostatni raz włókłam się tutaj na piechotę! – zrzędziła Monika. – Daj się chociaż czegoś napić, bo wypociłam z siebie całą energię.

Sięgnęłam do kredensu, skrywającego stare zapasy nalewek.

– Może być pigwówka?

– Nie płacz, nie płacz, nie wypiję całej. – Moni starała się mnie przytulić, gdy na widok nalewki wujka Stasia nie mogłam powstrzymać łez.

– Nie ma go już, rozumiesz? – Wyrывałam się z objęć.

Nie pozwoliła.

– Już dobrze, Aliś.

– Nie mów do mnie Aliś! – Podjęłam kolejną próbę wywinięcia się z uścisku.

Przytrzymała mnie ponownie.

– Wiem, wujek tak cię nazywał. Zatem: Alino. – Udawaną powagą próbowała polepszyć mój nastrój.

Chciał nie chciał musiałam się uśmiechnąć.

– Siadaj. Zrobię kanapki. – Monika wskazała mi miejsce na kanapie.

– Czy ty wiesz, że niczego nie nauczyłaś się przez te ostatnie kilka lat, koleżanko?

Spojrzała pytająco.

– Pamiętam, że wtedy... – Przypomniałam jej pierwszą wizytę po „ślubie”. – Też najpierw zabrałaś się za kanapki.

– A ty nie miałaś nawet deski do krojenia! A woda ciurkała z kranu wąską stróżką i musiałam lecieć z wiadrem do sąsiadów!

– Za to w sedesie był wodospad!

– Fakt. W przyrodzie musi być równowaga. Gdzieś jest czegoś za dużo, gdzie indziej cierpimy na niedobór. Bilans musi wyjść na zero.

– Filozofka! Skoro jesteś taka mądra, to powiedz, kto mi wypełni pustkę po wujku Staszku?

Pole widzenia znów przesłoniły mi łzy. Widziałam wyłącznie kontury mebli. Owszem, byłam przywiązana do Zastawna, ale aż do teraz nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo kochałam brodatego wuja. Jak był mi bliski. Może dlatego, że po Miłoszu nie zdołałam przywiązać się do żadnego mężczyzny? Może z powodu bezbrzeżnej wujkowej tolerancji i cierpliwości? Czułam się w jego domu bezpiecznie, bo akceptował „swoją” Alinkę z wszystkimi jej wadami i problemami. Wsłuchiwał się w potrzeby dziewczynki, wysłuchiwał zwierzeń nastolatki, łagodził egzystencjalne bóle. Dla niego zawsze byłam numerem jeden. Natomiast w domu? Zawsze na drugim miejscu, za Aldoną. Wprawdzie do Zastawna przyjeżdżał jeszcze krewny cioci Anieli, Tomasz, jednak z racji sporej różnicy wieku nie stanowił ani towarzystwa do zabawy, ani konkurencji.

– Nie czepiaj się słów. – Monika wniosła talerz z kanapkami i koreczkami. – O czym myślisz?

– Eee, takie tam.

Nie miałam ochoty mówić o Tomku i ujawniać kłujących w serce słów. „Traktował mnie jak syna”.

Zabolało. W mowie pogrzebowej nie było słowa o mnie, a przecież wujek Staszek uważał mnie niemal za własną córkę.

– Już ja ciebie znam. – Monika nie dała się zbyć. – Co cię gnębi?

– Nie licząc tego, że właśnie pochowałam wujka?

– Właśnie. Oprócz tego.

Nalałam nam po kolejnym kieliszku, dając sobie chwilę na zastanowienie. Nie było sensu kręcić. Obie z Moniką byłyśmy psycholożkami, a ja doskonale zdawałam sobie sprawę z jej intuicji i znajomości ludzkiej natury. Zwłaszcza mojej, która nie miała dla Moni tajemnic od ładnych kilkunastu lat, czyli od czasu, kiedy usiadłyśmy razem w szkolnej ławce.

– Czuję się słaba.

– To zrozumiałe – powiedziała ostrożnie. – Cierpisz.

– Nie o to chodzi, Monia. Nie chce mi się walczyć. Wiem, że to głupio zabrzmiało, ale mam wrażenie déjà vu. Może nie powinnam tak głęboko przeżywać śmierci wujka, ale jest mi tak smutno, jak...

Pocieszyłam się następnym kieliszkiem nalewki. Nie zapomniałam o przyjaciółce.

– Ale teraz jest zupełnie inna sytuacja niż wtedy. – Delikatnie nie nazwała przyczyny mojej pierwszej wielkiej traumy.

– Gównie inna! Tylko do kogo mam jechać, by ratować duszę po stracie wujka Stasia? Przecież pamiętasz, jak reanimowali mnie z ciotką po tym nieszczęsnym ślubie. Dwa miesiące leżałam w Zastawnie z chorą duszą, a oni tylko donosili mi na drzewo budynie z konfiturą wiśniową, sok z jabłek z sadu. Wpychali we mnie każdy kawałek szynki wędzonej przez Kalinowskiego, żebym tylko nie umarła z wycieńczenia. A co robili wtedy moi rodzice?

Szykowali ślub Aldony z Miłoszem, zapewne szczęśliwi, że ja bez ich udziału do tego czasu wyleczę rany i stawię się jako druhna. Monika! Wtedy miałam gdzie jechać, teraz nie.

W dodatku nie spełniłam oczekiwań wuja, siedząc jak kołek na tym pieprzonym strychu sama

i zdołowana. Widocznie stracił już nadzieję, że ułoży sobie życie, i umarł. Tak właśnie było.

Zadowolona z wniosków, jedynie prawdziwych i poprawnych, opadłam na poduszki.

Po minie Moniki widać było, że szuka słów, by zaprzeczyć w sposób, który nie wywoła mojej agresji. Postanowiła chwilowo zmienić temat.

– Napijesz się kawy? – Wstała z kanapy i skierowała się w stronę kuchni.

– Nie zbywaj mnie kawą!

– To napijesz się? – Nie odpuszczała.

– Zrób.

– A zatem, koleżanko, mimo wszystko twierdzę, że teraz jednak sytuacja jest inna. –

Powróciła do sesji psychologicznej, podparłszy ją dwiema filiżankami kawy z ekspresu. – Nie przerywaj! – Uniosła dłoń, by gestem zamknąć mi usta. – Prawda jest taka, że...

– Że co?! – Zaczynałam być zła.

– Że od czasu twojego niedoszłego ślubu – wypowiadała słowa wyraźnie i głośno – ty się zmieniłaś. Zapomniałaś o tym?

– Widać się nie zmieniłam.

– Nieprawda. – Monika nie ustępowała. – A Cezary, Remek, Szymon? Pamiętasz ich?

A choćby i Tomasz. Kobieto, zapomniałaś, że jesteś silna? Masz firmę, udzielamy porad psychologicznych, dajesz sobie radę. A ty chcesz mi powiedzieć, że z powodu śmierci wujka, nawet najukochańszego, zamierzasz cofnąć się do czasów Miłosza i oddać się we władanie niemocy? Weźmiesz się w garść, zobaczysz. No i zawsze masz mnie.

Wiedziała, jak zadziałać, żebym nie padła na podłogę pokrojona na milion kawałków, unurzana w płataninę demonów. Choć na duszy zrobiło mi się nieco lżej, nie zamierzałam łatwo oddać pola.

– Łatwo ci mówić. Masz Radka i Michalinę.

– A ty nie masz pięćdziesięciu lat. Ba, nie masz nawet trzydziestki. I ułożysz sobie życie.

– Nie o to chodzi.

– A o co?

Znudziło mi się to psychologiczne gadanie. Najwyraźniej Monika przestała mnie rozumieć. Nie myślałam, że aby reanimować zdołowaną koleżankę, zostawiła w domu dzieci. Byłam wściekła, bo nie przyznawała mi racji.

– O gówno. Nalej mi jeszcze. A jak nie chcesz ze mną siedzieć, to możesz iść.

Poranne przebudzenie nie należało do przyjemnych. Zupełnie inaczej niż wczoraj, słońce wkraadało się w każdą szparę między firankami, porażając tym swoim nieprawdopodobnym blaskiem. Rozejrzałam się dokoła. O dziwo leżałam w pościeli na antresoli, nie mogąc sobie przypomnieć, jakie dobre wiatry mnie tam przygnały. Po chwili, gdy już udało mi się opanować helikopter w głowie, zesłam po kolejnych prowadzących na dół stromych schodkach, ostrożnie przytrzymując się poręczy.

– Monika? – zawołałam na wszelki wypadek.

Odpowiedziała mi cisza. Ale na stoliku leżał list. Podniosłam go niepewnie.

„Alusia! Muszę wracać do domu, Michasia zagorączkowała. Pamiętaj, jesteś silna i wszystko się ułoży. Nigdy o tym nie zapominaj. Wujek Staszek też by tak chciał. Zadzwoń, gdy już będziesz w stanie albo kiedy będziesz miała ochotę. M.”

– Jezus Maria, urwał mi się film, rzecz od dawna niepraktykowana – gadałam w powietrze, doskonale zdając sobie sprawę, że w mojej krwi buzują jeszcze procenty. Nie,

Moniki nie będę niepokoić telefonem, postanowiłam. Korciło mnie, by do kogoś zadzwonić, ale skończyło się na machnięciu ręką. Sprawdziłam skrzynkę, zignorowałam esemesy od Miłosa, który od kilku tygodni nalegał na spotkanie. Absurd! Odezwał się Szymon, ale udało mi się wreszcie pozbyć z domu śladów jego bytności i byłam szczęśliwa.

„Szanowna Pani!”, przeczytałam, w ostatniej chwili powstrzymując się przed wyrzuceniem esemesa wysłanego z nieznanego numeru. „Tu Jan Smólski, prawnik pana Stanisława. Zapraszam na otwarcie testamentu, do Zastawna, kancelaria notariusza Lendziona. Proszę o telefon w sprawie uzgodnienia terminu. Przekazuję kondolencje i wyrazy szacunku”.

Pewnie wujek zostawił mi biżuterię cioci Anieli, pomyślałam, przypominając sobie jej pierścionki i wisiory z ulubionymi bursztynami. Ciekawe, czy Aldona też dostała wiadomość od pana Smólskiego?

Żeby się tego dowiedzieć, nie było szans. Telefon do siostry był ostatnim, na jaki miałam ochotę w tej chwili. Odsunęłam zasłony, by pozwolić promieniom słońca opanować pokój. Przycisnęłam klawisz wyciszający dźwięk komórki, na ekranie pojawił się napis: „Bez dźwięku”.

– I o to chodzi – szepnęłam do siebie, naciągając na głowę pled.

5 LIPCA 2008

Udawałam, że czytam książkę, gdy ciocia Aniela wdrapała się po schodkach do domku na drzewie, dziecięcej kryjówki i miejsca zabaw, które mimo upływu lat pozostawało w zadziwiająco dobrej kondycji. Nietrudno było zauważyć, że wujek dbał o jego coroczne remonty, widząc, że nie rezygnuję z ukrycia w gałęziach potężnej lipy w chwilach zapotrzebowania na kontrolowaną samotność. Z jednej strony nikt nie zakłócał moich medytacji, z drugiej zawsze mogłam rozchylić liście, by ujrzeć dom wujostwa i okna mojego pokoiku na poddaszu.

– Przepraszam, że ci przeszkadzam, córuś. – Ciocia zwracała się do mnie w ten sposób wcale często. – Zrobiłam obiad, może byś przyszła? – Spojrzała pytająco.

– Poczytam jeszcze, ciociu.

– Dziecko, tak nie można. – Nie miała zamiaru się poddawać. – Musisz coś jeść.

– Naprawdę, nie jestem głodna.

Ale czułam, że tym razem nie da się zbyć.

Od przyjazdu do Zastawna minęły prawie dwa tygodnie. Czternaście dni po niedoszłym ślubie. Kiedy zaraz po przeprowadzce wuj Staszek w asyście rodziców pojawił się na strychu z propozycją przeflancowania mnie na wieś, nie wybierałam się nigdzie. Bo i po co? Po co w ogóle robić cokolwiek? Życie, które miało się zacząć, właśnie się skończyło. Przełożyłam obronę pracy magisterskiej na wrzesień, mając w planach podróż poślubną z Miłozsem, wspólne urządzenie mieszkanek... Przeistoczenie się w magistra nagle straciło znaczenie. Nie w tej chwili, to później. Jak widać, plany nie zawsze się realizują. Od wczoraj w zupełności wystarczała mi zdezelowana kanapa, ciurkający kran w kuchni i lejąca się w łazience woda. A jeśli dodać do tego jeszcze dzwoniącą co kilka godzin Monikę i galopadę myśli – miałam wszystko, czego w tej chwili potrzebowałam.

– Alinko, wujek przyjechał cię zabrać do Zastawna. – Tato odważył się przedstawić propozycję jako pierwszy.

– Nigdzie nie jadę.

– Czy ty coś piłaś? – dokonała odkrycia mama. Trudno było nie zauważyć porozrzucanych pod stolikiem butelek.

Wymowne spojrzenie sprowokowało mnie do satysfakcjonującej ciętej riposty, która, zważywszy na moje nie najlepsze samopoczucie, przypominała raczej jęk umierającego.

– Piłam. I co z tego?

Zrobiło mi się niedobrze. Na szczęście Monika zostawiła przy kanapie miskę.

– Mówię wam, że najlepiej będzie, jak Alina wyjedzie na wieś. Świeże powietrze i zmiana miejsca. To jej dobrze zrobi.

Mama planowała, tato wycierał mi usta po wymiotach.

Wuj Stach przeraził się nie na żarty.

– A może wezwać lekarza?

– Do czego, Stanisław? – oburzyła się mama. – Ona po prostu ma kaca. Stasińku... – Zmieniła ton. – Już ty znajdziesz sposób, żeby ją przekonać. My mamy teraz na głowie Aldonkę i Miłozsa, oni chcą się pobrać po wakacjach, rozumiesz, że sytuacja jest niezręczna. Chodzi o to, by Ala doszła do siebie. Wszystko się ułoży.

Układała plany w mojej obecności! Zupełnie jakbym była powietrzem, ciężkim zresztą od fajek i odoru alkoholu.

Zmęczona niedyspozycją, zapadłam w sen. Kiedy się obudziłam, wokół panowała ciemność. W głowie już nie szumiało, żołądek nie podskakiwał. Ktoś delikatnie dotknął mojej ręki. Zanim usłyszałam głos wujka Staszka, pomyślałam, że może to Miłosz.

– To ja. Nie bój się. Lepiej?

Nie było ani lepiej, ani gorzej. Było źle.

– W porządku. Rodzice jeszcze są?

– Poszli, Aliś, ale ktoś chce z tobą porozmawiać. Jesteś w stanie? – Zauważyłam w oczach wujka troskę.

Zapytałam, chociaż domyślałam się odpowiedzi.

– Miłosz?

Skinął głową na potwierdzenie i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Dostrzegłam olbrzymi bukiet róż, zza którego wyłonił się mój eksnarzeczony.

Przypomniałam sobie zaręczyny i podobny bukiet, w którym spoczywało czerwone puzderko w kształcie serca, z pierścionkiem. Jedyne wyraz oczu winowajcy zdradzał inne okoliczności.

– Przepraszam, Alinko...

Jeżeli jeszcze wczoraj wyobrażałam sobie, że przy najbliższym spotkaniu rzucę się na Miłosza z nożem i wybuchnę płaczem, dziś pozostał wyłącznie płacz.

Miłosz przysiadł na kanapie i odłożył na podłogę kwiaty, których i tak nie miałam zamiaru przyjąć.

– Dlaczego mi to zrobiłeś? – krzyknęłam, nie mogąc opanować emocji.

Siedział ze zwieszoną głową.

– No dlaczego? Mów!

– Ala, to nie tak, jak myślisz.

– A jak?!

– Nie powinienem był czekać tak długo.

Milczałam, śledząc jego miotający się po ścianach wzrok i licząc, że może jednak zatrzyma go na mojej twarzy. A wtedy stanie się cud. Miłosz dostrzeże, co stracił, zobaczy, że bardzo go kocham. Bo przecież nie można odkochać się w jeden dzień, nawet tak niefortunny jak wczorajszy.

– Powinienem powiedzieć ci wcześniej...

– Co takiego?

Masochistycznie oczekiwałam na odpowiedź.

– Że kocham Aldonę.

Przypuszczenie przypuszczeniem, a wiedza wiedzą. To robi różnicę. Wyznanie Miłosza podziało na mnie jak cięcie mieczem. Pokazałam mu drzwi.

– Wyjdź.

– Przepraszam. – Podniósł się z kanapy.

– Szybciej! Wynoś się! Nigdy więcej nie chcę cię znać! I zabieraj ten swój bukiet! –

Rzuciłam wiechem w przymykające się drzwi, zza których wychylił głowę wujek Staszek.

Spojrzał na mnie pytająco.

– Możemy się pakować, wujku. Jadę z tobą.

– Uspokój się, Alinko. Ciesz się. I nie płacz już, będzie dobrze.

Ciocia Aniela nie ustępowała.

– Zrobiłam twoje ulubione gołąbki z ryżem, dasz się skusić? – Nie doczekała się odpowiedzi, ale próbowała dalej. – Po co się zadręczasz? Chcesz mu dać satysfakcję? „Alinka, mówią mi, on nie wart jednej łzy” – sparafrazowała fragment przeboju Maryli Rodowicz.

– Tu nie chodzi o niego.

– O Aldonę?

– Też nie. O mnie.

– A czym ty zawiniłaś, dziecko?

– Nie pomyślałaś, że coś takiego nie przydarza się każdej dziewczynie? Powiedziałabym nawet – żadnej. Poza mną. – Wylałam nagromadzoną żółć, efekt dwutygodniowych przemyśleń w domku na drzewie. – Jestem jakaś felerna, skoro nikt nie chce się ze mną związać.

Za brzydka, za głupia. Nie zasługuję, żeby mnie kochać, ciociu. Taka jest prawda. –

Postawiłam kropkę nad i, zanim ciotka zdążyła dojść do słowa.

Odetchnęła i spróbowała ponownie, starannie dobierając słowa.

– Alinko, przecież wiesz, że to nieprawda. To Miłoz jest nie w porządku. I Aldona. Tak się nie robi! – zaakcentowała ostatnie zdanie. – Otrząśniesz się, dziecko. – Głos ciotki złagodniał jeszcze bardziej. – Oczywiście o ile wcześniej się nie zagłodzisz. Więc teraz chodź ze mną na gołąbki. Mamy gościa – zakończyła tajemniczo.

– Chcesz powiedzieć, że przyjechał Miłoz?

Powróciła nadzieja. Oto Miłoz zrozumiał swój błąd i stara się go naprawić! Reszta była po prostu jakąś niesłychaną pomyłką, koszmarnym snem, z którego zaraz się obudzę. Wstanę pewna, silna, kochana. Przecież on nie mógł mnie zostawić dla Aldony! Nie dla niej. Mojej siostrze nigdy nie brakowało adoratorów, dlaczego więc zagięła parol właśnie na niego?

Dlaczego on się poddał?

– W domu czeka Tomek.

No cóż.

– Nie idę, ciociu.

– Dlaczego, Alusiu? Zjedlibyśmy razem...

Tylko tego mi brakowało! Współczucia faceta traktowanego jak najbliższy z bliskich, który przyjeżdża do wujostwa, pozbawiając mnie uwagi cioci i zainteresowania wujka! Mnie, którą wciąż uważa za ganiającą po drzewach Pippi!

Przypomniałam sobie esemes, który dostałam zaraz po „ślubie”.

„Trzymaj się, jesteś bardzo fajną dziewczyną. Tomasz”.

Wal się!, pomyślałam, gdy tylko zorientowałam się, kto jest nadawcą. Wszyscy się walcie! I ty, Miłoz, też! Nienawidzę mężczyzn!

Nienawidziłam siebie.

– Ciociu, nie czuję się najlepiej. Zostaw mi gołąbka na wieczór. Poczytam jeszcze. Naprawdę, nic mi nie jest – poczułam w obowiązku uspokoić ją, tłumacząc chęć pozostania na drzewie. – Przepraszam, ale nie mam ochoty spotykać się z nikim.

5 CZERWCA 2013

Proszę skrócić około pięciu centymetrów i lekko wycieniować po bokach. Jak zwykle, pani Magdo. – Dla porządku przypomniałam fryzjerce, co ma robić. – Mają zostać długie, ale łatwo układać się na szczotce.

- Wiem, pani Alinko. Nie lubi pani eksperymentować. Zaśmiałam się z tych naszych rutynowych pogaduszek.
- To prawda. Z włosami nigdy.
- Bo wcale pani nie musi. Są takie piękne! Błyszczące i zdrowe. Faktycznie, nie miałam powodów do narzekań. Wystarczała krótka wizyta u fryzjerki raz na jakiś czas, dobry szampon i suszarka, by włosy nie przynosiły mi wstydu.
- Albo może...
- Słucham? – Pani Magda w ostatniej chwili powstrzymała nożyczki.
- A gdyby tak... – Przyglądałam się w lustrze swojemu odbiciu, lekko przechylając głowę. – Jakieś niewielkie pasemka?
- Nie zaszkodzi. Zanim jeszcze dostaną słońca, można nieco rozjaśnić.
- Byle nie za mocno. Żeby wyszło naturalnie.
- Oczywiście.

Siedziałam w fotelu i poddawałam się kojącemu dotykowi. Jasne pasma miękko spadały na podłogę.

- Jakieś wyjście się kroi? – zagadnęła fryzjerka.

Próbowała wyciągnąć mnie na zwierzenia, choć zwykle to ja przyjmowałam pacjentów na psychoterapeutycznym fotelu. Wysłuchiwałam ich problemów, udzielałam porad, próbowałam wnikać w trudne życiowe sytuacje, rozwiązywałam, uzasadniałam, pomagałam, sama pozostając zdana wyłącznie na siebie. Mogłam wprawdzie liczyć na Monikę, ale od narodzin Michaliny jej zajęta mama rzadko bywała wolna, nawet dla swoich pacjentów. Wspólną firmę „Pomoc Psychologa” ulokowałyśmy w wynajętym dwupokojowym mieszkaniu, do którego każda z nas zaglądała na umówione sesje. Zdarzało się, że mijałyśmy się tygodniami. A już zwłaszcza teraz, przy jej małym dziecku i mężu wracającym z pracy w późnych godzinach popołudniowych.

Ja czasami widywałam się z Tosią, zazwyczaj gdy przebywała u dziadków. Niestety, mimo usilnych starań nie udało mi się pogrzebać niechęci do Miłosza i Aldony. Upływ lat nie miał znaczenia. Jeżeli kiedykolwiek ma nastać zgoda, to jeszcze nie teraz.

Nie miałam wokół siebie zbyt wielu bliskich. Z Szymonem rozstałam się niecały miesiąc temu, gdy tylko zaczął przebąkiwać o małżeństwie.

- Wyjście już było, pani Magdo. – Przypomniałam sobie, że powinnam odpowiedzieć. – Miałam pogrzeb w rodzinie. Zmarł wujek.
- Bardzo mi przykro. Bliski? – drażyla przy akompaniamencie szczęku nożyczek.
- Kto wie, czy nie najbliższy w rodzinie. – Walczyłam z mgłą przed oczami.
- Czasem tak bywa, pani Alinko. – Fryzjerka pokiwała głową ze zrozumieniem. – Z matką, ojcem się pani nie dogada, a z obcym prędzej.
- Nie był obcy.

Jak zawsze po fryzjerze przysiadłam w pobliskiej kafejce, by napić się cudownego cappuccino. Do wizyty u notariusza pozostało czterdzieści minut. Sadowiąc się na tarasie, zerknęłam w ozdobne lustro przy wejściu, w połączanej, nieco zmatowiałej ramie. Ujrzałam

całkiem niezłą zgrabną kobietę, nieco przypominającą obliczem dawno niewidzianą z tej perspektywy znajomą – Alinę Dobrowolską. W stosunku do tej sprzed pięciu lat ta obecna miała znacznie większą klasę. Nie, tamta wcale nie była zła, przypomniałam sobie dwudziestoczteroletnią prawie absolwentkę, która wyglądała jak nastolatka. Lekki makijaż, sportowe, wygodne ciuchy, włosy spięte w koński ogon.

– Dziecko, ty zamierzasz zostać psychologiem? – żartowała dawno temu ciocia. – Przecież pięciu minut nie potrafisz usiedzieć w miejscu. Może powinnaś raczej zostać treserem dzikich zwierząt?

– Nie przesadzaj, Anielciu. Nie widzisz, że nasza Alinka to dama na wakacjach? – bronił mnie wujek Staś. – Ona nam jeszcze pokaże. Wystarczy, że włoży sukienkę.

Nie potrafiłam spełnić jego oczekiwań. Przeszukiwałam plecak, ale wciąż napotykałam w nim na rybaczkę, marchewkę, dzinsy, bojówki. Jak mogłam nie zauważyć, że Miłosz woli zawsze zrobioną Aldonę? Dlaczego nie dostrzegłam, jak bardzo do siebie nie pasujemy?

Zegarek przypomniał mi, że muszę się zbierać. Kiedy po kilku minutach stanęłam przed drzwiami kamienicy, natknęłam się na tatę. Wydawał się zdziwiony moją obecnością.

– Ty tutaj?

– Tak, tatusiu. Pan Smólski poinformował mnie o otwarciu testamentu. Ty zapewne w tej samej sprawie?

– W końcu jestem spadkobiercą Stanisława. O ile wiem, nie miał innej rodziny. I ciotka Aniela też. Dlaczego nie odwiedziłaś nas po stypie? Matka czekała.

Machnęłam ręką. Nie miałam zamiaru wałkować stale tego samego tematu. Ojciec nieustannie próbował sklejać rodzinę. Przez jakiś czas rozpościerał nade mną parasol ochronny, teraz jednak coraz częściej okazywał zniecierpliwienie moim oporem przed zadowalaniem matki. „Zaniedbujesz ją”, słyszałam coraz częściej. „Jesteś uparta i nie umiesz wybaczać”. „Tkwisz we władaniu własnych fobii, a kto jak nie psycholog powinien umieć sobie z tą sytuacją poradzić?”. Bo przecież Aldona z Miłoszkami są szczęśliwi, a ich córka Tosia to urocze dziecko, które lgnie do mnie jak mucha do lepu.

Gabinet notariusza urządzony był zgodnie ze standardami prawniczych biur. Naprzeciwko drzwi rozpościerało się stare przedwojenne biurko z zieloną lampką, za którym stał wygodny fotel. Pozostałą przestrzeń wypełniały dwie przepastne, skórzane, pikowane kanapy, zachęcające do zajęcia miejsca. Wzdłuż ścian piętrzyły się regały z niewątpliwie mądrymi i tajemniczymi brązowymi księgami. W pomieszczeniu panował półmrok.

– Witam państwa.

Gdy przekroczyliśmy próg, zza biurka wyłonił się z wyciągniętą na powitanie ręką korpulentny mężczyzna z mocno przeredzoną czupryną.

– Tadeusz Lenzion – przedstawił się. – Rozumiem, że jesteście w komplecie. Nie muszę chyba sobie państwa przedstawiać?

Rzeczywiście, nie musiał. Z jednej z kanap podniósł się Tomasz i znany nam z wieloletnich kontaktów z wujem pan Smólski.

– Czy możemy zacząć?

Skinęliśmy głowami, każde usadowione w swoim kącie. Nie zdawałam sobie sprawy z napięcia, jakie może towarzyszyć otwieraniu testamentu. Odniosłam wrażenie, że uczucie to nie jest obce wszystkim obecnym.

– A zatem... – rozpoczął notariusz. – Stanisław Dobrowolski, zdrowy na umyśle i świadomy swojej woli, właśnie tę wolę zapisał w testamencie – mamrotał. – Ja, Tadeusz Lenzion, notariusz, zamierzam wszystkim tu obecnym obwieścić... A zgodnie z nią – panu Janowi Smólskiemu, przyjacielowi i współpracownikowi, przekazuje się zbiór książek

historycznych, kolekcje broni oraz znaczków. Powołuje się do spadku Tomasza Krukowskiego, ciotecznego siostrzeńca żony Anieli Dobrowolskiej, i Alinę Dobrowolską, córkę bratanka, przekazując im po jednej drugiej udziałów w drukarni „Anieldruk”, w domu w Zastawnie i w środkach zgromadzonych na rachunkach bankowych. Dodatkowo pani Alina Dobrowolska ma odziedziczyć biżuterię pani Anieli.

Na tym zakończył. Ciszę przerwało chrząknięcie taty i jego pytanie wypowiedziane gardłowym głosem:

- To wszystko?
- Odczytałem państwu wolę pana Stanisława, spisaną w mojej obecności. Tak, to wszystko – zapewnił.
- Zatem dlaczego, skoro zmarły nic mi nie pozostawił, zostałem tutaj wezwany? – Tato z trudem panował nad emocjami.
- Jest pan jedynym spadkobiercą ustawowym. Ma pan prawo uczestniczyć w otwarciu testamentu.
- Czy mam jeszcze jakieś inne prawa?
- Owszem. – Notariusz wypełniał swoją powinność. – Jeżeli nie zgadza się pan z testamentem, nie będę mógł wystawić powołanym spadkobiercom aktu poświadczenia dziedziczenia.
- A czym to będzie skutkować? – drążył tato, wyraźnie podenerwowany pominięciem w ostatniej woli.
- Proszę pana. – Pan Lenzion nie zamierzał ułatwiać mu życia. – W tej sprawie proszę zwrócić się o poradę do swojego prawnika. A teraz pytam wszystkich państwa: czy zgadzacie się z wolą testatora?

Siedziałam oszołomiona. Pół firmy, połowa Zastawna, jedna druga zgromadzonych środków, biżuteria? Przecież to majątek! Tego się nie spodziewałam. Jeszcze nigdy nikt mnie tak nie obdarował! Tylko dlaczego do spółki z Tomaszem? Dobrze, że chociaż nie musimy dzielić się koralami cioci Anieli.

Tomasz spoglądał na mnie ze swojego kąta kanapy, ja popatrywałam na niego. Pan Smólski potaknął pierwszy.

- Ja tak – zabrzmiała deklaracja Tomasza.

Wszyscy spojrzeli w moją stronę.

- Ja również.
- A pan? – Notariusz zerknął na tatę.
- Przepraszam. Muszę się zastanowić.
- Rozumiem. Ma pan prawo zasięgnąć informacji. A zatem...

Nie pamiętam dalszych słów notariusza. Opuściłam gabinet oszołomiona, zdawkowo pożegnana przez tatę. Odmówiłam Tomaszowi wspólnej kolacji, chcąc w samotności przetrwać mocno zaskakujące wydarzenie. Zaskoczona hojnością wujka, zastanawiałam się, co go skłoniło, by skojarzyć mnie z krewnym cioci Anieli. Nie, to się nie uda! Mimo wszystko miło mi było, że wuj Staś nie tylko Tomasza traktował jak syna, ale i o mnie myślał jak o córce, godnej przejęcia połowy schedy.

Przekreśliłam kluczyk w stacyjce i pojęłam, że ostatni gest wuja to przesłanie. Nie można pozwolić, by jego ukochana firma upadła. Ona musi trwać, podobnie jak ja. A że trzeba będzie jakoś się dogadać z drugim spadkobiercą? Tu raczej nie ma problemu. Poprowadzę tę firmę, dam radę!, pomyślałam. W końcu ile można siedzieć i wysłuchiwać wynurzeń ludzi z problemami?

Pojechałam w kierunku cmentarza. Przed bramą, niestety, nie było już sprzedawców

zniczy.

Na świeżym jeszcze grobie leżały wędnące wieńce.

– Nie bój się, to ja. – Zza nagrobka wyłoniła się sylwetka Tomasza. – Miałem w samochodzie. – Postawił na ziemi białą lampkę. – Wiesz, że trzeba będzie się spotkać?

– Nie dzisiaj. Zadzwoń.

Na szczęście nie zagadywał. Stał obok mnie, zapatrzony w tłący się knot.

6 CZERWCA 2013

Gdy rano otworzyłam oczy, komórka czerwonym oczkiem zasygnalizowała nieodebrane połączenia i esemesy. Większość wysłał Tomasz.

„Ala, musimy się pilnie spotkać z uwagi na ciągłość działania «Anieldruku». Proszę o kontakt”.

„Nie odbierasz. Oddzwon, gdy będziesz mogła”.

„Pojechałem do Zastawna, czekam na ciebie”.

Czego się dobija o tak wczesnej porze?, zdenerwowałam się zmasowanym atakiem na mój poranny spokój. Fakt, zegar wskazywał (o nieba!) jedenastą, nie zamierzałam jednak podrywać się równo ze śpiewem skowronka, mając pierwsze spotkanie z pacjentem zaplanowane na godziny popołudniowe.

Zanim zdecydowałam się oddzwonić do Tomasza, przejrzałam pozostałe wiadomości. Trzy nieodebrane połączenia od mamy, jedno od taty, esemes od Moniki.

„Bardzo się cieszę, Aluś, i jeszcze raz, w razie potrzeby, oferuję pomoc”, brzmiała odpowiedź mojej przyjaciółki na wieść o spadku.

– Może nawet będziesz potrzebna? – pomyślałam na głos, uświadamiając sobie, że wyjazdu do Zastawna nie można odkładać. Rozsądek podpowiadał, by znaleźć się na miejscu, zanim jeszcze Tomasz zdąży zaprowadzić tam własne porządki. Znając go głównie z opowiadań i relacji wujka, nie miałam wprawdzie powodu sądzić, że jest człowiekiem nieodpowiedzialnym czy nieuczciwym, ale – czego stale uczy nas życie – strzeżonego Pan Bóg strzeże.

– Monika? – Chwyciłam za telefon, nie czekając na pojawienie się wątpliwości. – Mam do ciebie prośbę.

Zgodziła się natychmiast, by przejąć mojego dzisiejszego pacjenta (o ile nie uda mi się przenieść sesji na inny termin). Patryk, licealista z problemem relacji z uczestnikami terapii grupowej, znał Monikę, więc przypuszczałam, że zgodzi się na zastępstwo. On nie robił problemów. Przerzuciłam terminarz. Jutro i pojutrze puste dni, potem weekend, kolejne spotkania dopiero w przyszłym tygodniu. Bingo!

Mogłam zaanonsować Tomaszowi swoje rychłe przybycie.

Przydała się wizyta u fryzjerki, doceniłam się w myśli za umiejętność przewidywania. Rach-ciach przetrę umyte włosy rącznikiem i bez specjalnego układania będę mogła pokazać się ludziom.

Biegałam po mieszkaniu, popijałam maślanką tosta i pakowałam do torby niezbędne łaszki. Napelniałam kosmetyczkę, podlewałam kwiaty.

– No.

Jeszcze rzut oka na całość, sprawdzenie, czy dobrze zakręciłam kran (ten sam, w którym już dawno powinnam wymienić uszczelkę), pozamykanie okien na wypadek gwałtownego deszczu, worek ze śmieciami do ręki, żeby nie zasmrodziły wnętrza pod moją nieobecność. Mogłam jechać.

Czarno-biały mini stał na swoim miejscu, gotowy do drogi. Wyruszyłam w okolicach południa, więc uniknęłam porannych korków i już po czterdziestu minutach byłam pod domem wujostwa. I pocałowałam klamkę. Jedyne rudy kot, korzystając z promieni wiosennego słońca, wygrzewał się na zewnętrznym parapacie.

– Kto ci daje jeść, kiciusiu? – zagadnęłam go, szukając w torbie jakiegoś smakowitego kąska. – Mam tylko mleczny batonik, a tego pewnie nie lubisz?

Nie było sensu czekać na Tomasza, więc skierowałam się w stronę bramy opatrzonej banerem „Anieldruk”.

– Pani w jakiej sprawie? – Z budki wyszedł portier.

Miły panie, przecież idę do siebie!, ofuknęłam go w duchu. Od wczoraj jestem (prawie) współwłaścicielką drukarni. A tak w ogóle to nie poznaje mnie pan, panie Kaziu?

– Nazywam się Alina Dobrowolska – powiedziałam.

Pan Kazio sobie przypomniał.

– Przepraszam, ale nie spodziewałem się pani tutaj, nie poznałem. Pani pewnie do prezesa?

– Do pana Kowalewskiego? Nie. Idę do Tomasza.

– No przecież mówię, że do prezesa. Pokazać drogę?

Tomasz prezesem? Ciekawe. Zmierzając w stronę biura, czułam narastającą złość. Przyspieszyłam kroku. Jeszcze się nie pojawiłam na dobre, a on już samozwańczo zdążył się powołać. Pięknie!

– Jestem. Dzień dobry. – Skinęłam głową na powitanie, wtargnąwszy do salki konferencyjnej po sforsowaniu sekretarki.

Wokół stołu zasiadała kadra kierownicza. Rozpoznałam dyrektora Kowalewskiego, szefa produkcji pana Krzysia, pana Łukasza, zarządzającego magazynem, kadrową panią Mirkę i kilka innych osób. Fotel wuja zajmował Tomasz.

Nie, nie wydawało mi się. Był skonsternowany.

– Nie spodziewałem się, że przyjedziesz... – Poderwał się ze zniewalającym powitalnym uśmiechem. – Może usiądziesz tutaj? – Wskazał krzesło po swojej prawicy.

Ożeż ty! Nie wiem, czy udało mi się nie okazać emocji. Znałam mowę ciała i zasady manipulowania ludźmi. Sadzanie kogoś po prawej stronie określało jego status w grupie. Status zastępcy.

Nie zareagowałam na tę propozycję. Zwróciłam się do zgromadzonych.

– Witam wszystkich państwa. Nazywam się Alina Dobrowolska i będę z państwem współpracować. Na równi z Tomaszem. Czy dużo mnie ominęło? – zapytałam.

– Na razie omówiliśmy działania sekcji pozyskiwania klienta – odparł Tomasz. – Będziesz mogła przeczytać raport. Czy możemy kontynuować?

Najwyraźniej chciał pozbawić mnie głosu i usadowić na krześle.

Zanim udzieliłam odpowiedzi, zastanowiłam się przez chwilę.

– Poproszę o przerwę, bym mogła zapoznać się z notatkami do raportu. Oczywiście jeżeli to nie stanowi problemu?

– Naturalnie, że nie. – Tomasz posłał mi spojrzenie rozjuszonego bizona, zmiksowane z uśmiechem Mony Lizy. – Zatem zarządzam krótki odpoczynek.

Przerzucałam notatki, czytając i nic nie rozumiejąc. Nie orientowałam się, co oznacza skrót BOK, nie miałam pojęcia, na czym polega proces weryfikacji zamówień i jakieś tajemnicze „procesowe podejście do systemu”, zgodne z punktem którymś tam normy ISO. Tragedia.

Po co było się tak rzucać?, napomniałam się w duchu. Przyjechało się zgrywać prezeskę, a nie ma się o niczym pojęcia! Tomasz przynajmniej zarządza własną dużą drukarnią i zna się na tego rodzaju biznesie. A ja? Wrócę lepiej do swoich pacjentów, póki czas.

– Czy możemy kontynuować? – usłyszałam dochodzący od drzwi głos Tomasza. – Przeczytałaś?

– Tak.

Świdrował mnie wzrokiem szyfranta, który właśnie rozpracował przeciwnika. A ja

zdałam sobie sprawę, że nie potrafię ukryć niewiedzy, zagubienia w temacie, ignorancji. I że nie zmieni tego żadna mądra mina. Chyba nie o to ci chodziło, wujku?

– Zatem wracamy na miejsca. Pani Dobrowolska jest już gotowa do dalszej części spotkania.

Nie wiem, o czym rozmawiali w kulisach, jednak rzucane w moim kierunku pokątne spojrzenia nie były przyjazne. Postanowiłam się nie odzywać, nie zadawać pytań, jedynie obserwować rozwój wypadków. Ach, gdyby znalazł się tu jakiś psycholog i poradził, co dalej!

Skończyliśmy po czterech godzinach. W głowie mi huczało. Natłok informacji i trudnych kwestii, których sensu nie byłam w stanie ogarnąć, przerósł możliwości percepcji.

Jestem zwyczajnie głupia, myślałam, słuchając z mądrą miną wywodów kolejnych prelegentów. To jakaś czarna magia.

– Doskonalenie skuteczności SZJ, monitorowanie procesów zleczanych na zewnątrz (jakich znowu procesów?), działania korygujące po audytach, reagowanie na niezgodności.

Oslabłam po tej nowomowie, miałam dość. Za to Tomasz z każdą chwilą czuł się pewniej.

– Myślę, że po raporcie pełnomocnika możemy zakończyć spotkanie? – dotarły do mnie jego słowa. – O ile zgodzi się ze mną pani Alina?

Na „pani Alinie” spoczęły oczy wszystkich zgromadzonych.

Zostałam wywołana do odpowiedzi. Cóż, moja kolej na prezentację umiejętności, panie Tomasz! Odrzuciłam myśli o niekompetencji, liczyły się umiejętności manipulacyjne. Jak Kuba Bogu...

– Dziękuję państwu serdecznie za spotkanie, było bardzo pouczające (cokolwiek to oznaczało!) – zaczęłam, podnosząc się z krzesła. – Myślę, że to dopiero początek współpracy i preludium do dalszych działań. Ze swojej strony mogę zapewnić, że zrobię wszystko, aby nauczyć się firmy, lepiej poznać państwa i nie zawieść wuja Staszka. Jestem gotowa podjąć wyzwanie współzarządzania „Aniendrukiem” i liczę na państwa pomoc. Mam nadzieję, że otrzymam też wsparcie od Tomasza. Po załatwieniu formalności wspólnie będziemy mogli zaprosić wszystkich na powitalnego szampana. Albo chociaż na piwo przy grillu.

Liczyłam na oklaski, dumna z przemowy, zadowolona, że im wszystkim nie przerywałam, nie zadawałam trudnych pytań. To Tomasz ciągle czegoś chciał, drążył, wcinał się w każdą wypowiedź, atakował.

A tymczasem zapadła cisza. Odniosłam wrażenie, że wszyscy patrzą na mnie zażenowani, szukając wzrokiem wsparcia prezesa.

– Ja również dziękuję wam i zapraszam na grilla. Gdy tylko się ogarniemy. – Tomasz ogłosił swoją wolę na stojąco.

Rozległy się oklaski.

Kilka razy w życiu udało mi się zaliczyć wpadkę, a teraz do ich listy dodałam kolejną. Zdawkowe uśmiechy opuszczających salę konferencyjną, uściski dłoni z Tomaszem, jego wzrok utkwiony we mnie, gdy zostaliśmy sami. To wystarczyło do uświadomienia mi rozmiaru klęski.

– Pójdziemy do domu? – Jego głos dotarł do mnie jak przez mgłę. – Albo może weź klucz, bo ja jeszcze muszę trochę popracować.

Na dzisiaj musiało mi wystarczyć. Wzięłam klucz i skierowałam się w stronę służbówki portiera.

– Wszystko w porządku? – zapytał pan Kazio.

Musiałam wyglądać nieszczęśliwie.

– Tak. Czy sklep obok remizy będzie jeszcze otwarty?

Nie ujawniłam, co chcę kupić. Ale dawny pogeosowski sklepik, noszący dumną nazwę

„U Crystyny”, był jedynym miejscem, gdzie można było nabyć alkohol.

– Pani! Oni mają czynne do dziesiątej!

– Dziękuję.

Zaopatrzona w butelkę krupniku, przekroczyłam próg domu wujostwa. Z torby wystawała bułka wrocławska, kawałek pasztetowej i maślanka na jutro. Odruchowo udałam się do swojego pokoju na górce, z którego rozpościerał się widok na domek na drzewie. Nie miałam już sił ani ochoty odpisywać mamie na liczne esemesy, oczywiście dotyczące spadku.

„Musimy się spotkać”.

Wiedziałałam, że nie zamierza mnie zaprosić na niedzielny obiad.

7 CZERWCA 2013

Można?

Kończyłam właśnie pisać mejla do Moniki, gdy po krótkim pukaniu w drzwiach ukazała się głowa Tomasza.

Pewnie zauważył, że machnęłam butelkę pod biurko, a kieliszek ukryłam za ekranem komputera...

– Przepraszam, że przeszkadzam. Jesteś zajęta?

Oczywiście, że nie! Przecież widzisz, jak rozwalona na łóżku oglądam ptaki uprawiające wiosenne harce w gałęziach lipy!

– Trochę.

– Może zjemy razem kolację? – zaproponował, wsuwając się do pokoju.

Prawdę powiedziawszy, byłam głodna. Wiejski sklepik nie miał wiele do zaoferowania, a wciąż tkwiące w torbie z zakupami bagietka i pasztetowa szczególnie nadawały się na wykwintny posiłek. A może on liczył na wyjątkowe przyjęcie? Niedoczekanie! Po spotkaniu w firmie miałam dość towarzystwa Tomasza, a już z pewnością nie zamierzałam przykładać ręki do wspólnoty przy stole.

– Jestem zajęta i trochę zmęczona. Chyba zaraz się położę – znalazłam sensowną wymówkę.

– Szkoda.

Albo mi się wydawało, albo zerknął pod biurko...

– Aha, przywiozłem sałatkę, cataplanę i dobre portugalskie wino.

Jasna cholera! Skąd on wie, co lubię? Zapewne usłyszał od wujka o mojej namiętności do krewetek i chce ją wykorzystać w jakimś niecnym celu. Nic nie dzieje się przypadkiem. Dlaczego jednak nie dać się skusić? Zawsze to lepsze od pasztetowej.

– Dobrze. Bardzo lubię krewetki. I dziękuję za zaproszenie. Zejdę, jak tylko skończę mejla.

– Zatem czekam – powiedział i spojrzał na mnie wymownie. „Wiedziałem, że nie odmówisz. I po co było to całe krygowanie się?”

W jednej chwili nabrałam ochoty, by zmienić zdanie i zetrzeć mu z twarzy uśmiešek zadowolenia, nie mogłam jednak zachowywać się jak panna w tańcu. W końcu jestem poważną panią psycholog przed trzydziestką, a od wczoraj – współwłaścicielką dużej firmy. Trzeba porozmawiać o interesach, więc dlaczego nie przy portugalskim winie?

Stół wyglądał zachęcająco. Ciociną koronkową serwetę uzupełniały serwetki w lawendowe kwiaty, na których spoczywały talerze ze złotą obwódką. Trzeba przyznać, że Tomasz się postarał.

Zaprosił mnie do zajęcia miejsca na jednym z krańców stołu. Dla siebie zarezerwował krzesło naprzeciwko.

– Na początek proponuję wypić za hojność wuja Staszka i za to, jak nas potraktował.
– Samozwańczy prezes nalał mi wina i wznosił toast.

– Za jego pamięć! – dołączyłam.

Wychyliliśmy zawartość kieliszków w milczeniu.

– Brakuje mi go – powiedziałam.

– Mnie również – przytaknął. – Ale do dzieła! Nałóżysz sobie?

– Jasne.

Gawędziliśmy sobie o sałatce, o krewetkach, o smakach plaż południowych i innych bzdetach, starając się odsuwać wspomnienia, które przywoływał ten dom. Nie wiem, o czym myślał Tomasz, ale ja czułam się niezręcznie na stałym miejscu cioci Anieli, skąd patrzyłam przez długość blatu na koniec zasiedlony przez Tomasza. Ze ścian spoglądały portrety przodków, w wazonie na półce nad kominkiem stały zwiędłe kwiaty. Czyżby zerwane jeszcze ręką wujka?

- Co robisz? – zapytał Tomasz, gdy poderwałam się z krzesła.
- Idę wyrzucić kwiaty.
- Daj spokój. Można to zrobić jutro.

Milczałam. Nie potrafiłam rozgryźć tego faceta. Profesjonalista, kombinowałam w myślach. Wyraźnie było to widać podczas dzisiejszego spotkania. I umie zjednywać sobie ludzi (to też obserwacja z narady). Manipulator, o czym świadczy kolacja. Czegoś ode mnie chce. Ale przejawia pewną wrażliwość – zauważyłam (albo mi się wydawało?) mętny wzrok, gdy wzniosłam toast za pamięć wujka. Dobry czy zły? Dobry, bo wujek go lubił, zaufał mu, przyjmował go u siebie, wprowadził w drukarski biznes, nigdy nie wypowiadał się o nim źle. Zły, bo mu nie ufam, wyczuwam fałsz. Tylko czy moje zaufanie jest coś warte? Miłoszowi też ufałam i co z tego?

- Masz coś przeciwko?
- Oczywiście, że nie.

Gdy wróciłam z pustym wazonem, w pokoju rozbrzmiewały piosenki Roda Stewarta. Tomasz zajął miejsce w fotelu wujka. Zadbał o uzupełnienie zawartości kieliszków.

- Usiądź tutaj. – Wskazał na drugi fotel. – Pamiętam, że wuj Staszek je lubił.

Rzeczywiście, kojarzyły mi się z wujem. Włączył *Sailing*. Kojące dźwięki wydobywały się z nieco przestarzałego sprzętu grającego, a i tak siedziałam zaszuchana. Kiedy jednak zaczęło grać *I don't want to talk about it*, spojrzałam z niedowierzaniem. To nie był przypadek. Jak śmiał mi to przypominać? Dlaczego teraz? Z jakiego powodu przywołuje tamtą sytuację sprzed lat, o której, jak w słowach piosenki, „nie chcę mówić, bo złamałeś mi serce”? Wiedział o moim nieszczęsnym ślubie, był w kościele. Co za człowiek i dlaczego mi to robi? Choć w głowie szumiało, postanowiłam nie dać się sprowokować.

- Dlaczego to włączyłeś?
- Płytką leci.
- Sama?
- Tak. Po kolei.
- I niby ty nie masz z tą kolejnością nic wspólnego?
- Żartujesz?
- I nie wiesz, o czym mówię? – Nalałam sobie wina. – Absolutnie?

Przez chwilę się nie odzywał, najwyraźniej zbierając myśli. Ale patrzył tak, że gdybym nie wiedziała, że knuje... Nie, on knuł. Włączył właśnie to, żeby wywołać we mnie emocje. Żeby mnie zmiękczyć.

- Alina. Musimy porozmawiać.

Wzrok Tomasza przypominał mi spojrzenie ojca, który przywoływał mnie do porządku, kiedy byłam niegrzeczna.

- Alina, musimy porozmawiać. Zrobiłaś mamusi przykrość, idź przeprosić.
- Nie pójdę.
- Kochanie, proszę zrób to. Mamusi jest przykro, byłaś niegrzeczna. Musisz przeprosić,

bo zawiedziesz tatusia.

– Przepraszam – mówiłam, a mama przyjmowała przeprosiny z zadowoleniem.
– Dobrze, że rozumiałaś. Nie wolno naśmiewać się z Aldonki. Każdemu może zdarzyć się dwójka z klasówki, ale to jeszcze nie powód, by rozpowiadać o tym wszystkim koleżankom i cieszyć się z porażki siostry.

Jednak w takich chwilach to nie Aldona była poszkodowana. To ja wychodziłam od mamy z poczuciem klęski. Nie lubię cię, przemawiałam do niej w myślach, wcale cię nie przeprosiłam. Nienawidzę cię!

Tato z gazetą na tapczanie z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

– Wszystko w porządku? – Mrugał do mnie okiem.

– Tak – odpowiadałam.

Nienawidzę i ciebie, myślałam.

Mam kogoś przeprosić?, korciło mnie teraz, żeby zapytać Tomasza. Nie mów do mnie tym tonem! Za bardzo mi kogoś przypominasz.

Zamiast tego bąknęłam:

– O czym chcesz porozmawiać?

– O firmie.

– Nie możemy tego odłożyć do jutra?

– Niby możemy, choć sprawa jest pilna, Alinko. Są kontrakty. Klienci już się zgłaszają, by negocjować.

W głosie Tomasza pobrzmiwał ton poważnego biznesmena.

– Wuj nie żyje. Ktoś musi wypełnić jego zobowiązania.

I to właśnie ma być on? Rozmowa schodziła na niebezpieczne tory, całkiem dla mnie przewidywalne. Zadałam mu pytanie, które miało wyjaśnić wiele.

– I co zamierzasz?

– Chcę ci zaproponować odkupienie twojej części firmy.

Spojrzałam spode łba. On naprawdę ma zamiar to zrobić. „Nie chcę mówić o tym, bo złamałeś mi serce”, słowa piosenki Roda Stewarta pobrzmiwały jeszcze w mojej w głowie. Znowu? Po raz kolejny będę musiała odpuścić, zanim spróbuję? Najpierw facet, teraz firma. Niedoczekanie! Nie dam się wziąć na cataplanę i portugalskie wino! Żalodne.

Ogarnęłam lekki szum pod czaszką.

– Nie zgadzam się, Tomasz. Ani teraz, ani nigdy. Nie licz na to. Dobranoc.

Był zbyt wyrafinowanym graczem, by gnać za mną do pokoju. Odchodząc, nie oglądałam się za siebie. Nie widziałam jego twarzy. Pewnie jest wściekły, myślałam. Albo może uważa, że pierwsze koty za płoty?

„Moniko!”, kończyłam mejla. „Tak jak ci wcześniej napisałam, Tomasz to przebiegły typ, po którym można się spodziewać wszystkiego. Będę chyba musiała wynająć prawnika, bo zdaje mi się, że on zamierza przejąć firmę i raczej nie odpuści. Szkoda. Facet jest nawet przystojny i wydaje się atrakcyjny, ale Miłoszowi też niczego nie brakowało, pamiętasz? Chyba mam farta do takich. Na razie, koleżaneczko moja miła, piję twoje zdrowie krupnikiem spod biurka, który ukryłam, gdy ten, hm, człowiek niemal bez pytania wtargnął do mojego pokoju pod pretekstem zaproszenia mnie na biznesową kolację. Czekam na twoje wsparcie. Przypomnij mi, proszę, swoim zwyczajem, że od czasu tamtego nieszczęsnego wydarzenia naprawdę się zmieniłam i teraz jestem już silna, zwarta i gotowa, żeby stawiać czoło niefajnym facetom. Głędzę jak zwykle, ale pamiętaj – wyłącznie tobie. Słuchanie moich wynurzeń to twój przywilej marudzenia.

I tym optymistycznym akcentem kończę, Mon. Pozdrów tego swojego potulnego męża i rozdartą córeczkę. Kocham was wszystkich, A.”.

7 CZERWCA 2013

Napijesz się kawy? – Tomasz krzątał się po kuchni w okolicach ekspresu.

Poranne niebo przywitało dzień niebieskością bez jednej chmurki.

– Dziękuję, zrobię sobie. Aha, przepraszam, że zostawiłam cię ze zmywaniem.

Byłam na siebie wściekła, że wczoraj dałam się ponieść emocjom. Na dodatek Tomasz zachowywał kamienny spokój. Obdarował mnie na powitanie miłym uśmiechem.

Uważaj, kobieto. Nie jesteś tu po to, by wpaść w sidła wysokiego, postawnego blondyna, mamiącego cię dobrym wychowaniem i urokiem osobistym, ostrzegałam własne ego, zadowolone z pełnego uznania spojrzenia. Nie daj się zwieść pozorom!

– Nie ma sprawy, pozmywasz następnym razem. Może po dzisiejszej kolacji?

Co on sugeruje? Że od tej chwili będziemy razem jadać kolacyjki? A może i śniadania?

– Alina, chcesz czy nie, musimy powrócić do rozmowy o firmie – kontynuował. – Nie masz powodu, by zżymać się na moją propozycję. Jeśli się nie dogadamy, drukarnia wpadnie w kłopoty.

– Co masz na myśli?

Na zewnątrz Tomasz pozostawał spokojny, ale jego oczy przybrały granatowy odcień, świadczący o wzrastającym napięciu. Dostrzegał moją biznesową ignorancję, nie usłyszy jego uwagi upór i determinacja współniczki w kwestii podtrzymywania wczorajszej decyzji o niepozbywaniu się części firmy.

Rozumiałam go. Też nie lubiłam, gdy ktoś mi się przeciwstawia.

– Chodźmy do drukarni. Usiądziemy spokojnie i wszystko ci wytłumaczę – zaproponował.

Nie stawiałam oporu.

Portier już nie pytał o cel wizyty.

– Witam państwo prezesostwo! Jakiś pan z Krakowa przyjechał i czeka.

– Dziękuję, panie Kaziu.

– Niech to szlag! Dlaczego Kowalewski mnie nie poinformował?! – Tomasz przyspieszył gwałtownie.

Na szczęście nie włożyłam wysokich obcasów i byłam w stanie dotrzymać mu kroku.

– To najważniejszy klient „Anieldruku”, strategiczny. Poczta pantoflowa działa szybko, jak widać, a pan dyrektor – dodał z przekąsem – nawet nie raczył mnie zawiadomić.

– Chyba nas? – szepnęłam.

– Owszem, nas! I przestań choć przez chwilę myśleć wyłącznie o sobie! Chodzi o firmę.

Dostałam po łapach.

Może rzeczywiście działałam na jej szkodę?, przemknęło mi przez głowę. W biurze czeka jakiś „klient strategiczny”, cokolwiek to oznacza, a mnie tymczasem zajmuje retoryka...

– Posłuchaj! – Przed wejściem do gabinetu Tomasz postawił mnie na baczność. – Dla naszego wspólnego dobra mówię wyłącznie ja. Później wszystko ci wytłumaczę. Nie czas na spory. Rozumiesz?

Nie czekając na odpowiedź, otworzył drzwi.

Miejsca przy stole konferencyjnym zajmowali już Kowalewski i siedzący naprzeciwko niego mężczyźni. Na widok Tomasza dyrektor zerwał się z miejsca, śpiesząc z prezentacją.

– Oto nowy właściciel „Anieldruku”, panowie, pan Tomasz Krukowski. I pani Alina

Dobrowolska, współwłaścicielka – dodał niechętnie. – Zresztą... – Kowalewski zwrócił się do najstarszego z gości, jak się wkrótce okazało, prezesa krakowskiego „In-Packu”, Zenona Bartosiewicza. – Panowie już się chyba znają?

„Panowie” uściśli sobie dłonie i nastąpił ciąg dalszy.

– Kowalski – szef zakupów, Nowacki – księgowy...

– Dobrowolska. – Wyciągnęłam dłoń, lecz zgromadzeni zignorowali solidarnie ten gest.

Jasne, kogo interesują stany przejściowe? Przecież ta pani znalazła się tutaj wyłącznie wskutek zbiegu okoliczności, wskutek fantazji nieboszczyka Stanisława. Goście nie poświęcali mi zbyt wiele uwagi, nie licząc dyskretnych spojrzeń w stronę dekoltu.

– To cóż, panowie...? – zaczął Tomasz. – Witam i zamieniam się w słuch. Co was sprowadza?

Do odpowiedzi poczuł się wywołany szef zakupów.

– Współpracujemy z „Anieldrukiem” już od ponad dziesięciu lat i zamawiamy u was większość nadruków na taśmach samoprzylepnych. Do tej pory byliśmy zadowoleni ze standardów jakości, terminów realizacji i ceny. Chcielibyśmy dowiedzieć się, jakie są dalsze perspektywy i jak zapatruje się na tę współpracę nowy zarząd? Nie muszę dodawać, że jeżeli będziemy ją kontynuować, konieczna jest nowa umowa, którą zamierzamy negocjować. Do tej pory jakoś gwarantował wasz system ISO i osoba pana Stanisława, a teraz? Jakie są państwa doświadczenia, znajomość procesów produkcyjnych i kontroli jakości? Jesteśmy firmą międzynarodową i nie możemy pozwolić sobie na żadne wpadki, reklamacje i przestoje. Musimy mieć pewność rzetelnej obsługi.

Zgodnie z sugestią Tomasza siedziałam cicho. Nie podzieliłam się z towarzystwem refleksją, że „panowie” zamierzają wykorzystać śmierć wujka i zmiany w zarządzie do wynegocjowania niższych cen. W końcu taki ważny klient ma swoje prawa...

– Pragnę panów uspokoić i zapewnić, że nasza firma nie obniży standardów obsługi.

Jak zapewne orientuje się pan prezes, sam od wielu lat prowadzę drukarnię, wprawdzie o nieco innym profilu, ponieważ drukuję książki, jednak biznes znam od podszewki. W „Anieldruku” byłem częstym gościem i niejednokrotnie pomagałem prezesowi Dobrowolskiemu (czyli wujkowi) w rozwiązywaniu problemów. System ISO zostanie utrzymany, a państwu pozostanie przywilej kontrolowania, czy wszystko działa jak należy. Na pewno wyciągniemy wnioski z waszych obserwacji...

– Panie prezesie – wtrącił Bartosiewicz. – Jeżeli jest pan tak dobrze zorientowany w działalności „Anieldruku”, jak pan twierdzi, zapewne wie pan, że obroty firmy z tytułu współpracy z nami sięgają kilkudziesięciu milionów złotych rocznie?

Omam nie złapałam się za głowę. Kilkadziesiąt milionów?! Matko jedyna! Jeśli udawało mi się uściślić trzy tysiące na miesiąc, uznawałam to za dobry wynik. A z tego musiałam jeszcze opłacić ZUS, czynsz i całe mnóstwo innych należności! W sekundę pojęłam, co oznacza pojęcie „klient strategiczny”. To taki, z którego dojdzie się najwięcej. A moi? Stawa za godzinę od łebka i koniec.

– Siłą rzeczy obchodzi nas kondycja pana firmy – kontynuował. – My również pracujemy pod presją oczekiwań naszych klientów. Nie możemy sobie pozwolić na przestoje. Dostawy od was muszą być terminowe. Krótko mówiąc, oczekujemy informacji, ilu właścicieli ma teraz „Anieldruk”. I kto nim właściwie rządzi?

Spojrzenie Tomasza nakazywało mi spokój. Najprawdopodobniej miał pietra, że zachowam się nieprzewidywalnie, gdy usłyszę, co ma do powiedzenia. Oczami dałam mu nieme przyzwolenie na małe kłamstewko. Zrozumiał.

– Firma pozostanie w całości. Zaś prezesem będę ja. Nie przewiduję rewolucyjnych

zmian w wytyczonych przed laty celach.

– To nas satysfakcjonuje. Pozostaje zatem jeszcze tylko jedna sprawa... – zawiesił głos prezes „In-Packu”.

– Słucham?

– Renegocjowanie cen waszych usług. Przynajmniej do czasu, gdy przekonamy się, że decyzja o kontynuowaniu współpracy z wami była słuszna.

– Panie prezesie, proszę o kilka dni na szczegółowe zapoznanie się z księgowością i załatwienie pilnych spraw własnościowych w sądzie. Wówczas powrócimy do tematu.

– Ma pan tydzień. Do tego czasu pracujemy w oparciu o ustalone cenniki. Rozumiem, że kolejna faktura będzie podpisana już przez pana?

– Oczywiście.

– Do jasnej cholery, dlaczego nie zawiadomił mnie pan o ich przyjeździe? – wydarł się Tomasz na Kowalewskiego, gdy tylko goście opuścili salę. – Sam pan to zamierzał załatwić?! Kawa! – wrzasnął na sekretarkę. – Z panem spotkam się za godzinę, jak trochę ochłonę! – warknęła na dyrektora. – Przepraszam. – To było do mnie. – Poniosło mnie. Co za dureń! – skomentował, gdy spostonowany Kowalewski oddalił się ze spuszczoną głową.

Wyjrzałam przez okno. Na podwórku uwijali się pracownicy na wózkach, pakując towar na platformy dostawczych samochodów.

Tomasz, pólżąc w fotelu, dochodził do siebie.

– Dziękuję – usłyszałam. – Za wsparcie. Mądra decyzja.

– Uspokoileś się trochę?

Wyglądał już nieco lepiej, mogłam chyba zatem przystąpić do wyłożenia własnych przemyśleń.

– Trochę. Mówiłem ci, z klientami nie będzie łatwo. Sępy cholerne, będą cię skubać przy każdej nadarzającej się okazji.

– Zauważyłam. Ale ja nie o tym...

Spojrzał pytająco.

– Jak zrozumiałam, nie możemy pozwolić sobie na zniechęcenie strategicznego klienta?

Tomasz skinął głową.

– Chciałabym zatem, abyś wiedział, że pozwoliłam ci mówić te wszystkie rzeczy wyłącznie z tego powodu. Rozumiesz? – Twarz mu stężała. – I nie oznacza to bynajmniej, że zrezygnuję z firmy, Tomasz. Jestem nią zainteresowana, teraz chyba nawet bardziej niż przedtem. Pozwoliłam ci ich uspokoić, i tyle. O jutrze nie musimy rozmawiać. Miałeś rację, namawiając mnie na ten eksperyment. Jestem gotowa.

– Alina!

Przestraszyłam się nie na żarty, bo wyskoczył z fotela jak z procy. Stał nade mną, wyższy przynajmniej o głowę. Ledwie powstrzymał się, by mną nie potrząsnąć.

– Nie wiesz, co mówisz! Przecież ty nie masz pojęcia o prowadzeniu firmy! Masz swoje życie, pracę. Nie martw się, nie zamierzam cię oszukać. Dogadamy się uczciwie. Nie chcę teraz, w emocjach rzucać propozycjami, ale będziesz zadowolona. Nie mogę pozwolić, żeby firma wuja upadła albo wplątała się w poważne kłopoty. Jestem mu to winien!

– A ja nie? – nie dawałam za wygraną.

O dziwo rozumiałam go doskonale. Wściekły po niedawnej rozmowie z kontrahentem, natrafił na mur pod tytułem Alina, a kawa podniosła jeszcze poziom adrenaliny. Co bym zrobiła, gdyby leżał u mnie na kozetce? Zapytałabym, co tak naprawdę sprawia, że wpada

w szaf? Jaki nienazwany problem potęguje emocje w sytuacjach stresowych?

Nawiasem mówiąc, z tą wściekłością w oczach wyglądał zabójczo, tyle że na mnie to nie działało. Może kiedyś, przed Miłoszem? Teraz był wyłącznie przypadkiem w życiu kobiety, która twardo postanowiła, że będzie silna, zwarta i gotowa, i nie ugnie się pod urokiem mężczyzny bez specjalnego powodu. No, chyba że sama zechcę. A teraz nie chciałam. Chciałam być tu, w firmie wujka Staszka. Zapragnęłam ją poznać, dorównać Tomaszowi w biznesie. Wujek musiał wiedzieć, co robi, przekazując mi połowę swojego dorobku. Musiałam tego dopilnować.

– Panie prezesie, pan Krzysiu prosi, żeby pan przyszedł na produkcję. Jakiś kłopot – przerwała nam rozmowę sekretarka.

– Już idę.

– Idę z tobą! Albo nie. Idź sam.

W głowie zakiełkował mi inny plan.

Dyrektora Kowalewskiego znalazłam w jego biurze. Na mój widok schował kanapkę pod biurko.

– Proszę sobie nie przeszkadzać i dokończyć – mruknęłam, zajmując miejsce w fotelu naprzeciwko.

Swoją drogą, ten gabinet wyglądał całkiem okazale. Widać, że wujek dbał o podwładnych. Duże okno wychodziło na plac i kilka innych budynków; domyśliłam się, że są wśród nich magazyny i hale produkcyjne. Od chwili kiedy odwiedziłam wuja po raz ostatni, w firmie przybyło kilka obiektów. Mieszcząca „Anieldruk” parcela, licząca na oko kilka hektarów, była otoczona solidnym ogrodzeniem. Wszędzie panował idealny porządek.

– Przepraszam, że państwa nie zawiadomiłem o przyjeździe Bartosiewicza... Choć prawdę powiedziawszy, zleciłem to sekretarce. Nie wiem, dlaczego tego nie zrobiła, niemniej jednak całą winę biorę na siebie.

Zdenerwowany dyrektor ocierał kropelki potu zbierające się na wydatnej łysinie. Facet przekroczył już pięćdziesiątkę. Może boi się o posadę?

Postanowiłam nie komentować.

– Mam do pana prośbę, panie Zdzisławie – odezwałam się doń po imieniu. Wyczytałam je na identyfikatorze. – Chciałabym poznać firmę. Oprowdzi mnie pan?

– Oczywiście. Zaraz po spotkaniu z panem prezesem. Prosił o spotkanie za godzinę, to jest teraz. – Spojrzał na zegarek. – Za jakieś czterdzieści minut?

No pięknie! Zatem liczy się wyłącznie z Tomaszem. Chętnie spełni zachciankę młodej pani Dobrowolskiej, o ile nie dostanie specjalnych poruczeń od „pana prezesa”. Dlaczego nikt tutaj nie traktuje mnie poważnie? Może powinnam ubierać się bardziej oficjalnie i zamienić styl sportowy na nobliwy żakiet? A może Tomasz zasugerował wszystkim, że moja obecność w firmie to zaledwie stan przejściowy? Cokolwiek było powodem takiego stanu rzeczy, zdałam sobie sprawę z konieczności odbycia z nim bardzo poważnej rozmowy. Nie wolno mi do naszych spraw wciągać pracowników, postanowiłam.

– To ja – powiedziałam do komórki, nie fatygując się wyjściem na korytarz. –

Chciałabym porwać pana dyrektora Kowalewskiego na jakąś godzinę i przejść się po firmie. Nie koliduje to z twoimi planami?

– Nie teraz – usłyszałam w słuchawce. – Poproś o innego przewodnika. Już tu jestem.

Gdyby nie fakt, że w tym samym momencie pojawił się w drzwiach, powiedziałabym mu coś przykrego.

Na widok prezesa, Kowalewskiego poderwało.

– Proszę zawołać Marcina. Pani Alina chce poznać zakład. – Tomasz wydał dyspozycje sekretarce. – Marcin to pełnomocnik zarządu do spraw jakości – wyjaśnił mi. – Zna firmę na wylot, wszystko ci pokaże.

Czekaliśmy w milczeniu, nie dłużej niż dwie minuty.

Z gabinetu dyrektora wyszłam w towarzystwie młodego yuppie w garniturze, trzymającego pod pachą niebieską teczkę z napisem ISO. Z prezentacji dowiedziałam się, że jest również zastępcą dyrektora zakładu. Tyle że w przeciwieństwie do łysola za biurkiem wydawał się sympatyczny i życzliwie nastawiony. Wprawdzie nie przepadam za facetami z nałożoną fryzurą, niemniej jednak pan Marcin nie wyglądał na żigolaka czy, jak mawiała ciocia Aniela, na „przedwojennego fryzjera”. Wiedział też, jak postępować z kobietami.

– Od czego zaczniemy, pani Alinko? – Uśmiechnął się zalotnie, pozwalając, bym przejęła inicjatywę.

Wobec ogólnie niespecjalnej atmosfery wobec mnie łyknęłam gest i odwzajemniłam uśmiech.

– To zależy od pana. Proszę prowadzić i opowiadać. Nie znam firmy, więc przyda mi się każda informacja.

– Jak pani sobie życzy. Może tylko najpierw zostawię teczkę w pokoju? Na razie nie będzie nam potrzebna. W pierwszej kolejności pokażę pani zakład.

Zaczęliśmy od magazynów.

– Na terenie znajduje się kilka budynków. Te największe to hale maszyn, w których produkujemy taśmy samoprzylepne i robimy na nich nadruki oraz drukujemy etykiety na roli. Kolejne trzy przeznaczono na składy: materiału od dostawców, wyrobów gotowych i taki podręczny, w którym przechowujemy na przykład części do maszyn, palety i inne rzeczy. W tamtym budynku – wskazał na okazały barak obok portierni – mamy garaże na widłaki i samochody. W biurowcu, z którego właśnie wyszliśmy, mieści się administracja, dział sprzedaży, pracownia fotopolimerów i częściowo pomieszczenia sanitarne dla pracowników produkcyjnych.

Pracownia fotopolimerów, etykiety na roli, taśmy samoprzylepne, widłaki. Co to jest? Słuchałam, nie przerywając, z nadzieją, że pan Marcin wytłumaczy mi znaczenie trudnych pojęć, gdy już znajdziemy się w poszczególnych budynkach. Nie zawiodłam się. Mimo żelu na włosach, zniewalającego uśmiechu i doskonałych manier okazał się niezwykle kompetentnym przewodnikiem. Zwiedzając hale produkcyjne, w których za każdym razem przedstawiał mnie pracownikom (dzięki czemu poznałam magazynierów, szefów zmian, brygadzistów, maszynistów i drukarzy), w przystępny sposób opowiadał o przebiegu procesów produkcji. Pokazywał każdą maszynę.

– To nasz nowy nabytek. – Zatrzymaliśmy się przy huczącym kolosie, przetaczającym olbrzymie bele taśmy samoprzylepnej. – Drukarnia fleksograficzna Soma. Drukuje folie pod taśmy pakowe, ogrodzeniowe i ochronne. Klient ładuje towar na palety i zakleja naszymi taśmami, żeby się trzymał. Rozumie pani?

Rozumiałam.

– A na tych taśmach ma wydrukowane przez nas informacje na temat swojej firmy. Logo, adres i inne. Proste? A teraz pokażę pani etykiety samoprzylepne.

Przeszliśmy do kolejnej hali.

– Witam, panie Waldku. – Pan Marcin przywitał się z gościem w zielonym stroju roboczym, kręcącym się wokół sporej maszyny. – Kiedy kończycie dla „Pomido”?

– Ze dwie godziny zejdzie.

– „Pomido” to ważny klient. Drukujemy dla niego etykiety na keczup – wytłumaczył. Faktycznie, z maszyny zjeżdżały tysiące nalepek z napisem „Keczup pikantny. Firma Pomido. Bez konserwantów”. I tak dalej. Pojęłam. Pan Marcin poinformował mnie zaś, że ośmiokolorowa maszyna drukarska, wypluwająca tysiące sztuk nalepek na minutę, to również nowy wyleasingowany nabytek (zanotowałam w myślach, że muszę dokładnie sprawdzić, czym pachnie ten leasing), chociaż firmie udało się pokryć część kosztów związanych z jego zakupem ze środków unijnych.

Przy fotopolimerach wymiękłam, zapamiętując jedynie, że to taki wzór na gumowej podkładce, który jest matrycą do druku. Powiedzmy, że działa jak wielka pieczętka.

Wyobrażałam sobie, że wystarczy mi godzina na obejście zakładu, ale po dwóch miałam dosyć – po dokładnej lustracji pomieszczeń magazynowych i bazy transportowej.

– Panie Marcinie, nie będziemy już szli do działu sprzedaży... – Zrezygnowałam z wizyty w biurowcu. – Czy możemy kontynuować jutro rano?

– Czemu nie? – Uśmiechnął się, jakoś dziwnie. – Choć przypominam, że jutro sobota...

– Przepraszam, tracę rachubę czasu. To oczywiście w poniedziałek?

– Chyba że życzy sobie pani, żebym pojawił się jutro?

– Nie ma takiej potrzeby. – Wyciągnęłam rękę na pożegnanie.

Czy mi się wydawało, czy chciał jeszcze coś dodać?

Wizja spędzenia wieczoru z Tomaszem, choćby i przez ścianę, nie była zachęcająca.

A ten tutaj? Nie nosi obrączki i jest bardzo miły...

Szybko ustawiłam się do pionu. Żadnych romansów w firmie, żadnych komplikacji! Odsunęłam od siebie myśl, by przejść z panem Marcinem na ty.

– Bardzo panu dziękuję. Pomógł mi pan. Cieszę się na przyszłą współpracę.

– Ja również. – Delikatnie uściśnął moją dłoń, spoglądając głęboko w oczy. – Gdyby pani czegoś potrzebowała...

– Tak, wiem – powiedziałam. Może zbyt szybko. – Będę pamiętać.

„Moniko!”, wystukałam na klawiaturze komputera, gdy tylko znalazłam się w gabinecie wujka, w którym na szczęście nie zastałam Tomasza. „Poznaję firmę i coraz bardziej mi się podoba. Inny świat. Czy ty wiesz, ile etykiet schodzi z maszyny na minutę? Szok! Chyba mam ochotę na oddech od grzebania się w ludzkich duszach i zweeksowanie w stronę biznesu! Jestem kompletną ignorantką, ale się nauczę. Znalazłam przewodnika – Marcina. Nie ma mowy, żeby Tomasz odebrał mi firmę, choć ma na to ochotę. Czeka mnie ciężka rozmowa wieczorem, trzymaj kciuki. Cieszyłam się, że wujek zostawił mi połowę drukarni, a teraz zaczynam się zastanawiać, dlaczego tylko połowę?! Ja chcę całą! Czuję, że dałabym radę. Wiesz, co to jest «widłak» albo «fotopolimery»? No właśnie, a ja już wiem! Zdaję sobie sprawę, że to dopiero początek, natomiast z pewnością nie koniec. Nie przyjadę na weekend, bo zamierzam poznać księgowość «Anieldruku». Już widzę, jak pukasz się w czoło. Wiem, nie mam o tym pojęcia, ale nawet rzucając laickim okiem, można coś zobaczyć, no nie? Muszę sobie radzić, bo oprócz Marcina nikt mi nie pomoże. Już to widzę. Tomasz jest zdeterminowany i skupiony na własnych planach. Muszę wiedzieć cokolwiek, żeby nie dać mu się wymanewrować.

Przyjadę w tygodniu, ale zaraz wracam do Zastawna. Kiedy tylko Tomasz się wyniesie, choćby na chwilę, zapraszam cię na lokalnego bełta. Nie kupiłam jeszcze, wybierzemy i spróbujemy razem. Gruszkówka jakaś czy coś podobnego... Następnego dnia zapewniony i ból głowy, i wspaniały widok z mojego pokoju na domek na drzewie. A swoją drogą czeka mnie sprzątanie rzeczy po wujostwie. Aż się tego boję. Poleją się łzy.

Na razie cześć i odezwiw się, pliz. Życzenia dla Michaśki, bo ona chyba kończy jutro roczek? Przepraszam, zupełnie zapomniałam. Wynagrodzę to mojej chrześnicy, kiedy wrócę.

Ucałuj rozdarcie ode mnie. Dobrego urodzinowego tortu i żeby udało jej się za pierwszym razem zdmuchnąć świeczkę! Całus, Mon. A.”.

– Przepraszam, że przeszkadzam... – Sekretarka wkroczyła do biura, w chwili gdy kończyłam pisać ostatnie słowa. – Ale na zewnątrz czeka pani mama. Mam wpuścić?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, mama utorowała sobie drogę.

– Co się tutaj dzieje! – zagrzmiała. – Jeszcze na dobre nie przejęłaś spadku, a ja już nie mam prawa się do ciebie dostać! – wysapała, rozsiadając się w fotelu. Rozluźniła apaszkę pod szyją gestem osoby mającej nagły atak duszności.

Zerwałam się z miejsca, niczym dyrektor Kowalewski na widok Tomasza.

– Nie wydawałam żadnych dyspozycji sekretarce, naprawdę – zaczęłam się tłumaczyć. – Widać tak została nauczona. A w ogóle to dzień dobry. Zamówić ci coś do picia?

– Daj mi wody! Zdenerwowałam się.

Nietrudno było się domyślić, że nie przyjechała towarzysko. Obserwując, jak z impetem zdejmuje płaszcz, nie pozwalając sobie pomóc, jak przygląda włosy, starannie układa torebkę na sąsiednim fotelu i wykonuje szereg gestów świadczących o źle skrywanej złości, spodziewałam się reprimendy. A już co najmniej – rozmowy uświadamiającej. Żeby zyskać na czasie, powoli nalewałam jej do szklanki niegazowaną wodę (za gazowaną dostałabym burę; mama jej nie pijała). Otworzyłam okno, zamknęłam klapę laptopa, wyszłam, by poinstruować sekretarkę, że chwilowo nie ma mnie dla nikogo. Aż wreszcie, nie potrafiąc wymyślić innych czynności zastępczych, usiadłam naprzeciwko.

Mama siedziała z pytającym wyrazem twarzy, ze szklanką przy ustach.

– Przepraszam, że nie oddzwoniłam.

Znowu zacznę od tłumaczeń!, zirytowałam się w duchu.

Tyle razy kładłam sobie do głowy, że trzeba to zmienić. Kładłam sama siebie na wirtualną kozetkę i w myślach przeprowadzałam psychoterapię. Starłam się doszukać przyczyn takiego stanu rzeczy, grzebałam w przeszłości, analizowałam relacje z rodzicami i siostrą z czasów dzieciństwa, ale zawsze dochodziłam do jednakowych wniosków: mama faworyzowała Aldonę, a ojciec podporządkowywał się woli żony. Siedział pod jej pantoflem, więc sama musiałam walczyć o swoje. Jeżeli nawet zdarzały się odstępstwa od normy, należało je traktować jak wyjątki.

Nierówność w traktowaniu mnie i siostry uświadamiałam sobie dobitnie i namacalnie po powrotach z Zastawna. Po bezstresowych wakacjach u wujostwa natychmiast wyskakiwałam z roli dziewczynki, na którą nikt się nie gniewa, która nie musi bez przerwy przeproszać, tłumaczyć się i starać zadowalać dorosłych. Na nowo grzęzłam w cieniu Aldony. Bo to ona zawsze była tą dobrą córeczką. Czystą, staranną, pilną. Ja, choćbym nie wiem jak się starała, nie potrafiłam sprostać oczekiwaniom mamy. „Ciebie stać na więcej”, słyszałam, gdy przynosiłam czwórki z wypracowania. Na nic zdawało się tłumaczenie, że nikt nie dostał piątki. Aldona zaś, świadoma swojej pozycji, wyłudzała od rodziców zwolnienia, gdy rzekomo „bardzo ciężko przechodziła pierwszy dzień miesiączki”. A że wtedy akurat miała klasówkę z biologii... Pamiętam dni, podczas których pozwalała się mamie obsługiwać, podawać sobie no-spę, wymuszać ulubione dania. Gdy próbowałam zastosować jeden z jej patentów, tylko narażałam się na nieprzyjemności. „Weź tabletkę, przejdzie ci”, słyszałam. Łykałam i leciałam na klasówkę.

– Głupia jesteś – instruowała Marzena, moja najbliższa kumpela z podstawówki. – Jak naprawdę nie chcesz iść do szkoły, lyknij za dwie tabletki laxigenu i siedzisz w domu.

Nie zauważyłam dziwnego uśmiechu...

Zaopatrzyłam się w ten złoty środek tuż przed klasówką z fizyki, której wizja i bez środków przeczyszczających powodowała u mnie mdłości. Rano połknęłam dwie małe pastylki, ale gdy zbliżała się pora wyjścia do szkoły, a efektów nie było widać, połknęłam dwie kolejne.

– Alina, już czas! – Mama wtargnęła do pokoju, by wyciągnąć leniucha z łóżka. – Jak długo jeszcze będziesz się guzdrać?

Lek wreszcie zaczął działać, a ja poczułam gwałtowny przypływ szczęścia. Mimo że w brzuchu wierciło i zrobiło mi się niedobrze. Musiałam pobiec do łazienki.

– Co ci jest? – Usłyszałam pukanie do drzwi, które zamknęłam na wszelki wypadek.

Gdy do mamy dotarły odgłosy wymiotów i potwornych mąk, jakie przechodziłam nad sedesem, zaordynowała:

– Otwieraj natychmiast!

Nie miałam siły, by odpowiedzieć, ale nie żałowałam. Co prawda trzeba było jeszcze trochę pocierpieć, ale się opłaciło. Pójście do szkoły nie wchodziło w rachubę, lecz po kilku godzinach czułam się lepiej. Udało się, przynajmniej raz.

Niestety, mama wkrótce znalazła opakowanie...

– Wiesz, w jakiej sprawie przyjechałam? – przerwała ciszę.

– Nie mam pojęcia – skłamałam, oddając jej inicjatywę. – Chciałaś się ze mną zobaczyć?

Spojrzała zdegustowana. Oczywiście nie chciała. Jeżeli wchodząc do gabinetu, miała nawet zamiar zastosować swoją dobrze wypraktykowaną strategię ataku, chyba zmieniła zamiar. Jej oczy złagodniały, przybierając odcień rozbielonego granatu. Głowa szukała sposobów dotarcia do mnie i załatwienia sprawy. Spokojnie przyglądałam się, jak przetrawia moje ostatnie pytanie. Postanowiłam nie dać się sprowokować.

W końcu mama przemówiła, starając się nadać głosowi kojące brzmienie.

– Alinko, chyba rozumiesz, że musimy porozmawiać o spadku po wujku Staszku...

– Co byś chciała wiedzieć?

– No jak to? – zdziwiła się, jak gdybym znów czegoś nie zrozumiała. – Nie wydaje ci się to niesprawiedliwe? Wiesz co.

– Co takiego?

Wiedziałam, ale chciałam to usłyszeć od własnej matki.

– No, że... Że wuj pominął tatę i... – Jednak zastanowiła się chwilę, zanim wypowiedziała imię mojej siostry. – I Aldonę.

Nie miałam zamiaru ułatwić jej zadania.

– Widocznie taka była jego wola, mammo.

– Słuchaj... – zaczęła, zbliżając się do stołu.

Wyciągnęła rękę.

Mogłam liczyć na gest pojednawczy, przyciśnięcie mojej dłoni do stołu, spojrzenie prosto w oczy. To się nazywa uspokojenie przeciwnika, obniżenie poziomu jego czujności. Mama stosowała środki zmiękczające. Nie reagowałam, więc zaczęła ponownie.

– Ja rozumiem, że wujek Stanisław bardzo cię kochał i dlatego zapisał ci połowę majątku. Bardzo się z ojcem cieszymy z tego powodu.

Czekałam na dalszy ciąg.

– Ale...

Właśnie.

Mama najwyraźniej postanowiła zmienić strategię. Spróbowała wywołać we mnie poczucie winy z powodu zobowiązań wobec rodziny.

– Ale to ojciec miał być jedynym spadkobiercą wuja! Myślimy, że on też powinien... – Zaplątała się. – Sama rozumiesz, że i on powinien coś dostać. Oczywiście nie dla siebie, bo nam niepotrzebne. Ale dla Aldony.

Musiała zauważyć zmianę w moim spojrzeniu. Może bywała niesprawiedliwa wobec córek, może zaślepiona, ale nie była głupia. A przynajmniej chciałam w to wierzyć. Nie ma cudów, zobaczyła na pewno. Wzrok nowej córki, która nie była już Alinką porzuconą przez narzeczonego przed ołtarzem, a posiadaczką majątku, który trafił się jej jak ślepej kurze ziarno. Ziarno, które powinno dostać się Aldonie.

– Nic z tego, mammo.

Przypomniałam sobie słowa Moniki. „Jesteś silna”.

– Przyjęłam spadek i zamierzam zająć się firmą. Jeżeli tata chce – podkreśliłam – może dochodzić sprawiedliwości w sądzie. A poza tym wszystko u was w porządku?

Misja dobiegła końca. Mama bez słowa zaczęła się zbierać. Nie miałam ochoty proponować jej kawy, a już tym bardziej kolacji.

– Skoro tak stawiasz sprawę... – powiedziała na pożegnanie.

– Zastanów się, mammo.

– Nie rozumiem cię.

– Ja ciebie też.

Ze zdumieniem spostrzegłam, że wypowiedziałam te słowa.

Chyba po raz pierwszy w życiu.

– Teraz nie, Tomasz. Muszę odsapnąć. – Nie zgodziłam się na poważną rozmowę.

Wciąż nie ochłonęłam po wizycie mamy.

Patrzył, kiwając głową w udawanym zrozumieniu.

– Zmęczona rekonesansem?

Gdybym tylko miała do niego zaufanie, gdyby to pytanie wynikało z troski... „Jeszcze jak!”, wykrzyknęłabym natychmiast.

Nie zdążyłam odwiedzić jeszcze wszystkich działów, mętlik w mojej głowie narastał. Czyżby huśtawka nastrojów? Jeszcze godzinę temu w mejlu do Moniki zachwyciłam się firmą, odnajdywałam pokłady sił, by ją poprowadzić, teraz narastał strach, czy podołam. „Praca to zazdrosna kochanka”, mawiał wujek Staszek. „Zapytaj ciocię. Dobrze, że mieszkamy za płotem w pobliżu, to mamy okazję spotykać się przy obiedzie, choć nie zawsze”.

Faktycznie, w tygodniu zastanie wuja w domu graniczyło z niemożliwością. A już wyjazd na wakacje urastał do rangi problemu. Wujowi wystarczyło sąsiedztwo bajorka i rzeki. Nieliczne wolne chwile spędzał na łowieniu ryb, nierzadko w towarzystwie najbliższego przyjaciela i współpracownika, mecenasa Smólskiego.

– Moglibyście przynajmniej przestać na tych rybach pracować! – dąsała się ciocia Aniela, wysłuchując przy czyszczeniu złowionych okazów relacji z rozmów z panem Janem.

– A kto pracuje? – obruszał się z udawanym oburzeniem wujek, mając świadomość, że żonę martwi jego brak umiejętności oderwania się od spraw zawodowych. – Po prostu na łonie

natury przychodzą do głowy najlepsze rozwiązania. Podam ci przykład... – Tu następowała kolejna opowieść o jakimś problemie księgowo-prawnym, który właśnie został rozwiązany. – I nie narzekaj, bo rybki przyniosłem – dodawał wuj, przygarniając ciocię.

Gdybyż moi rodzice tak się kochali!

– Idź do domu. Nawet nie masz siły odpowiedzieć – wyrwał mnie z zamyślenia Tomasz.

Miał rację, musiałam wyjść. Tyle że jeszcze nie do domu.

– Dzisiaj ja przygotowuję kolację – powiedziałam, ignorując jego troskę o moje samopoczucie. – Masz ulubione danie?

– Oddaję się w twoje ręce. Jakie kupić wino?

Nie miałam pojęcia, jakie wino pasuje do czarnej polewki, więc wybrałam czerwone. Jak ma się polać krew, czerwone będzie w sam raz.

– Jestem wolna i mogę być u pana za dwadzieścia pięć minut. Gdzie się spotkamy? – sięgnęłam po telefon, gdy Tomasz opuścił gabinet. – Jak się nazywa lokal? „Piast”? Przy rynku, na pewno znajdę. Jeszcze raz dziękuję, że zechciał mi pan poświęcić czas.

Wstał od stolika, ledwie przekroczyła drzwi. Jak zwykle elegancki, w garniturze z muszką, stanowiącą jego znak rozpoznawczy.

– Witam panią. – Pochylił się, by pocałować mnie w rękę.

Stara szkoła.

– Raz jeszcze dziękuję, panie Janie. Mogę się do pana zwracać w ten sposób?

– Oczywiście, pani Alinko. Znamy się od lat.

Byłam wdzięczna Smólskiemu, że zgodził się ze mną porozmawiać zaraz po pierwszym telefonie. Bez porady prawnika nie miałam szans na negocjacje z Tomaszem, a już na pewno bez życzliwej porady, na którą liczyłam. Poza tym na horyzoncie majaczyły jeszcze oczekiwania rodziców.

– Przejdę do rzeczy – zaczęłam, widząc, że Smólski nie zamierza mnie poganiać.

– Słucham.

– Panie mecenasie, chodzi o spadek po wujku. Tomasz chce mnie spłacić i całkowicie przejąć kontrolę nad firmą – wyjaśniłam. – Twierdzi, że jeśli się nie zgodzę, odejdą od nas klienci. Nie wiem, co robić. No i nie mam ochoty na takie rozwiązanie. Przecież z jakichś powodów wujek zapisał udziały i mnie – wyrzuciłam z siebie. – Proszę potraktować mnie jak klientkę. Zwracam się do pana, ponieważ mam do pana zaufanie. Zgadza się pan?

– Może ujmijmy to tak. – Smólski zbierał myśli, próbując ubrać je w słowa. – Oczywiście powiem pani, jak wygląda jej sytuacja prawna i możliwości dalszego działania. Mam jednak nadzieję, że się dogadacie z Tomaszem i nie będzie potrzeby reprezentowania żadnego z was w sądzie. Stanisław z pewnością by tego sobie nie życzył, choć gdyby zaszła konieczność...

– To?

– To pomogę tobie, Alinko.

– Dlaczego?

– Odpowiedź nie jest taka prosta. – Pan Jan nie przestawał ważyć słów. – Oboje byliście dla niego jak oczko w głowie. Gdyby Stach chciał działać wyłącznie w interesie firmy, przekazałby ją Tomaszowi w całości. Wychowywał go w końcu na swojego następcę. Ale tego nie zrobił. Nie wiem, co nim powodowało, nigdy mi się nie zwierzał. Krótko mówiąc... – Mecenas Smólski znalazł wreszcie odpowiednie uzasadnienie swojego wyводу. – Chciał,

żebyście prowadzili ją razem. Mam nadzieję, że Tomasz nie będzie sprzeciwiał się jego woli.

- Oczywiście pokryję wszystkie koszty.
- Dziecko, porozmawiamy o tym innym razem. – Pan Jan machnął ręką.
- Ale gdyby pan mógł oszacować...?
- Już oszacowałem. Nie rozmawiajmy o tym więcej. Nawet nie ma mowy o żadnych pieniądzach. I nie oponuj! – Podniósł dłoń, uprzedzając swój sprzeciw. – To i tak nic nie da. A teraz do sedna. Co chcesz wiedzieć?

Przez chwilę miałam wrażenie, że siedzi przede mną wujek Staś. Może tyle lat znajomości upodobniło ich do siebie?

- Co się stanie, jeżeli nie zgodzę się odstąpić Tomaszowi udziałów?
- Zatem od początku... – Mecenas złączył dłonie i wsparł na nich brodę. Nachylił się nad stolikiem. – Zgodnie z testamentem zostaliście oboje powołani do spadku, otrzymując po połowie udziałów. Oczywiście dotyczy to zarówno firmy, jak i mieszkania, oszczędności, samochodu. Jeżeli się dogadacie, możecie się spadkiem podzielić. Na przykład jedno z was weźmie dom i samochód oraz połowę zasobów na kontach, drugie zaś firmę i pozostałą część oszczędności. Nie mówię, że tak właśnie ma wyglądać podział, podaję jedynie przykład. Jeżeli chcecie być skrupulatni, możecie zatrudnić biegłego, żeby oszacował wartość wszystkich składników majątku, i podzielić się sprawiedliwie. To znaczy po równo. Rozumiesz?

- Próbuję.
- Więc idźmy dalej. Jeżeli się nie dogadacie, musicie wystąpić do sądu o dział spadku i zdać się na jego rozstrzygnięcie. Może się wówczas zdarzyć, że Tomasz dostanie firmę, a ty dom. Lub odwrotnie.
- A jeżeli oboje uprzemy się na firmę?
- Niestety, jej nie da się podzielić, Alinko. Stanowi całość. Jak to sobie wyobrażasz? Ty hale produkcyjne, on magazyny? A poza wszystkim firma to klienci, zamówienia, obroty, udział w rynku. Tego podzielić nie sposób. „Anieldruk” to monolit.

- Zatem kto wygra przed sądem?
- Sąd kieruje się zdrowym rozsądkiem, więc poszuka kompromisu. Spróbuje również oszacować możliwości rozwoju firmy. Nie muszę ci chyba wskazywać na przewagę Tomasza w tej materii, choćby ze względu na jego doświadczenie zawodowe. Jest lepszym gwarantem utrzymania biznesu od ciebie. Reszty łatwo się domyślić, chociaż nie mówię, że twoje szanse na zachowanie firmy są zerowe.

- Jak długo trwa taka sprawa?
- Niestety długo. Przed sądem rejonowym od roku do dwóch lat, a zakładając apelację w okręgu – jeszcze od pół roku do roku.
- A co wówczas z firmą? Jak ona działa? Kto jest wówczas właścicielem i podpisuje umowy?

– Formalnie, nawet jeśli będziecie w trakcie sądenia się o dział majątku, oboje jesteście współwłaścicielami. Zostaliście powołani do spadku w równych częściach i oboje macie prawo zarządzać firmą. Tyle że jest to trudne i niezdrowe.

- Bo?
- Ponieważ decyzje trzeba podejmować z dnia na dzień i stale coś podpisywać, a konieczne byłyby podpisy was obojga. Jak sobie to wyobrażasz, Alinko? – Pan Jan przez lata przywykł do mówienia mi po imieniu.

- I? – Byłam zła kniona rzetelnej informacji.
- W trakcie procesu o likwidację współwłasności jedna ze stron może wystąpić o tymczasowe, czyli na czas postępowania, „unormowanie praw i obowiązków”. Czyli

o powierzenie zarządzania przedsiębiorstwem jednej osobie, a odebranie takiego prawa drugiej.

– Czy to oznacza...

– Tak. Może na jakiś czas pozbawić cię szansy zarządzania „Anieldrukiem”.

– Jak szybko jest to w stanie załatwić? – Zaniepokoiłam się nie na żarty.

– Szybko, Alinko. Takie wnioski rozpatrywane są w ciągu tygodnia.

Wymięklam. No tak, ma na mnie haka. Dzisiejszego wieczoru oznajmi zapewne, że występuje do sądu, i po zawodach. Jeżeli raz zacznie prowadzić „Anieldruk” samodzielnie, żaden sąd nie przydzieli go mnie. Nie mam szans.

– Ale... – Zaświtała mi nagle genialna myśl. – Równie dobrze to ja mogę wystąpić do sądu o odebranie mu prawa do tymczasowego zarządzania!

– Możesz. Radzę jednak, byś się dobrze zastanowiła. Nigdy nie prowadziłaś firmy...

Nie takiej odpowiedzi oczekiwałam.

Czyli – kaplica.

Zamówiłam kolejną kawę, jak gdyby ta pierwsza niedostatecznie podniosła mi poziom adrenaliny. Pan Smólski tymczasem dyskretnie zerknął na zegarek. Faktycznie, od naszego spotkania minęły już trzy godziny. Podziękowałam serdecznie za porady i całkiem niezłe namieszanie mi w głowie. Umówiliśmy się w Zastawnie na przekazanie książek, znaczków i wujowej kolekcji szabel.

– Zawsze ci pomogę, młoda damo – przypomniał jeszcze, całując na pożegnanie moją dłoń. – I przestań się martwić. Mówię to jako przyjaciel. A jako prawnik radzę: spróbuj dogadać się z Tomaszem. On ma więcej atutów. Oczywiście dla sądu. – Pan Jan uśmiechnął się przewrotnie.

Nie wiedziałam, czy wciąż mam ochotę biec po wołowinę na bogracz. Może rzeczywiście lepiej skoczyć do sąsiadki po kaczą krew i sporządzić z niej przyzwoitą, staropolską czerninę? A co tam!, machnęłam ręką na marne kacze życie i postanowiłam trzymać się planu. Jak walczyć, to na przygotowanym polu.

– Panie Tomaszu, nie będzie łatwo! – mruczałam pod nosem, krzątając się po kuchni.

Gulasz pyrkotał na ogniu, a ja cięłam warzywa na sałatkę.

„Mońcia, mam mętlik w głowie, a przed sobą trudną kolację z T. Może wpadniecie jutro do mnie z Michasią i przejdziemy się nad rzekę? Ja się wypłaczę, mała zabawi, ty przeczyścisz płuca po wrocławskim smogu. Co ty na to? Wracam do garów. Trzymaj za mnie kciuki. A.”

– Cóż za smakowite zapachy! – Tomasz zaznaczył swoją obecność w domu komplementami pod adresem bulgoczącej potrawy.

– Drzwi były otwarte? – Zignorowałam zachwyty.

– Nie. Ale przecież mam klucz.

Zupełnie nie słyszałam, jak cichcem zakradał się do sieni. Mieszkanie we wrocławskiej klitce, której każdy kąt miałam w zasięgu wzroku, sprawiło, że sama na dużych przestrzeniach dworu wujostwa czułam się nieswojo.

Dom, mimo wielokrotnych przeróbek i remontów, zachował rasowy wygląd. Do sieni, dzielącej szeroki prostokątny budynek na dwie równe części, wchodziło się przez ganek z kolumienkami, porośnięty dzikim winem i otoczony różnobarwnymi malwami. Z korytarzyka odchodziły drzwi do pokojów i kuchni, mieszczącej się po przeciwległej stronie, w sąsiedztwie wyjścia do ogrodu. Ciocia zadbała, by zachować spiżarnię, do tej pory jeszcze skrywającą jej niezrównane wiśniowe konfitury, suszone grzyby i inne

niezidentyfikowane skarby, z którymi cztery lata po jej śmierci powinno się wreszcie zrobić porządek. Swego czasu dworek zyskał kilka pokoi na piętrze, pełniących funkcję gościnnych sypialni. Gospodarze zajmowali pomieszczenia na parterze. Najbardziej dostojnie prezentował się największy, bo kilkudziesięciometrowy salon z modrzewiowymi belkami pod sufitem, kominkiem, kolekcją obrazów i starej broni. Mimo przestrzeni, za sprawą gęsto upiętych żakardowych zasłon i ciemnych mebli, wszędzie panował lekki półmrok. Jakkolwiek trudno było cioci odmówić gustu w urządzeniu stylowych wnętrz, teraz nagle wydały się puste, ponure i pozbawione życia.

– Pomożesz mi przygotować stół?

Wyglądał na chętnego.

– Oczywiście, już się zabieram. Pozwól tylko, że umyję ręce.

– Cóż to za *spécialité de la maison*? Pachnie zachęcająco. – Pociągnął nosem, zabierając z kuchni michę z duszoną wołowiną. – Zapowiada się całkiem miła kolacja. Kupiłem bordeaux, więc chyba dobrze trafiłem. – Cieszył się jak dziecko, nalewając wino do kieliszków. – Smakowite! – mlasnął po pierwszym łyku. – Podzielisz się przepisem?

– Gotujesz? – wyraziłam stosowne zainteresowanie.

– Zdarza się. Jeśli mam dla kogo.

Na chwilę zapadła cisza.

Jedliśmy w milczeniu, trawiąc nie tylko bogracz, ale i własne myśli. Przyglądaliśmy się sobie z przeciwległych krańców stołu, z miejsc, które zajęliśmy poprzedniego dnia. Dziś należały do nas przez zasiedzenie.

– Kiedy wyszłaś, przejrzałem firmowe papiery – pierwszy odezwał się Tomasz.

– I?

– Nie jest najlepiej.

Nie przerywałam. Przeżuwałam mięso, co pozwalało mi trzymać usta zamknięte.

– Mimo że wyniki finansowe są dobre, wujek Staś nie dywersyfikował ryzyka. Firma działa dzięki zaledwie kilku strategicznym odbiorcom, którzy robią obrót na poziomie ponad osiemdziesięciu procent. Oznacza to tyle, że jeśli nam się wykruszą, nie będziemy mieć na koszty bieżące. Krótko mówiąc: na płace, koszty leasingu, media, utrzymanie transportu. I tak dalej.

– Nie rozumiem, Tomasz, dlaczego zakładasz czarny scenariusz. Twierdzisz, że stracimy ich wszystkich?

Zmarszczył czoło. Oto pierwsza oznaka zdenerwowania.

– Jesteś optymistką, Alinko. Ale nigdy dotąd nie prowadziłaś firmy, więc uwierz mi, nietrudno dotrzeć do krawędzi. Czasami nawet z dnia na dzień. No, może z miesiąca na miesiąc. Dlatego ponawiam propozycję, żeby polubownie podzielić się spadkiem. Według potrzeb i kompetencji.

– Jeśli dobrze zrozumiałam, chcesz zostać właścicielem drukarni?

– Właśnie.

Przypomniałam sobie słowa mecenasa Smólskiego.

– A co, jeżeli się nie zgodzę?

– Będzie lepiej, gdy się dogadamy – bąknął wykrętnie.

– Dla kogo? – nie ustępowałam.

Na czole Tomasza pojawiły się kropelki potu.

– Dla ciebie. I tak nie masz szans na firmę, jeżeli spadek będzie dzielił sąd.

Zaopatrzona w świeżo uzyskaną od pana Jana wiedzę, nie przestraszyłam się tej tyrady. Przeciwnie, im Tomasz bardziej się rzucał, tym większy wywoływał we mnie sprzeciw. I to ma

niby być biznesmen, negocjator?, myślałam.

Opanował się z trudem.

Wkrótce okazało się, że miał powód. Byłam mu potrzebna do załatwienia ważnej kwestii.

– Zostawmy sprawę podziału spadku na później. – Dolał wina do kieliszków. – Jest inny, ważniejszy problem. Z twoim tatą.

– A co on ma do tego?

– Posłuchaj mnie teraz uważnie – zaczął Tomasz, z miną świadcząca o wysokim ciężarze gatunkowym tego, co ma do powiedzenia. – Twój ojciec powinien dziedziczyć z mocy prawa, ale wuj Stach nie zapisał mu niczego. Jeżeli jednak zechce, zakwestionuje testament w sądzie, a do czasu rozstrzygnięcia my nie dostaniemy od notariusza aktu poświadczenia dziedziczenia, który potwierdza, że jesteśmy spadkobiercami i właścicielami. Na przykład firmy. Nadążasz?

Najwyraźniej miał mnie za głupią. Skinęłam głową.

– A bez tego aktu żaden klient nie uwierzy, że osoby zarządzające firmą mają do tego prawo.

– Nie możemy pokazać im testamentu?

– Owszem, możemy. Pamiętaj jednak: oni mają świadomość, że na przykład testamenty mogą być dwa albo że ten nasz jest nieaktualny. Skąd to mają wiedzieć? Dopiero papier od notariusza potwierdza, kto dostał spadek. Krótko mówiąc, musisz się upewnić, że ojciec nie będzie miał roszczeń. Bo jeśli pójdzie do sądu i sprawa się przeciągnie, leżymy. Zależy ci chyba, żeby firma przetrwała?

Socjotechnika, którą stosował, była widoczna gołym okiem. Gra na emocjach, podkreślanie własnych kompetencji i umniejszanie moich, trwanie drukarni jako dobro najwyższe, któremu on się poświęca, próbując załatwić sprawę cudzymi rękami. Gdybym nie potrafiła pojąć jego prawdziwych zamiarów, żaden byłby ze mnie psycholog.

– Smakowało ci? – zmieniłam temat, dając sobie czas na namysł, a jemu na ochłonięcie.

– Bardzo. Więc co ty na to?

– Też się cieszę, że ci smakowało.

Popatrzył na mnie zde gustowany.

– Mówię o twoim ojcu.

– Wiem, o kim mówisz, Tomaszu. – Położyłam nacisk na imię. – I mogę cię zapewnić, że porozmawiam z nim na ten temat. Ponieważ, podobnie jak tobie, mnie również zależy na przetrwaniu. Niemniej jednak, co do kwestii działu spadku w sądzie, oczywiście o ile się nie dogadamy (przydało się fachowe wsparcie prawnika!)... Nie zamierzam odpuścić. Chcę zarządzać firmą. Jak i ty.

– Okej, ale o tym porozmawiamy później. Teraz musisz skontaktować się z ojcem. Jak najszybciej, najlepiej już jutro. Dobrze byłoby załatwić sprawę u notariusza w poniedziałek, góra we wtorek. Dasz radę?

Pierwszoplanowe cele kazały mu przełknąć gorzką pigułkę mojego oporu.

– Postaram się, Tomasz. A teraz pozwól, że pójdę do siebie.

– Nie dokończymy wina?

– Innym razem.

„Wstrętny, zadufany w sobie dupek!”, mejlowałam za chwilę do Moniki. „Tylko patrzy, jak wyrwać mi «Anieldruk». Sama do końca jeszcze nie wiem, czy na pewno marzę o prowadzeniu interesu, ale Tomasz nie dostanie go bez walki. Czy ja zawsze muszę ustępować?

Straciłam już matkę, ojca, Miłosza na rzecz Aldony, a teraz jeszcze Tomasz chce mi zabrać firmę. Cholera jasna, nie dam się! A może jestem typem ofiary?

Przyjedziesz jutro z Michasią? Nim się nie martw. Tomasz sypia w pokoju na parterze, ja zajęłam piętérko. Kuchnia jest duża; pograsujemy w niej sobie, gdy będzie okupował salon. Już po wujkowych ukochanych azaliach, ale kwitnie już ogrodowy lubin. Musisz przywieźć tylko coś na meszki i komary albo ja to załatwię w lokalnym supermarkecie. Na wieczór proponuję piwo. Po spacerze nad rzekę mała będzie tak zmęczona, że wieczorem da nam spokój. Ułożymy ją w pokoju cioci Anieli, w łóżu z baldachimem. Będzie miała fan. Otworzymy okna, nawdychamy się świeżego powietrza, posłuchamy świerszczy i rechotu żab nad rozlewiskiem. Przyjedź. Czekam na ciebie i Misię. Tomasz i tak pewnie będzie siedział w firmie, zbierając punkty i świadków do rozprawy spadkowej. Wszyscy potwierdzą radośnie, że pan Krukowski «jest bardzo zaangażowany». A pani Dobrowolska? «Kto ją tu widział?». Poznasz tego gada. Pozdrawiam na razie i czekam na esemesa. Z potwierdzeniem przyjazdu. A.”

Odpowiedź nadeszła natychmiast.

„Będę po czternastej. Micha idzie do dziadków. Cieszę się! A Tomaszem się nie przejmuj. Przyjedzie psycholog i doradzi ci, co robić. Browar może być, ale nie pogniewam się, jeśli dorzucisz do niego zieloną sałatkę z łososiem i groszkiem. Tę z rukolą (o ile zbyt dużo nie żądam za fachową poradę?). Aha, zapomniałam. Dzwonił do mnie facet, nowy klient, który koniecznie chce się umówić z tobą. Proponowałam swoje usługi, ale ten nic, tylko «z panią Aliną». Dam ci telefon do niego, podobno pilna sprawa. Nie daj się Tomaszowi, zamknij drzwi na klucz i olej zaproszenie na drinka. Pewnie będzie chciał cię urabiać, nie wiadomo, czy nie przez łóżko. Trzymaj się. M.”

Z uśmiechem na ustach zamykałam laptopa. Monika zawsze wie, jak polepszyć mi nastrój!

Poszukiwania książki do poduszki i ścielenie łóżka przerwało mi pukanie do drzwi.

– Mogę wejść? Masz ochotę na drinka?

Otworzyłam. Stał wyluzowany, z ręką w kieszeni i kusił. Kto wie, czybym nie uległa, gdyby nie słowa mojej przyjaciółki sprzed chwili?

– Jestem zmęczona, Tomasz. I chcę się położyć. Może innym razem. Dobranoc.

Zamknęłam drzwi, ale nie usłyszałam oddalających się kroków. Tomasz przez dłuższą chwilę nie ruszał się z miejsca. Ja również.

W końcu powędrował w stronę schodów. Gdy ustało skrzypienie stopni, wiedziałam, że znalazł się na dole.

– Czy masz ochotę na drinka? – mruknęłam do siebie. – Oczywiście! – Sięgnęłam po zapasy pod biurkiem. – Jutro przyjedzie Mońcia i znowu zaświeci słońce! – podśpiewywałam pod nosem. A z ojcem pogadam przez telefon. Pantoflarz nie pantoflarz, nie będzie mi chyba rzucał kłód pod nogi? – gadałam, czując miły szmer w głowie.

Męczący dzień zbliżał się ku końcowi.

Pobłogosławiłam ciocię Anielę, że przy moim pokoju urządziła łazienkę. Wlazłam do wanny z mocnym postanowieniem utopienia wszystkich kłopotów.

SIERPIEŃ/WRZESIEŃ 2008

Cześć, smutacie! Hello! Przygotuj się na najazd Hunów!

Gwar dochodzących od drogi głosów przerwał mi lekturę książki o psychoterapii, którą zgłębiałam w samotności nad brzegiem rzeki.

Miejsce, usytuowane pod rozłożystym klonem, który siłą potężnych korzeni trwał w osuwającej się z roku na rok wydmie, charakteryzowało się bajkowym widokiem na zakole. Gdy wody wzbierały, czy błądziły po rozległym rozlewisku. Nieuregulowane koryto sprawiało, że okoliczne, pełne soczystej trawy łąki były niezawodną stołówką dla krów sąsiada Wojciechowskiego, dając jednocześnie schronienie czeredom żab i innych wodnych żyjątek, których proveniencji wołałam nie dochodzić. Nie przepadałam bowiem za bliskimi spotkaniami z zaskrońcami i jaszczurkami, choć zachowując bezpieczną odległość, mogłam podziwiać krajobraz w pełnej krasie. Urozmaicały go brodzące w wodzie bociany, co jakiś czas zrywające się do lotu z charakterystycznym łopotem skrzydeł łabędzie i cała masa nieznanych mi mniejszych ptaszydeł, zaznaczających swą obecność skrzekiem i piszczeniem.

Mimo gwaru ptasich sejmików, rechotu żab i szumu rzeki miałam tam spokój, przerywany jedynie czasami wizytami wujostwa, którzy przychodzili sprawdzić, czy aby nie zdecydowałam się utopić z rozpaczy i wstydu po owym nieszczęsnym ślubie. Lektura zaś Irvina Yaloma o prapoczątkach psychoterapii, pochłaniana przeze mnie przy wtórze żabich koncertów, zaczynała powoli przywracać mi chęć do życia i do jakiegokolwiek działania. Może powinnam zająć się psychoterapią na poważnie? Zapatrzona przed siebie, kontemplowałam słowa Nietzschego z *Tako rzecze Zaratustra*: „Niejeden własnych kajdan zerwać nie zdołał, a stał się zbawcą dla przyjaciela”. I drugi cytat: „Winieneś pragnąć, abyś się spalił we własnym ogniu: bo jako odnowić się chcesz, jeśliś się wprzód w popiół nie zamienił”.

Miałam wszelkie przesłanki po temu, by się urodzić na nowo. Czyż dzięki Miłoszowi nie zamieniłam się w popiół? Nie sięgnęłam dna? A jeśli nie poradzę sobie sama, to pomoże mi Monika?

– Pozwól sobie pomóc. – Nieraz proponowała rozmowę, mimo braku czasu i przygotowań do obrony pracy magisterskiej.

– Dziecko, musisz jeść. Zobacz, jak wyglądasz, przecież ciebie prawie już nie ma! – gderła ciocia Aniela. Nie zważając na niechętnie spojrzenia, przychodziła nad rzekę, by namówić mnie na obiad, podwieczorek, kolację.

– Jak się masz, córeczko? – dzwonił czasem tato, kulturalnie nie informując mnie o przygotowaniach do ślubu Aldony i Miłosza, który z powodu ciąży mojej siostry musiał się odbyć jak najprędzej.

– Na ryby, a może i na lwy by – żartował wuj Stach, nucąc piosenki z „Kabaretu Starszych Panów” z nadzieją, że uda mu się wyrwać mnie z letargu.

Nic z tego. Jak kwoka wysiadywałam miejsce wśród wystających z ziemi korzeni klonu, czytając zawzięcie Yaloma, i tylko czasami, wzrokiem utkwionym w horyzont, gdzie ziemia stykała się z niebem, poszukiwałam sprawiedliwości i sensu życia.

– To my! Obudź się, śpiąca królowo! – Wielogłosowy chór nie chciał zamilknąć.

Obejrzałam się, lokalizując źródło. Pod słońce nie od razu rozpoznałam sprawczynię. Pierwsza dopadła mnie Monika.

– Chcesz czy nie chcesz, jesteście! – Wytarosiła mnie za szyję.

– Gratuluj, mała! – Zidentyfikowałam Kalinę. – Masz przed sobą cztery panie magister psychologii!

– I żadnych szlochów ani uzalania się nad sobą! – wtórowała jej Baśka. – Zrezygnowaliśmy z imprezy w „Studiu”, żeby świętować z tobą.

– Cześć. – Marysia, najcichsza z kumpelek, pocałowała mnie w policzek.

Ich entuzjazm był zaraźliwy. Na chwilę zapomniałam o przygnębieniu.

– Opowiadajcie, jak było!

Gadały jedna przez drugą, przywołując obrazy ciężkich przeżyć w gabinecie profesora Żurawskiego, w obecności pozostałych członków komisji. Słuchałam, wczuwałam się w ich podniecenie i radość, ale nie mogłam nie myśleć o własnym egzaminie, odłożonym na czas nieokreślony. Najpierw przez Miłosa i nasz ślub, potem z powodu wiadomych wypadków, które pozbawiły mnie jakiegokolwiek woli życia i działania. Siedziałyśmy nad rzeką, kąpałyśmy się, piłyśmy piwo, żartowałyśmy. One lekkie, radosne, jak pacjentki po udanej operacji, która nie wymaga dalszej rekonwalescencji, ja uśmiechnięta na siłę, by nie zniszczyć ulotnej atmosfery.

– Umówiłam cię z profesorem – szepnęła Monika, kiedy dziewczyny pobiegły się kąpać.

Lipcowy upał dawał o sobie znać. Trudno było wytrzymać bez ciągłego zanurzania się w rzece.

– Dziękuję, nie skorzystam. Nie czuję się na siłach – odmówiłam.

– To zawiozę cię na wózku, Alina! Przyczepię do powroza i zaciągnę. Myślisz, że po co tu przyjechałyśmy, wydając po dwanaście złotych od łebka na autobus? Bez gadania, bronisz się laska we wrześniu i basta!

– Nie zdążę... – zaoponowałam słabo.

– A co z naszym gabinetem? Sama mam go założyć, a ciebie zatrudnić jako sprzątaczkę?

Nie czekając na moje kolejne wymówki, zakończyła temat.

– Jedziesz do Wrocławia pojutrze, na dziesiątą. A teraz spróbuj porzucić ten posępny wyraz twarzy i napij się za nasze sukcesy. Pamiętasz chyba, że od października zaczynamy studia na psychoterapii? Czytanie Yaloma... – Zerknęła na leżącą na kocu książkę. – ...nie da ci papieru, żeby leczyć innych. Na początek musisz wyleczyć się sama i dokończyć te cholerne studia!

– No, nie wiem...

– Ale ja wiem. Kiedy dziewczyny wyjadą, omówimy kwestię twojej pracy i informacje od profesora. Będzie dobrze!

Nie pojechałam na spotkanie i nie zajrzałam do niemal ukończonej pracy do końca wakacji. Spędzałam czas na kontemplacjach nad rzeką lub na okupacji domku na drzewie. Jako tako zaczęłam się ogarniać po ślubie Aldony i Miłosa, który odbył się bez mojego udziału w połowie września.

Rodzice dali za wygraną po wielokrotnych próbach zwabienia mnie na uroczystość.

– Moglibyście już przestać! – Pewnego sierpniowego dnia doszedł mnie podniesiony głos cioci Anieli, perswadującej mamie bezsens ciągłego namawiania. – Nie rozumiem, jak możesz jej to robić po tym, co przesłała?

– Musi się w końcu z tym pogodzić...

– Kiedyś tak – zgodziła się ciocia. – Ale trzeba dać jej czas.

Czas pojawił się po ich ślubie.

Obudziłam się ze świadomością faktu, który się dokonał, bez możliwości nagłego zwrotu akcji i przebudzenia się ze złego snu. Moja siostra wyszła za mąż za mojego

narzeczonego i spodziewa się z nim dziecka, myślałam. Po wakacjach w Zastawnie zainstalowałam się w wynajętej klitce we Wrocławiu, bez pieniędzy, bez pracy, bez tytułu magistra, z perspektywą podjęcia w październiku kolejnych studiów na psychoterapii. Kiedy przywieziona przez wujka postawiłam na podłodze dwie walizki z nędznym dobytkiem, wiedziałam, że albo się wezmę za siebie, albo przyjdzie mi rozkleić się całkowicie. Dopiero teraz zauważyłam, że w kawalerce ze ścian odchodzi farba, meble nadają się właściwie na śmietnik, armatura zaś pamięta czasy króla Ćwieczka, zwłaszcza zardzewiały zlew w kształcie pisuaru i spluczka do sedesu na łańcuszku. Żeby nie wspomnieć o niedomykających się oknach i mokrej plamie na podłodze, podsycanej podczas każdego deszczu, oraz o warstwie brudu i kurzu w każdym kącie. Sięgnęłam do portmonetki, zasobnej w kilkaset złotych wciśniętych na siłę przez wujka.

– Na początek, Aluś. Zanim znajdziesz zajęcie.

Wróciłam z zakupów z siatką pełną środków czyszczących. Wiedziałam już, od czego mam zacząć. Od sprzątanía. W domu, na studiach, w głowie, w życiu. Szorując niewielką wannę, czyszcząc podłogę, zdzierając osad z kranów i przygotowując sterty śmieci do wyniesienia, planowałam działania na najbliższe dni. Profesor, obrona, załapanie się na drugi fakultet, poszukiwanie pracy. Wprawdzie wciąż dostawałam od taty pieniądze na życie, ale nie wystarczały nawet na czynsz. Propozycję powrotu do domu rodziców odrzuciłam stanowczo.

Nie przyjął również oferty pomocy od Tomasza, który od kilku lat był już przedsiębiorcą i prawdopodobnie powodziło mu się całkiem nieźle. Myślę, że na ten gest namówiła go ciocia Aniela.

„Gdybyś potrzebowała ode mnie czegokolwiek, jestem do dyspozycji. Szkoda, że nie zgodziłaś się spotkać ze mną podczas pobytu w Zastawnie. Nie gryzę. W każdym razie wiesz, gdzie mnie znaleźć. Tomasz”, przeczytałam w eśemesie.

Może i nie gryziesz, ale jesteś facetem, a w dodatku świadkiem mojej kłęski w kościele, gadałam z nim w myślach.

Żadnych facetów! Teraz ani nigdy.

Żal, wstyd i poczucie kłęski ustąpiły wreszcie miejsca złości, która wyzwoliła energię. Wystarczyły dwa tygodnie, bym obroniła magisterkę, zapisała się na studia z psychoterapii, zaczęła dorabiać w sklepie, poszukując jednocześnie gabinetu, w którym mogłabym praktykować przed założeniem własnego. Mimo moich protestów wuj z cicią zobowiązali się, że przez rok, zanim się całkowicie nie usamodzielnię, będą przelewać na moje konto pieniądze na czynsz. Zwrócę im wszystko, co do grosza!, postanowiłam.

Powoli zaczynałam żyć.

8 CZERWCA 2013

Poderwałam się z łóżka, łaskotana niesfornym promieniem, który wślizgnął się do pokoju przez niezastaloną firanę.

Takie słońce? Która godzina?, pomyślałam z niepokojem, oczami wyobraźni widząc stojącą pod moimi drzwiami Monikę. Nic nie było przygotowane, ani zakupy, ani sałatka, żeby nie wspomnieć o kąpieli i planowanej wizycie w firmie. No i jeszcze trzeba wykonać telefon do ojca!

Na szczęście ciociny zegar z kukułką sygnalizował dopiero siódmą. Otworzyłam okno od strony ogrodu, okalającego dom od południowego wschodu. Pod kępami krzewów dzikich róż do słońca wystawiała pomarańczowe kwiaty nasturcja, pnąca się po podpórkach z patyków i sznurka. Rozkwitały pojedyncze malwy, górując nad kolorowymi kępkami bratków i pachnącej maciejki. Na nieuprawianych od śmierci cioci warzywnych grządkach zauważyłam zielone pędy. Wysiliłam wzrok i dostrzegłam to, czego się spodziewałam. Nie do wiary!, pomyślałam. Zielony groszek! Kochany wuj, zdążył go dla mnie zasiać...

Moje oczy napęłniły się łzami.

Uwielbiałam zielony groszek, a wuj Stach nienawidził dłubaniny w ogródku. Mimo to po śmierci cioci nie zdarzyło się, aby groszku zabrakło. Nawet w tym roku, kiedy już nie będzie patrzył na moje łakomstwo...

Tomasz chyba jeszcze spał, a w każdym razie żadne dźwięki nie sygnalizowały, że jest inaczej. Krzątałam się po kuchni, parząc kawę i przygotowując grzanki z dżemem. Słońce oświetlało sięń, wpadając przez otwarte drzwi, ekspres mielił ziarenka i powoli napęłniał filiżankę kropelkami ciemnego płynu. Jeszcze tylko trochę śmietanki i wypiję kawę w ogrodzie, postanowiłam.

Poruszałam się cichutko. Plan wydawał się prosty: śniadanie na tarasie, zebranie groszku na sałatkę i jeszcze – zauważyłam kilka grządek truskawek – uskubanie paru sztuk czerwonych owoców.

Jest pięknie!, wystawiłam twarz do słońca. Dobrze, że on mi nie przeszkadza...

O ósmej w całym domu wciąż panowała błoga cisza.

Przeszłam na sąsiednią posesję, by w spokojne sobotnie przedpołudnie zapoznać się z księgowością firmy.

Dobrego samopoczucia pozbyłam się już przy bramie.

– Witam panią. – Otworzył ją pan Kazio. – Pan prezes u siebie – poinformował.

– A księgowa?

– A jakże? Też.

Pięknie. Ja sobie zbieram groszek w ogrodzie, a Tomasz krok przede mną. Cudownie.

Powędrowałam prosto do biurowca i znalazłam drzwi z napisem „Główny księgowy”.

Weszłam bez pukania.

Siedzieli nad papierami, przerzucając kartki.

– Przepraszam, że przeszkadzam – rzuciłam od progu. – Chciałabym się przyłączyć.

– Naturalnie, Alinko. – Tomasz podniósł się z krzesła. – Właśnie z panią Iwoną przeglądamy dokumenty. Pozwól.

Zdecydowanie miałam na to ochotę, choć za chęci pani Iwonki nie dałabym głowy.

– Na początek zerknij na dokumenty założycielskie. Tu jest zaświadczenie o wpisie do ewidencji działalności gospodarczej, o numerze identyfikacyjnym REGON, o wyborze

formy opodatkowania, potwierdzenie nadania numeru identyfikacji podatkowej. I tak dalej.

Zarzucił mnie nazewnictwem, zwałił na głowę cały szereg hieroglifów, które szczęśliwie ogarniałam, prowadząc własną działalność. Kiedy jednak doszły ZWUA, deklaracja podatku od towarów i usług VAT-7, DRA i umowy z firmami, zdałam sobie sprawę, że chwilowo nie mam tu nic do roboty.

– Pani Iwono – zwróciłam się do księgowej, ignorując Tomasza. – Będę w firmie we wtorek. Chciałabym się z panią spotkać i wówczas przejrzeć papiery. Będzie pani wolna około południa?

Spojrzała na prezesa, ale oznak sprzeciwu nie było widać.

– Oczywiście. Chyba że będę musiała robić płace...

– Może je pani zrobić później – wtrącił Tomasz. – Po zapoznaniu pani Aliny z dokumentacją – dodał wyraźnie zirytowany, posyłając mi fałszywy uśmiech.

– Zatem jesteśmy umówione. – Zaczęłam się zbierać.

– Wszystko dobrze, pani prezesowo?

Pan Kazio znów miał okazję oglądać mnie w nie najlepszym nastroju.

Zanim zdążyłam wysłać do Moniki esemesa z informacją, jaka to jestem głupia i na niczym się nie znam, a na dodatek pozwałam byle księgowej chodzić na pasku Tomasza, postanowiłam wykonać inny telefon.

– Marcin?

– Jak miło, że dzwonicz! – Zaakceptował to przejście na ty bez mrugnienia okiem. – W czym mogę ci pomóc?

Przeszłam do rzeczy bez zbędnego kręcenia.

– Czy masz dostęp do dokumentów księgowych?

– Prawdę mówiąc, nie bardzo. Chyba że zwróciłibyśmy się do dyrektora Kowalewskiego... Co ja mówię! – Oświeciło go nagle. – Przecież teraz ty masz do nich wgląd. A o co chodzi?

– Chcę je przejrzeć z kimś zorientowanym i życzliwym. Rozumiesz?

– Rozumiem.

Nie tracił czasu na dyskusje.

– Kiedy? Dzisiaj?

– Nie – roześmiałam się, czerpiąc przyjemność z jego gotowości. – We wtorek?

– Bardzo proszę, pani prezes. Jestem w pracy od siódmej.

Zrezygnowałam z samobiczującego esemesa. Monika pewnie jest już w drodze.

Skoczyłam do sklepu, by po drobnej półgodzince stać już nad zlewem w kuchni i myć sałatę na „zieloną z łososiem i groszkiem”. Browar się chłodził, słoneczko świeciło, karkówka na grilla macerowała. On z księgową daleko. Bingo.

– Widzę, że szykują się jakieś pyszności? – usłyszałam znieczeka głos Tomasza.

– Spodziewam się gościa.

– Ja również, tyle że w liczbie mnogiej. Kiedy skończysz? Chciałabym pokręcić się trochę po kuchni.

Dżisus! Próbuje mnie przegonić nawet stąd!

– Jeszcze nie wiem. Dopiero zaczęłam. – Obracałam sałatą w tę i w tę, nie zamierzając przestać. – Bardzo ci się śpieszy?

– Zaczekam.

Złość w jego spojrzeniu zapowiadała, że przetrzyma każdy opór materii.

– Dobrze. – Darłam zielone liście, starając się sprawiać wrażenie nadzwyczaj zapracowanej. – No nie patrz tak, jeszcze chwila. Zdążysz – rzuciłam słowem, żałując, że nie

mam pod ręką siekiery.

– Ktoś dzwoni. Pewnie to twój gość. – Tomusza wywiało do drzwi.

Nie zdążyłam zaoponować.

– Zapraszam. Jest w kuchni – usłyszałam.

Monika pojawiła się w progu bez obstawy.

– Niezły – powiedziała zamiast „dzień dobry”.

– Kto?

– No ten twój Tomasz. Niezły. A tak w ogóle to dzień dobry, laska! Tak się cieszę, że tu jestem! – Rzuciła się na mnie, nie bacząc na moje mokre ręce i oczy zwrócone w stronę zlewu. – Micha u dziadków, a Radek na jakimś tam złocie męskich harcerzyków! Będą biegać po lasach i szukać znaków. Nie wiem, o co chodzi, ale najwyraźniej chłopcy od czasu do czasu muszą sobie zrobić męski wieczór.

Gadała, jakby walnęła sobie coś już w autobusie.

– Jasne. Pomożesz mi przenieść to wszystko na taras? – Wręczyłam jej półmisek z karkówką. I drugi, z sałatką z łososiem i groszkiem.

– Dawaj.

Gdy już się przysiadłam, niemal spała.

– Monika! – Delikatnie złapałam ją za rękę.

– Nie, nie, nic mi nie jest. Już okej.

Okej wcale nie było. Raczej mało trzeźwo. A już na pewno nieobecnie.

– Co jest?

– Gównno.

No to się dowiedziałam. Monika zdecydowanie nie była w formie.

– Co się stało? – spróbowałam łagodniej.

– Miałaś świętą rację, żeby się z nimi nie wiązać! To są dziady! Radek też!

– Co ty opowiadasz? Przecież jeszcze przed chwilą...

Patrzyłam na przyjaciółkę i czułam, jak usuwa mi się grunt spod nóg. Monika? Ona? Ta porządna, ustatkowana mężatka, dzieciata, psychologka, moja ostoja? Co ona wygaduje?

– Co z Radkiem?

– Wyrzuciłam go z domu – oznajmiła. – A Michę sprzedałam dziadkom. I jestem... – Rozparła się na kanapie. – Mam go gdzieś.

Nie śmiałam pytać o więcej.

Monika z apetytem rzuciła się na karkówkę i sałatkę. Nalała sobie piwa. Przecież i ja, do cholery, nie jestem pogrążona w morzu rozkoszy, pomyślałam. Czemu zatem nie poddać się czarowi miłego popołudnia?

– Mon, co on ci zrobił? – zdecydowałam się. Mimo wszystko.

– Rozwodzę się – nie odpowiedziała wprost. – Ciesz się, że nie jesteś z Miłozem. Ani z żadnym z nich. To są...

Wreszcie się rozplakała.

– Uspokój się. To tylko stan przejściowy. Minie, obiecuję. – Usiłowałam ją uspokoić.

W tej samej chwili nadszedł Tomasz.

– Zapraszamy do siebie – zaproponował.

Monika podniosła się i ignorując moje spojrzenie, pozwoliła się poprowadzić.

Na stoliku pozostały resztki sałatki i karkówki.

Z frontowego ogrodu dochodził zapach grillowanej kiełbasy i gryczanej kaszanki.

– Idę, Alka! – Przyjaciółka obrzuciła mnie rozmazanym spojrzeniem.

Zdażyłam zauważyć, że Tomasz podtrzymał ją w talii. Żeby nie upadła.

Zupełnie nie rozumiałam, dlaczego ten gest mnie dotknął. A tam, to nie czas na ogarnianie czegokolwiek!, stwierdziłam.

Nalałam sobie piwa i poszłam za nimi.

Po salonie kręciło się około dwudziestu osób, zdeptujących buciorami stary perski dywan wujka, stawiających kieliszki i szklanki z piwem gdzie popadnie, dotykających łapami, tłustymi od kielbasy, wypieszczone przez ciocię meble. Tomasz zainstalował całkiem niezły sprzęt grający. Dźwięki niosły się po okolicy.

– Zapraszamy do nas! Jestem Kamil. – Powędrowała ku mnie ręka faceta dobrze po trzydziestce. – A to moja żona, Pati. – Wymieniłam uścisk z dobrze odżywną brunetką.

Również pozostałe towarzystwo wiekiem zbliżone było do Tomasza, czyli około ośmiu, dziesięciu lat ode mnie starsze. Nic jednak nie wskazywało, że mądrzejsze. Kiedy zdążyłam się zorientować, że nie upilnuję Moniki, pochwyconej przez gospodarza w sidła i niezgłaszającej sprzeciwu wobec jego adoracji, zajęłam się zagrożoną kolekcją broni, zgodnie z testamentem należąca obecnie do mecenasa Smólskiego. Wprawdzie panie chętniej gromadziły się w ogrodzie, za to ich mężczyźni wyrażali zainteresowanie wiszącymi na ścianach muszkietami, czarnoprochowymi rewolwerami, dubeltówką kapiszonową, szablami, mieczami, bagnietami, kordzikami i Bóg wiem czym jeszcze. Potężny zbiór militariów został przez wuja szczegółowo opisany (stąd moja orientacja w nazwach poszczególnych eksponatów), a z powodu swojej wielkości zajmował ściany nie tylko salonu, ale i sieni. Tam pod sufitem, na modrzewiowej belce widniała łacińska maksyma.

– To zwyczaj rodem z dawnej Polski – powiedział kiedyś wuj Stach, pokazując mi napis. – *Audiat et altera pars*, co oznacza: „Należy wysłuchać drugiej strony”.

Nie pamiętałam, dlaczego kazał wyryć właśnie tę paremię. Może dlatego, że ukończył studia prawnicze i łacińskie zwroty nie były mu obce? A może uważał rozmowę i dochodzenie do porozumienia lub rozstrzygnięcia konfliktów za sprawę nadrzędną? Czy spojrzałam teraz w górę przypadkiem? Z kim mam porozmawiać? I o czym, wujku?

– Ta jest fajna! – sięgnął po jedną z szabel Kamil. – Patrzcie: szab-la-lud-wi-ków-ka, wz. 1934 – sylabizował. – Kto ze mną powalczy?

Drugi śmiałek porwał się na radziwiłówkę w pochwie, wz. 1917.

– Ja biorę tę! – zagrzmiał, tnąc powietrze jak Wołodyjowski.

– Panowie, przestańcie! Zrób coś, zanim wszystko poniszczą albo się pozabiją! – dopadłam Tomasza w ogrodzie.

Obracał na grillu kolejną porcję kielbasy.

– Zostawić mi tę broń, chłopcy – zaintereseniował, przeganiając towarzystwo na dwór. – Zjesz porcyjkę? – zanęcił szaszłykiem, kiedy niebezpieczeństwo walki wręcz zostało już zażegnane. – Bo Monika chyba odpadła...

Moje spojrzenie wyrażało kategorię odmowy. Gdybym w tym momencie otworzyła buzię, powiedziałabym zbyt wiele. Nie miałam najmniejszej ochoty na wysłuchiwanie drugiej strony.

– Dlaczego jesteśmy w sypialni? – Moja szczęśliwie dowleczona do łóżka przyjaciółka zaczęła stawiać opór. – Nie dojadłam szaszłyka! I gdzie moja szklanka? Gdzie jest Tomasz?

Na szczęście w tej szarpaninie byłam stroną bardziej sprawną. Opanowałam szalejącego żywioł i ułożyłam go w pościeli.

Monika obudziła się po kilku godzinach, które spędziłam z książką, nie mogąc zasnąć z powodu hałasu i niepokoju o dom opanowany przez hordę dzikich znajomych mojego

wspólnika.

Około dwudziestej drugiej zadzwonił Radek.

– Nie mogę się skontaktować z Moniką – oznajmił. – Jest z tobą?

– Jest, nie martw się.

Zorientowała się, z kim gadam, i skinęła ręką. Nie będzie rozmawiać.

Nie wiedziałam, czym się naraził, ale chwilowo ochrona Moniki była ważniejsza.

– Możesz dać jej komórkę?

– Jestem w ogrodzie – zełgałam. – Monika się kąpie. Nie wiem nawet, czy już się nie położyła. Ale przekażę jej, że dzwoniłeś.

– Ala... – Chyba nie dał się nabrać. – Nie wiem, co ci powiedziała, ale tym razem mama naprawdę źle się poczuła. Wylądowała w szpitalu ze stanem przedzawałowym. Jestem z nią i chciałbym, żeby wiedziała o tym moja żona. Powiedz jej, proszę.

Zanim odpowiedziałam, zdążył się rozłączyć.

– Słyszałeś?

Podczas rozmowy z jej mężem przełączyłam komórkę na tryb głośnomówiący.

– Ściemnia. Jak zwykle.

Monika nieraz narzekała na uzależnienie Radka od matki, mimo wszystko ten komunikat wyglądał wiarygodnie. Milczałam.

– Co tak patrzysz? – Moja przyjaciółka była niemal całkiem trzeźwa. – Mówię ci, bierz mnie na litość. Po raz dziesiąty, co ja mówię!, setny, tysięczny! – Nakręcała się. – A od trzech miesięcy, kiedy Mańka z rodziną wyjechała na stałe do Anglii, zostawiając mamusię na pastwę losu, ta nie daje nam spokoju! Wypłakuje się w rękaw do tej pory niezauważanego syna z powodu pustki po ukochanej córeczce! A wiesz, co jest najgorsze? Że ja jej nie obchodzę. Ani Michasia. Wiecznie tylko Raduś, Radulek. I te alarmy, że się źle czuje, schodzi, umiera, ma zapaść, chandrę, że potrzebuje pomocy i trzeba jej coś załatwić, gdzieś ją zawieźć, dowlec do lekarza, przytachać jej zakupy! Mój Radek zmienił się nie do poznania. A ja czuję się tak, jakby urodziło mu się drugie dziecko na boku. Rozumiesz? Jemu, nie mnie. Wyobrazasz sobie, że on czasami u niej sypia? Do diabła z takim mężem!

Faktycznie, też bym chodziła wkurzona. Oczywiście gdybym miała takiego męża.

– A może powinniście o tym porozmawiać? – Przypomniała mi się sentencja z modrzewiowej belki. – Może warto go wysłuchać?

– Nie wiesz, co mówisz! – Monika zdenerwowała się nie na żarty. – Gdy tylko próbujemy coś wyjaśniać, skaczemy sobie do oczu. I tyle.

– No to mamy problem, koleżanko... A może jednak zadzwoń do niego? Bo jeśli to coś poważnego?

– Nie. Przegiął. Nie chciałam cię absorbować swoimi sprawami, miałaś pogrzeb, ale przez ostatnie dwa tygodnie częściej siedział u teściowej niż w domu. Niech sobie teraz radzi. Zgodnie z imieniem – szydziła.

– Jesteś pewna? – Czułam się w obowiązku ustrzec przyjaciółkę przed błędem.

– Koniec tematu, Alina. Podasz mi komórkę?

– Mam wyjść? – zapytałam.

– Nigdzie nie wychodź, tylko zapisz sobie numer do gościa, który poszukuje cię od dwóch dni. Nowy pacjent. Nie wiem, jak zdobył mój numer, ważne, że się dodzwonił. Bardzo mu zależy. Skontaktujesz się z nim?

– Jasne. Przecież trzeba zarobić na czynsz, nieprawdaż?

Spojrzała na mnie z politowaniem.

– Ty? Ty nie masz na czynsz? Aristokratka, dziedziczka fortuny, współwłaścicielka

firmy? Zamierzasz jeszcze pracować w „Pomocy Psychologa”?

Cokolwiek się wydarzyło, ani przez moment nie zwątpiłam w sens mojej pracy. A już tym bardziej nie zamierzałam wystawiać Moniki do wiatru. Ale dopiero ona uświadomiła mi kolizję interesów. Gdzie niby miałabym zamieszkać – w Zastawnie czy we Wrocławiu? W jaki sposób pogodzić zaangażowanie w sprawy firmy i pracę z pacjentami?

Mocno niewygodne rozważania postanowiłam odłożyć na później, zwłaszcza że przypomniałam sobie o ojcu. W natłoku spraw trzeba najpierw pozatławić kwestie najistotniejsze, a ta była kluczowa. A może jednak spróbować dogadać się z Tomaszem, przemknęło mi przez głowę, i oddać mu na jakiś czas zarządzanie firmą w nadziei, że zrobi to w dobrej wierze? Sama tymczasem zapoznam się z jej organizacją, a rozstrzygnięcia przyjdą później.

– Kochana, jasne, że zamierzam! O ile wciąż chcesz mnie za współniczkę – zawołałam wesoło. – Skoro klienci dobijają się do drzwi? Masz może ochotę na kilka truskawek?

Za chwilę przemykałyśmy cichaczem schodami w kierunku do ogródka.

Impreza na dole weszła właśnie w fazę tańców pościelowych. Szybkie hałaśliwe rytmy ustąpiły miejsca spokojnym balladom, a ostre popijanie sączeniu drinków w fotelach. Celowo nie spoglądałam w stronę kuchni, by nie denerwować się przed snem gigantycznym bałaganem.

– Wiesz co, Monika? Oni się pewnie nie obudzą skoro świt... Wymkniemy się rano i pojedziemy do Wrocławia. Przepraszam. – Zauważyłam zawiedzioną minę. – Nie pójdziemy nad rzekę, ale sama rozumiesz, że w tym towarzystwie i tak nie byłoby fajnie. A ja muszę pilnie do rodziców. Odbijemy to sobie, dobrze?

Słowem nie wspomniałam o Radku.

– Okej. Ale chociaż teraz posiedzmy sobie w ogrodzie. Poczekaj, przyniosę coś, co bardzo pasuje do truskawek.

Znałam ją aż nadto dobrze. Zanim zdążyła wrócić z pokoju, już stawiałam na stoliku kieliszki do szampana.

– Za nas! – wzniosła toast.

– Cokolwiek będzie się działo... Za nas! – zawtórowałam. – Czy widzisz to, co ja?

Niemal wstałam z wiklinowego fotela. Wyteżyłam wzrok w stronę płotu porośniętego dziką różą.

– Sarny! Trzy sarny! – sapnęła Monika, ale ani drgnęła, by nie spłoszyć stadka.

I chwili, którą kradłyśmy właśnie czerwcowemu wieczorowi w Zastawnie.

Przeglądałyśmy się zwierzakom skubiącym pędy łubinu, spokojnym, majestatycznym, pięknym. Młode kozłeta ocierały się o matkę, ta rozglądała się wokół, wietrząc niebezpieczeństwo. Nie wiem, o czym myślała Monika, ale do mnie powróciło wyryte w modrzewiu wujkowe przesłanie.

Jeszcze nie teraz, odpowiedziałam mu w duchu. Na wszystko przyjdzie czas.

WRZESIEŃ 2008

Jakie ma pani kwalifikacje? – zapytał właściciel szóstego z kolei ośrodka terapeutycznego, do którego trafiłam, kolędując w sprawie praktyki.

Przygotowana znacznie lepiej aniżeli na początku starań, z pamięci recytowałam rozrastające się z dnia na dzień CV. Pierwsze zawierało zaledwie informacje o pomyślnym ukończeniu klasy humanistycznej w jednym z lepszych liceów oraz zdobyciu tytułu magistra psychologii na Uniwersytecie Wrocławskim. Drugie wzbogaciłam już o temat pracy: *Związek terapeutyczny pomiędzy psychoterapeutą a pacjentem*. Przy trzecim ujawniłam swój udział w dwóch konferencjach studenckich i pracę przy posterze przygotowanym na jedną z nich. Przygotowując się do czwartej rozmowy, zaczęłam konfabulować na temat enigmatycznych osiągnięć naukowych. Do dokumentacji dorzuciłam artykuł w studenckim piśmie psychologicznym, znaczący niewiele, ale pani psycholog w ośrodku natychmiast wypomniała mi miłąkość dokonań i kompletny brak praktyki (o którą, nawiasem mówiąc, właśnie się starałam).

Wydeptując ścieżki i całując kolejne kłamki ewentualnych dobrodziejów, będących moją szansą na zaczepienie się gdziekolwiek, nieco zniechęcona trafiłam do szóstej placówki.

W Centrum Rozwoju Osobistego przyjął mnie sympatyczny mężczyzna, ledwie widoczny zza gęstej i siwej brody, okalającej twarz przypominającą oblicze doktora Wilczura. Bogata w doświadczenia z poprzednich starań wiedziałam już, co zechce usłyszeć. Rozpoczęłam recytację, sama się dziwiąc, ile rzeczy w moim dwudziestoczteroletnim życiu zdążyłam już zrobić.

– Obroniłam pracę magisterską z tematu *Związek terapeutyczny...*

– Z jakim wynikiem? – przerwał mi bezceremonialnie. – Bo widzę, że robiła ją pani u profesora Żurawskiego.

Na moje szczęście profesor cieszył się uznaniem w środowisku.

– Na trzy z plusem – dodałam ciszej.

Wyraz oczu siwego zmienił się nieco.

– Rozumiem.

Nie rozumiał niczego.

Czy miałam poinformować go w tym miejscu, że przez dwa miesiące wakacji, zamiast przygotowywać się do obrony, siedziałam u wujostwa na drzewie, przeżywając ucieczkę Miłosa sprzed ołtarza? Czy powinnam opowiedzieć, jak po ślubie siostry ze sprawcą mojej klęski nadrobiłam zaległości w ciągu tygodnia? Że przygotowałam się do egzaminu, zmobilizowałam profesora i komisję do znalezienia dla mnie czasu? Że pozwolono mi przystąpić do egzaminu? Udowodnić, jaka jestem sprawna, bystra i samodzielna? I że poradzę sobie w każdej sytuacji? No, może nie zawsze na piątkę...

– A pani doświadczenia w pracy z ludźmi? – kontynuował.

Tym razem odpowiedź była oczywista. W ruch poszły informacje o prowadzonych dwa razy grupach kolonijnych i wolontariacie w hospicjum. Widząc jego zadowoloną minę, odzyskałam nadzieję, że dobre serce i doświadczenie zostały docenione. Nie myliłam się.

– Myślę, że będę miał dla pani dobrą wiadomość... – cedził słowa, budując pozytywną atmosferę.

Gotowa byłam skoczyć pod sufit. Będę miała tę praktykę!

– Potrzebujemy recepcjonistki.

Kiedy dzisiaj przypominam sobie minę, jaką obdarzyłam siwego, zdaję sobie sprawę, że psycholog był ze mnie wówczas jak nie przymierzając z koziej dupy trąba. Całą sobą wyrażałam targające mną uczucia. Kolejny zawód, zniechęcenie, smutek. Czy tak powinien wyglądać ktoś, kto ma pomagać innym? Ze świadomością, że mój rozmówca przejrzał mnie na wylot, miałam ochotę uciec z gabinetu. Zebrałam wszystkie siły, żeby się nie rozplakać.

– Dziękuję. Czy mogę zastanowić się nad propozycją?

– Oczywiście. – Podniósł się z krzesła. – Będę czekał na telefon do jutra.

Piętnaście minut później, siedząc w pobliskiej knajpce, łączyłam się z Moniką.

– Czego sobie pani życzy? – nawałnicę myśli przerwała kelnerka.

Czego sobie życzę? Życzyłam sobie pracy w ośrodku psychologicznym, ale nic z tego. Chciałam nauczyć się fachu, ale nikt mnie nie chce. Pragnęłam rzucić się w wir zajęć, zapomnieć o własnych problemach, zagłębić w problemach innych. Nic z tego nie wyszło.

– Poproszę kawę bez śmietanki.

– Czy mogę zaproponować muffinkę? – dręczyła z wyuczoną uprzejmością.

Wynocha z muffinką! Nie cierpię muffinek!

– Nie, dziękuję.

– Słyszysz mnie? Jesteś tam? – Z komórki dochodził głos mojej przyjaciółki. – Stało się coś?

– Jestem gotowa, Mon. Dopięłaś swego. Wpadnij wieczorem, to pogadamy o założeniu firmy. Tylko, do diabła, nie gadaj „a nie mówiłam”, bo mnie trafi szlag!

– Bardzo proszę. – Kelnerka postawiła na stole filiżankę z kawą.

– Cieszę się, że ci się nie udało. – Złośliwa koleżanka wyraziła radość z powodu mojej klęski.

Co ja bym zrobiła bez tej wrednej baby?

Następnego dnia, nad firmowymi kalkulacjami czułyśmy ciarki na plecach. Wynajem lokalu (przecież nie mogłam umieścić praktyki w mojej kawalerce, gdzie oprócz dużej kanapy nie zmieściłoby się nic innego) to jakieś tysiąc pięćset na miesiąc plus opłaty za media. ZUS za jedną osobę to około tysiąca. Wyposażenie, komputer, czajnik, filiżanki (mogły być z domu), telefon, ogłoszenia w prasie czy w Internecie (o!, strona internetowa) dokładały miesięcznie niemal dwa tysiące na głowę. A skąd pacjenci? Kto przyjdzie na terapię do dwóch młodych absolwentek bez kwalifikacji? Do zostania pełnym psychoterapeutą brakowało nam czterech lat kolejnych studiów, które rozpoczynałyśmy dopiero za tydzień. Wpakować się w koszty przy nikłej nadziei na zyski?

– Trudno. Będziemy przyjmować u mnie na stryszku – podjęłam decyzję. – Zatrudnimy się dodatkowo gdzieś tam i pracodawca zapłaci za nas ZUS. Zostanie tylko ubezpieczenie zdrowotne po dwieście ileś na miesiąc.

– To ile miesięcznie przypadnie na każdą z nas?

– Zaczekaj. – Wzięłam kalkulator. – Zdrowotne plus ze sto za prąd i wodę, utrzymanie strony WWW, reklama, telefony... Będzie po pięćset. Biorąc pod uwagę koszty, których nie skalkulowałyśmy, może nawet osiemset.

– To musimy mieć ośmiu klientów miesięcznie na koszty! Albo dwóch, którzy przyjdą cztery razy w miesiącu? Dobrze myślę?

– Super. Tyle że musisz mi pomóc wyremontować sofę i znaleźć jakiś stary fotel. Wtedy będziemy miały komplet. Pacjent na fotelu, my na kanapie.

Fantastyczny plan zaczął realizować się sam. W tydzień wyrobiłyśmy się z ganiem po urzędach, załatwiając wszelkie możliwe zaświadczenia i konto bankowe. Zostałyśmy prawdziwymi przedsiębiorcami. Stronę internetową załatwił nam Radek, wówczas chłopak

Moniki, biuro rachunkowe polecił wujek Stach. Mając dograne sprawy formalne, dałyśmy pierwsze ogłoszenie do gazety, reklamujące firmę „Pomoc Psychologa” (wycinek, niemal oprawiony w ramki, trafił do teczki „Firma”). Czekaliśmy na pierwszego pacjenta.

Znalazłam pracę w sklepie zoologicznym i po jakimś czasie zostałam specjalistką od karmy dla kanarków i chomików oraz znawczynią gatunków rybek akwariowych. Monika zatrudniła się w McDonalddie i spędzała długie godziny na przewracaniu frytek z mączki rybnej, smażeniu kurczakburgerów i nalewaniu szejków. Po trzech miesiącach, podczas których do biura rachunkowego nie wpłynął od nas ani jeden papier, przyszło opamiętanie.

- I co ty na to? – Monika mocowała się z metalową nakrętką na tanim winie.
- A ty? – odbiłam piłeczkę.
- Nie jest dobrze.
- No to sobie powiedziałaś!
- Co robimy?
- Nie wiem. Może się napijemy? W końcu. – Popatrzyłam na bełta. – Mamy takie dobre wino...

Monika znienacka odstawiała pełen kieliszek. Znałam ją od lat, wiedziałam, że właśnie wpadła na pomysł.

- A gdyby tak uderzyć do szkół? I robić dzieciakom testy psychologiczne?
- Myślisz, że nikt do tej pory się za to nie wziął?
- Wziął nie wziął, możemy zrobić rozeznanie w naszej budzie! Albo na prowincji, po wsiach! Może w Zastawnie? Alina, grunt to od czegoś zacząć, a nie czekać, aż ci skapnie na tacę! Weź urlop od zwierzaków i karmy, ja rzucę na chwilę hamburgery i jedziemy w teren. A teraz przygotowujemy superulotki. Trzeba nam tylko drukarni. Kapujesz?
- Aliś, oczywiście, że ci pomogę. – Wujek jak zwykle nie odmówił, kiedy bez zastanowienia w potrzebie wykręciłam jego numer. – Zapisz sobie komórkę do Tomasza. Nie martw się, uprzedzę go. Masz kłopot z głową. Jeśli on to zrobi, będą naprawdę profesjonalne.

Całą noc walczyłyśmy z materiałem projektu pod tytułem „Prozawodowe testy psychologiczne”, który zamierzałyśmy zaproponować szkołom i rodzicom dzieciaków z podstawówek i gimnazjów. Przejrzałyśmy całą zawartość Internetu, przekopałyśmy się przez stare podręczniki, posiłkując się notatkami z zajęć u znienawidzonego doktora Kujawskiego – i nad ranem tekst ulotki był gotowy. Pozostało rozesłać go do szkół.

Po tygodniu w skrzynce mejlowej odkryłam dwa pierwsze zamówienia na przebadanie dwóch klas w Zastawnie. Za całe dwieście osiemdziesiąt złotych!

„Monika!”, zaesemesowałam, nie mogąc się powstrzymać, by nie przeszkodzić jej w pracy za ladą. „Ktoś się odezwał! Światelko w tunelu!”

„Mam rzucić robotę?”, odpowiedziała bez chwili zwłoki.

„Spokojnie. Dokończ te frytki”.

9 CZERWCA 2013

Gdy zastukałam do rodziców, otworzył Miłosz.

– O! Alina?

Chyba się mnie nie spodziewał.

Przez ostatnie pięć lat staraliśmy się na siebie nie wpadać. Siadaliśmy po przeciwnych stronach stołu, nie stawaliśmy do wspólnych zdjęć. Udawałam, że piję zdrowie Miłosza w trakcie urodzinowych toastów, ale twardo omijałam jego spojrzenia przy stole, gdy opierały się o mnie przypadkiem. Jeżeli w ogóle zamieniałam czasem kilka słów z Aldoną, szczęśliwą żoną i matką, rozmowa z Miłoszem nie wchodziła w rachubę.

Wcale nie dlatego, że żywiłam do niego jakiegokolwiek ciepłe uczucia. Jeżeli czułam cokolwiek, to wyłącznie niechęć i obrzydzenie. Usiłowałam po prostu unikać sytuacji, w których mogłam spotkać oboje naraz. A że nader często i chętnie korzystali z pomocy dziadków, moje wizyty w rodzinnym domu ograniczały się do minimum, co zresztą zostało poddane krytyce przez mamę, przeprowadzającą misję pojednania zwaśnionych sióstr. Nie ustawała w wysiłkach, żeby mi wyklarować nieuchronność zapisanych w niebieskich losów.

– Widać tak musiało być, dziecko. Musisz się z tym pogodzić – klarowała mi za ledwie kilka tygodni po ich ślubie. – Nie rób sobie wyrzutów, że nie przyszłaś na uroczystość (jak gdybym sobie je kiedykolwiek robiła!). Wszystko możesz naprawić.

– Ja mam naprawiać cokolwiek? Mamo, czy ty siebie słyszysz? Brak mi słów! – wykrzykiwałam ze łzami w oczach.

– Nie kłóćmy się. Aldonka niezbyt dobrze się czuje. Żeby tylko to nie zaszkodziło dziecku...

Nic mnie nie obchodzi, co zaszkodzi dziecku poczętemu w czasie, gdy przymierzałam ślubną suknię!, złorzeczyłam w duchu, ale nie wypowiadałam niczego na głos.

Jeżeli nawet miewałam złe myśli, obawa przed rzuceniem uroku na ciężarną nie pozwalała na otwarte wyznania. Po czasie okazało się, że intuicja mnie nie zawiodła – gdy Aldona poroniła, przynajmniej nikt mnie nie winił. Nie mogę powiedzieć, że uradowało mnie jej nieszczęście. Nie zanosłam dziękczynnych modłów, nie obaliłam flaszki wina. A że przez chwilę pomyślałam o dziejowej sprawiedliwości? Czy powinnam się z tego wypowiadać? Na szczęście dwa miesiące po utracie płodu moja siostra, ku radości rodziców, ponownie zaszła w ciążę, by tym razem w terminie urodzić zdrową dziewczynkę. Antoninę. Młode małżeństwo, pobłogosławione potomstwem, zmazało znamię krzywdy wyrządzonej Alinie. Oto dzięki nim na świat przyszedł nowy człowiek, wokół którego zaczęło się kręcić życie dziadków. Kąpanie, przewijanie, kolki, karmienie, wszystko to zaangażowało towarzystwo dokumentnie, odsuwając w niebyt okoliczności powstania szczęśliwej rodziny. A że ciotka Alina nie zawsze miała ochotę uczestniczyć w rodzinnej sielance?

– Spodziewałaś się kogoś innego? – nie powstrzymałam się od złości.

Wyminęłam go zręcznie i weszłam do przedpokoju.

– Ciocia! – Tosia poszybowała w moje ramiona.

– Siadaj, córciu. Zrobiłam torcik z truskawkami. – Mama odgrywała dobrą mamę. – Zrobić ci kawę?

Nie życzyłam sobie żadnych nieporozumień, nie chciałam wkładać kija w mrowisko, choć tak właśnie, prędzej czy później, kończyło się niemal każde spotkanie w rodzinnym gronie.

Machnęłam ręką na perfekcyjną panią domu.

– Poproszę.

Zaniepokojony tato zerkał z fotela. Skulił ramiona. Spięte mięśnie twarzy wywołały na niej grymas przypominający kwaśny uśmiech.

Rozumiałam. W powietrzu zawisło napięcie, grożące kolejną utarczką, fałszywą gadką. Ale ja nie zamierzałam niczego ułatwiać. Patrzyłam sobie na tatę, który nigdy nie był w stanie stanąć po mojej stronie, faceta totalnie podporządkowanego swojej żonie, a teraz i starszej córce, i nie miałam zamiaru poprawiać mu samopoczucia. Zaraz mama zawoła go do kuchni.

Nie trzeba było długo czekać.

– Waldemar! Możesz podać Alinie kawę?

Podniósł się z fotela i podreptał grzecznie w kierunku głosu. Rozparta na kanapie, nie zerwałam się, by mu pomóc. Zaczekałam, aż postawi przede mną filiżankę, udając, że robi to z dobrej woli. Żalotne.

Nie czekając, aż na powrót zajmie fotel, zaproponowałam rozmowę.

– Tato, możemy przejść do gabinetu?

Spojrzał pytająco.

– Tylko nie siedźcie tam za długo! – Mama wyczuła temat. – Bo kawa wystygnie.

W tej lodowatej atmosferze kawa miała szansę zamienić się we frappe.

– Słuchaj, tato. – Przystąpiłam do rzeczy bez większych nadziei na sukces misji. – Chodzi o spadek po wuju.

Przyglądał mi się ze znakiem zapytania na twarzy.

– Będiesz kwestionował testament?

Nie spodziewał się takiej bezpośredniości. Wolałby zapewne usłyszeć: „Tatusiu, mam do ciebie prośbę”, albo: „Wyłącznie od ciebie zależy, czy firma utrzyma się na powierzchni”. A do tego najlepiej: „Proszę cię, tatusiu”.

– Alu, czy nie uważasz...

Nie miałam ochoty słuchać o tym, że Aldonie też się coś należy.

– Nie uważam – ucięłam.

– To nie jest takie proste... – spróbował.

Nie mówił własnymi słowami. Sprawa była już najwyraźniej omawiana poza mną, na rodzinnym gruncie.

– Bo mama...

Przerwałam ponownie.

– Mama nie ma tu nic do rzeczy. Wuj nie należał do jej rodziny.

– Córciu, dlaczego jesteś taka kategoryczna? – Brał mnie na litość. – Zupełnie cię nie poznaję.

W pokoju obok panowała cisza. Byłabym naiwna, gdybym myślała, że nie podsłuchują.

Włączyłam radio. W tej chwili nawet Tomasza uznałabym za sprzymierzeńca.

– Tato, na tym oporze i tak niczego nie zyskasz. Nie należy ci się nawet zachówek.

Przecież wiesz, mówił ci mecenas Smólski. Jeżeli pójdziesz do sądu, nie zrobisz tego dla siebie, ale przeciwko nam. Przeciwko mnie. O to ci chodzi?

Wstał z fotela i zaczął nerwowo przechadzać się po pokoju.

– Napijesz się koniaku? – Otworzył barek.

Nieśpiesznie postawił na blacie biurka dwa kieliszki i nie czekając na odpowiedź, nalał do każdego po pięćdziesiątce. Bez słowa przyjęłam swoją dołą.

– Masz rację, Alinko.

Nie przerywałam.

– Bardzo źle się stało pięć lat temu... To niewyobrażalne, że mogłem do tego dopuścić.

– Odwrócił się w stronę okna, pewnie żebym nie zauważyła łez, do których w sytuacjach kryzysowych zawsze miał skłonność. – Kocham Tosię, kocham ciebie i Aldonę, i cieszę się, że dobrze się jej układa z Miłozsem. Ale to, co ci zrobili...

Milczenie było wygodne.

– I dlatego przyznaję ci rację. Jestem ci to winny. To moja wielka porażka, że wuj Stach stał się dla ciebie ojcem, a ciotka matką. Wiedz jedno... – Nachylił się nade mną i spojrzał głęboko w oczy. – Jeżeli choć raz mogę nie tyle ci pomóc, ile przynajmniej nie przeszkadzać, zrobię to z największą przyjemnością. Może, przynajmniej w jakimś stopniu, mi wybaczysz?

– Czy wszystko w porządku? – W drzwiach nagle pojawiła się mama.

– Krystyna, pozwólże nam porozmawiać w spokoju! – Ton ojca nie pozostawiał cienia wątpliwości. – Córeczko, nie jest mi łatwo – podjął, siadając naprzeciwko i próbując ująć moje dłonie. – Tutaj ty, tam Aldona z Tosią. Nigdy nie potrafiłem się z tym uporać.

– Tato...

– Nie mówię tego, żeby kręcić. Jutro pójde do notariusza i powiem mu, że nie zgłaszam zastrzeżeń do testamentu. Niech ci się wiedzie. I z Tomaszem, i z drukarnią.

– Dzięki, tato. Ja wiem, że to sprawka mamy...

– Nie mieszaj do tego mamy! – uniósł się. – Będzie, jak powiedziałem. A teraz może do nich wrócimy?

Zasiadłam obok niego przy wspólnym stole. Dzisiaj stał mi się nieco bardziej bliski.

A może mi się tylko wydaje?

– Pójdiesz? – upewniłam się jeszcze przy pożegnaniu, modląc się w duchu, by nie zmienił zdania.

– Tak. Możesz być pewna.

Układając się na kanapie na stryżku, kręciłam w dłoni komórkę, zastanawiając się, czy podzielić się dobrą wiadomością z Tomaszem, gdy zaskoczył mnie dźwięk esemesa.

„Przepraszam za wczorajsze. To był głupi pomysł zapraszać towarzystwo do Zastawna. Załatwiłaś z ojcem?”

Jeżeli po pierwszych słowach wiadomości miałam ochotę zapewnić go, że wszystko jest w porządku, po ostatnim zdaniu straciłam zapał. Przeprosiny w imię interesu. Dzięki!

„Nie rozmawiałam”, odpisałam. „To będzie trudne”.

A niech się pomartwi!

„Mona, jestem właśnie po rozmowie z tatą. Załatwiłam. Powinnam być zadowolona, a czuję się tak cholernie samotna! Mam nadzieję, że dogadaliście się z Radkiem. Niech chociaż wam będzie dobrze. Umówiłam się z tym nowym pacjentem jutro na dwunastą. Kolejny pokręcony facet, ale chociaż zapłaci stówę. Miej się dobrze. Bez odbioru, idę spać. A.”

10 CZERWCA 2013

Skrzypnięcie drzwi w przedpokoju służącym za poczekalnię zasygnalizowało nadejście pacjenta.

Dokończyłam nalewanie kawy do filiżanki i zabieliłam ją śmietanką. Celowo nie rzuciłam się do drzwi, by wyjść na spotkanie, podświadomie odsuwając ten moment w czasie. Byłam ciekawa każdego nowego człowieka, uwielbiałam słuchać, co ma do powiedzenia. Sprawiało mi ogromną przyjemność otwieranie umysłów, pobudzanie uczuć, likwidowanie barier pomiędzy pacjentem a mną, rozmowa, odkrywanie źródeł problemów i w konsekwencji pomoc, jakiej mogłam udzielić. Ale że dyplomowaną psychoterapeutką zostałam dopiero rok temu, wciąż napawałam się satysfakcją z pracy, nie przyjmując do wiadomości, że może mi się kiedykolwiek znudzić. Kręcąc się po pokoju, poprawiłam serwetkę na stole, dosunęłam firany, omiotłam wzrokiem kąty i sprawdziłam, czy wszystko znajduje się na swoim miejscu. Przygotowana, z wyrazem twarzy wyrażającym profesjonalizm i łagodną życzliwość, otworzyłam drzwi do przedpokoju.

– Dzień dobry panu. Alina Dobrowolska. – Wyciągnęłam dłoń na powitanie. – Rozumiem, że pan...

– Kolski. Piotr Kolski.

Bardzo się pomyliłam, spodziewając się sfrustrowanego, zgaszonego pacjenta z kompleksami, u którego przyjdzie mi leczyć załamanie nerwowe, brak zainteresowania ze strony płci przeciwnej, niemożność funkcjonowania w grupie zawodowej, natręctwa czy hipochondrię. Przypominał raczej modela z okładki pisma dla kobiet spragnionych widoku wysokich, muskularnych brunetów o ujmującym uśmiechu, ubranych w lniane spodnie i marynarkę przykrywającą czarny markowy T-shirt. Nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że zaszło nieporozumienie.

– Byliśmy umówieni na dwunastą? – zapytałam, by nie wziąć się za terapię absolutnie zdrowego okazu, na jaki wyglądał.

– Cieszę się, że znalazła pani dla mnie czas – rozwiął wątpliwości.

Wskazałam mu fotel naprzeciwko kanapy. Zgodził się na podanie mu szklanki wody, której nalewanie pozwoliło mi zyskać pół minuty na powrót do rzeczywistości.

Przeglądałam się facetowi z ukosa, starając się doszukać oznak jakichkolwiek emocji. Bez skutku. Siedział, dyskretnie rozglądając się po pokoju. Rozpiął marynarkę, odrzucając jej połę na obie strony. Położył rękę na oparciu fotela, założył nogę na nogę. Jednym słowem – przyjął postawę otwartości, która, jak wiedziałam z literatury przedmiotu i doświadczenia, charakteryzuje osobę pozytywnie nastawioną do wszelkich propozycji. Czuł się pewnie. A mnie dopadło przekonanie, że oto jeszcze przed rozpoczęciem terapii znienacka zamieniliśmy się rolami.

Musiałam coś z tym zrobić. Również założyłam nogę na nogę (przyjęłam pozę osoby mądrej, doświadczonej i przyjaznej dla innych), a z palców zbudowałam „opuszczoną wieżę”, charakterystyczną dla uważnego słuchacza.

Przeglądał mi się bez słowa, nie zmieniając pozycji.

– Jaki ma pan problem? Dlaczego zdecydował się pan na wizytę u psychologa?

– Przychodzę do pani – położył nacisk na słowie „pani” – z polecenia znajomego.

Powiem wprost, żebyśmy nie musieli zbyt długo dochodzić do sedna. Jestem dojrzałym mężczyzną, mam trzydzieści pięć lat i ugruntowaną pozycję. Jak to się teraz mówi, jestem

spełniony zawodowo. Mam jednak pewien problem z kobietami. Uciekam sprzed ołtarza.

Gdybym siedziała na krześle, spadłabym z niego z pewnością.

Wyznanie Piotra Kolskiego nie mogło być bardziej bezpośrednie i śmiałe. I nie mogło silniej mnie dotknąć. Miałam nadzieję, że nie zauważył, jak zmieniłam się na twarzy (szczęście, że mój fotel stał na tle okna pod światło!). Staralam się nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów, świadczących o niepokoju. Niestety, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że szanowny pan pacjent nie znalazł się u mnie przypadkiem. Dawno już przestałam wierzyć w bajki i opowieści o zbiegach okoliczności. Kto go nasłał? I dlaczego?

Pytania kłębiły się w mojej głowie, ale właśnie zaczęłam godzinę terapii, za którą facet miał mi zapłacić sto złotych, więc musiałam doprowadzić ją do końca.

– Ile razy się to panu zdarzyło? – zapytałam, już opanowana i skupiona, wytrzepawszy z siebie własne reminiscencje.

– Trzy.

Chyba żartujesz!, miałam ochotę krzyknąć. Trzem kobietom zgotowałeś taki pasztet? Niebywałe. Nieprawdopodobne. Znacie się z Miłoszem?

– Proszę mi o tym opowiedzieć. Jest pan na to gotowy?

– Oczywiście.

Nie wydawał się zaskoczony, raczej doskonale przygotowany na wynurzenia. Opowiadał, pławiąc się w szczegółach historii o pierwszej narzeczonej, którą zostawił dzień przed ślubem. Mieli go wziąć w tajemnicy przed rodzicami, po drugim roku studiów.

– Przeszedłem do jej pokoju w akademiku i zobaczyłem, jak na dźwięk otwieranych drzwi upycha ślubną sukienkę w szafie. Chciałem jej powiedzieć „dobranoc”, a powiedziałem „nie”.

– Dlaczego? Czymś pana zdenerwowała? Pokłóciliście się?

– Absolutnie nie. Po prostu nagle przestała mi się podobać. Gdy uzmysłowiłem sobie, że mam z nią spędzić całe życie, zdałem sobie sprawę, że kocham ją niedostatecznie. Byłem młody, znaliśmy się kilka miesięcy, ślub byłby szaleństwem. Jakaś siła pchnęła mnie do odmowy. Musiałem.

– I co dalej?

– Łzy, panika. Dostałem w twarz. Zrozumiałe, bo zasłużyłem. W następnym roku przenieśliśmy się na inną uczelnię, żeby nie być z nią na roku.

Kolejne pytanie miało być zaskoczeniem. Pan Kolski cały czas opowiadał o pierwszej narzeczonej, używając zaimków, jak gdyby była tylko „pierwszym przypadkiem”. Postanowiłam pobudzić jego uczucia.

– Jak miała na imię?

Spojrzał, jak gdyby próbował sobie przypomnieć.

– Aneta.

– Była ładna?

– A co to ma do rzeczy?

– Wspomina ją pan czasem? Czy zdarza się, że ma pan do siebie pretensje? – drażylałam, nie zwracając uwagi na jego zniecierpliwienie.

– Mieszka we Wrocławiu, ma męża i dzieci. Ułożyła sobie życie. Nie chcę być nieuprzejmy, ale z perspektywy czasu uważam, że zrobiłem dobrze.

– Ma do pana żal?

O to akurat nie powinnam pytać, pacjent nie musiał znać odpowiedzi. Zachowałam się mało profesjonalnie, kierowana podświadomym urazem do Miłosza.

– Nie wiem i prawdę mówiąc, niewiele mnie to zajmuje. Wydaje mi się inną osobą niż

wtedy, na studiach.

– A druga narzeczona?

Celowo nie użyłam słowa „porzucona”, żeby nie poczuł się na cenzurowanym.

Tym razem szybko przypomniał sobie imię.

– Karolina. Byliśmy razem trzy lata. – Zadumał się i podparł ręką brodę. – Nasze rodziny się poznały, rodzice przygotowywali już w swoich ogródkach baseniki i huśtawki dla przyszłych wnuków. Ona plastyczka, ja architekt, piękny mariaż, prawda? Wszyscy byli zachwyceni. Ojciec, który zatrudnił mnie w swojej pracowni, planował przyjęcie Karoliny jako projektanta wnętrz. Miał być z nas dobrany tandem.

– Kochał ją pan?

Mimo że pytanie wydawało mi się zbyt osobiste na tym etapie rozmowy, Kolski nie wydawał się zaskoczony.

– Owszem. Kochałem.

– Co się zatem wydarzyło?

– W trakcie przygotowań do ślubu i wesela, gdy w naszym mieszkaniu – od jakiegoś czasu mieszkaliśmy razem – zaczęła pojawiać się jej matka, a co gorsza i moja, miałem ochotę uciec.

– I?

– Było trudno. Włożyłem już ślubny garnitur, dałem sobie wetknąć różę do butonierki, ale koncentrowałem się wyłącznie na jednym: co zrobić, żeby nie dopuścić do tego, co wydaje się nieuchronne... Bo Karolina, bo rodzice, bo przyszli teściowie, bo goście weselni, ksiądz, obrączki, przyjęcie, prezenty. Myślałem intensywnie w drodze do kościoła, zastanawiałem się, podążając do ołtarza, próbowałem opanować ból głowy na widok Karoliny wspartej na ramieniu ojca. A kiedy stanęła ze mną twarzą w twarz...

Pamiętałam dokładnie. „Przepraszam cię, Alinko, ale nie mogę”.

Czekając na dalszy ciąg opowieści, byłam chyba najbardziej zaangażowanym słuchaczem na całej kuli ziemskiej.

– ...powiedziałem: „Przepraszam cię, Karolina, ale nie mogę się z tobą ożenić”.

I wyszedłem.

Zapadła cisza. Kolski patrzył w okno, przeżywając wyrzuconą z siebie przeszłość. Ja wolałam chwilowo zachować milczenie, żeby nie ujawnić własnej traumy.

– W każdym razie pozbywałem się, mimo tajfunu, który rozpętał się po tym incydencie. Żeby nie przedłużać, wspomnę jeszcze, że moją trzecią niedoszłą, Małgorzatę, opuściłem, gdy tylko zaczęła przebąkiwać o ślubie. Oto i cała historia.

Mimo że zaschło mi w gardle, nie wstałam po wodę. Dyskretnie otarłam pot z czoła. Czy w ogóle wolno mi prowadzić jego psychoterapię? Spotkanie zbliżało się do końca, musiałam je jakoś sensownie zakończyć, żeby zarobić swoją stówę, bez względu na nastroje. Najlepiej będzie, jeżeli oddam mu inicjatywę, postanowiłam.

– Proszę powiedzieć, jakiego rodzaju pomocy oczekuje pan ode mnie?

– Jestem dorosłym facetem. Pracuję jako architekt. Nie narzekam na standard życia.

I nie mam nikogo bliskiego. O ile pani rozumie.

Rozumiałam, jeszcze jak. Nie tylko jako psycholog.

– Pragnę to zmienić, ale wiem, że sam sobie nie poradzę. Nie potrafię być z kobietą na stałe, choć mam ich wokół siebie trochę. Jestem beznadziejnym przypadkiem?

Patrzyłam na niego, znów rozluźnionego, rozpartego w fotelu. I wcale tak nie uważałam.

Chłopie!, pomyślałam. O czym ty mówisz? Przecież każda kobieta widzi to, co ja. Żeby

taki facet fatygował się do psychologa? Zbajeruj jeszcze kilkanaście babek, w którejś się wreszcie zakochasz na zabój, a ona przybije cię do ołtarza gwoździami. A skoro masz taką fantazję, żeby posiedzieć na kozetce? Okej.

– Panie Piotrze... – zaczęłam. – Pana przypadek wcale nie jest wyjątkowy.

Nie wspomniałam oczywiście, że znam podobny z autopsji. O ile tego nie wiedział.

– Musimy się spotkać jeszcze kilka razy, porozmawiać i spróbować zmierzyć się z tematem. Jeśli dzisiejsza sesja nie okazała się zniechęcająca...

– Z przyjemnością. Kiedy?

– Może być w przyszły poniedziałek. O dwunastej?

– Jesteśmy umówieni.

Po jego wyjściu zasiadłam do klawiatury.

„Monika, nie masz pojęcia, co przeżyłam podczas terapii tego nowego! Nie wiem, co o tym myśleć. Teraz znikam, opowiem przy najbliższej okazji. Mam do czynienia albo z diabłem, albo z aniołem. Albo to jedna wielka podpucha. A.”

Końcówka wiosny okazała się bardzo pogodna, a nadejście nowej pory roku dawało się zauważyć nie tylko w kalendarzu, ale i za oknami.

Zbliżające się lato zasygnalizowało nieuchronny początek kilkudniową falą upałów, czyniąc naszą stolicę najgorętszą w Europie, a miejskie chodniki traktem odpowiednim dla hinduskich fakirów, trenujących stąpanie po rozżarzonych węglach. Tak słoneczna i gorąca aura była niemal nieodczuwalna podczas weekendowego pobytu w Zastawnie, gdzie grube mury wujkowego dworku i gęste stopy chroniły przed kąsającymi promieniami, a w drukarni sprawnie działała klimatyzacja. Niestety, Wrocław powitał mnie trzydziestostopniowym upałem, gorącym i rozedrganym powietrzem oraz całkowitym brakiem wiatru. Na szczęście usytuowany od zachodu gabinet pozostawał podczas wizyty pana Kolskiego niemal w całości poza zasięgiem słońca. Kiedy jednak opuściłam kamienicę, buchający żar niemal natychmiast zawrócił mnie na klatkę schodową. Nie wahając się długo, postanowiłam zmienić plany i zamiast w dniu jutrzejszym pojechać do Zastawna już dzisiaj. Wrażenie po rozmowie z pacjentem szybko zostało wyparte przez myśl o notariuszu. Niezwłocznie wystukałam na klawiaturze komórki stosowny numer.

– Z panem notariuszem poproszę. – W biurze Lenziona odebrała sekretarka. – Alina Dobrowolska – przedstawiłam się.

Miałam zamiar podjechać do taty i wziąć od niego oświadczenie, że nie będzie zgłaszał zastrzeżeń do testamentu, jednak pan Tadeusz uświadomił mi, że musimy się z nim spotkać we troje po raz kolejny.

Dzisiaj, z powodu wyjazdu służbowego taty, rzecz okazała się niemożliwa.

– A jutro o siedemnastej trzydzieści? – zasugerowałam najbliższy zaproponowany przez prawnika termin.

Tomasza nie pytałam o zdanie. Niech jeszcze przez chwilę potrwa w niepewności. Przynajmniej do czasu, gdy zorientuję się, co przedsięwziął za moimi plecami pod moją nieobecność.

– Przyjadę jutro do Zastawna na czas, Alinko. – Tato nie ociągał się z decyzją. – Bezpośrednio z Berlina.

Domyśliłam się, że chce uniknąć nacisków ze strony mamy.

Około drugiej, obładowana walizkami (skąd mi się wzięło tyle rzeczy?), ruszyłam moim mini spod domu. Niestety, nie udało się uniknąć popołudniowych korków, które wprowadzi nie

weszły jeszcze w szczytową fazę, ale solidnie dawały o sobie znać. Mieszkanie w centrum i posiadanie gabinetu w okolicy placu Grunwaldzkiego bywało bardzo wygodne na co dzień, lecz mniej, gdy trzeba było opuścić miasto, nieważne, czy porsche cayenne, czy miniaturą samochodu.

Przemierzając ulice, dumalam o firmie, Tomaszu, jutrzejszym spotkaniu z Marcinem w celu poznania „Anieldruku”. Niestety, nie potrafiłam wymazać z pamięci Piotra Kolskiego, rozpartego w fotelu z miną Davida Beckhama pozującego do zdjęcia na okładkę „Cosmopolitan”. Zdawałam sobie sprawę, że problemy psychiczne i życiowe dosięgają nawet przystojniaków (choć statystycznie znacznie rzadziej z powodu ich wysokiej samooceny), niemniej jednak Kolski nie zdradzał oznak przygnębienia, apatii, depresji czy choćby nawet lekkiego załamania. I niestety prześladowała mnie myśl, że nie znalazł się u mnie przypadkiem. Musiał wiedzieć o Miłoszu i o moim nieszczęsnym niedoszłym ślubie, a to niewątpliwie będzie utrudniać dalsze sesje. W okolicy mostu Szczytnickiego przyszło mi do głowy, by zadzwonić do Moniki, na światłach na Krzywoustego zaczęłam szukać komórki. Zbliżając się do końca alei Sobieskiego, wystukałam jej numer.

– Mam problem z pacjentem – zaczęłam bez wstępów. – Nie wiem, czy będę mogła go prowadzić.

Oczywiście znałam kodeks etyczny Polskiego Towarzystwa Psychologicznego i Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego oraz zasady etyki lekarskiej. Nie była mi obca zasada ścisłej poufności, zgodnie z którą nie mogłam nikomu ujawniać rozmów i problemów pacjentów, nawet najlepszej koleżance, współpracownicy, psycholożce. W przypadku pana Piotra miałam jednak wątpliwości, czy rzeczywiście przyjmuję w gabinecie pacjenta...

Monika nie mogła rozmawiać.

– Jadę po Michasię, możemy pogadać wieczorem?

Przypomniałam sobie sobotę. Co ze mnie za przyjaciółka? Nawet nie zapytałam, co się dzieje, ograniczając się do wysyłania mejli i esemesów pełnych zwierzeń i informacji, z zaimkami „ja”, „mnie”, „moje” w roli głównej.

– Przepraszam, Monika. Co u ciebie, u Radka? Co z jego matką? – Spróbowałam się zrehabilitować.

– Radek niemal przeprowadził się do teściowej. Sorry, nie teraz. Michasia czeka na mnie od dwóch godzin.

Jeśli Monika przerywa rozmowę, musi być źle.

Bez zastanowienia wcisnęłam ponowne wybieranie. Po kilku minutach dostałam esemesa. „Nie dzwoń. Wieczorem przyjeżdża mama. Odezwę się, jak będę mogła”.

Piotr Kolski nagle znikł z horyzontu. Przez kilka ostatnich kilometrów przed Zastawnem towarzyszył mi obraz Moniki i Radka. Trudno, próbowałam uspokoić myśli, i tak niczego teraz nie wskóram, nie pomogę. Pozałatwiam bieżące sprawy i jak najszybciej wracam do Wrocławia, postanowiłam.

Z marszu podjechałam na firmowy parking, mieszczący się przed głównym wejściem do biurowca.

– Jesteś! – Tomasz musiał zauważyć przez okno mój samochód, bo dosłownie wyskoczył z gabinetu, zanim zdążyłam zbliżyć się do sekretariatu. – Siadaj i mów. Załatwiłaś z ojcem? Nie będzie podważał testamentu?

– A może najpierw zaproponowałbyś mi szklankę wody? Nie wiem, czy zauważyłeś, ale jest bardzo gorąco.

Chyba się opamiętał.

– Pani Wando, proszę o wodę – wydał dyspozycje.

– Gazowaną czy nie, panie prezesie?

Nie miałam sił zareagować na „pana prezesa”, niemniej jednak zapamiętałam „pani Wandzie” jej niestosowne zachowanie.

Kobieto!, złorzeczyłam w myślach. Nie jestem mściwa z natury, ale przeginasz. Zupełnie jakby nie zależało ci na pracy u nas, a wyłącznie u Tomasza! Możesz się przeliczyć.

Sekretarka przyniosła wodę i zamknęła za sobą drzwi, a tymczasem ja, wyprowadzona z równowagi, byłam gotowa na zasadniczą rozmowę. Zamiast jednak zaspokoić jego ciekawość, zaczęłam od spraw istotnych dla mnie.

– Przyjechałam, żeby się z tobą poważnie rozmówić na temat przyszłości firmy. – Widząc, że otwiera usta, podniosłam otwartą dłoń. – I proszę, opuść fotel wujka. Usiądź przy mnie.

Z nieukrywaną niechęcią zaczął zbierać z biurka dokumenty, dając do zrozumienia, że moje fanaberie utrudniają mu życie. Starannie ułożył papiery przed sobą na stoliku i spojrzał na mnie z miną bazyliuszka, który chętnie rozprawi się z ofiarą, gdy tylko ta przestanie być przydatna. Zamierzałam się z nim trochę podroczyć. Za „panią Wandę”, za propozycje nie do odrzucenia, za sobotnich gości zdejmujących ze ścian wujkowe sztucery czy inne szable. Na razie to ty jesteś żabą, a ja bocianem, uśmiechnęłam się w duchu. Nie odwrotnie.

– Czy mam zrobić coś jeszcze? – Dygresja na temat fotela musiała go dotknąć.

Zignorowałam złośliwość.

– Mam dla ciebie dwie wiadomości, jedną dobrą, drugą złą. Od której zacząć?

– Alina, przestań się droczyć. – Z trudem opanował złość. – Mów.

– A zatem najpierw ta dobra. Tato nie zakwestionuje testamentu. Umówiłam nas u notariusza jutro o siedemnastej trzydzieści. Oczywiście ty też musisz się stawić. Oboje podpiszemy oświadczenie o przyjęciu spadku, razem z tatą złożymy podpisy pod protokołem i pan notariusz wyda akt poświadczenia dziedziczenia, z którego będzie wynikało, że jedynymi spadkobiercami majątku wujka, nie licząc działki dla pana Smólskiego, jesteśmy wyłącznie my. Będziemy mogli zaprezentować dokument klientom, podkreślając naszą wiarygodność.

Zadowolony?

– A ta zła wiadomość?

– Nie zmieniłam zdania. Nie oddam ci firmy.

Wstał z fotela, podszedł do okna i stanął odwrócony plecami.

Jest zdenerwowany. Zaraz włoży ręce do kieszeni, pomyślałam.

Włożył.

Nie patrzy na mnie, próbuje się uspokoić, szuka odpowiedzi. Widzi, że chwilowo (ma nadzieję, że to sytuacja przejściowa) nie odpuszczę, postanowi mnie zatem udobruchać. Nie będzie podnosił głosu, spojrzy łagodnie. Może nawet zaproponuje kolejną szklankę wody?

Nie odzywałam się, nie prowokowałam. Czekałam na reakcję.

Zgodnie z przewidywaniami Tomasz zajął miejsce w fotelu naprzeciwko i posłał mi łagodne spojrzenie.

– Dolać ci wody?

Z trudem opanowałam uśmiech.

Ale z ciebie przewidywalny gość!, gadałam w myślach. Mogłabym opisać twoje emocje na podstawie gestów i zachowań.

– Nie, dziękuję.

Zebrał się w sobie, znalazł rozwiązanie na teraz. Nie ma to jak odroczenie wyroku.

– Jeszcze o tym porozmawiamy, Alinko. Muszę wracać do pracy. Masz jakieś plany na popołudnie? – Starał się być grzeczny i układny.

– Owszem. – Ja również przemyślałam odpowiedź. – Jeżeli pozwolisz, zostanę tutaj sama i zapoznam się z dokumentacją.

Odprowadziłam go do drzwi.

– Pani Wando – zwróciłam się do sekretarki. – Proszę przysłać tu pana Marcina. I łączyć ze mną telefony do firmy. Aha, i dwie kawy ze śmietanką.

– Dzień dobry, pani prezes – usłyszałam, zanim jeszcze zdążyłam ponownie wybrać numer Moniki. – Czy przekładamy naszą jutrzejszą rozmowę na dzisiaj?

– Do której pan pracuje?

Zegarek wskazywał piętnastą trzydzieści.

– Do piątej. Ale jeśli trzeba, zostanę dłużej.

O taką odpowiedź mi chodziło. Młody, zwarty, gotowy, chętny, profesjonalny i dyspozycyjny.

– Bardzo dziękuję. Z pewnych względów zależy mi bardzo.

Nie zamierzał drażnić tematu.

– Rozumiem. Możemy siadać.

– To może przyniesiesz papiery?

Ledwie za sekretarką zamknęły się drzwi, skończyłam z oficjalnym trybem.

Spojrzał na niewielką teczkę pod pachą.

– Mam wszystko przy sobie.

– To jest cała dokumentacja?

– Nie księgową, ale wystarczającą, by zorientować się, jak działa firma. Opisuje wszystkie obowiązujące w „Anieldruku” procedury. Najlepiej usiądźmy i zabierzmy się do roboty.

Jeżeli do tej pory ogarniał mnie lęk przed zagłębieniem się w meandry działalności drukarni, respekt przed stosami segregatorów zawierających na jej temat wiedzę tajemną, a zrozumienie zagadki, jak to zrobić, by w jeden dzień nie stracić budowli misternie zbudowanej przez wujka, stanowiło trudność na poziomie wygrania partii szachów z mistrzem świata, to po kilku godzinach rozmowy z Marcinem straciłam wszelkie obawy. Najpierw przedstawił mi strukturę organizacyjną, czyli kto jest kim, jakie zajmuje stanowisko, komu podlega i kim zarządza. Przy okazji poznałam działy „Anieldruku” i procesy produkcyjne. Marcin z wybitnym talentem dydaktycznym, klarownie i syntetycznie, omówił je wszystkie, tłumacząc, jak badać ich skuteczność, analizować dane, wyciągać wnioski i stawiać sobie kolejne cele.

– Zerknij na przykład jeden z wielu: proces zakupów. Aby firma mogła produkować, musi kupić taśmę, kleje, farby, części do maszyn i tak dalej. Szef zakupów szuka dostawców, którzy zapewniają nam ciągłość tych dostaw, monitoruje stany magazynowe, żebyśmy mieli nie za duże zapasy, bo przetrzymywanie kosztuje, i nie za małe, bo inaczej grozi nam przestój. Bada trendy rynkowe, w razie gdyby pojawiły się jakieś inne, lepsze materiały, wydaje towar na halę i akurat u nas organizuje logistykę transportu, czyli zarządza tak, by nasze wyroby trafiały do klienta zgodnie z zamówieniem. Raz na pół roku ocenia wszystkich dostawców, podobnie jak my jesteśmy oceniani przez odbiorców na podstawie specjalnych ankiet.

– Zatem każdy tutaj wie, co do niego należy.

Opowieść o perfekcyjnie wzniesionej budowli „Anieldruku” i panującym tu porządku wciągnęła mnie bez reszty.

Marcin ucieszył się, że jego kilkugodzinne starania nie poszły na marne.

– Tak jest. Przypisana jest niemal każda czynność oraz tak zwane kompetencje i odpowiedzialności pracowników i zarządzających. Powiązanie wszystkich procesów: projektowania nadruków, pozyskiwania klientów, magazynowania, zarządzania pracownikami, środowiskiem pracy, zakupów i kilku innych, daje nam system ISO, czyli mówiąc obrazowo – system zarządzania. Stosujemy go, a raz do roku poddajemy się audytowi zewnętrznemu firmy certyfikującej. Do tej pory nie było problemów.

– Myślałam, że znaczek ISO to czysty marketing... Niejedna firma się nim chwali. Nie zaprzeczył.

– Też. Ważniejsza jest jednak funkcja ISO jako opisu działania firmy, wyznaczenia jej celów, sposobów ich realizacji, kontroli nad tym, co się dzieje, i reagowania na tak zwane niezgodności. Na przykład reklamowanie dostaw czy przyjmowanie uwag od klientów. Jak masz pewną matrycę postępowania, nie musisz za każdym razem zastanawiać się nad sposobem wykonania danej czynności. Albo weźmy chociażby sprawę identyfikacji partii wyprodukowanych etykiet. Dzięki systemowi naklejek, na których umieszczamy informacje o życiu wyrobu, wiemy, na jakiej taśmie zostały wykonane, przez kogo, kiedy i dla jakiego klienta. Przy reklamacji łatwiej nam zareagować. Możemy zmienić dostawcę, bo taśma ma za mało kleju albo, jeżeli to jest błąd ludzki, niedopatrzenie, bałaganiarstwo, wpłynąć na pracownika.

– To znaczy: po premii?

– System kar i nagród powinnaś omówić z naszym HR-owcem. Ja w tym nie siedzę, chociaż oczywiście, jako pełnomocnik zarządu do spraw ISO, muszę co nieco orientować się we wszystkim.

Szczerze podziwiałam Marcina za jego profesjonalizm, elokwencję i opowiadanie „ze zrozumieniem”, co, jak wynikało z moich obserwacji, niekoniecznie stanowi normę.

– Ile czasu zajęło ci nauczanie się tego wszystkiego?

– Byłem przy tworzeniu systemu, przy jego narodzinach. Jako jeden z jego ojców mogę cię zapewnić, że jeśli weźmiesz księgę jakości do poduszki, poczytasz, zaznaczysz niezrozumiałe punkty, a tatuś Marcin wyjaśni, pokaże, zaprowadzi, przeszkoli, to jeszcze w tym tygodniu będziemy wspólnie zastanawiać się, jak go udoskonalić. Odpowiada?

Jeszcze jak odpowiadało! Do pełni szczęścia brakowało mi tylko wglądu do dokumentów finansowych przedsiębiorstwa, które prawdopodobnie zakosił Tomasz, wynosząc z wujkowego gabinetu opasłe segregatory.

– Musisz je jutro wziąć od księgowej – odparł Marcin, kiedy go o nie zapytałam. – Obejrzymy sobie bilans za ubiegły rok i parę innych rzeczy. Powiem ci, na jakie wartości w bilansie masz zwrócić uwagę i o co pytać panią Iwonkę. Ja tam do tych papierów nie zaglądam, ale jako zastępca szefa produkcji orientuję się w zakupach i realizacji zamówień. Czyli ile komu czego sprzedajemy. A jeżeli przygotowuję ofertę albo projekt umowy, też wiem, za ile.

– Sądzisz, że powinnam przejrzeć księgowość w trybie pilnym? Coś się dzieje? Zanim odpowiedział, zastanowił się przez chwilę.

– Jak powiedziałem, nie siedzę w fakturach i wydatkach. Ale kończyłem ekonomię i kilka lat już tutaj pracuję.

– Po co ten wstęp? – Przeciągający się prolog nieco mnie zaniepokoił. – Wal prosto z mostu, proszę.

– O niczym konkretnym nie wiem, ale wzięliśmy ostatnio w leasing kilka solidnie drogich maszyn. A na rynku kryzys. Pan Stanisław postawił na rozwój, zwiększając koszty, choć nie miał nowych chętnych na nasze usługi. Wydaje mi się, że od stycznia dokładamy

do interesu. Warto się temu przyjrzeć.

Przeżazona wizją utrzymywania firmy przez jakiś czas z prywatnych pieniędzy, a może nawet jej plajty, zaczęłam myśleć intensywnie. Czyżby czarny scenariusz Tomasza miał się ziścić? A co, jeżeli „Anieldruk” ma potężne długi, ja zaś jutro u notariusza zgodzę się na przejęcie spadku? Za miesiąc będę uciekać przed komornikiem i przed zlinchowaniem przez zwolnionych pracowników?

Dobiegała dwudziesta. Po kilkugodzinnym siedzeniu żołądek dawał o sobie znać, nie pozwalając skupiać się na innych troskach.

– Bardzo ci dziękuję, Marcinie. – Ocknęłam się z zamyślenia. – Sprawileś, że jestem znacznie bardziej oświecona niż jeszcze kilka godzin temu.

– Ale i bardziej zniechęcona – podsumował. – Niepotrzebnie zasiałem wątpliwości. Przepraszam.

Nie byłam gotowa na szczerą rozmowę o moich życiowych planach. Ba, przez cały czas wahadełko przyszłości odchyłało się w różne strony. Chcę tej firmy czy może jednak wcale jej nie pragnę? Powinnam ją prowadzić razem z Tomaszem, ponieważ tak życzył sobie wuj, a może źle odczytałam jego intencje? Może po prostu chciał nas obdzielić po równo? Czy zależy mi na zamieszkaniu w Zastawnie, czy też w jakimś uroczym mieszkanku we Wrocławiu? Na zarządzaniu ludźmi, drukarnią czy na przyjmowaniu pacjentów? Przyjąć jutro spadek czy sobie odpuścić? Chyba wuj nie zostawiłby nam firmy zadłużonej po uszy?

– Nie żartuj – odparłam. – Należy ci się ode mnie co najmniej duży browar, ale wybacz... – W jego oczach zauważyłam nadzieję. – ...nie dzisiaj. Padam z nóg. Przy najbliższej okazji, zgoda?

Nie miał wyjścia. Pożegnaliśmy się przy bramie.

– Daleko mieszkaś? – zawołałam jeszcze, zauważywszy otwarte okno w aucie.

– We Wrocławiu!

– Przyjedź jutro na dziewiątą!

Starał się być miły i naprawdę był. Gdybyż tak jeszcze w dworku nie siedział Tomasz!

Firmę opuściłam jako ostatnia, jeśli nie liczyć portiera i ochroniarza, zatem mój wspólnik musiał zarządzać w kuchni lub na pokojach. Pomyliłam się. Zastałam ciemność. Nic nie wskazywało na jego wcześniejszą obecność.

– No, Ala, przyjdzie ci spać samotnie w tym niemałym domku – gadałam do siebie dla dodania otuchy. – Lepiej jednak byłoby z kimś, nawet z Tomaszem.

Niestety, we wszystkich pomieszczeniach udzielnie panowała cisza. Sprawdziłam zamki na dole, wygrzebałam z lodówki mizerne resztki po sobotniej biesiadzie z Moniką i poszłam do sypialni, by przemyśleć dzisiejszy dzień.

Obudziłam się następnego dnia o brzasku, w ubraniu i pełnym makijażu.

Za godzinę rozpoczyna się pierwsza zmiana.

MARZEC/CZERWIEC 2009

Przyszłam się zwolnić. – W poniedziałkowy marcowy poranek położyłam szefowi na biurku treść wypowiedzenia.

Kiedy zorientował się, że chodzi o ostateczne „rozwiązanie stosunku pracy”, a nie o zwykłe zwolnienie na dzień lub dwa, uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Ale dlaczego? Znalazłaś lepszą robotę?

Czarka, weterynarza, właściciela sklepu zoologicznego i poradni dla zwierząt, polubiłam niemal od razu. Wydawał się porządny, przewidywalny, pogodny. Ani razu w trakcie mojej kilkumiesięcznej przygody ze sklepem zoologicznym nie doszło między nami do kłótni, sporów, jakiegokolwiek różnicy zdań. Miał zdolność rozwiązywania problemów, łagodzenia konfliktów, których zresztą wiele się nie zdarzało w naszej kilkusobowej załodze. Trudno było nie dostrzec, że ma do mnie słabość, a i ja dobrze czułam się w jego towarzystwie. Niestety, echa nieszczęsnego wesela, pobrzmiwające silnie w mojej głowie, nie pozwalały sercu otworzyć się na nowy związek. Na pytanie, czy pójdę na kawę, odpowiadałam „tak”. W rachubę wchodziło jeszcze kino, teatr, a nawet balanga w gronie znajomych. Gdy jednak Czarek zaczynał czynić wycieczki osobiste, kiedy komplementy przekraczały granice kurtuazji, a ręce zmierzały do kontaktu, usztywniałam się, odsuwając go od siebie. Wzrokiem, miną, słowem.

– Dziwię się Czarkowi, Ala – komentowała moją oziębłość Monika. – Że też chce mu się jeszcze za tobą uganiać.

– Nie musi – odszczekiwałam się.

– Ale ty też nie musisz tak go traktować. W końcu niczego złego nie zrobił. Ma chłopina pecha, i tyle.

Spojrzałam pytająco.

– Możesz jaśniej, koleżanko?

– Nie czaruj, nie dam się nabrać. Za dobrze cię znam. Ale skoro mam mówić wielkimi literami... – kontynuowała. – Ma pecha, bo pojawił się po Miłoszu. A ty jeszcze nie zdążyłaś odkochać się w tym, nie powiem kim, żeby nie użyć słów nieparlamentarnych.

– Palancie? – ułatwiłam.

– No właśnie!

Nie miała racji. Nie cierpiałam Miłosza, a ona o miłości! Przez niego nie spędziłam świąt Bożego Narodzenia u rodziców, z jego powodu zniechęciłam moją siostrę jeszcze bardziej niż zwykle, zniechęciłam rodzinny dom i moje drugie piętorko, które zajęli nowożeńcy, moszcząc sobie gniazdo. W którym w pierwszą rocznicę ślubu miało pojawić się dziecko, jak ćwierkały wróble – dziewczynka. Nosiłam w sobie złość i rozgoryczenie, ale przecież nie obdarzałam nimi Czarka. A przynajmniej tak mi się wydawało.

Popatrzyłam mu w oczy.

– Znalazłam pracę jako praktykantka w Ośrodku Rozwoju i Psychoterapii „Żyję”.

Wiesz, studia, które robię, wymagają doświadczenia. A dopóki ich nie skończę i nie zostanę dyplomowaną psychoterapeutką we własnej firmie, mam raczej niewiele szans, by zdobyć kwalifikacje.

– Rozumiem. – Czarek nawet nie próbował ukryć przygnębienia. – Będziemy obaj za tobą tęsknili.

Mówił o bokserze Franku, naszej sklepowej maskotce, który do tej pory nie znalazł

przytuliska. Niestety, upodobał sobie mnie.

– Mieszkam na piątym piętrze bez windy, na powierzchni przypominającej chusteczkę do nosa. Nie dam rady. – Uparcie odmawiałam przyjęcia leciwego, ponaddziesięcioletniego Franciszka pod swój dach.

Ponieważ pozostali koledzy mieli już na stanie po jednym kundlu, Franek musiał zadowolić się kątem na zapleczu.

Odbębniłam ostatnie dwa tygodnie pracy w zoologu z miłą świadomością, że nie będę już musiała każdego ranka biec do sklepu.

– I mogłabym jeszcze pospać, gdyby nie ty, łajzo! – wydarłam się na Franciszka z udawaną złością, gdy pocierając moją dłoń mokrym ozorem, próbował mnie obudzić. – Dlaczego się nad tobą ulitowałam, cholerniku jeden?! Mało mi było latania po piętrach kilka razy dziennie, to teraz będę kilkanaście! Już dobrze. – Uśmiechnęłam się na widok roztańczonego kusego ogona, potraktowanego gilotyną lub innym szafotem.

Udaliśmy się z Frankiem na pobliski skwerek, jedyny, który zapewniał kilka krzaczków i ze dwie ławeczki. Marcowe słońce przebijało się przez zieleniejące listki brzoź, ogrzewając alejki pozbawione już na szczęście przybrudzonych śniegowych zasp, zimowych pozostałości wchłanianych przez nadchodzącą wiosnę.

Psi tył rozbijała nagła radość.

Odwróciłam się, wypatrując, na czyj to widok Franek merda coraz gwałtowniej, i niemal wpadłam w objęcia Cezarego.

– To ty? Co tutaj robisz? – wykrzyknęłam.

– Miałem nadzieję, że spotkam cię właśnie na skwerze. Bo w pracy już niestety nie...

Patrzył tak, że i mnie zrobiło się przykro.

– A może zobaczymy się wieczorem? Wpadłbyś do mnie na przykład około siódmej?

Zdziwiłam się, że tak łatwo poszło. Ze zdumienia nie posiadałam się jeszcze, gdy obmyślałam menu na kolację, krążąc po markecie w poszukiwaniu świeżej sałaty, bakłażana na kanapki z kozim serem i cukinii do faszerowania ryżem, boczkiem i warzywami. Nie zastanawiał mnie fakt, że dobieram składniki do kolejnej potrawy, gdyż ostatnimi czasy zainteresowałam się nieco kuchnią, ale że chcę przygotować kolację dla mężczyzny. Dla Czarka.

– Jak cudownie pachnie! Jakie masz piękne mieszkanie! – zachwyił się od progu.

Uzmysłowiłam sobie, że jest u mnie po raz pierwszy od początku znajomości.

– Dziękuję. Niestety, nie mogę powiedzieć, że ciasne, ale własne. Wynajęte.

– Jest perfekcyjne. I jaka kanapa! – Podskakiwał na siedząco, ciesząc się jak dziecko.

I tak bez przerwy. Bakłażan z serem – rewelacyjny, faszerowana cukinia – prima sort.

A Franek jest najszcześniejszym z psów, mogąc mieszkać z kimś takim jak ja.

Nawiasem mówiąc, do dzisiaj zastanawiam się, czy miałam ochotę kochać się z nim, czy też zrobiłam to z wdzięczności za balsam, którym smarował moje zbolełe serce, prawiać komplementy, rozwiewając wątpliwości, głaszcząc po włosach, szepcząc miłe słowa. Wolę nie przypominać sobie oczu Miłosa, które wpatrywały się we mnie z twarzy Czarka, i zawiedzionej miny, gdy rozstawałam się z moim byłym szefem około północy, z powodu „ciężkiego jutrzejszego dnia”.

– To do jutra, Aluniu. – Pocałował mnie na dobranoc. – Mogę zadzwonić?

O dziwo czekałam na ten telefon. Nie denerwowałam się, gdy komórka milczała do jedenastej. Około czternastej pomyślałam irracjonalnie, że w sklepie może być duży ruch. Gdy milczenie przeciągnęło się do siedemnastej, poczułam się porzucona.

„Przepraszam”, kilka minut po piątej dostałam esemesa. „Miałem wezwanie do porodu. Dasz się zaprosić na kolację?”.

Dałam. I tego wieczoru, i następnego. Wiosna wspierała wszystkie pary, nie pominęła i nas.

Przestałam widzieć w oczach Czarka spojrzenie Miłozsa. Udało mi się nawet kiedyś spojrzeć na tego drugiego zupełnie beznamiętnie, bez miłości i bez nienawiści. Czar nowego mężczyzny działał. Opiliśmy pomyślnie zakończenie pierwszego roku moich psychoterapeutycznych studiów, planowaliśmy wspólny wyjazd na żagle. Miesiąc wcześniej, gdy ku uciesze Franciszka Cezary wprowadził się do mnie na stryszek, wynajęliśmy z Moniką na potrzeby firmy kąpielnię na mieście.

Nic nie wskazywało, że ta sielanka zakończy się wkrótce. I to z mojego powodu.

Tamtego wieczoru, gdy wyjątkowo elegancki Czarek pojawił się w domu, akurat siedziałam na kanapie, sortując książki niepotrzebne już na drugim roku.

– Kochanie... – zaczął, kierując w moją stronę bukiet czerwonych róż.

Niby mogły być nagrodą za udaną sesję, ale jakoś od razu wpałam na to, w czym rzecz.

– Czy zechcesz zostać moją żoną? – Mimo braku odpowiedzi nastąpił ciąg dalszy. – Chciałem oświadczyć się na łódce, byłoby bardziej romantycznie, ale nie wytrzymałem. Nie gniewasz się?

– Nie, Czarku.

– To dobrze. – Zadowolili się odpowiedzią, która, niestety, nie dotyczyła ostatniego pytania.

– Cezary, przepraszam, ale nie wyjdę za ciebie – uściśliłam.

Nie spodziewał się. Przypomniałam sobie siebie przed ołtarzem, rój brzęczących pszczół, zamazane obrazy, zawroty głowy, panikę, złość, bezsilność, zawód. Może nie miałam powodu sądzić, że nastąpi powtórka z rozrywki, ale...

– Wyjaśnię ci to, Czarku. Posłuchaj, usiądźmy.

Niestety, już zbierał swoje rzeczy. Nie śmiałam się odezwać, nie byłam w stanie się poruszyć.

– A kwiaty? – udało mi się wykrztusić.

Przystanął na chwilę.

– Alina. Kochałem cię.

A ja wiedziałam swoje. Choć był bardzo urażony, kochał nadal.

Nie mogłam z czystym sercem zrewanżować się podobnym wyznaniem.

„Monika”, wysłałam esemesa, gdy za Cezarym zamknęły się drzwi. „Oświadczył mi się. Rozstaliśmy się”.

Odpisała natychmiast.

„Przykro, że z odreagowywaniem trafiłaś na tak fajnego faceta. Nie martw się. Nie udało się teraz, uda się za jakiś czas, z kimś innym. Z tym Kimś. Widocznie to nie Czarek. Trzymaj się. M.”.

11 CZERWCA 2013

Wieczorem nie zastałam Tomasza w domu wujostwa, rano nie było go w firmie. Przypuszczałam, że po mojej akcji z wyproszeniem go z gabinetu najzwyczajniej się obraził i „pomaszerował lewa, prawa w siną dal”. Czyżby postanowił dać mi nauczkę i pozostawił mnie w firmie samą? Żebym przekonała się na własnej skórze, jak komfortowo przebiega zarządzanie? Wizja wydawała się prawdopodobna, acz nieco zbyt prostacka. Niemożliwe, żeby trzydziestosiedmioletni facet, biznesmen z doświadczeniem, odstawiał szczeniące numery i pozostawiał interes na pastwę przysłowiowej blondynki!

A jednak nie pojawił się ani po godzinie, ani po dwóch, gdy zdążyłam już wspólnie z panią Iwoną przejrzeć większą część ubiegłorocznego bilansu. Dzięki Marcinowi wiedziałam, o co pytać, żeby nie wyjść na idiotkę przed tą gwiazdą księgowości. A im dłużej tkwiłyśmy nad papierami, tym lepiej się orientowałam w gmatwaninie informacji i liczb, mimo że siedząca przede mną dama (moim zdaniem i psychologicznym okiem zbyt młoda i głupiutka na główną księgową tak dużej firmy) udzielała mi stosownych informacji i wyjaśniała niezrozumiałe kwestie tylko do pewnych granic. Robiła mianowicie dokładnie to i dokładnie tyle, o ile ją poprosiłam. Czyżby Tomasz kazał jej coś przede mną ukryć, czy też zapatrzyła się w nowego szefa w zakresie przekraczającym obowiązki służbowe, postanawiając lekceważyć jego współpracę? Najlepszym po temu sposobem było umiejętnie nieinformowanie mnie o wszystkim.

– Marcin, spotkajmy się w kanciapie na zapleczu hali produkcyjnej. Zaraz – poprosiłam, uświadamiając sobie natychmiast, że mogło to zabrzmieć jak polecenie służbowe.

No, no, nabiera się innego tonu! Czyżbym się uczyła stanowczości czy wychodzą na jaw nieznane mi do tej pory własne cechy?

– Panie Zdzisławie, czy może zostawić nas pan samych? – zwróciłam się do szefa zmiany, który wypisywał kwity realizacji zlecenia dla drukarzy. – Dzisiaj też dla „Pomido”? – zapytałam, chcąc pochwalić się znajomością niuansów.

– Robimy dla supermarketu. Pasztesy, konserwy turystyczne, gulasz angielski. Duża partia. Chce pani przejrzeć zamówienia? Są tutaj. – Wskazał na półeczkę nad mikroskopijnym stolikiem.

Cóż, przy okazji spotkania z Marcinem mogę przejrzeć i to.

– Tak? – zapytał bez zbędnych wstępów po wyjściu pana Zdzisława. – O co chodzi? Dlaczego spotykamy się tutaj?

– Mam wrażenie, że księgową się miga, a jestem na tyle nieokrzesana, że nie wiem, o co pytać.

– Dlaczego sądzisz, że cię oszukuje?

Opowiedziałam mu o rozmowie, jaką przeprowadziłam z klientem niemal w mojej obecności (siedziałam w sąsiednim pokoju przy otwartych drzwiach). Przyjęła z zadowoleniem fakt, że zapłacił fakturę numer taki a taki na kilkaset tysięcy złotych, ale gdy zajrzałam na firmowe konto, nie dostrzegłam żadnej wpłaty. Na wszelki wypadek nie wspomniałam Marciniowi o jej reakcji, gdy zapytałam o przelew.

– Pan Stanisław ufął mi w tej materii. Zajmowałam się również windykacją należności, to znaczy ściąganiem pieniędzy, gdy ktoś nie płacił – wyjaśniła z wyniosłą miną, gdybym jednak nie zrozumiała. – I podejmę stosowne kroki, jeżeli pieniądze nie wpłyną w najbliższych dniach.

– Może wpłata nie została jeszcze zaksięgowana. – Marcin starał się znaleźć rozwiązanie. – Sprawdź jutro. Chyba że pan Dobrowolski miał jeszcze jakieś konto.

Zdażyliśmy się już zorientować z Tomaszem, że firmowe było tylko jedno. Marcin pewnie ma rację, dzisiejsza wpłata pojawi się na nim dopiero jutro. Zawstydziłam się, że zawracam mu głowę swoimi podejrzeniami. Powinnam takie sprawy wyjaśniać ze współnikiem.

– Dziękuję, Marcinie, i przepraszam, że oderwałam cię od pracy. Widać jestem przewrażliwiona i nie wiem, komu wierzyć. Myślisz, że powinnam przejrzeć zlecenia z tej półki? – Zerknęłam na niewielki stosik karteluszek z zadaniami na dziś dla drukarzy. – „Zlecenie nr 3801/13, zamawiający: firma PHU Wilczek, dwadzieścia tysięcy etykiet «Maseczka do twarzy z awokado»” – rzuciłam okiem na pierwsze z brzegu.

– Nie ma sensu. – Machnął ręką. – Powinnaś poznać wszystkie zamówienia od klientów od początku roku i faktury wystawione przez „Anieldruk” za wykonane prace i płatności klientów. Zamówienia znajdziesz w dziale sprzedaży, a resztę w księgowości – dokończył, uprzedzając kolejne pytanie.

W drodze do biurowca przemierzałam hale i magazyny. Maszyny chodziły, ludzie pracowali, na ogromnych regałach nie brakowało bel taśmy do produkcji, po podwórzu manewrowały samochody dostawcze, przywożąc coś lub wywożąc nieustannie. Na oko wszystko wyglądało okej, firma działała jak w zegarku. Dzisiaj po południu jeszcze odwiedzimy notariusza i odbierzemy papier poświadczający własność, a później pomyślimy, co dalej.

Próbowałam skontaktować się z Tomaszem, ale bez skutku. „Abonent poza zasięgiem”. „Numer, z którym próbujesz się połączyć, jest niedostępny”. „Numer chwilowo zajęty. Poinformujemy cię, gdy zakończy się rozmowa”, sygnalizowała komórka.

– Orientuje się pani, czy pan Tomasz pojawi się dzisiaj w firmie? – zapytałam sekretarkę.

Mogła być lepiej poinformowana ode mnie.

– Pan prezes nie wspominał, kiedy będzie. Czy mogłabym wyjść dzisiaj o godzinę wcześniej? – skorzystała z okazji. – Mam wizytę u lekarza.

Spytaj, babo, swojego pana prezesa, a nie mnie!, miałam ochotę wrzasnąć. A poza wszystkim co to za umawianie się z lekarzem w godzinach pracy?

Nie wiedziałam, jak się zachować. Nie miałam doświadczenia w zarządzaniu ludźmi, a już zwłaszcza takimi rarogami. A może w firmach arogancja pracowników jest sprawą normalną?

– Czy były jakieś ważne telefony? – Na razie zignorowałam potrzeby pani Wandy. – Jest coś istotnego do załatwienia?

– Dzwonili z „Impaxu” i „Dolmedu” w sprawie zamówień. Przekazałam informacje dyrektorowi Kowalewskiemu. Poza tym trzeba podpisać grafik urlopów. Czy będę mogła wyjść wcześniej? – nie odpuszczała.

Udałam, że nie słyszę.

– Kto zajmuje się „Impaxem” i „Dolmedem”?

– Do tej pory dyrektor Kowalewski właśnie. A większe umowy negocjował pan prezes.

– Może pani wyjść dzisiaj wcześniej, ale jutro zostanie o godzinę dłużej.

– Słucham?

Zdziwienie świadczyło, że moje zachowanie nie było standardowe. Powinnam chyba była bez słowa przystać na jej prośbę. A może i zachęcić do dalszego dbania o zdrowie w godzinach pracy.

– Jeżeli nie odpowiada pani takie rozwiązanie, proszę pozostać w firmie zgodnie z grafikiem.

Niezadowolona pani Wanda zaczęła ostentacyjnie składać papiery i grzebać w torebce w poszukiwaniu szminki i lusterka.

– Zostanę jutro dłużej – zakomunikowała obrażonym tonem.

Byłam zaszokowana.

Sekretarka wyglądała na ryczącą pięćdziesiątkę, a o ile się orientowałam, praca nie leżała na ulicy. Zwłaszcza na prowincji. A już na pewno nie czekała na osoby bez specjalnych kwalifikacji i w pewnym wieku. Przeglądając listy płac (pobłogosławiłam Marcina za wskazanie mi newralgicznych punktów i istotnych danych), miałam okazję zorientować się w wysokości pensji. Szczerze wątpię, że pani Wanda w jakimkolwiek innym zakładzie na podobnym stanowisku osiągnęłaby choć zbliżony dochód. A zachowywała się tak, jakby jej nie zależało na etacie.

– Tomasz? Gdzie się podziewasz? Od kilku godzin próbuję się z tobą skontaktować! – Przy kolejnej próbie połączenia usłyszałam wreszcie w komórce jego głos.

– W Niemczech, blisko granicy z Belgią. Kilka godzin temu padła mi bateria, dzwoniłem do sekretariatu, Wanda ci nie przekazała? – nadawał jak karabin, zapewne w obawie, że nagle stracimy łączność.

– Nie. Co tam robisz? Nie pamiętasz, że za półtorej godziny mamy spotkanie u notariusza?

– Przepraszam, trzeba przelożyć. Musiałem pilnie wyjechać w sprawie mojej firmy. Pod Aachen rozbił się TIR z transportem dla niemieckiego klienta, więc sama rozumiesz. Cała ta kołomyja spadła na mnie. Kierowca w szpitalu, ciężarówka w rowie, książki porozrzucane po okolicznych polach, wyciągarki, lawety, ubezpieczyciele i tak dalej. Wyjechałem nagle wieczorem. Co w firmie?

– W porządku. Kiedy wracasz? Na kiedy przelożyć notariusza?

Zastanawiał się przez chwilę.

– Jutro, najdalej pojutrze nad ranem będę we Wrocławiu. Może uda mi się, po załatwieniu wszystkich spraw, dojechać do Zastawna za dwa, trzy dni. Dasz sobie radę?

– Myślę, że nie zdążę doprowadzić drukarni do upadłości przed przybyciem pana prezesa – wyartykułowałam starannie.

Komórka Tomasza zamilkła na chwilę.

– Alinko? – W głosie jej właściciela nie było spodziewanej urazy. – Gdybyś podczas mojej nieobecności musiała wyjechać, przekaz spraw panu Marcinowi, nie dyrektorowi Kowalewskiemu. Wydaje mi się, że Marcin jest lepszym menedżerem, więc wybaczam mu, że nieustannie kręci się wokół ciebie (co za uwaga!, pomyślałam). Zresztą musimy pogadać, co zrobić z niektórymi pracownikami. Słyszałaś? – zapytał, nie doczekawszy się natychmiastowej odpowiedzi.

Przeszkadza mu, że Marcin się kręci? Kto by pomyślał! To miłe i zaskakujące.

– Dobrze. Nie zamierzam jednak w najbliższych dniach wyjeżdżać do Wrocławia, a jeżeli, to na kilka godzin po południu. Wracaj bezpiecznie. Notariusza ustawię wstępnie na piątek lub na przyszły tydzień.

Zakończyliśmy. Nie próbowałam nawet wyobrazić sobie, ile zabulę za dwudziestominutową rozmowę z Niemcami. Zwłaszcza że do wizyty u pana Lenziona wypłaty z firmowego konta nie wchodziły w rachubę.

Notariusz! Na wspomnienie spotkania, do którego został raptem kwadrans, poderwało mnie z fotela.

Na szczęście odległości w Zastawnie były proporcjonalne do wielkości miasteczka. Mini przemierzył drogę z parkingu pod biurowcem pod kancelarię w siedem minut.

Pozostawiłam go przy niewielkim ryneczku z centralnie położoną fontanną, ozdobioną figurą rybaka. Całkiem tu ładnie!, podziwiałam w biegu chodniki wyłożone szarą kostką granitową, kilkuletnie platany otaczające rynek z czterech stron, gazony pełne kolorowych cynii, azalii i nasturcji. Drewniane, zakończone kutymi podłokietnikami ławki okupowali mieszkańcy, głównie matki z wózkami, dzieciaki zadowolone z nadchodzących wakacji, seniorzy zagapieni na pojedyncze samochody, rowery, spacerówki.

Mimo upału na klatce schodowej kamienicy notariusza Tadeusza Lendziona panował miły chłód. Wspinając się po krętych drewnianych schodach na drugie piętro, usłyszałam dochodzący zza drzwi kancelarii znajomy głos.

– To znaczy, że sprawy w sądzie pan notariusz załatwi?

– Oczywiście. Dom został przez pana sprzedany, a przez panie kupiony. Teraz panie otrzymają jeszcze wyciągi z ksiąg wieczystych. Gratuluję transakcji. I do zobaczenia. Za chwilę mam spotkanie z kolejnym klientem.

Nie wiedziałam, czy wejść dalej, czy się wycofać, udając, że mnie tu nie było. Zdecydowanie nie miałam ochoty na to spotkanie.

Dylemat rozstrzygnęły otwierające się drzwi, w których pojawili się po chwili nieznany mi mężczyzna, mająca właśnie odbywać wizytę lekarską pani Wanda i nasza księgowa Iwona.

Na mój widok obie kobiety zastygły. Później wymieniłyśmy szybkie ukłony, przecisnęłyśmy się obok na wąskich schodach. Ja podążyłam do góry, one w kierunku wyjścia.

W kancelarii panował znajomy półmrok. Od wirującego wentylatora ciągnął sympatyczny chłodek.

– Bardzo proszę, niech pani spocznie. – Pan notariusz wskazał mi miejsce na pikowanej kanapie.

Ledwie zdążyłam usprawiedliwić nieobecność Tomasza, gdy do kancelarii wszedł tato. Po dziesięciu minutach pożegnaliśmy pana Lendziona, ustaliliśmy kolejny termin spotkania.

– Chyba nie śpieszysz się do domu, tatuś? – zapytałam na zewnątrz, oddając się we władanie popołudniowego, ale jeszcze mocno kąsającego słońca. – Wejdiesz do mnie?

– Córku... – zawahał się. – Jadę prosto z Berlina, ale wejdę. Wejdę! – podjął decyzję. – Dawno mnie tam nie było.

LATO 2009

Pierwszy rok studiów podyplomowych zakończyłyśmy z Moniką pomyślnie, przede wszystkim utwierdzone w przekonaniu, że wybrałyśmy właściwą drogę. Lżejsze o ponad siedem tysięcy złotych na głowę, bo tyle wyniosło czesne, szczęśliwe, że zdanymi egzaminami i zaliczonymi ćwiczeniami, ściboląc groszaki w portmonetkach, planowałyśmy wakacyjny wyjazd. Pomysł z testami psychologicznymi w szkołach wypalił, zaopatrując naszą firmę w stały dopływ gotówki. Nie była to może lawina pieniędzy, lecz średniej wielkości strumień, niemniej jednak stan na koncie, mimo bieżących wydatków, utrzymywał się niczym Wisła wiosną „w wyższej strefie stanów średnich”. Gdyby nie konieczność opłacania studiów, może nawet pomyślałabym o oszczędnościach?

– Gdzie się wybierzemy, Ala? – zagaiła Monika, gdy w jeden z ostatnich czerwcowych dni spotkałyśmy się na stryżku. – Może pod namiot, nad jezioro?

– Na Mazury miałam jechać z Cezarym. Na łódkę, a nie jak jakiś cywil, żeby siedzieć na trawie i kąpać się przy brzegu! Odpada.

– To do Halszki. Do Kudowy! – podnieciła się nowym pomysłem. – Jej rodzice mają pensjonat.

– I uważasz, że w sezonie odstąpią ci miejsce za bezcen? – zdusiłam entuzjazm w zarodku.

Halszka pomyślnie zrobiła dyplom w tym samym roku co my, po czym pognęła do rodzinnego miasteczka, by pomagać w prowadzeniu rodzinnego interesu. Zamiast zgłębiać tajniki ludzkich dusz i wyciągać do ludzi dłoń psychologa, zajmowała się zaspokajaniem nieco bardziej przyziemnych potrzeb klientów: wymianą pościeli, podawaniem posiłków, myciem toalet. Dbalność o zadowolenie gości przyniosła, nawiasem mówiąc, wymierny skutek w postaci o dwadzieścia lat starszego pensjonariusza, który dostrzegł walory młodej gospodyni i wywiózł ją białym mercedesem ku nowemu, niemieckiemu, bardziej zamożnemu życiu.

– Racja. Tam nigdy nie było tanio, a do tego tylu Niemców... – zgodziła się Monika. – To może do Zastawna? – dodała ciszej, zapewne z braku lepszych pomysłów.

Spojrzałam na nią i nagle zobaczyłam osobę skromną, nieśmierzącą groszem, gotową zrezygnować z ryzykownych przedsięwzięć, odpuścić marzenia na rzecz wyjazdu na wieś pod Wrocław. Bo przecież tam też jest ładnie – rzeka, stawy, jeziora, bagna, ptaszki, swojska przyroda, krążące bociany, malwy pod płotem, cudowne zachody słońca, wiejski twaróg, świeże jaja od kur z wolnego wybiegu, dochodzące koty szukające pełnej miski. Raj. Tyle że ja nie tak (niestety, tym razem nie tak) wyobrażałam sobie wakacyjny wyjazd. O ile szpital Zastawno wspaniale leczył rany po nieszczęsnym epizodzie z Miłoszem, o tyle nie potrzebowałam izolatki po rozstaniu z Cezarym. Nic. Żadnego domku na drzewie, żadnego przytuliska w wystających korzeniach drzew nad rzeką, nic z tych rzeczy. Wujostwo tak, otoczenie nie. Tam mogłam sobie pojechać później.

– Odwiedzimy Toskanię – palnęłam.

Spodziewałam się takiej reakcji. Przestraszona moją odwagą Monika czekała na konkrety.

– Młoda! – ciągnęłam. – Wyjedziemy na podbój świata! Pożyczę od wuja auto i w drogę! Dlaczego nie? Mamy po dwa tysiące, weźmiemy parę rzeczy i wio! Co ty na to?

Po kilku dniach siedziałyśmy już w wygodnym SUV-ie.

Minęłyśmy Kudowę, w której Halszka odnalazła miłość i dostatek u boku

podstarzałego Niemca, przejechaliśmy przez Pragę i skierowałyśmy się w stronę Monachium. Przemierzyłyśmy Austrię i północne Włochy, by osiąść w wyszukanej w Internecie niewielkiej miejscowości, położonej na porośniętym winoroślą wzgórzu Fabbrica di Peccioli.

Pensjonat mieścił się przy wybrukowanej kamieniem uliczce i jak większość tutejszych domów miał również kamienne ściany. Niezbyt duże okna zabezpieczały drewniane, zielone i niebieskie, okiennice. Otworzyłyśmy je i zapatrzone w zachód słońca na porośniętym cyprysami horyzoncie, znalazłyśmy się w centrum wszechświata.

– Kobieto, jak tu pięknie! – darłam się przez okno, nie zważając na ewentualną publiczność.

Nawet jeśli słyszeli, nie rozumieli po polsku.

– Nie wierzę, że to zrobiliśmy! – dołączyła się Monika.

Obiegłyśmy oba pokoje, po jednym dla każdej (!), ładnie urządzonej łazienkę, dobrze wyposażoną kuchnię. Wypróbowałyśmy łóżka, włączyłyśmy klimatyzację. W lodówce czekało wino. Chianti.

– Monika, czy myślisz o tym samym, co ja? – odezwałam się, przygotowując kolację.

Wykładałam na stół zakupione w sklepie produkty: tokański chleb *fettunta*, oliwę, pomidory, *prosciutto*, boczek *rogatino*, ogórki.

– Chyba tak. Jesteśmy w raju.

Byłyśmy w nim przez cały tydzień. Krążąc pod turkusowym niebem Toskanii, pokonując jej porośnięte cyprysami pagórki, mijając gaje oliwne i pola winorośli, zwiedzając średniowieczne miasta na wzgórzach, delektowałyśmy się bruschettą, nie odmawiałyśmy sobie *panforte*, pysznego korzennego ciasta z orzechami i suszonymi owocami, popijałyśmy lokalne chianti. W San Gimignano, mieście kilkunastu strzelających w niebo kamiennych wież, należących dawniej do rycerskich rodów, jadłyśmy najlepsze w świecie lody, w chlubiącej się etruską przeszłością Volterze, wzniesionej z lokalnego wapienia zwanego *panchino*, oglądałyśmy panoramę górzystego pustkowia. Pochłaniałyśmy pizzę margaritę u stóp Krzywej Wieży w Pizie, odkryłyśmy przepiękne rodzinne miasto Pucciniego, Lukę, opalałyśmy się w Livorno nad Morzem Tyrreńskim.

Niestety, czas – tak piękny, bogaty w doznania estetyczne i kulinarne, obdarowujący nas dobrym nastrojem, refleksją i lekkością bytu – musiał się kiedyś skończyć. Opuszczałyśmy sympatyczną Fabbrica di Peccioli, by ostatnie dwa dni spędzić we Florencji.

– Widzisz to, co ja? – Monika piała z zachwytu w otwartym oknie akademika, w którym zabukowałyśmy pokój.

Przed nami rozpościerał się widok na rzekę (jak przeczytałyśmy w przewodniku – na Arno), której brzegi łączyły stare mosty. A ten najbliższy okazał się Ponte Vecchio, najstarszym i najpiękniejszym w mieście, opodal szesnastowiecznego pałacu Uffizich. Pełen sklepów jubilerskich stanowił ekskluzywną ulicę handlową, na której tyłach znajdowały się warsztaty złotnicze.

Nie mogłam uwierzyć, że można się znaleźć w tak pięknym miejscu, nie będąc bogatym Amerykaninem, nie grając w filmie czy nie nosząc przy sobie talii kart kredytowych.

– Idziemy na kolację, Mon! – zdecydowałam. – A co tam, że trochę zaboli w kieszeni!

Rozsiadłyśmy się w ogródku restauracji w pobliżu pałacu Bargello (przewodnik znów się przydał). Dzisiaj miał być *food*, jutro podziwianie dzieł Michała Anioła, Donatella, Celliniego. Posiłkując się podręcznym słowniczkiem, spróbowałyśmy zamówić po włosku tagliettę, czyli stek z kością, i czerwone wino brunello di Montalcino. Bardzo miły kelner nie zrozumiał.

– *Mi scusi, mi scusi?* – powtarzał coraz głośniejsze, a my coraz głośniejsze odczytywałyśmy

tekst zamówienia.

– *Direttamente* – usłyszałyśmy za plecami. – On nie rozumie, więc może my wam pomożemy?

Dwaj rodacy, mniej więcej w naszym wieku, wyrosli jak spod ziemi w charakterze mężów opatrnościowych. Złożyli zamówienie.

– *Certamente!* – ucieszył się Włoch i z uśmiechem pobiegł do kuchni.

– Co on powiedział? – nie wytrzymałam.

– „Oczywiście”. Zadowolony, bo zrozumiał. Jestem Remek – przedstawił się nasz dobrodziej.

– Radek – wyciągnął dłoń stojący obok chłopak.

Zapadło milczenie. Chyba niekoniecznie zależało nam na towarzystwie, zwłaszcza że był to jeden z ostatnich tokańskich wieczorów, ale skoro pomogli?

– Siadajcie. – Wskazałam na wolne krzesła. – Alina – przedstawiłam się. – A to Monika.

Wieczór przeciągnął się do wschodu słońca.

Dzień, rozpoczęty różowym świtem nad Piazza del Duomo, spędziliśmy na zwiedzaniu katedralnej dzwonnicy i Galerii Uffizi. Na wiele więcej, zważywszy na kolejki do kas, nie wystarczyło czasu.

Do Polski wracaliśmy razem. Monika z Radkiem z tyłu, ja z Remkiem na przednich siedzeniach. Świat jednak jest piękny, myślałam, a niewątpliwie pełen niespodzianek.

W każdym jego zakątku.

12 CZERWCA 2013

Pani Alino, dyrektor Kowalewski chce panią widzieć.

Od samego rana sekretarka była równie nietaktowna jak wczoraj. Z każdym kolejnym zdaniem kopała pod sobą coraz głębsze dołki.

– Prosił, żeby pani do niego zaszła. Gabinet za salą konferencyjną.

Nie zapytałam, w jakiej sprawie. I tak się dowiem, kiedy pan dyrektor „zajdzie” do mnie.

Co za aroganccy ludzie!, myślałam zdumiona. Uparcie traktują mnie jak byle kogo, wołając do gabinetów, które przecież są własnością moją i Tomasza, lekceważą.

– Proszę wezwać pana dyrektora tutaj – wydałam dyspozycje tonem nieznoszącym sprzeciwu. – I kawę ze śmietanką poproszę.

Po wczorajszym spotkaniu z tatą, które przeciągnęło się do późnych godzin wieczornych, byłam trochę niewyspana i wytrącona z równowagi. Pomijając pogrzeb wujka i wizytę mamy w Zastawnie, od kilku miesięcy nie miałam bliższych kontaktów z najbliższymi. Nawet ostatnią Wielkanoc spędziłam z wujem.

– Alinko, zapomnij Miłoszowi ten numer sprzed lat. – Tato próbował przemówić mi do rozsądku za każdym razem, gdy tylko nadarzała się okazja. – Tyle czasu minęło, co się stało...

– ...to się nie odstanie – dopowiedziałam. – Tato, nie ruszają mnie ludowe przysłowia i inne tak zwane prawdy, wiesz? – Od zawsze mnie wkurzały te odwołania. – Choć mogę dołożyć swoje: „Na dwoje babka wróżyła”. Z każdej sytuacji jest wyjście, a właściwie co najmniej dwa. Zatem mogę wybaczyć albo nie. Mogę też nadal robić to, co robię – czasami spotykać się z nimi, na przykład ze względu na Tosię. I tyle.

– Ale my z mamą urodziliśmy dwie córki, Alinko! Czy naprawdę nie potrafisz zrozumieć, że nam ciebie brakuje? Mnie, mamie, myślę, że Aldonie też. Ostatnio nie bardzo im się układa z Miłozsem...

Zaczynałam pojmować. Aldonka potrzebowała siostrzanego wsparcia i... części spadku, który z pewnością polepszyłby stosunki małżeńskie, nadwątlone koniecznością mieszkania z rodzicami na moim drugim pięterku. Parę groszy na samodzielne lokum by się przydało. Czyżby tato był wysłańcem, mającym zmiękczyć moje serce?

– Naprawdę sądzisz, że będę się nad nimi użalać? Nad wami wszystkimi? A kto urządzał ich ślub na pogorzelsku mojego? Nie można było dla przyzwoitości odczekać kilka miesięcy, aż łzy obeschną, a ja trochę się pozbięram?

– Aldona była w ciąży – powiedział, niemal z wyrzutem.

– No właśnie. Ciekawe, z kim? Wszyscy zachowaliście się skandalicznie, tato. Więc teraz niczego nie macie prawa ode mnie wymagać. Żadnej rodzinnej atmosfery, serdeczności, przywiązania. Nie za to, co mi zrobiliście. A jeśli przyjechałeś tu z misją wyłudzenia kasy dla Aldony, to źle trafiłeś. Jeżeli nawet kiedykolwiek zaświtała mi myśl, żeby się z nią podzielić, to po wizycie mamy, a teraz po twojej, sprawa jest nieaktualna. Boże, a ja głupia myślałam, że przyjechałeś do notariusza rzec się spadku!

– I tak było. Przyjadę jeszcze raz, w piątek – potwierdził dobre intencje.

Odjechał po jedenastej wieczorem; pewnie zapowiedział w domu, że wróci z Berlina około północy. Ciekawe, czy wyśpowiada się z nieudanej misji, czy była to jego własna inicjatywa.

– Słyszałam, że chciał się pan ze mną widzieć. Oto jestem – powitałam dyrektora Kowalewskiego, gdy wszedł, a raczej wślizgnął się do okupowanego przeze mnie pod nieobecność Tomasza gabinetu wujka. – Czym mogę służyć?

Nie interesowało mnie, czy wyczuwa kpinę, czy bierze mój ton za dobrą monetę.

– Pani prezes, prosiłem panią Wandę, by zorganizowała nasze spotkanie. Przepraszam, jeśli coś wyszło nie tak.

– Proszę usiąść. – Celowo wskazałam krzesło naprzeciwko biurka. Sama umościłam się po jego drugiej stronie, w przepastnym skórzanym fotelu.

Nie znałam faceta, nie wiedziałam, kto jest bezczelny: on czy sekretarka. Tak czy inaczej, sądząc po nieustannym ocieraniu potu z łysiny, pan Zdzisław przyszedł, by podzielić się problemami.

– Słucham?

– Mamy kłopot z „Impaxem” i „Dolmedem”. To nasi klienci – dodał.

– Wiem. – Przypomniałam sobie nazwy.

– Obie firmy twierdzą, że zapłaciły za dostawę, dużą dostawę, a otrzymały zaledwie niecałą połowę zamówionych etykiet. Podobno my tłumaczymy się tym, że wpłynęła tylko część pieniędzy i wstrzymujemy druk.

– Jacy „my”? Kto tak twierdzi?

– Pani Iwona. Księgowa.

– A co pan zrobił w tej sprawie? – zapytałam, pamiętając o rozmowie, którą Kowalewski miał odbyć z obiema firmami.

– Zagwarantowałem im całość w najbliższym czasie i wyraziłem nadzieję, że pieniądze wpłyną wkrótce. Produkcja już ruszyła.

– To dobrze. Proszę dopilnować, żeby wszystko doszło na czas. – Wyciągnęłam rękę na pożegnanie.

Nagle zaczęło mi się śpieszyć.

– Aha, dopóki sprawa się nie wyjaśni, proszę z nikim na ten temat nie rozmawiać.

– Nawet z panem Tomaszem?

Miło, że zapytał, a nie polecał prosto do prezesa z komórkowym ozorem.

– Sama mu to przekażę. Dziękuję.

„Panie Janie, mam problem”, zaesemesowałam, nie mogąc się dodzwonić do wujowego prawnika. „Znikają mi pieniądze z firmowego konta. Gdyby mógł się pan odezwać”.

„Do piątku jestem za granicą”, odpowiedź przyszła natychmiast. „Alinko, opisz sprawę w mejlu, postaram się coś poradzić. Podaję adres: j.smolski@data.pl. Głowa do góry. J.S.”.

W skrzynce odbiorczej był jeszcze jeden esemes. Od Moniki.

„Radek u matki. Pokłóciliśmy się na śmierć i życie. Moja mama złamała nogę i nie może przyjechać. Mam jutro pięć godzin terapii i zero opiekunek do dziecka. Przyjedziesz?”.

Pisałam, zbierając rzeczy z biurka.

„Będę za godzinę”.

– Pani Wando, muszę pilnie wyjechać – zakomunikowałam, czując podświadomie, że nie wolno mi wyjawiać prawdziwego powodu ucieczki z placu boju. – Zaraz, zaraz, jak to mówi prezes, który robi sobie wolne...? – Przypomniałam sobie filmowe dialogi. – Aha, idę do banku. Gdyby ktoś o mnie pytał.

Sekretarka, zamiast przyjąć stereotypową odzywkę ze spokojem, poderwała się jak dźgnięta igłą.

– Do banku? A w jakiej sprawie? Może mogę pomóc? Czy pani prezes potrzebuje jakichś dokumentów?

– Dziękuję, pani Wando. W pilnych przypadkach proszę dzwonić. Będę pod komórką. Jeżeli przez chwilę zastanowiła mnie jej nadgorliwość, zapomniałam o niej natychmiast, gdy wsiadłam do auta. Krótka wizyta w dworku wujostwa, parę rzeczy do walizki, zimna parówka popita maślanką i w drogę.

„Jadę, Moni! Jadę do Wrocławia!”, wysłałam kolejnego esemesa. „Zrobić zakupy?”. Chciała bułki, masło, kilka plasterków wędliny.

Buszując z rozkoszą po hipermarkecie, nie bardzo wiedziałam, co wkładać do kosza. Czy my to wszystko zjemy?, przypatrywałam się stertom żarcia, na które się zdecydowałam. Anchois, krewetki, sałata, majonez, superparóweczki z szynki, awokado, bagietka. Żeby nie wspomnieć o najbardziej śmierdzącym serze w całym sklepie i o trunkach.

– Jestem! – zawołałam do domofonu.

Nie czekając na odpowiedź, pchnęłam drzwi na klatkę schodową. Z pełnymi siatami wbiegłam na drugie piętro, gdzie znajdowało się mieszkanie mojej przyjaciółki.

– Misia! – Podbiegłam do kojca pełnego zabawek i Michaliny, która podskakiwała w nim jak piłka do koszykówki. – Ciotka bardzo się za tobą stęskniła! – Podrzuciłam ją do góry, aż zapiszczała. – A ty, mamusia, co? – Odwróciłam się do Moniki, nie przestając się szczerzyć do dziecka.

Prawdę mówiąc, przeraziły mnie ciemne worki pod jej oczami, zapadnięte policzki, włosy domagające się mycia.

– Aż tak źle?

Osunęła się na krzesło i rozplakała.

– Alina! Radek wyprowadził się do matki! Zostawił nas, rozumiesz?

Nie potrafiłam. Radek? Toskańska zdobycz Moniki, w przeciwieństwie do mojego Remka, który od dawna był już przeszłością, trwająca przy niej na dobre i na złe, kochająca, wielbiąca, opiekuńcza?

– Jak to: zostawił? Ma kogoś?

Nie mogła powstrzymać łez.

– Powiedział, że musi przez kilka dni tam pomieszkać, bo matka rzekomo miała stan przedzawałowy. Ale tak naprawdę to ona ma świra, żeby go zatrzymać! Alina, rozumiesz? Robi wszystko, żeby tak się stało. Nigdy się jej nie podobałam. Byłam za chuda, za myszowata, zbyt niedorobiona jak dla jej synusia. A teraz ściągnęła go do swojej willi. Pewnie każe się poić herbatą, przykładac sobie kompresy na czoło. I wreszcie jest zadowolona.

– Moni, co ty wygadujesz? – Nie mogłam tego dłużej słuchać. – Przecież Radek nie jest głupi! Nie dałby się nabrać. A już z pewnością bez powodu nie wyniósłby się z domu!

– Owszem, daje się nabierać, Alina. Nie pierwszy raz, ale aż do teraz przymykałam oko. Ale już koniec. Wyprowadził się na własną prośbę.

Zmieniła się na twarzy. Przeczesała ręką włosy, potarła ręką policzek. Wyprostowała plecy.

– Robimy kolację? – zaproponowałam. Na horyzoncie zamajaczyła perspektywa dalszej, może nieco bardziej konstruktywnej konwersacji. – Może choć raz, koleżanko, to ja będę mogła ci pomóc?

Krojąc pieczywo czosnkowe, wymyślałam strategię terapii. Niech opowie o Radku. Kurczę, co tam strategia! Oporządziśmy ze dwa wina i wszystko się wyjaśni.

– Położę Michalinę. – Monika zniknęła za drzwiami małego pokoju.

Wyszukałam odpowiednią muzykę. Zapiekanka po chwili trafiła do piecyka, sałatka pachniała oliwą i ziołami prowansalskimi.

Misia zasnęła wyjątkowo szybko. Usiadłyśmy obok siebie na kanapie.

– Wiesz, jaka jestem nieszczęśliwa... – zaczęła moja przyjaciółka, gapiąc się przed siebie tępym wzrokiem.

– Myślisz, że ja jestem szczęśliwa? – zapytałam retorycznie.

– To co? Może pani chce o tym porozmawiać? – Spojrzała zadziornie.

– A pani?

Musiałśmy się roześmiać.

W pokoju obok pisnęła Michalina.

– Cicho! – krzyknęła jej mamusia.

– No właśnie, mała! Śpij! – dorzuciła ciocia.

Za ścianą niebawem zapanowała cisza.

– Widzisz, zrozumiała – podsumowałam, otwierając butelkę chianti, którą kupiłam na pamiątkę spotkania z Radkiem i z myślą o ratowaniu ich małżeństwa. – Nie przejmuj się tą aluzją – dodałam, bo Monika nie wyglądała na zachwyconą. – Wino jak wino. To za spotkanie! I mów wszystko.

LISTOPAD 2009

A wy, rodzice chrzestni, czy jesteście gotowi pomagać rodzicom tego dziecka w wypełnianiu obowiązku wychowania go w wierze, aby zachowując Boże przykazania, miłowało Boga i bliźniego, jak nauczył nas Jezus Chrystus?

Zarówno ja, jak i stojący obok brat Miłosza, Grzegorz, wypowiedzieliśmy sakramentalną formułkę.

– Jesteśmy gotowi.

– Antonino Krystyno. – Ksiądz zwrócił się do mojej maleńkiej trzymiesięcznej siostrzenicy. – Wspólnota chrześcijańska przyjmuje cię z wielką radością. – Po czym nakreślił na czole dziecka znak krzyża.

Gest powtórzyła cała czwórka rodziców nowo przyjętej.

Ksiądz rozpoczął mszę świętą, która aż do kazania przebiegała standardowo. Później, po modlitwach egzorcyzmu i poświęcenia, Aldona z Miłoszem i my, chrzestni, ponownie wcieliliśmy się w narzucone nam role. Zgodnie wyrzekliśmy się grzechu, „aby żyć w wolności dzieci Bożych”, „wszystkiego, co prowadzi do zła”, „szatana”, deklarując, że „wierzymy w Boga Wszechmogącego, w Jezusa Chrystusa, w Ducha Świętego”. Potwierdziliśmy nasze pragnienie, aby Antonina Krystyna otrzymała chrzest w wierze Kościoła.

Mała szeroko otworzyła oczy, gdy ksiądz polewał jej główkę wodą święconą z chrzcielnicy i namaszczał czółko znakiem krzyża. Napominana znaczącymi spojrzeniami Aldony, chwyciłam białą szatę i przykryłam nią piersi dziecka. Grzegorzowi łatwiej było się zorientować, kiedy wkroczyć do gry. Na słowa księdza: „Przyjmijcie światło Chrystusa”, rzucił się w kierunku paschału, by zapalić od niego świecę. Na zakończenie ceremonii przyjęliśmy jeszcze do wiadomości, że oto czeka nas obowiązek „podtrzymywania światła, by dziecko trwało w wierze i mogło wyjść na spotkanie przychodzącego Pana razem ze wszystkimi Świętymi w niebie”. Pozostało jeszcze przyjąć komunię i złożyć w zakrystii podpis poświadczający nasz udział w obrzędzie.

Muszę przyznać, że po wyjściu z kościoła czułam się dziwnie. Zgodziłam się zostać matką chrzestną ze względu na Antoninę, drobniutką istotkę, która nie miała nic wspólnego z naszą zagmatwaną rodzinną historią. Mimo wszystko trudno mi było, stojąc w kościele przed księdzem i u boku Miłosza, nie pamiętać o wydarzeniu sprzed półtora roku. Z determinacją odsuwałam od siebie złe myśli, uciekające od ceremonii w kierunku starych, niestety wciąż niezabliźnionych ran. W końcu znalazłam się w gronie niemal tych samych osób, które ongiś świadcowały mojej klęsce: matki mojego niedoszłego męża, jego ojca, rodzeństwa, znajomych, mojej mamy, taty, wujostwa, koleżanek i kolegów Aldony, a co gorsza – Miłosza. Przeżywałam niezręczne powitania, pytania o samopoczucie, które z uwagi na okoliczności straciły znamiona retorycznych, ulotne spojrzenia pragnące wychwycić mój nastrój, całą tę atmosferę dyskretnego zainteresowania moją osobą. Czułam się jak dwugłowe ciele. Najchętniej włożyłabym czapkę niewidkę.

– Zapraszamy wszystkich na obiad. – Mama, po skontrolowaniu, czy Antosia została właściwie okryta w wózek i czy nie grozi jej przeziębienie, starała się organizować towarzystwo. – Do „Panoramy”. Czy wszyscy wiedzą, gdzie jest „Panorama”? – Jak przystało na nauczycielkę, nazwę restauracji powtórzyła głośno i wyraźnie.

Goście pokiwali głowami, rozchodząc się do samochodów.

Wytrzymaj jeszcze dwie godziny!, powtarzałam sobie w duchu. A niech patrz!

Próbowałam ignorować niezdrową ciekawość obecnych, skupiającą się na mojej skromnej osobie.

Na szczęście zaczął padać pierwszy w sezonie śnieg. Cóż za wspaniały pretekst do zmiany tematu pokątnych rozmów!, pomyślałam.

– Antonina przyciągnęła zimę! – dostrzegła ciocia Terenia.

Jakaż przenikliwość!

– W tej bieli wygląda jak Królowa Śniegu! – zawtórowała jej druga siostra mamy, Mariola. – Jaka ona ładniutka! – roztkliwiła się nad zawartością wódeczka. – I podobna do Aldonki. A ty, dziecko, ułożyłaś sobie życie? – zaatakowała mnie ni z tego, ni z owego osobistym pytaniem. Zupełnie jakby czekała na odpowiedni moment.

Nie odpowiedziałam. Nigdy nie wiedziałam, jak reagować na bezczelne pytania osoby, która nie bacząc na cudze uczucia, wpycha się z buciarami w moje życie, byle zaspokoić niezdrową ciekawość. Jak znałam ciotkę, nie powodowała nią troska.

– Jeszcze sobie ułożysz – odezwała się ponownie, gdy nie otrzymała odpowiedzi. – A teraz zostałam mamą chrzestną! Na dobry początek!

Byłam na siebie wściekła. Konfrontacja z rodziną wypadła fatalnie. Nie potrafiłam się odgryźć. Dla nich wciąż pozostawałam pokonanym kopciuszką, biedną Alinką, która nigdy się nie pozbiera „po tym nieszczęsnym wydarzeniu”. Na dodatek odnosiłam wrażenie, że sprawca zamieszania, dumny tatuś Antoniny, nie zasługuje w oczach zgromadzonych na potępienie, a nawet chodzi w glorii chwały ojca świeżo ochrzczonej Królowej Śniegu. Miałam do siebie pretensje, że się wstydzę, że pozwalam się zepchnąć w kąt, że nie umiem wysoko nosić głowy. A przecież skończyłam studia, jestem na drugim roku psychoterapii, prowadzę firmę, pracowałam w zoologii! Miałam Cezarego, a teraz mam Remka.

– Naprawdę nie chcesz, żebym poszedł z tobą? – zapytał, gdy powiedziałam mu o chrzcinach.

Odmówiłam. Na samą myśl o komentarzach robiło mi się niedobrze. Wyobraziłam sobie siostry mamy.

– Przystojny, dobrze ułożony. Myślicie, że się z nią ożeni? – zagadnęłyby Teresa, ta bardziej wścibska.

– Żeby tylko nie zostawił jej przed ołtarzem... – skinęłyby głową Mariola z udawaną troską.

Jedliśmy obiad. Konwersowałam przy stole z sąsiadką, która okazała się ciotką Miłosza. Omówiliśmy już zmiany pogody na przestrzeni minionego tygodnia, ustaliłyśmy prognozę na kilka kolejnych dni, porozmawiałyśmy o kazaniu księdza, przebiegu ceremonii i urodzie Antosi. Zakończyłam rozmowę, gdy pochwyciłam jej spojrzenie i zdałam sobie sprawę, że była obecna w kościele podczas mojego niedoszłego ślubu.

Spojrzałam na zegarek; obiad trwał już drugą godzinę. Posiedzę jeszcze pół i wychodzę!, postanowiłam.

Opuściłam ciotkę Miłosza pod pretekstem zapalenia papierosa.

Na tarasie kurzył Grzegorz. Wyciągnął zapalniczkę.

– No to zostaliśmy rodzicami... – wysilił się na dowcip.

– Coś w tym rodzaju – odpowiedziałam poważnie. Nie miałam ochoty na żarty. – Co porabiasz? – zapytałam, pomna, że w ubiegłym roku studiował na politechnice.

– Za jakieś dwa miesiące będę się bronił.

Byłam wdzięczna, że rozmowa krąży wokół jego życia.

– Dałabyś się wyciągnąć do pubu? – zaskoczył mnie propozycją.

Spojrzałam, nagle do bólu pewna, że bardzo nie chcę spotykać się z bratem Miłosza,

choćby był nie wiem jak przystojny, elokwentny, miły i ciepły.

– Sorry, Grzegorz. Jestem trochę zmęczona i czas się ewakuować. Czekam na swojego chłopaka.

Ostatnie zdanie zadźwięczało w mojej głowie. Mimo że spotykaliśmy się z Remkiem od lipca, czyli od niemal pięciu miesięcy, nigdy nie pomyślałam o nim w ten sposób.

„Możesz po mnie wpaść do «Panoramy»?”, zaesemesowałam, ogarnięta nagłym pragnieniem, by go zobaczyć i dać się porwać do domu.

„Stoję autem pod knajpą. Wyjrzyj przez okno. Gdybyś była głodna, mam w domu zapiekanekę. R.”.

Pożegnałam się z biesiadnikami wylewnie. Pewnie się zdziwili, skąd u „tej biednej Aliny” taki humor. Może dlatego, że właśnie została matką chrzestną?

– Naprawdę masz jeszcze zapiekanekę? – Rzuciłam się Remkowi w ramiona.

– Oczywiście. Nie dali ci jeść?

Przytulił mnie, objął, ukołysał. Wyczuł, że coś poszło nie tak, ale nie zapytał. Nie chciał. Facet idealny.

Chyba jestem w nim zakochana, pomyślałam. Na pewno jestem w nim zakochana. Dzisiaj mu to powiem. Zrobię to. W ramionach Remka nic nie boli. Nie ma Miłosa, rodziny, wspomnień, przeszłości.

– Jedźmy już – odpowiedziałam. – Cieszę się, że jesteś.

13 CZERWCA 2013

Wody! Może być nawet z wazonika! Pić! – zawołałam, wchodząc do kuchni, po której od rana kręciła się Monika. – Radek?

Okazało się, że to nie moja przyjaciółka przygotowuje dziecku mleko.

– Co ty tutaj robisz?

Pytanie było idiotyczne, podobnie jak idiotyczny był mój niekompletny strój, składający się z koronkowych gatek i przezroczystej koszulki.

– Mieszkam. A teraz robię dziecku śniadanie, ponieważ moja żona popadła w lekką niedyspozycję. Napijesz się kawy? Kupiłem mleczko skondensowane i świeże bułki.

Miałam przed sobą prawdziwego Radka. Zapobiegliwego, uczynnego, troskliwego. Nocne zwierzenia Moniki o Radku złym, który porzucił ją dla matki, wydały się, delikatnie mówiąc, nieco przesadzone.

Poczułam gwałtowną potrzebę wytłumaczenia swojej obecności. Szybko narzuciłam na plecy wiszącą w łazience podomkę pani domu.

– Przepraszam za strój i obecność w twoim łóżku. Widzę, że spałeś na kanapie. Przyjechałam, żeby zająć się Michasią podczas sesji terapeutycznych Moniki. Chyba że zostajesz?

– Powiedziała ci, że wyprowadziłem się do matki? – Radek zniecierpliwiony przeszedł do sedna. – I że je porzuciłem? To nie jest prawda – ciągnął. – Miałem ostatnio kilka trudnych dni. Wczoraj musiałem zostać z mamą przez noc w szpitalu, ale teraz jest lepiej. Wróciła do domu, więc mogę zająć się swoimi sprawami. I dziewczynami. Możesz jechać. I dzięki za pomoc.

Brzmiał wiarygodnie i szczerze, choć wyczuwałam w nim zmianę. Zbyt szybko i zbyt uprzejmie starał się mnie pozbyć? Jego podziękowania były podszyte zniecierpliwieniem.

Dopijałam kawę ze skondensowanym mlekiem, wkładając jednocześnie kosmetyki do torebki i zbierając resztę rzeczy. Otworzyłam drzwi na klatkę schodową i zerknęłam na zegarek. Dochodziła dziesiąta.

– Pamiętaj, że Monika musi być w gabinecie za godzinę – oznajmiłam Radkowi już w progu, przypominając sobie jej grafik.

– Nie martw się. Dopilnuję wszystkiego. Cześć – powiedział, przytykając drzwi. – Michasia się obudziła.

Na wszelki wypadek dmuchnęłam w podręczny alkomat i znalazłam się w samochodzie.

Jadąc przez most Szczytnicki w kierunku placu Grunwaldzkiego, myślałam wyłącznie o swoim stryszku, kanapie, ukwieconej dwudziestoma paroma kolorowymi poduszkami, i odtwarzaczu CD, na którym włączę za chwilę Roda Stewarta. Zanim to jednak nastąpiło, zatrzymałam się w pobliskim sklepiku.

– Wodę gazowaną, tę co zawsze, poproszę – wyraziłam życzenie, skwapliwie przyjęte przez starszą ekspedientkę panią Jadzię.

– Rzadko pani ostatnio bywa, pani Alinko. – Jak zwykle zanęciła rozmowę, sięgając na półkę po półtoralitrową plastikową butelkę. – Pewnie była pani na wakacjach?

Nad odpowiedzią zastanawiałam się krótko.

– Coś w tym rodzaju. Często wyjeżdżam poza Wrocław.

Teraz też powinnam być w Zastawnie, uświadomiłam sobie. Tomasza nie ma, nikt nie

pilnuje firmy. Wujek byłby zły.

– Niech mi pani poda jeszcze dwie bułki, masło i kilka plasterków krakowskiej.
I dodatkowo piętnaście deka sera dziurawca.

Upał dawał się we znaki, ale obarczona siatkami dzielnie kierowałam się w stronę mojego mieszkania, bocianiego gniazda wieńczącego szczyt kamienicy. Po krótkiej walce z zamkiem drzwi wejściowe dały za wygraną, otwierając się na przestronną, wysoką na ponad trzy i pół metra klatkę schodową, emanującą chłodem godnym najbardziej wydajnego klimatyzatora. Wspięłam się na piąte piętro, jak zwykle zachwycając się rzeźbionymi poręczami, toczonymi tralkami, dizajnem okien jak żywcem przeniesionych z francuskich kamienic.

– Nigdy się stąd nie wyniosę – nieraz klarowałam Monice. – Bo czy można opuścić paryskie studio?

Siedziałam zatem przez lata na swoich wynajętych kilku metrach kwadratowych, wsparta na poduszkach, okutana w koce, pledy, narzuty, czytająca kolejne książki Janine Boissard i słuchająca dochodzącej ze starego odtwarzacza muzyki z *Kobiety i mężczyzny*.

Na samą myśl o tym, że za chwilę przekroczyć próg mieszkania, rzucę zakupy na ziemię, pobiegnę otworzyć niewielkie okienko osadzone przy podłodze poniżej skosu dachu, zapalę światło w pozabawionej okna kuchennej wnęce, podleję kilka sukulentów, jedynych kwiatów, które były w stanie ze mną wytrzymać, zrobiło mi się ciepło na duszy. Pokonując ostatnie schody, pod drzwiami opatrzone metalową wizytówką z krzewami lawendy w tle i z napisem „Ala Dobrowolska”, macałam wewnątrz torby w poszukiwaniu kluczy.

Są! Mrużąc oczy w ciemnym kącie korytarza, sięgnęłam do dziurki i w tej samej chwili potknęłam się o leżące na wycieracze zawiniątko.

– Jezus Maria! – Odskokczyłam, nadepnawszy na coś miękkiego.

Nie rozdarł się żaden kot, nic się nie poruszyło, rzecz leżała sobie spokojnie.

Oczy powoli przyzwyczały się do mroku i dostrzegły kształt. To coś wyglądało na bukiet kwiatów zawiniętych w szary papier. Z pewnością ktoś się pomylił, odetchnęłam, ale nie mogłam wejść do domu, żeby ich nie podnieść. Jeszcze na klatce schodowej wymacałam wizytówkę i tknięta ciekawością, nie bacząc, czyje sekrety odkrywam, przeczytałam: „Nie wiem, jakie lubisz, posyłam te, które wydają mi się ładne. Jeżeli nie trafiłem, wybacź”.

Podpisu nie było.

Zdjęłam papier. W dłoniach pozostał mi pęk pomarańczowych nasturcji, ozdobionych kilkoma gałązkami lawendy. Niezwykły mariaż, pomyślałam, przyglądając się pięknemu skądinąd bukietowi. Wiejskie kwiaty, polskie i francuskie. Darczyńca albo jest artystą, albo wie, w jakich poruszam się klimatach. O ile oczywiście to dla mnie, przywołałam się do rzeczywistości.

Przekroczyłam próg i wciągnęłam w płuca znajomy zapach wnętrza, aromat mieszaniny ziół (ich pęczki wisały przy belce w kuchni), perfum, drewnianej podłogi, szarych okładek bibliotecznych książek, starego strychu. Wcisnęłam guzik i z odtwarzacza popłynął głos Joe Dassina, którego piosenki znałam na pamięć dzięki namietności do francuskich melodii mojej pani romanistki. Rozpakowując siatki, słuchałam, jak Dassin pyta, po cóż niby miałyby żyć, gdyby ONA nie istniała? By włączyć się po świecie bez NIEJ, bez nadziei i żalów? I czy wówczas próbowałby wymyślić miłość, jak malarz, spod którego palców wychodzą kolory dnia?

Odruchowo skupiłam się na treści. Nigdy nie zwierzałam się nikomu, nawet Monice, ze swoich obaw, choć ostatnio coraz bardziej odczuwałam krystalizującą się pewnością co do własnej przyszłości. Życia kobiety, której nikt nie poszukuje, „nie włączy się po świecie bez NIEJ, bez nadziei i żalów”, nie zastanawia nad jej brakiem. Przygnębiona, nastawiłam wodę

na kawę i przeskoczyłam do kolejnego utworu. *Non, je ne regrette rien*, odezwała się Piaf. Nie wyłączałam.

„Niczego, absolutnie niczego nie żałuję, to już splecione, zamiecione, zapomniane, nie obchodzi mnie przeszłość, ponieważ moje życie i moje radości zaczynają się wraz z Tobą”.

Rrrien, rrrien, artykułowała z namaszczeniem ikona francuskiej piosenki. Nastawiłam odtwarzacz na replay. Ja nie potrafiłam całkowicie odrzucić przeszłości, nie miałam nikogo, z kim mogłabym rozpocząć nowe życie. I jeszcze na domiar złego ktoś się pomylił i położył na mojej wycieracze bukiet dla innej!

Usiadłam na kanapie z filiżanką kawy.

– Wcale nie mam ochoty się stąd ruszać! – powiedziałam na głos. – Ani do Zastawna, ani do drukarni. Wujku, pomóż!

Nagle nabrałam ochoty na drzemkę. Płyta umilkła. W pokoju zrobiło się chłodno, więc okryłam się kocem.

– Nigdzie nie jadę! – mamrotałam pod nosem, naciągając pled na głowę.

Nie na tyle skutecznie, by nie usłyszeć dzwięczącej komórki.

– Słucham – odebrałam.

– Tu Marcin. Myślę, że powinnaś pojawić się w firmie. Nie ma nikogo z zarządu, a zapowiedzieli się przedstawiciele „Impaxu” i „Dolmedu”. Szykuj się na gaszenie pożaru.

– Rozumiem. – Nieraz słyszałam ten greps w ustach wujka. – Będę za godzinę.

W razie czego przetrzymaj ich do mojego przyjazdu. Możesz?

– Oczywiście.

Niestety, mięciutki, ciepłutki koc musi poczekać na lepsze czasy. Poduszka z odgniecionym już kształtem mojej głowy powróciła do pierwotnego stanu.

„Moniko, wyjeżdżam do Zastawna”, zaesemesowałam, żeby wiedziała, co się dzieje. Choć byłam kobietą, której nikt nie potrzebuje, a kwiaty dostaje wyłącznie przez pomyłkę...

Po kilku minutach ponownie siedziałam w mini. Za dwadzieścia kilka kilometrów, za czterdzieści minut zamienię stryszek na dworek i firmę.

W drodze dopadł mnie esemes od Tomasza.

„Będę w sobotę. Niestety, biurokracja. Muszę zostać dłużej. Przepraszam. Tomasz”.

A zatem z piątkowej wizyty u notariusza znowu nici, pomyślałam niezadowolona.

Kolejnego esemesa miałam ochotę skasować. Dopiero w ostatniej chwili zorientowałam się, że został wysłany z nieznanego numeru.

„Mam nadzieję, że kwiaty się podobały?”, przeczytałam.

Zatem bukiet jest przeznaczony dla mnie... A jego fundator nie tylko zna mój adres, ale i numer telefonu.

Miałam nadzieję, że tajemniczy darczyńca wkrótce się ujawni.

– Dobrze, że jesteś. – Marcin złapał mnie na parkingu, jeszcze zanim wylazłam z samochodu. – Próbuje z Kowalewskim dogadać się z nimi, ale do tej pory bez skutku. Twierdzą, że pieniądze przesłali i nie ma możliwości, żeby jeszcze nie doszły. Zeznają tak samo, i ci z „Impaxu”, i ci z „Dolmedu”.

– Moment! – Udało mi się przerwać ten słowotok. – Powtórz, o co im chodzi, zanim dojdziemy do biura. Musimy sobie radzić sami – dodałam. – Tomasz pojawi się najwcześniej w poniedziałek.

Marcin był zdenerwowany. Sprawiał wrażenie bezradnego. Jego podminowanie zaczęło udzielać się również mnie. Dotarło do mnie, jak niewiele wiem o firmie, jak słabo ją znam. Bez

problemu polegnę podczas każdych negocjacji.

– Szefowie obu firm twierdzą – zaczął ponownie – że zapłacili za ponad połowę zamówienia, a „Anieldruk” domaga się zapłaty po raz drugi. Bo podobno pieniądze nie wpłynęły na konto.

– O jakich kwotach mowa?

– „Impax” przelał rzekomo ponad pięćset tysięcy, a „Dolmed” sześćset pięćdziesiąt.

– Jezus Maria! – Złapałam się za głowę, artykułując pod nosem imię święte.

– A na domiar złego dostali tylko część etykiet.

– Kowalewski mówił, że drukuje tylko dla nich! – przypomniałam sobie wczorajszą interwencję.

– Fakt, robimy, ale jest tego tak dużo, że i tak nie zmieścimy się w terminach. No nic – przerwał, bo znaleźliśmy się przed drzwiami gabinetu prezesa. – Proszę, panie przodem. – Otworzył.

W obliczu realnego zagrożenia postanowiłam chwilowo nie denerwować się takim drobiazgiem, że dyrektor Kowalewski znieacka rozgościł się w biurze wuja. Przekraczając próg, gorączkowo myślałam nad sposobem postępowania z gośćmi. Jestem psychologiem, nie z takimi sytuacjami dawałam sobie radę!, dodawałam sobie animuszu. Cokolwiek ma się wydarzyć, nie mogę dać się ponieść nerwom. I nie pozwolić na to rozmówcom.

Weszłam pewnym krokiem, błogosławiąc pomysł włożenia wąskiej spódniczki i eleganckiego zakietu.

– Witam panów! – Energicznie podałam dłoń siedzącemu bliżej okna grubasowi. – Dobrowolska. Alina Dobrowolska – powtórzyłam, wyciągając ręką do chudego długasa, zajmującego fotel przy drzwiach.

Tęższy okazał się prezesem Wiśniewskim z „Impaxu”, chudzielec przedstawił się jako dyrektor finansowy „Dolmedu” Jan Ryszewski.

– Rozumiem, że panowie zdążyli się poznać? – rzuciłam retorycznie, spoglądając na Marcina i dyrektora Kowalewskiego.

Sekretarka wślizgnęła się z filiżanką kawy. Jak się okazało – dla mnie.

– Pani prezes prosiła? – Postawiła na stole napój, którego oczywiście nie zamawiałam.

– Dziękuję. – Odprawiłam babę gestem, uniemożliwiając jej plan podsłuchania choćby fragmentu rozmowy.

Jeżeli wydawało mi się, że moje umiejętności psychologa pomogą w negocjacjach, a spokój i kwalifikacje moderatora terapii grupowej przyniosą odpowiedni skutek, zmierzający do osiągnięcia konsensusu, pomyliłam się okrutnie. Zanim zdążyłam podnieść do ust filiżankę, grubas zaatakował.

– Bardzo mi przykro z powodu śmierci pana prezesa Dobrowolskiego, z którym przez lata bardzo dobrze nam się współpracowało... – zaczął.

Miłe złego początki. Gada za bardzo na okrągło.

– ...ale to już odległe czasy.

Milczałam, dając mu czas na wygadanie się i przedstawienie racji. Najwyraźniej spodziewał się pokajania, zanim jeszcze dowiem się, o co chodzi. Czekałam.

– Krótko mówiąc – podjął – zapłaciłem pół mi-lion-a – przesyłabizował. – A dostałem etykiety za sto tysięcy. I jeszcze twierdzicie, że nie zapłaciłem wam ani złotówki. Mam nadzieję, że dzisiaj wyjaśnimy sprawę, bo w przeciwnym wypadku pozostaje sąd.

– W „Dolmedzie” sytuacja jest podobna – wtrącił chudeusz. – Przelaliśmy ponad sześćset tysięcy, etykiety otrzymaliśmy co najwyżej za sto pięćdziesiąt. Podobnie jak prezes Wiśniewski dowiadujemy się z waszej księgowości, że pieniądze nie pojawiły się na waszym

koncie. Domagam się wyjaśnień.

– Jeżeli można... – odezwał się Marcin. – Panowie pozwolą, że przyniosę umowy i zamówienia. Przeanalizujemy je razem.

– A ja może raz jeszcze zerknę na firmowe konto? – powiedziałam z nadzieją, że kasa została właśnie zaksięgowana i sprawa rozwiąże się sama.

Otworzyłam komputer.

Panowie po drugiej stronie stołu nie zgłaszali sprzeciwu.

Łącząc się z Internetem, przypomniałam sobie o esemesie wysłanym do mecenasa Smólskiego z prośbą o poradę. Niestety, zajęta ratowaniem Moniki, nie opisałam sprawy.

Cud się nie zdarzył.

– I co? Widzi pani przelew? – ponaglił mnie gruby.

– Przykro mi.

– Naszego też nie? – dopytywał gość z „Dolmedu”.

– Też.

– Co wy sobie wyobrażacie! – Prezesa „Impaxu” podniosło z fotela. Miotał się po gabinecie. – Za pana Dobrowolskiego wszystko chodziło ja w zegarku, a teraz? Tu ma pani potwierdzenie transakcji! – Podsunął mi papier pod nos. – Dowód, że przelałam kasę na wasze konto. Radzę wyjaśnić tę sprawę natychmiast, bo oskarżę was o zdefraudowanie połowy miliona złotych i próbę wyłudzenia kolejnej. I jeszcze jedno... – Przystanął i skierował we mnie karcąco wskazujący palec prawej dłoni. – Pozwę was za straty, za niewywiązanie się w terminie z kontraktu! Jeżeli za cztery dni nie będę miał etykiet, wszystkich etykiet, i mój towar nie wyjdzie do klienta, będziecie bulić horrendalne pieniądze! Bo przez was wypnie się na mnie kontrahent! Nie utrzymasz tej firmy, paniusiu! – Facet wyraźnie się rozochocił. – Szykuj się na odszkodowanie! – zagrział. – Dla tego pana też! – Wskazał na chudego, który na znak solidarności skinął głową.

Skoro obaj są wściekli, musi być niedobrze!, myślałam gorączkowo.

– Poproszę o to potwierdzenie transakcji. Czy mogę je obejrzeć dokładnie?

– Tu jest wydruk. – Prezes Wiśniewski położył na blacie kartkę.

Zgodnie z wydrukiem pieniądze trafiły na konto firmy „Anieldruk”, ulokowanej w Zastawnie. Ulica, numer i kod się zgadzały, podobnie jak obsługujący nas bank. Zerknęłam na numer konta, zaczynający się od liczby czterdzieści, po której następowała dwudziestka, ale nie zauważyłam nic niepokojącego. Zdębiałam, dopiero gdy zobaczyłam ostatnie cyfry. Konta były różne!

Gapiałam się w ekran, zastanawiając, jaki komunikat przekazać klientom. Właśnie zorientowałam się, że z drukarni są wyprowadzane pieniądze. Ktoś świadomie założył lewe konto, żeby przechwytywać duże przelewy od klientów. Zarówno „Impax”, jak i „Dolmed” zapłaciły, tyle że nie nam, a złodziejowi. Tak czy inaczej, nie był to ich problem, a „Anieldruku”.

– Panowie, zapewniam, że dostarczymy wam etykiety w najbliższym możliwym terminie – zaczęłam. – Rzeczywiście, pieniądze pojawiły się już na naszym koncie – skłamałam. – Terminy odbioru ustalicie z dyrektorem Kowalewskim. Panie Zdzisławie, proszę się zająć zleceniem od „Impaxu” i „Dolmedu”, traktując je priorytetowo – zwróciłam się do szefa produkcji. – Czy takie rozwiązanie panów zadowala?

Zadowalało.

Po dziesięciu minutach zostaliśmy z Marcinem w gabinecie sami. Kowalewski odprowadzał gości.

– Naprawdę wpłynęły pieniądze? – zagadnął Marcin.

– Przepraszam, muszę zadzwonić. – Wykpiłam się nagłym obowiązkiem, nie potrafiąc mu powiedzieć, że nie mam do niego zaufania. Jak do nikogo w firmie, nie wyłączając Tomasza. – Dopilnuj Kowalewskiego, żeby wydrukował te etykiety.

– Stało się coś?

– Nie. Wszystko w porządku.

Poza tym, że ktoś działa na niekorzyść „Anieldruku”. Jeszcze nie wiem kto, ale się dowiem.

Miałam nadzieję, że nikt mi bliski ani znajomy.

– To leczę. – Marcin zerwał się z fotela. – Gdybyś mnie potrzebowała...

– ...to wiem, gdzie szukać – dokończyłam.

– Pani Wando! – krzyknęłam w stronę sekretariatu, gdy już zostałam sama. – Proszę nie łączyć rozmów przez jakiś czas. Będę zajęta.

Wykręciłam numer do Smólskiego.

Śledztwo ruszyło.

WIOSNA/LATO 2010

Czas dzielony między studia, gabinet i praktykę mijał szybko. Nie pozostawało go zbyt wiele na układanie sobie życia z Remkiem. Mimo to byliśmy parą w miarę dobraną, chociaż zajęci pracą i ciągłym doksztalcaniem się potrafiliśmy nie widywać się tygodniami. Głównie z powodu Remka, który jako pilot wycieczek przemierzał Europę wzdłuż i wszerz, docierając do jej najbardziej egzotycznych i odległych zakątków. Był miłośnikiem Bałkanów, więc wielokrotnie kierował się w stronę Serbii, Czarnogóry, Albanii, ale również Bułgarii czy Macedonii.

– Pojedź ze mną – proponował nieraz, przygotowując się do kolejnego wyjazdu. – To tylko dwa tygodnie.

Odmawiałam i żałowałam.

Wprawdzie na drugim roku podyplomówki z psychoterapii miałam już nieco mniej zajęć niż jeszcze rok wcześniej, ale wciąż było ich dużo. Zjazdy pochłaniały jeden weekend w miesiącu, nie mówiąc o pracy własnej, szkoleniu klinicznym, prowadzeniu psychoterapii indywidualnej w ramach praktyki w ośrodku „Życie” (na tym etapie superwizowanej, czyli pod nadzorem) i zajęć grupowych. Jednym słowem, żeby po czterech latach otrzymać dyplom i zdać egzaminy certyfikacyjne, trzeba się było nieźle narobić i jeszcze słono za to zapłacić. Na czesne za drugi rok wysupłałam sześć tysięcy złotych, a teraz, przed zbliżającymi się wakacjami, kombinowałam, jak zarobić kolejne sześć na trzeci i odłożyć parę groszy na wyjazd z Remkiem. Na szczęście skromna firma moja i Moniki przynosiła niewielkie zyski, wujek Stach zaś nie przestawał wspierać mnie finansowo, czemu z czasem przestałam się opierać. W czerwcu, po egzaminach i podliczeniu aktywów na koncie, mogłam powiedzieć Remkowi „tak”.

– Zgadzasz się, Remigiuszu, na porwanie. Pojadę, gdziekolwiek mnie zabierzesz. Masz pomysł?

Wieczorem, w towarzystwie Moniki i Radka, zasiedliśmy nad mapą Bałkanów, palcami kreśląc drogi na południe.

Za kilka dni całą czwórką zapakowaliśmy się do minivana Remkowego ojca i wzięliśmy kierunek na Czarnogórę.

Do dziś uważam, że był to mój najwspanialszy, najsympatyczniejszy, najbardziej przeuroczy wakacyjny wyjazd. Remek przeprowadził nas przez Słowację, Węgry, północną Chorwację, która chwyciła mnie za serce wspaniałymi widokami z wytyczonej wśród gór autostrady i lazurowym niebem. Gdy jednak minęliśmy Zagrzeb, po pokonaniu niemal trzystu kilometrów na południe w kierunku Splitu, i zaczęliśmy zbliżać się do Adriatyku, miałam ochotę zatrzymać film w kadrze. Patrzyliśmy z poziomu gór na morze, mieniące się wszelkimi odcieniami niebieskości i zieloności, na wodę usianą wysepkami, jak nakreślonymi dziecięcą ręką. Poniżej widać nitkę autostrady, którą przyjechaliśmy (jak się później okazało, różnica wysokości wynosiła około tysiąca metrów). Kierowca, zwłaszcza na serpentynach, musiał uważać, ale pasażerowie rozkoszowali się widokiem bez przeszkód.

Byłam szczęśliwa. I kochałam Remka jak nigdy dotąd. Czyż facet, który potrafi zaprowadzić kobietę w niebiańskie przestrzenie, nie jest idealny?

Po nocnym popasie w przydrożnym pensjonacie ruszyliśmy dalej na południe.

Jadąc drogą prowadzącą wzdłuż wybrzeża Adriatyku, zwaną przez Chorwatów Magistrałą Jadrzańską, ulokowaną na opadających do morza stokach Gór Dynarskich, przez kolejne

dzielące nas od celu dwieście pięćdziesiąt kilometrów byliśmy w widokowym niebie. Po lewej półtorakilometrowe skaliste góry, po prawej lazurowy Adriatyk z mieniącymi się w słońcu żaglami łódek na lagunach.

Na krótkie postoje zatrzymywaliśmy się przy straganach z owocami i lokalnym samogonem o przedniej jakości i smaku, z gruszek i orzechów, które degustowaliśmy z największą przyjemnością. Naprawdę mieliśmy wrażenie, że za życia trafiliśmy do raj. Gdy jednak zaparkowaliśmy w Dubrowniku i pokonaliśmy wąską uliczkę prowadzącą do serca miasta od okalających je dwukilometrowych murów, okazało się, że nie mieliśmy racji.

Raj był tutaj.

– Dalej nie jadę! – oświadczyłam, siedząc w knajpce przy głównej ulicy i gapiąc się na różnokolorowy tłum turystów, przewalający się po deptaku z lodami, aparatami fotograficznymi, dziećmi w nosidełkach, spoglądający na fasady starych kamieniczek, ocierający pot z czoł przy trudnym do wytrzymania upale.

Atmosfera miasta kupiła również Monikę.

W obrębie murów mieliśmy do dyspozycji uliczki, katedry, kościoły, fontanny. Poza nimi – Adriatyk, plaże, widok na wyspy i półwysep Lapad, lśniący w słońcu bielą zabudowań i cegląstą czerwienią dachów. Żeby nie wspomnieć o wszechobecnych marinach i knajpkach z owocami morza.

– Nie ma mowy! – sprzeciwił się Remek, na przekór Radkowi Moniki, gotowemu spocząć na jakiejś sympatycznej plaży. – Jedziemy do Czarnogóry, do Ulcinja, lenie! – komenderował, zrzucając nas z łóżek, które zajmowaliśmy za darmo w mieszkaniu Weroniki, koleżanki Remka ze studiów, i Lovra, jej chorwackiego męża.

Muszę go wypytać o historię tego małżeństwa, pomyślałam, ponoć to jakaś szalenie romantyczna sprawa. Na razie nie było na to czasu, bo już gnaliśmy Jadrą dalej na południe, w poszukiwaniu jeszcze piękniejszych widoków, nauczeni doświadczeniem, że mogą zniecka pojawić się za najbliższym zakrętem.

Pierwszy postój zaliczyliśmy w Budwie, niewielkim średniowiecznym miasteczku, podobnie jak Dubrownik otoczonym pierścieniem murów obronnych. Było równie ładne, choć znacznie skromniejsze. A niecałe dziesięć kilometrów na południowy wschód przystanęliśmy przy najbardziej fotogenicznym miejscu na czarnogórskim wybrzeżu skalistym – półwyspie Sveti Stefan, połączonym ze stałym lądem piaszczystą mierzeją na kamiennej podmurówce. Ponieważ czas gonił, musiało nam wystarczyć kilka fotek, cykniętych z tarasu widokowego. Wcześniej zaplanowaliśmy, że przed przybyciem do celu obejrzymy jeszcze Bokę Kotorską, wcinającą się w ląd zatokę, składającą się z kilku zalewów połączonych cieśninami, i objedziemy ją wzdłuż liczącej dobrze ponad sto kilometrów linii brzegowej. Rezygnacja z przeprawy promowej zaowocowała wizytą na starówce w mieście Kotor, ponoć drugim co do piękności takim miejscu na adriatyckim wybrzeżu. Kamieniczki rzeczywiście przedstawiały się imponująco, a zwłaszcza jedna, z knajpką w piwnicy, w której schroniliśmy się na półtorej godziny. Przed czterdziestostopniowym, mimo popołudnia, upałem.

Po niecałych dwóch godzinach jazdy dotarliśmy do celu podróży – Ulcinja, położonego w pobliżu albańskiej granicy. Remek bezbłędnie skierował się w stronę wynalezionej w Internecie lokalnego biura turystycznego, mającego dla nas kilka ofert *accomodation*: z klimą, bez klimy, z widokiem na morze lub bez niego (koniecznie z widokiem!), dwieście metrów od plaży albo trzysta (ile by było, zawsze po schodach...), z łózkami małżeńskimi lub piętrowymi. Po negocjacjach i kolektywnym obejrzeniu zdecydowaliśmy się na bocianie gniazdo na szczycie wzniesienia, oddalone wprawdzie od Adriatyku o prawie dwieście schodków, za to z za-dże-bis-tym widokiem. Ku mojemu zdumieniu Remek porozumiewał się

z facetem z biura w jakimś lokalnym slangu, nieprzypominającym żadnego ze znanych mi języków.

Rozlokowaliśmy się pod niebem i wzięliśmy pierwszy prysznic, wypędzając wcześniej spod niego na taras dwie jaszczurki.

Rozpoczęły się dwa upojne, urocze, słoneczne, cudowne tygodnie.

Dni dzieliliśmy pomiędzy plażowanie, kąpiel w gorącym morzu, kolacje w licznych knajpkach w zabytkowej części Ulcinja, Starim Gradzie, opychanie się dziesięciokilogramowymi melonami, wypadki do sklepów i oglądanie meczetów.

– Dobrze, że mnie tu przywiozłeś, Remiku... – szeptałam do ucha mojemu ukochanemu, przytulając się na plaży do jego rozgrzanego ciała. – Jest bosko. Chyba już nigdy nie będzie tak cudownie...

– Będzie, będzie – uspokajał, odgarniając z mojej twarzy kosmyk opadających włosów. Patrzył tak, jakby bardzo poważnie myślał o naszej przyszłości.

Gdyby mnie wówczas poprosił o rękę, to kto wie? Może bym nie odmówiła?

14 CZERWCA 2013

Nie podejmuj samodzielnie żadnych kroków”, czytałam w mejlu od mecenasa Smólskiego, odpowiedzi na mój list ze szczegółami sprawy „Impaxu” i „Dolmedu”. „Z wydruków transakcji wynika, że firmy sądziły, że płacą «Anieldrukowi», a tymczasem ktoś przechwycił pieniądze...”.

Omiotłam wzrokiem ciąg dalszy.

„Na pierwszy rzut oka sprawa nadaje się do prokuratury, ale może jednak uda się rozwiązać ją bez udziału organów ścigania. Zdecydujecie, gdy razem przyjrzymy się dokumentom. Niestety, muszę przedłużyć pobyt za granicą do poniedziałku. Mogę pojawić się w Zastawnie około trzynastej. Odpowiada? A co na to wszystko współwłaściciel?”.

Uświadomiłam sobie, że nie poinformowałam Tomasza o moich podejrzeniach. Ba, nawet nie wiedziałam, czy mam na to ochotę.

W kasie brakuje miliona stu pięćdziesięciu tysięcy złotych, analizowałam fakty. Szefowie obu firm przedstawili mi wydruki przelewów, jednak na konto inne niż to, które znam. Czyżby wujek miał jeszcze jedno? A jeżeli tak, to dlaczego nie zostaliśmy o nim z Tomaszem poinformowani?

O Boże, przecież to absurd!, jęknęłam w duchu. Zaczynam podejrzewać Smólskiego!

Napisał wprawdzie, że sprawa nadaje się do prokuratury, niemniej jednak już w następnej linijce podkreślił możliwość polubownego rozwiązania. Czy jako prawnik i przyjaciel wuja, mający wgląd w jego jawne i niejawne dokumenty, w odpowiednim momencie wykorzystał swoją wiedzę? Niemożliwe. Po prostu niemożliwe, powtarzałam jak mantrę, próbując uwolnić się od obrazów podsuwanych mi przez rozszałą wyobraźnię. Chociaż Tomasz przebąkiwał coś o złej kondycji drukarni, przypomniałam sobie nagle. Niemożliwe! Jednej z dwóch największych w branży? Milionowe kontrakty i zła kondycja?

Fakt, od ostatnich świąt wielkanocnych, które spędziłam w Zastawnie, oddaliśmy się z wujem nieco. Nie odwiedzałam go zbyt często, więc nie docierały do mnie żadne biznesowe informacje. Wciągnął mnie wir prywatnych spraw. Rozstanie z Szymonem kosztowało trochę wysiłku, na kanapie przybywało pacjentów, właściciel wynajmowanego stryszku przebąkiwał coś o jego sprzedaży. Stan mojego konta przedstawiał żalną deltę, widoki na kredyt hipoteczny były tak prawdopodobne jak znalezienie oazy na pustyni. Za kilka tygodni mogło się okazać, że muszę poszukać sobie miejscówki pod mostem. W ferworze zajęć i spraw nie zauważyłam ciszy na łączach Zastawno–Wrocław, nie zdziwił mnie brak esemesów i jakichkolwiek innych wiadomości.

Nie miałam pojęcia o bólach za mostkiem, o dusznościach, nasilającej się arytmii, testamencie, który postanowił spisać znienacka.

Dopiero tamtego pamiętnego dnia około dziewiętnastej, gdy usłyszałam dźwięk komórki i poderwałam się z myślą, że być może to Szymon (po drugiej stronie usłyszałam mecenas Smólskiego), dowiedziałam się o śmierci wujka Staszka. I uświadomiłam sobie, że nie zajrzałam do niego od świąt. I nie zajrzę już nigdy.

– Pani Alino. – Mecenas pozwolił mi na chwilę milczenia. – Czy życzy sobie pani uczestniczyć w przygotowaniach do pogrzebu? Pragnę panią poinformować, że Stach pozostawił instrukcje dotyczące ceremonii i zobowiązał mnie do ich wypełnienia.

– Skoro tak, zapewne nie będę potrzebna – odparłam. – Ale gdyby jednak... – rozplakałam się. – Chętnie pomogę.

Pożegnaliśmy się po kurtuazyjnych wyrazach współczucia (on) i pochlipywaniach przerywanych wycieraniem nosa (ja). Na tym się skończyło.

Dlaczego wówczas nie pojechałam do Zastawna? Dlaczego nie zajęłam się pogrzebem i pozwoliłam panu Janowi ogarnąć wszystko samodzielnie? Niby powinnam wiedzieć, że wuj nie będzie chciał sprawiać kłopotu ani mnie, ani Tomaszowi i powierzy dopilnowanie ostatniej posługi swojemu przyjacielowi i prawnikowi, ale nagle opadły mnie wątpliwości. W obliczu ostatnich wydarzeń zaczęłam być podejrzliwa. Niestety, również wobec Smólskiego.

- Czy dzisiaj będę pani jeszcze potrzebna? – Sekretarka wsunęła głowę do gabinetu.
- Może pani iść do domu – odparłam, spoglądając na zegarek.

Wskazywał pięć minut po czwartej.

Siedzę tutaj od dobrych paru godzin i dumam, kto mnie okrada i oszukuje, uświadomiłam sobie. Usiłuję wytropić kogoś, kto krąży wokół mnie i udaje przyjaciela. Pan Jan? Tomasz? Marcin? Kowalewski? Pani Wanda? A może jakiś cichy i zręczny gracz, który wcale nie rzuca się w oczy.

Snucie podejrzeń okazało się koszmarnie wyczerpujące. Gdybym tak choć mogła pogadać o tym z Moniką!, zatęskniłam. Nie, skoro się nie odzywa, nie będę jej przeszkadzać. Spokój na łączach mógł oznaczać, że pogodziła się z Radkiem albo że jest skrajnie wkurzona. Żadna opcja nie nadawała się do ruszenia.

Pozostało mi wrócić do wujowego dworku. Po drodze zahaczyłam o sklep.

– Dwadzieścia czy trzydzieści deka? – zapytała ekspedientka, nie dosłyszawszy, na jaką ilość kabanosów mam ochotę.

– Sześć sztuk poproszę – odburknęłam, zajęta czytaniem esemesa, który właśnie wyświetlił się na ekranie komórki.

„Czy mógłbym, zamiast w poniedziałek, przyjść na terapię jutro? Na przykład w okolicy południa? Piotr Kolski”.

Dlaczego nie?, pomyślałam. Zobaczę się z nim z przyjemnością. Po tych wszystkich problemach z firmą należy mi się chwila psychoterapii z, hm, takim pacjentem. Zresztą w sobotę i tak niczego konstruktywnego nie zdziałam.

„Jeżeli to Panu odpowiada, będę w gabinecie o dwunastej. Alina Dobrowolska”, odpowiedziałam, również esemesem.

„Będę punktualnie. P.K.”.

– Osiem pięćdziesiąt – zażądała ekspedientka. – Czy podać coś jeszcze?

– Tak. – Wylądowałam w sklepie po chwilowym odlocie. – Poproszę o dwie bułki, sałatę, pomidora i... – wymieniłam jeszcze kilka produktów. – Razem będzie?

Sklepowa uruchomiła kasę.

– Trzydzieści dwa pięćdziesiąt.

15 CZERWCA 2013

Przed wizytą Piotra Kolskiego odczuwałam wyraźne podekscytowanie, choć jednocześnie ganiłam się w duchu za brak profesjonalizmu, dystansu i nadmierne zainteresowanie pacjentem. Niestety, takie nastawienie nie gwarantowało pomyślnej psychoterapii. Pomijając nienadający się do pominięcia fakt, że pan Piotr stanowi wyjątkowy okaz męskiej urody i klasy (co terapeutki absolutnie nie powinno zajmować!). Na dodatek problem, z którym pojawił się w gabinecie, niełatwo było zignorować czy uznać za jeden z wielu. Nie chodziło o złe kontakty z kolegami w pracy, o wyalienowanie, pracoholizm albo uzależnienie od hazardu. Facet ucieka sprzed ołtarza! Zjawił się u mnie jak grom z jasnego nieba, odkurzając wspomnienie traumy, którą z takim trudem usiłowałam zamieść pod dywan.

W tych okolicznościach naprawdę trudno było zachować profesjonalny dystans.

– Musisz wreszcie zapomnieć, Ala – uświadamiała mnie Monika, kiedy porzucałam kolejnego fajnego faceta wyłącznie dlatego, że zapragnął ożenku. – Musisz zapomnieć o Miłoszu i, cholera jasna, przestać wreszcie myśleć o przeszłości! – grzmiała, nie zważając na zasady obowiązujące wykształconego psychoterapeuty.

Gdy po raz kolejny zaczynałam o kościele, ołtarzu, narzeczonym i następującej po wszystkim ciemności, moja przyjaciółka – zamiast słuchać, kiwać lub potrząsać głową, pozwolić mi się wygadać bez przeszkód, nie przerywając (ewentualnie wesprzeć się jakimś neutralnym werbalnym wspomaganiami, typu: „jesteś rozczarowana, oczekiwałaś czegoś innego” albo „wydajesz się smutna”) – miała po prostu gdzieś te tanie grepsy. Opieprzała mnie jak święty Michał diabła, zapraszała na piwo (czasem na wino, rzadziej na wódkę), przytulała, wyciągała na weekend nad jeziorem.

– Już zapomniałam – mówiłam potulnie.

Cezary, Remek czy Szymon nie mieli naturalnie z niedoszłym ślubem nic wspólnego...

– Próbujesz odgrywać się na swoich byłych – tłumaczyła Monika. – Ale jeszcze trafisz na swoją połówkę.

Oplakiwała moich kolejnych niedoszłych mężów dłużej niż ja.

– Nie wiem, jak ci pomóc. – Załamywała ręce nad trudnym przypadkiem. – Pójdziemy na zakupy?

Mając zatem w perspektywie podobnie ciężki przypadek w osobie Piotra Kolskiego, zrezygnowałam z interwizji (czyli konsultacji z koleżanką psycholożką, choć taki pomysł przeleciał mi wcześniej przez głowę). Poradzę sobie sama albo żadna ze mnie terapeutka! Żeby ci tylko nie przyszło do głowy ulec pacjentowi!, napominałam się jeszcze w duchu i zasiadłam w fotelu.

Pukanie rozległo się punktualnie w południe i zanim zdążyłam zawołać „proszę”, w progu pojawiła się znajoma sylwetka.

Podobnie jak ostatnim razem pan Piotr był wyluzowany, uśmiechnięty, pewny siebie. Bez specjalnej zachęty zajął miejsce na kanapie, moszcząc się w jej prawym rogu, dokładnie naprzeciwko mojego stanowiska.

To dobrze, zauważyłam w myślach. Daje sygnał, że nie unika bliskości, kontaktu wzrokowego. Jest w tym pokoju, więc nie trzeba go będzie sprowadzać na ziemię.

– Czy coś się zmieniło od naszej pierwszej sesji? – zapytałam, przerzucając kartki notatnika.

– Nie. Dlaczego pani tak sądzi?

– Przyspieszył pan termin spotkania o dwa dni...
– Kto wie? – powiedział po zastanowieniu, przenosząc wzrok z mojej twarzy na widok za oknem. – Poznałem kobietę, która mi się podoba. Rzecz w tym, że chyba nie mam u niej szans. – Zaskoczył mnie nagłym wyznaniem.

– Skąd takie przypuszczenie?

Dobry początek. Pacjent otwierał się wyjątkowo szybko. Wszystko wskazuje na to, że nie będę musiała dobijać się do niego kilofem.

– Powiedzmy: kobieca intuicja – zażartował jak rasowy facet, pewny swej supermęskości.

Zbywasz mnie, chłopczyku. Okej. Spróbujemy inaczej.

– Czy to poznanie tej kobiety stało się bodźcem do przyspieszenia terminu?

Roześmiał się.

– Skądże znowu! W poniedziałek muszę na chwilę wyskoczyć za granicę. I tyle.

Absolutnie nie powinnam poczuć się urażona, że nie trafiam w intencje pacjenta czy nawet ośmieszam się, wywołując jego wesołość. A jednak tak właśnie się poczułam. Oto nauczka, by nie postrzegać samej siebie jako kogoś, kto pozjadał wszystkie rozumy, osobę niezbędną, pytię niemalże, do której Piotr Kolski biegł na złamanie karku, nie mogąc się doczekać porady. A tu niespodzianka, facet musi wyjechać.

Natychmiast zwalczyłam chęć dowiedzenia się czegoś więcej o obiekcie zainteresowania pacjenta. Nie ulegaj pokusie zadawania niepotrzebnych pytań, kołatało mi w głowie, nie zaspokajaj własnej ciekawości kosztem człowieka z problemem! Co cię niby obchodzi, kto konkretnie spodobał się panu Kolskiemu?, skarciłam się w myślach. Co z ciebie za terapeutka? I weź się wreszcie w garść! Nawet nie potrafisz zadać żadnego sensownego pytania...

Kolski siedział rozparty na kanapie, a ja, zwinięta w fotelu, z trudem opanowywałam pragnienie wyfrunięcia przez okno lub salwowania się ucieczką tradycyjną drogą – schodami.

Próby koncentracji nie przyniosły efektu. Co ten facet ma w sobie, że mnie tak peszy?, myślałam gorączkowo. Bądź sobą!, nakazałam sobie. To jedyny sposób, by zdobyć jego zaufanie i doprowadzić spotkanie do końca.

– Uważa pan zatem, że nie ma szans u tej pani... – powtórzyłam w desperackiej próbie powrotu na właściwe tory. – Czy to przeświadczenie może być wywołane pana problemem? Niechęcią do ożenku?

Wypowiadając te słowa, patrzyłam na niego inaczej niż przed minutą. Na kanapie nie siedział już przystojny, wyluzowany, ubrany z nonszalancką elegancją pacjent i mężczyzna, który mi się podobał, ale gość, który puścił kantem trzy laski. Tylko się na niego nie wściekaj!, musiałam po raz kolejny uruchomić system doprowadzania się do pionu. To człowiek, który przyszedł po pomoc. Nieważne, że ci się spodobał, nieistotne, że jego problem dotyka cię osobiście. Nie jesteś tu od tego, żeby go kochać czy nienawidzić. Masz mu pomóc, ponieważ zgodziłaś się z nim spotykać i brać za to pieniądze.

– Wie pani... – Kolski poczynił wstęp, zyskując na czasie przed sformulowaniem odpowiedzi. – Boję się zaczynać nowy związek, żeby nie zakończył się podobnie jak poprzednie. Jednocześnie nie chciałbym rezygnować z dziewczyny, która być może jest kobietą mojego życia, tylko dlatego, że kilka razy się nie udało. Czy może pani wyleczyć mnie z manii porzucania kobiet przed ślubem?

Jezus Maria, chłopie! Nie mam pojęcia, jak to zrobić!

Dobrze, że gość nie słyszy moich myśli!

Gdybym wiedziała jak, wyleczyłabym się sama. Wybaczyłabym Miłoszowi, nie odtrąciła

żadnego z potencjalnych następców, była teraz szczęśliwą małżonką, a może nawet matką? Facecie drogi, przemawiałam w myślach do Piotra, źle trafiłeś. Zwiewaj do innego terapeuty, takiego bez traumy, i wyprowadzi cię z problemu! Prędzej czy później.

– Mogę panu pomóc w poszukiwaniu rozwiązań – zaczęłam, otrząsnąwszy się z wątpliwości i przypomniawszy sobie zasady postępowania. Nie powinnam sugerować tego, co sama uważałam za najlepsze. – Tyle że moje rozwiązania nie muszą być dla pana odpowiednie. Jesteśmy różnymi ludźmi i znajdujemy się w różnych sytuacjach (czyżby?), niemniej jednak w trakcie naszych spotkań będziemy rozmawiać i analizować tak długo, jak będzie to panu odpowiadało, dopóki nie upora się pan ze swoim problemem. Ja będę obok, gotowa pana wspierać.

– Ile czasu to potrwa?

– To zależy od pana. Może dwa spotkania, a może dwadzieścia.

Nie wyglądała na zawiedzionego. Zazwyczaj pacjenci przewidują co najwyżej kilka godzinnych sesji, ale Kolskiemu najwyraźniej nie przeszkadzała wizja wielomiesięcznej terapii. Z jej uciążliwością, związaną z kosztami i czasem, jaki przyjdzie mu spędzić na przysłowiowej kozetce.

Rozparty na kanapie, odpowiedział zgodnie z moimi przewidywaniami.

– Jestem gotowy.

Dalsza rozmowa przebiegła książkowo. Pan Piotr nie wzbraniał się przed wynurzeniami na temat swoich byłych, otwarcie przywoływał emocje i wyrażał uczucia. Nie zamykał się, nie robił uników, udzielał sensownych, wnikliwych, przemyślanych odpowiedzi. Żegnając się z nim po spotkaniu, które mimo początkowych trudności minęło jak mgnienie oka, wiedziałam już, że mam ochotę na następne. W duchu wybaczyłam Kolskiemu nawet jego ułomność. W końcu szczerze tego żałował, kajał się, pragnął znaleźć partnerkę, żyć w związku. Ba, nawet trafił na taką, która mu się podoba... Nie śmiałam przypuszczać, kto to taki, bo jeśli na przykład nosi imię zaczynające się na A? To nie mógł być przypadek, że Piotr, jak zaczęłam go nazywać na własny użytek, trafił do mnie. Nie bez powodu kokietował mnie głosem, spojrzeniem, gestem.

Niemal zapomniałam, że umawiam się na kolejną sesję, a nie na randkę.

– W przyszły piątek? O której? – zapytał, gdy ustaliliśmy dzień.

– Może w południe? – zaproponowałam.

Zerknął do kalendarza.

– Niestety, mogę dopiero po osiemnastej – zakomunikował strapiiony. – Jeśli pora pani odpowiada...

Udawałam, że szukam wolnego terminu.

– Osiemnasta czy dziewiętnasta?

– Im później, tym lepiej. Czyli siódma wieczorem. Może być? – zapytał retorycznie. – Piątek to ładny dzień, nie uważa pani?

– Zapowiada wolny weekend – odparłam. – Chociaż czasem i w sobotę trzeba popracować – uczyniłam aluzję do dzisiejszego spotkania, wyciągając rękę. – Zatem do zobaczenia.

– Do widzenia.

Nie wydawało mi się. Przytrzymał moją dłoń dłużej, niż powinno to wynikać z kurtuazji.

Nie chcąc absorbować swoimi sprawami Moniki, która zapewne zmagala się z mężem i teściową, powstrzymałam się przed wysłaniem esemesa o treści: „Pożegnałam pacjenta, który zawraca mi w głowie. Nie wiem, co dalej robić, jestem umówiona na kolejne spotkanie. Chyba zwariowałam, bo to gość, który zostawia dziewczyny przed ołtarzem i kobieciarz. Ale jaki

uroczy...”.

„I jak spotkanie?”.

Spojrzałam zdziwiona. Wiadomość od Moniki!

„A u ciebie?”.

„Okej. Burza w nocniku. Gadaj”.

Wysłałam tekst z „roboczej” skrzynki. Na odzew nie czekałam długo.

„I po to tyle nad tobą pracowałam? Żebyś wpadła w sidła kolejnego matrymonialnego zboczeńca?”.

„Coś ty! On przyszedł na terapię!”.

„I ty niby wyleczysz go z porzucania panien? Czy może będziesz kolejną ofiarą? Nie rób niczego bez mojej wiedzy! Jedź do Zastawna i siedź na d... Tam przynajmniej nikt cię nie atakuje. Michalinka pozdrawia. I Radek. Do zobaczenia. M.”.

Cóż, moja przyjaciółka ma rację. Dworek w Zastawnie stoi pusty, ja bawię się w terapię z Kolskim, Tomasz załatwia ważne sprawy na pograniczu Niemiec i Francji. Przez chwilę zastanowiłam się nad wyborem – dom wujostwa za miastem czy kanapa na stryszku. Wszędzie jednakowo nikt na mnie nie czekał.

Wybrałam strych, gdzie konieczność dokonania porządków ograniczała się do starcia kurzu i przemycia kibelka. W Zastawnie czekało mnie solidniejsze sprzątanie. I być może zidentyfikowanie lepkich rąk, do których przyczepił się ponad milion złotych. Kto wie, czy nie więcej?

„I co? Jedziesz na wieś?”.

Esemes od Moniki przyszedł w chwili, gdy szukałam miejsca na parkingu przed domem.

„Jadę!”, podjęłam niespodziewaną dla siebie samej decyzję.

Zawróciłam i skierowałam się ku wylotówce z miasta.

Zbliżając się do Zastawna, nie dostrzegłam świateł w oknach domu. Wieczór zapowiadał się ciemno i samotnie. Dlaczego spodziewałam się Tomasza? Może dlatego, że pisał o powrocie w sobotę? Złapałam się na nadziei.

A może chodziło tylko o to, by ktoś na mnie czekał?

4-5 MAJA 2011

Proszę mi jeszcze przypomnieć termin ostatniej miesiączki – odezwał się doktor Kulczycki, nie podnosząc oczu znad leżącej na biurku karty pacjenta.

Od kilku minut siedziałam na krześle naprzeciwko, przeświadczona, że oto właśnie przeprowadził wywiad stulecia i wie o mnie więcej niż ja sama.

– Trzeciego marca – powtórzyłam datę, która przez częste przypominanie wryła mi się w pamięć.

Przerwał pisanie, przez chwilę popatrzył na mnie niewidzącym wzrokiem, po raz kolejny obliczając coś w pamięci.

– Zapraszam na fotel. Może się pani rozebrać za parawanem – powiedział.

Wstał z krzesła i skierował się w stronę szafki z jednorazowymi rękawiczkami, wskazując na przepierzenie z bladozielonym wzorem, imitującym płasające plemniki.

Ściągnęłam spodnie i majtki, decydując się pozostać w skarpetkach. Nie ukrywam, że badanie ginekologiczne nie należało do moich ulubionych. Wręcz przeciwnie, poddawałam mu się wyłącznie w stanie wyższej konieczności. Po raz pierwszy, gdy mama stwierdziła, że osiągnęłam wiek stosowny, by zapoznać się z ginekologiem. O drugiej wizycie zdecydowałam sama, mając na celowniku załatwienie recepty na środki antykoncepcyjne. Po raz trzeci zostałam zmuszona przez własny organizm, w którym szalały hormony po niedoszłym ślubie z Miłoszem. Rozstrój nerwowy, nowy dyrygent mojego ciała, pozbawił je naturalnych cykli i jakiegokolwiek harmonii. Wówczas poszłam do lekarza, kiedy okres opóźnił się ponad dwa tygodnie, by usłyszeć, że jednak nie zostanę matką, ale powinnam podleczyć się hormonalnie, co uczyniłam.

Teraz jednak wcale nie byłam pewna, czy opóźniająca się miesiączka znów zwiastuje burzę hormonów, czy też może coś innego. Rozkładając się na fotelu, spoglądając na zbliżającego się kata w jednorazowych rękawiczkach, wytrzymując nieprzyjemne badanie, obserwując skupienie doktora skoncentrowanego na poszukiwaniu życia w moim łonie, czekałam na sakramentalne kilka słów, które być może będą miały wielki wpływ na moją przyszłość. Jeszcze miesiąc temu byłoby to oczekiwanie radosne, weryfikacja tego, na co ostatnio wielokrotnie wskazywał powtarzany test ciąży, ale dzisiaj byłam niepewna własnej reakcji.

– Czuję – usłyszałam w końcu po przedłużającej się chwili milczenia. – Jest pani w ciąży.

Doktor Kulczycki, zadowolony z odkrycia, zakończył badanie. A ja leżałam bez ruchu, starając się nie pokazać po sobie, jak bardzo poruszyły mnie jego słowa. Podał mi rękę, pomagając świeżo upieczonej ciężarnej podnieść się z fotela. Powoli opuściłam nogi, zupełnie jak ociężała i niezgrabna pacjentka podczas ostatniej wizyty przed porodem.

Diagnozę potwierdziło USG. W moim brzuchu załęgła się mikroskopijna fasolka, mająca z czasem zmienić się w stworzenie mówiące do mnie „mamo”, a do Remka, gdybyśmy nadal mieli być razem, „tato”.

– Dziewiąty tydzień, pani Alino, mniej więcej początek. – Doktor wyglądał na zdziwionego własnym odkryciem. – Musiała pani ostatnią miesiączkę przejść, będąc już w ciąży. To się zdarza – dodał, widząc w moich oczach niedowierzanie.

Kandydatce na samotną matkę zakręciło się w głowie...

Od chwili gdy zauważyłam Remka w knajpie z, jak mi później tłumaczył, „koleżanką”,

nie odbierałam od niego telefonów, uznając, że żadne wyjaśnienia i tak nie zmyją jego oczywistej winy. Te pocałunki, które składał na jej policzku, te czułe uśmiechy, rzucające w stronę tamtej! Oczami wyobraźni dostrzegłam w moim chłopaku materiał na Miłosza numer dwa, więc czym prędzej zastosowałam środki zapobiegawcze i jednym cięciem rozwiązałam nasz niemal dwuletni związek, unikając kolejnej hańby. Miłość do Remka na szczęście szybko odpływała, ale jak się okazało, pozostawiła po sobie ślad.

Zdecydowałam się na razie nie wtajemniczać rodziców ani naturalnie Aldony i jej małżonka. Przed czwartkowym wyjazdem do wuja, którego postanowiłam wtajemniczyć, zaprosiłam Monikę.

Wpadła zmachana, z flaszką wina pod pachą.

– Co takiego ważnego się wydarzyło, Ala, że mnie wyciągasz z kina? – krzyczała od progu. – Radek nie był zachwycony. Musiałam go udobruchać.

– Siadaj, nie gadaj, tylko słuchaj.

Popchnęłam ją na kanapę, sama zajmując skrawek fotela. Dla większej dramaturgii przez chwilę nie odzywałam się, skupiając wzrok na jej twarzy.

– Powiesz wreszcie? – Zaczynała się niecierpliwić. – Pogodziłaś się z Remkiem? Oświadczył ci się? Wychodzisz za męża? – wymyślała kolejne scenariusze. – No!

Przetrzymałam ją jeszcze chwilę w niepewności, odwlekając moment podniesienia kurtyny, za którą skrywała się scena. W tej sztuce ja będę główną aktorką.

Wreszcie zdecydowałam się wybuchać.

– Jestem w ciąży! Będę miała dziecko, Monika!

– Ale z kim? Przecież z Remkiem...

– Owszem. – Nie pozwoliłam jej dokończyć. – Z Remkiem rozstałam się kilka tygodni temu. Niestety, to jednak z nim. Jestem w dziewiątym tygodniu.

– Powiesz mi? – Nie mogła powstrzymać pytania. – Przepraszam! – zreflektowała się. – Gratuluję, daj się przytulić, matko jedyna, Alina, zostaniesz matką! To niesamowite!

Nagle rozpoczęła poszukiwania śladu zaokrąglonego brzucha, wcielając się w rolę opiekunki ciężarnej, mojej osłony przed wiatrem, deszczem i złymi prądami.

– Może się położysz? Zrobić ci coś do picia? Albo może masz ochotę na kiszzonego ogórka? – Nie wiedziała, jak mi dogodzić. – Dobrze się czujesz?

Czułam się dobrze. Nie miałam zachcianek. Podzieliłam się z Moniką wiadomością, którą jutro miał poznać wujek Staszek. A Remek?

Monika czytała w moich myślach.

– A Remek? Zamierzasz mu powiedzieć?

– Dam sobie radę sama.

Poczułam, że chcę urodzić to dziecko. Bez faceta, który z pewnością mnie oszukał, zdradził. Przecież widziałam. W głowie natychmiast zamajaczył obraz Miłosza z Aldoną na tarasie w domu rodziców Zuzy. Rzecz w tym, że wtedy byłam głupia, głucha i ślepa, nie to, co teraz. Żaden miłoszopodobny typ nie będzie mnie już oszukiwał i mamił!

– Jesteś pewna? Przecież Remek...

Monika po raz kolejny zaprzagnęła przekonać mnie o szlachetności kandydata i jaki to odrzucam klejnot w imię uniknięcia dawnych traum. Wierzyła w jego zapewnienia o niefortunnym zbiegu okoliczności, którego akurat musiałam być świadkiem, w jego dozgonną miłość do Aliny, która przecież jest mu przeznaczona. Wiedziałam, że jest jego konfesjonałem i próbuje nas pogodzić. Uważała, że może nam się udać. Ja, po pamiętnej kawiarni, już nie.

– Jestem pewna. A jeżeli nawet nie będę sama, to z pewnością nie z Remkiem.

Monika potakująco skinęła głową. Lecz ja, choć zawsze wierzyłam jej bezgranicznie, tego wieczoru nie dałabym głowy, że nie skontaktowała się z moim byłym facetem.

„Alu, spotkaj się ze mną ostatni raz”, napisał w esemesie, tuż po moim rozstaniu z Moniką. „Zgódź się, proszę. Remek”.

„Dobrze”, zdecydowałam się odpisać. „W przyszły piątek o osiemnastej. Czekam na ciebie po zajęciach w instytucie. A.”.

Miałam tydzień na przygotowania.

Dałam sobie czas na ostateczną decyzję co do przyszłości dziecka. Czy będzie miało oboje rodziców, czy też będzie musiało zadowoląć się wyłącznie mamą.

16–17 CZERWCA 2013

Poprzedniego wieczoru, przed położeniem się spać, na wszelki wypadek pozamykałam drzwi na klucz i niewielką, acz ciężką komódką zabarykadowałam wejście do pokoju. Noc wydawała się wyjątkowo ciemna, a dochodzące z zewnątrz odgłosy przywodziły na myśl filmy Hitchcocka.

Samotny wieczór w dworku wujostwa zamierzałam zakończyć ekspresowym przeniesieniem się w objęcia Morfeusza, aby uniknąć wpatrywania się w zygaki cieni płasających po suficie, wsłuchiwanie w pohukiwanie sowy, rejestrowania wszystkich dźwięków, jakie potrafi wygenerować stary dom, żeby przstraszyć kobietę pozbawioną męskiego ramienia. Wsparłam się herbatką z melisy, na wszelki wypadek połknęłam łagodny środek ziołowy, podobno zsyłający szybki i przyjemny sen. Ciekawe, kiedy producenci środków nasennych zaczną sprzedawać na zamówienie klientów konkretne sny?, myślałam, leżąc już w łóżku, okryta szczelnie jedną z cieńszych kołder znalezionych w ciocinych szafach. A jeżeli mogłabym sobie taki zamówić, czego by dotyczył?

Angażując głowę w niedorzeczne pomysły, przynajmniej nie koncentrowałam się na czarownicach, które mogły wyjść ze schowka na szczotki, na złodziejach czyhających w krzakach przed domem, by w stosownej chwili włamać się do willi, zamordować mnie i ukraść dobytek wujostwa, czy wreszcie na duchach czekających na pojawienie się błyszczącego księżycy gotowego podświetlić ich przezroczyste postaci i tchnąć w nie siłę do straszenia żyjących.

Jak wyglądałoby dzisiaj moje życie, gdyby była ze mną Haneczka?

Wspomnienie nadeszło zniemacka, kiedy w myślach zamówiłam sen właśnie o niej.

Miałaby niemal półtora roku, a ja, zamiast bać się duchów w starym domu, stałabym zapewne w kuchni, przygotowując małej wieczorną kaszkę. Później posprzątałabym zapewne po kąpiel. Czym aż tak w życiu zawiniłam, że doświadczyło mnie kolejną stratą? Oddałam Miłosza, nie upierałam się przy rodzicach, znalazłam sobie ciasny własny kącik na strychu, nikomu nie wadziłam, nie złorzeczyłam. No, może trochę niesprawiedliwie potraktowałam Czarka. Ale czy Remka? Czy Szymona?

Wiedziałam od początku, że to będzie dziewczynka, i lubiłam tak o niej myśleć. Nie miałam żadnych wątpliwości, jak będzie miała na imię. Ona już je miała. Została Haneczką. Kiedy doktor Kulczycki objawił mi płeć dziecka (od jakiegoś czasu przestał je nazywać „płodem”), nie byłam zdziwiona.

– Wiem – odparłam, jak gdyby wiedza tajemna wyprzedzała lekarskie szkiełko i oko.
– Mimo wszystko mogę się mylić – zastrzegł się. – Być może nie wszystko się ujawniło – odchrząknął znacząco, zapatrzony w ekran ultrasonografu.

Nie zareagowałam, nie miałam powodu. Wszystko było widać jak na dłoni i żaden chłopięcy fiutek po prostu nie miał prawa się ujawnić. W moim brzuchu urzędowała dziewczynka, a ja po raz pierwszy w życiu zastanawiałam się, jak zainstalować w mojej kamienicy windę. Przecież to niemożliwe, że wyniesiemy się z Haneczką ze strychu, targanie zaś wózka i wszystkich tych nosidełek, gondolek i innych cudownych dziecięcych sprzętów na pewno przysporzy nam co nieco problemów.

Rodzice i Aldona musieli dostrzec zmiany w moim nastroju. Częściej do nich

zaglądałam, zdarzało mi się nawet odzywać do Miłosza. Emanowałam dobrym nastrojem na imieninach Tosi, przypadających na początku czerwca. Bo była ze mną Haneczka. I choć na to zbyt mała, miałam wrażenie, że kopie dla dodania mamie animuszu. Radość tryskała ze mnie podczas odwiedzin u wuja w Zastawnie, a on, szczęśliwy moim szczęściem, czasem tylko sugerował, że mogłabym podzielić się nim również z rodzicami...

Kiedy Haneczki już nie było, płakaliśmy oboje. Pamiętam, jak siedzieliśmy w pokoju cioci Anieli. Zaparzył mi herbatę, a na dobranoc postanowił przeczytać *Pana Tadeusza*.

– To ci pomoże – wyszeptał, otworzywszy książkę. Gestem dał znać, bym nie podnosiła głowy z poduszki, a jedynie zamieniła się w słuch. – Nam pomoże. Wszystko będzie dobrze, zło przemija – dodał, patrząc w przestrzeń, w której odnajdował nieżyjącą ukochaną żonę.

– Dlaczego tak się stało, wujku? – płakałam, mimo kojącego wpływu trzynastozłoskowca.

– Nie wiem, Aluś. Nie wiem – płakał razem ze mną.

Brakowało nam cioci Anieli i jej wołania na gołąbki. I Haneczki, której nie dane mi było poznać.

Zeszłam na dół. Otworzyłam drzwi, odsuwając nedorzeczną blokadę, pozapałam światła na korytarzu, rozświetliłam salon. Włączyłam ulubionego przez wujka Roda Stewarta, którego muzyka natychmiast wprawiła mnie w odświeżony nastrój. Do szklanki z rżniętego kryształu nalałam dwie miarki ginu, dopełniając tonikiem i dwiema kostkami lodu.

Przypominał cierpki smak żalu.

– Może jednak dasz się skusić, córuś? – zaproponował tato. – Nie wypijesz z okazji drugich urodzin Tosi? – Rzecz działa się we wrześniu, podczas gdy ja dwa miesiące wcześniej straciłam córeczkę. – Alinko, oni mają dziecko, jest Tosia, twoja chrześnica, przestańże wreszcie! Co było, minęło. Pójdziemy wznieść ten toast?

Odwróciłam się plecami. Skąd on miał wiedzieć?

– Zaraz wrócę, tato – powiedziałam.

Wydawał się zadowolony.

Wyszłam. Zamknęłam za sobą drzwi do łazienki, żeby żadna pani ani panna nie mogła mi przeszkodzić byle pudrowaniem nosa.

Gdzie jesteś, Haneczko? Dlaczego mnie zostawiłaś?

– Ala, wszyscy czekają – usłyszałam. – Chodź już.

Opuściłam mój chwilowy azyl.

– Chodźcie, chodźcie! – zawładnęła mną jakaś kuzynka Miłosza, ciągnąc w kierunku salonu. – Tosia będzie dzielić tort!

W nagłym zgiełku, wśród dziesiątków talerzy przygotowanych na kawalek urodzinowego Tosinego tortu, przy dźwiękach muzyki nagranej specjalnie na ten właśnie dzień, poczułam gwałtowne pragnienie, by odejść.

„Wujku, wracam do domu”, zaesemesowałam.

„Żyjesz?”, zapytał w odpowiedzi.

„Tak. Tęsknię za nią. Kocham cię, wujku”.

17 CZERWCA 2013

W niedzielny poranek kręciłam się po kuchni, wkładając chleb do tosterka i rozgrzewając patelnię na sadzone jajka.

Mimo zapowiedzi Tomasz nie pojawił się w Zastawnie wczorajszego wieczoru. Z samego rana odczytałam esemesa wysłanego kilka godzin wcześniej.

„Alu, będę jutro. Skomplikowało mi się, nie mogę wrócić zgodnie z planem. Do zobaczenia. T.”

Porzuciłam rozmyślenia o moim wspólniku i jego niemieckich problemach na rzecz jak najszybszego uporania się ze śniadaniem i wyniesienia nad rzekę. Toster wypuścił dwie grzanki, oczekujące teraz na talerzu na podpiekające się sadzone jajka. Ekspres kończył napełniać kawę białą filizankę z napisem „Jacobs”, dwunastoprocentowa śmietanka wypełniała mlecznik zdobiony malunkami pędów prowansalskich ziół. Na skraju talerza umieściłam dwie gałązki rozszponki i kilka plasterków żółtego pomidora, całość polałam oliwą sabores z bazylią. Byłam gotowa, by rozpocząć dzień na tarasie w ogródku, racząc się słońcem, zarówno tym na niebie, jak i tym na talerzu.

Poranne promienie głąskały moją twarz, przebijając się przez pełne liści i zawiązków owoców gałęzie jabłonek. O tej porze nie były jeszcze kąśliwe.

Dopijając ostatnie łyki kawy, analizowałam firmowe finansowe rewelacje. Na dalszy plan odpłynął Wrocław, zamazał się obraz Piotra Kolskiego. Nawet Monice pozwoliłam zapaść się w ramiona Radka, skoro wyjaśnili już sobie wszystko na temat teściowej. Nie, niedziela nie jest najlepszym dniem na szperania w dokumentacji i tropienie przekrętów, stwierdziłam i postanowiłam poczekać z tym do poniedziałku. Produkcja stała i tak, biura były zamknięte naглуcho, komputery zablokowano hasłami. Na terenie królował stróż, wspierany przez dwa potężne dobermany i elektroniczny system ochrony.

Opanowałam chęć zatelefonowania do Marcina, również wciągniętego przeze mnie na listę podejrzanych. Nie ma rady, muszę zaryzykować i podzielić się swoją wiedzą ze wspólnikiem. Innego wyjścia brak. Sama jestem jak dziecko we mgle.

Do przyjazdu Tomasza pozostało kilka godzin. Wystarczająco dużo, by odwiedzić stare siedlisko nad rzeką.

„Idę pod klon”, wysłałam esemesa do Moniki. „A co u ciebie?”, szczęśliwie nie zapomniałam zapytać.

Pakując do torby koc, dokładając książkę i półlitrową butelkę wody gazowanej, nie przestawałam zerkać na wyświetlacz, ale Monika nie odpisywała. Wyciągnęłam się pod rozłożystym klonem, tak by mieć jak najlepszy widok na przełom rzeki, ale komórka milczała. Nie odezwała się nawet wtedy, gdy zapoznawałam się z prologiem romansu *Zanim nadejdzie jesień*, a nawet gdy przeczytałam pierwszych kilkadziesiąt stron.

„Wszystko w porządku”, doczekałam się wreszcie odzewu. „Będziemy się przeprowadzać do nowego domu. Cieszę się. Do usłyszenia. Baw się dobrze w Zastawnie, bo chyba tam jesteś? M.”

Odpisałam, siłąc się na entuzjazm, jakiego zapewne oczekiwała.

„To wspaniale. Gratuluję i cieszę się z wami”.

Na szczęście nie zapytałam, czy zabierają ze sobą ukochaną teściową...

Tym razem odpowiedź przyszła natychmiast.

„Mama Radka przepisała nam dom, a sama przeprowadza się do naszego gniazdko.

Cuda się zdarzają! M.”.

Autentycznie ucieszyłam się szczęściem mojej przyjaciółki, doskonale widocznym w wykrzykniku, którym zakończyła ostatnie zdanie. Niemniej jednak jej przewodniczka do willi na obrzeżach wrocławskiego Biskupina, skupiska przepięknej przedwojennej zabudowy, odsuwała nas od siebie o kilka ładnych kilometrów. Zdawałam sobie sprawę, jak odległość potrafi wpłynąć na kontakty towarzyskie, częstotliwość spotkań i dostępność drugiej osoby. Już teraz mijamy się w gabinecie, przyjmując pacjentów o różnych porach, myślałam, wpatrując się w rwący nurt rzeki, ciągnący gałęzie podmywanych drzew. Monika, owszem, ma dla mnie czas, kiedy jej potrzebuję, w stanach wyższej konieczności, jednak coraz bardziej absorbują ją Michalinka i Radek. A co, jeśli wkrótce urodzi drugie dziecko, o którym przebąkuje coraz częściej, jakiegoś małego Krzysia albo Marcelinkę?

Najwyższy czas przestać udawać, że nie jestem samotna jak palec, stwierdziłam nagle. Monika, Kalina, Baśka, Marysia, wszystkie laski z naszej studenckiej paczki męczyły się już w stałych związkach, zazdroszcząc mi możliwości zmieniania facetów jak rękawiczki. Prawda jak zwykle leżała pośrodku – ani one nie cierpiały katuszy z powodu życia pod wspólnym dachem z mężczyzną, ani ja nie przebierałam w facetach dla draki. Zawsze był jakiś powód. No i jeszcze tkwiąca głęboko zadra, wbita przez Miłosa. Wracała nawet we śnach. Kościelna tragikomedialna ze mną w roli głównej.

Na rzece pojawiła się barka, holowana przez niewielki stateczek. Płynęła dostojnie, usiłując zmieścić się na wodnym trakcie pomiędzy zieloną boją po lewej a czerwoną po prawej. Nagle niemal fizycznie zatęskniłam za żaglami, jeziorami, wiatrem i keją. Mieliliśmy popłynąć w tym roku z Szymonem... No cóż, nie czas żałować róż, gdy płonie las.

Przypomniałam sobie rozstanie. Przykre, bo wciąż świeże. Sprzed dwóch miesięcy.

– Źle robisz, Alina! – usłyszałam od Moniki, która przyszła pocieszać mnie po. – Opamiętaj się, kobieto! Nie możesz przeganiać wszystkich facetów, w szczególności takich, którzy cię kochają! W końcu zostaniesz sama, zobaczysz! Dobrze, już dobrze... – Przytuliła mnie, nagle całą we łzach, łkającą nad rozstaniem, nad swoim pieprzonym życiem, kompleksami. – Przepraszam, wiem, że ich nie przeganiaasz, nie robisz źle, wiem – mówiła to, co chciałam usłyszeć. – Tylko się już uspokój. Widocznie Szymon też nie był tym właściwym facetem. Niebawem znajdziesz swój diament.

– Obiecujesz? – wyszłochałam, rozmazując na twarzy tusz do rzęs.

– Obiecuję – potwierdziła i osunęła się na jedną z kilkunastu poduszek na kanapie, wykończona wyciąganiem mnie z kolejnego dołka.

Gdy wychodziła, miałam się już całkiem dobrze. To nic, że właśnie pogrzebałam kolejny rok życia i rozwaliłam kolejny związek. W końcu pozostał mi gabinet, fajna robota z ludźmi, popaprańcami potrzebującymi pomocy psychoterapeutycznej, Mońcia z Michasią i Tosia, grupka znajomych, zawsze gotowych na imprezkę, wujek Stach (dawno do niego nie dzwoniłam, muszę dryndnąć jutro!). Wspomnienie Szymona powoli odlatywało w niebyt, zaledwie podszczypując moje serce.

Spojrzałam na rzekę.

Gorące powietrze, nawiewane od strony drogi, mieszało się z lekką bryzą wywołaną zefirkiem nad taflą wody. Mimo upału, pod drzewem nie odczuwałam gorąca. Ponownie zabrałam się za książkę – Rebecca właśnie zastanawiała się, czy zostać z Chrissem i hodować konie na jego farmie, czy też zdecydować się na Adalberta i kontynuować romans w otoczeniu rzymskich zabytków. Trywialne, ale miłe, pomyślałam, kiwając głową nad odwiecznym wyborem – rozważny czy romantyczny?

Zagłębiłam się w lekturze, ciekawa decyzji, która miała się objawić na kolejnych

dwustu pięćdziesięciu stronach.

– Przepraszam, że przeszkadzam, Alinko... To ja.

Z książkowego świata wyrwał mnie męski głos.

Odwrociłam głowę i zobaczyłam wychylającego się zza drzewa Tomasza.

– Jestem – oznajmił. – Domyśliłem się, że zastanę cię nad rzeką.

– Czytam. Jak podróż?

– Dobrze – odparł dziwnie szybko i jakoś tak... gwałtownie? – Alinko, chciałbym, żebyś kogoś poznała – powiedział, robiąc zapraszający gest. – To jest Andrea. Moja córka – przedstawił wyłaniającą się zza drzewa około dziesięcioletnią dziewczynkę.

– Cześć. Mam na imię Alina – przywitałam się z chudą i rudą jak Ania z Zielonego Wzgórza panienką, starając się nie okazać zdumienia, w jakie wprawił mnie fakt, że Tomasz ma dziecko.

Podobieństwa Andrei do mojego wyobrażenia Ani z Avonlea trudno było nie dostrzec. Nie tylko miała marchewkowe włosy, zielone oczy i bladą twarz, lekko pokrytą piegami, ale i zawadiackie spojrzenie wyrażające swoisty mariaż emocjonalnej, pełnej wyobraźni natury z nutką marzycielstwa. Nie mogąc powstrzymać się od dokonywania w myślach charakterystyki nowo poznanej (skaza zawodowa), musiałam powściągnąć chęć nawiązania do powieści, by niechcący nie urazić młodej damy. Pamiętałam siebie sprzed niemal dwudziestu lat (niemożliwe, to było tak dawno?), kiedy ukończyłam pierwszą dekadę życia i właśnie zaczynałam odczuwać pierwsze objawy dorosłości, których, niestety, moje otoczenie nie zamierzało dostrzec. To o cztery lata starszej Aldonie wolno było dorośleć, ja, nieopierzona dziesięciolatka, nie miałam żadnych przywilejów, nie licząc łażenia po drzewach w wujowym sadzie.

– Dopiero przyjechaliśmy. – Głos Tomasza przerwał kombatanckie wspomnienia, ściągając mnie na ziemię. – Spodziewałem się zastać cię nad rzeką. Może wejdziemy do domu, wszystko ci wyjaśnię.

Chwilowo jakoś nie miałam ochoty na poznawanie tajemnic mojego współnika.

Z niewiadomych powodów poczułam się zawiedziona, że ma córkę, zupełnie jakby wolno mi było uzurpować sobie do niego jakiegokolwiek prawo. Ciekawe, czy wujek Stach wiedział?

– Może się wykąpiemy? Jest tak gorąco – zaproponowałam, zamierzając zyskać trochę na czasie.

Andrea spojrzała wyczekująco na ojca. Musiał ulec woli dwóch kobiet.

– Jeśli chcecie...

Wskoczyłyśmy z Andrea do wody, nie zwracając na niego uwagi, choć zagadywał w drodze na brzeg.

– Co w firmie? – dopytywał.

– Trochę się dzieje. Porozmawiamy później. Teraz się kąpiemy.

Przyzwyczajona do Tosi i Michaliny, do tego, żeby mieć oko na młode, odruchowo pilnowałam również córki Tomasza. Andrea czuła się w wodzie jak ryba, w nieskrępowany sposób korzystając z uroków rzeczego kąpieliska w Zastawnie.

– Ile masz lat? – zapytałam, podpłynawszy bliżej.

– Prawie dziesięć – odparła po polsku, z lekkim obcym akcentem. – Idę do pierwszej klasy gimnazjum.

Nie drążyłam, gdzie się uczy i na jak długo przyjechała.

– Może już wystarczy tego pluskania? – krzyknął z brzegu Tomasz, przywołując nas gestem. – Nie odpływajcie zbyt daleko, żeby nie musiał was ratować!

Był niespokojny.

Andrea znajdowała się coraz bliżej głównego nurtu.

- Wracaj, Andrea – nakazałam.
- Umiem pływać. Jestem mistrzynią szkoły – rzuciła, nie zmieniając kierunku.
- Zaraz zaczynają się prądy. Wracaj natychmiast!

Na szczęście odwróciła głowę i nasze spojrzenia się spotkały. Nie wiem, czy przekonał ją błagalny wyraz moich oczu, czy ją przestraszyłam, ale zawróciła.

– Nie rób tak nigdy więcej! – Próbowałam krzyczeć, trzymając ją w ramionach, mimo zalewającej usta wody. – Mogłaś utonąć!

Tuż obok z rzeki wyłonił się Tomasz. Bez słowa przygarnął nas obie.

- Andrea, płyniemy do brzegu! – zakomenderował nieznoszącym sprzeciwu tonem.
- Tata ma rację! – poparłam go czym prędzej.

Na brzegu podałam Andrei ręcznik. Był bardziej potrzebny tej wiotkiej, niewielkiej osobce niż mnie. Drogę do domu pokonałiśmy w ciszy, każde pochłonięte własnymi myślami.

– Zabieram was na obiad do miasteczka – powiedział Tomasz, kiedy Andrea zmywała pod prysznicem pozostałości po rzecznej kąpeli. – Trochę mi się skomplikowało i rzecz naprawdę wymaga wyjaśnienia, ale najlepiej, kiedy Andrea pójdzie już spać. Nie będziemy gadać w jej obecności, dobrze?

– Oczywiście – zgodziłam się. – Ja muszę omówić z tobą sprawy firmowe. Chyba nie dzieje się najlepiej.

Wydarzenia potoczyły się piorunem. Po krótkich przygotowaniach siedzieliśmy jak zgodna rodzina w porsche cayenne tatusia Tomasza, planując menu niedzielnego obiadu. Wobec niewielkiego wyboru oferowanego przez okoliczne knajpy na miejsce posiłku wybraliśmy „Dębowy Dwór”, znany z potraw z dziczyzny.

– Po niemieckich przysmakach chętnie zjem coś przyzwoitego – uzasadnił Tomasz.

– Ja wezmę polędwiczki z sarny. Są bardzo delikatne – zamarzyłam, odczuwając potężny apetyt. Pamiętałam jeszcze, że to danie potrafi człowieka uratować przed nagłym zejściem z głodu.

„Dębowy” prowadził znajomy wujka, pan Dariusz, mistrz polowania, cesarz kuchni. Nie zawiódł i tym razem, przesyłając przez kelnerkę na nasz stół nie tylko polędwiczki z sarny, traktowane tu jako przekąska (dżesus, miały chyba z tysiąc kalorii!), ale i stek z dzika z kluskami śląskimi i zasmażanymi buraczkami, polędwicę z daniela w sosie z zielonego pieprzu, ze smażonymi ziemniakami i surówką, gulasz myśliwski na placku ziemniaczanym z frytkami stekowymi i gotowanymi warzywami.

– Mam przyjemność was dzisiaj gościć – zakomunikował właściciel, pojawiwszy się jak spod ziemi przy naszym stoliku. – Na koszt firmy. – Podniósł dłoń gestem nieznoszącym sprzeciwu. – Stachu by tego chciał. I nie tylko tego... – Nie dopowiedział. – A ty, młoda damo... – zwrócił się do Andrei. – Może napijesz się kwasu chlebowego?

– Cola?

– Może być cola – odpowiedział. – Ale spróbuj i kwasu. Zobaczysz, jaki dobry.

Zgodnie z umową, zamiast roztrząsać trudne kwestie, oddaliśmy się magii smakowania, jedzenia, trawienia. Wsiadając do cayenne po sutym obiedzie, zastanawiałam się, w którym miesiącu ciąży miałabym taki brzuch.

– Może ja ją wezmę? – zaproponował Tomasz, widząc, że zmagam się z ciężką torbą. – Co tam masz? – zainteresował się, gdy przekazałam pakunek.

– Zupy dla nas. Na jutro.

– ?

– Naprawdę. Pan Dariusz przygotował zupy. Rosół z bażanta z kołdunami dla mnie,

a dla ciebie czarną polewkę – wyrecytowałam.

– Jesteś pewna, że zasłużyłem?

– To się jeszcze zobaczy. Dzisiaj jestem najedzona po korek i nie mam siły na myślenie. Jedźmy.

Andrea zajęła miejsce na tylnym siedzeniu i rozejrzała się za czymś miękkim pod głowę. Zanim zdążyliśmy dojechać do domu, za naszymi plecami rozległo się ciche pochrapywanie.

– Co się dzieje? – zapytał Tomasz natychmiast po wyekspediowaniu córki do sypialni.

Na stole pojawiły się dwa kieliszki z czerwonym merlotem. W pokoju rozbrzmiewało *Sailing* Roda Stewarta.

– No właśnie. Chciałam ci zadać to samo pytanie. Umawiamy się na spotkanie u notariusza, do którego, nawiasem mówiąc, bardzo ci się śpieszy, a ty bez słowa wyjaśnienia wyjeżdżasz za granicę. Przedłużasz pobyt do tygodnia i wracasz z dzieckiem, nie pytając mnie, czy mam ochotę mieszkać w Zastawnie z wami obojgiem – wyrzuciłam z siebie na jednym oddechu, po czym złapałam kolejny. – Zostawiasz mnie samą w firmie, którą podobno bardzo chcesz przejąć, ponieważ wydaje ci się, że tylko ty potrafisz ją poprowadzić. Że nie wspomnę o nastawieniu pracowników przeciwko mnie. Gdyby nie Marcin, zapewne niczego bym się nie dowiedziała na temat „Aniendruku”. I jeszcze pytasz, co się dzieje? Najpierw sam się wytłumacz.

Skończyłam. Ulżyło. Wylałam z siebie nagromadzoną żołąć, którą udawało mi się powstrzymać do czasu, gdy Bogu ducha winna Andrea poszła do łóżka. Czy wszyscy mężczyźni (poza, oczywiście, wujkiem Staszkiem) muszą okazywać się nieodpowiedzialni, niegodni zaufania, nieprzewidywalni (w najgorszym znaczeniu tego słowa), zawodni? Wściekła, że Tomasz budzi we mnie wątpliwości w chwili, w której zaczyna mi się podobać, przypominałam sobie jego próby nawiązania ze mną kontaktu. Wysłał esemesa po nieszczęsnym niedoszłym ślubie, przyjechał, by spotkać się ze mną w Zastawnie, kiedy leczyłam rany po Miłoszu. Pamiętałam sugestie wujka, by patrzeć na niego łaskawszym okiem, ale nie chciałam. Wydawał mi się za stary (osiem lat), zbyt blisko związany z wujostwem. Poza tym wstydziłam się kompromitacji przed ołtarzem. Odrzucałam Tomasza, a jednak, gdy dzisiaj dowiedziałam się, że ma córkę, a co za tym idzie istnieje i jej matka, poczułam ukłucie w sercu, zwane popularnie zazdrością.

„Zobaczysz, jak będziesz zniechęcać wszystkich facetów, zostaniesz w końcu sama”, powróciły przestrogi Moniki.

Łatwo jej było mówić. Wyszła za męża za swojego pierwszego chłopaka.

– Masz trochę racji, Alinko. – Tomasz wstał z fotela, by dolać nam merlota. – Jestem ci winien wyjaśnienia. O istnieniu Andrei dowiedziałem się kilka dni temu – rozpoczął opowieść. – Wiem, że zabrzmi to jak streszczenie kiepskiej telenoweli, trudno. Nigdy bym nie przypuszczał, że coś takiego mi się przytrafi w życiu.

Milczałam, umierając z ciekawości. Tomasz, szybko opróżniwszy kieliszek, nalał sobie kolejną lampkę wina i zabrał się do otwierania kolejnej butelki. Tym razem wina reńskiego.

– Nie wiem, od czego zacząć...

– Od początku – postanowiłam mu pomóc.

– Kiedy to nie miało żadnego znaczenia, Alina. Ten początek.

– W takim razie od końca.

Mimo zniecierpliwienia czekałam, aż się przełamie. Nie miał innej możliwości.

W pokoju na górze spała jego córka. Skądś się musiała wziąć, a on właśnie miał ochotę wyjaśnić, że nie wskutek niepokalanego poczęcia.

– Dobrze. – Ruszył z miejsca. – Dolać ci jeszcze wina? Jest bardzo dobre. Uwierz na słowo, dornfelder lieblich. Zobacz, ma barwę czerwonej wiśni. Harmonijnie słodkie i aromatyczne, o bogatej treści...

– Dosyć – przerwałam. – Zamierzasz mi je sprzedać, że tak zachwalasz?

– Przepraszam... – westchnął. – Z tym nieszczęsnym rozbitym TIR-em pod Aachen to najprawdziwsza prawda. Faktycznie, trafił do rowu z towarem dla klienta. Tyle że zajął się nim ubezpieczyciel. Ja w tym czasie odwiedziłem Monachium i matkę Andrei.

– I sprzedała ci ją na wakacje?

– Na całe życie, Alina. Kilka dni temu nie wiedziałem nawet, że jestem ojcem, teraz ponoszę za małą całkowitą odpowiedzialność. Rozumiesz?

– Zaczekaj – powstrzymałam go. – Skąd wiesz, że jesteś ojcem? Matka Andrei ci powiedziała?

– Zrobiłem testy.

– I?

– Sabina wyjechała ze swoim partnerem, archeologiem, do Ameryki Południowej. Andrea będzie mieszkać ze mną. Zgodziłem się na to.

– Wprawdzie nie mam prawa domagać się szczegółów, ale gdybyś jednak zechciał po kolei?

– Sabina była kiedyś dziewczyną mojego kumpla Marka. Nawiasem mówiąc, wcale mi się nie podobała. Mała, ruda, ruchliwa, wszędzie jej było pełno. Wszyscy byliśmy już po studiach. Próbowałem rozwinąć drukarnię w Osiekach, więc praktycznie nie wychodziłem z roboty. Koledzy z ekonomii załapywali się na etaty w różnych firmach, Marek z Sabiną planowali ślub na wiosnę. W połowie lipca całą zgrają przyjechaliśmy do Zastawna, żeby pobalować bez okazji. Aśka i Marcin wybierali się na dłuższy czas za granicę, Agata dostała pracę w Szczecinie, towarzystwo zaczynało się rwać. Trzeba było po raz ostatni napić się w starej kompanii. Rozbiliśmy namioty pod klonem, nad rzeką, tam gdzie...

– Wiem.

– No i bawiliśmy się do upadłego. Pierwszy padł Marek, za nim inni. Aśka z Marcinem wybrali się na dłuższy spacer, ktoś tam jeszcze ulotnił się do lasu. Zostaliśmy z Sabiną sami. „Nie jest ci smutno?“, zagaiła, zapatrzona w nurt. „Czy ja wiem? Może trochę”.

Poruszyła czułą strunę żalu za studiami, świadomość, że niedługo nie będzie już kumpli, z którymi spędziło się pięć lat na włóczędztwie po salach seminaryjnych, wykładowych, po knajpach, piekielkach, pokojach w akademikach.

„Mnie też, Tomeczku”, powiedziała czule, delikatnie dotykając mojej dłoni. „Wszyscy moi znajomi wyjechali z Wrocławia...”.

Studiowała polonistykę.

„Z nami też tak będzie”, ciągnęła. „Wszyscy się rozjedziemy, rozproszymy po świecie, nie zatrzyma nas ani miłość, ani nienawiść, pognamy, nie wiedząc, gdzie znajdziemy przystań. Warto zapracować na wspomnienia, prawda?”, zakończyła poetycko, wpatrując się we mnie.

Nie zaoponowałem, gdy przeciągnęła dłonią po moim policzku. Przymknąłem oczy, wyobrażając sobie, że oto głaszcze mnie pewna młoda osiemnastoletnia dama, która siedzi zapewne z wujostwem w salonie albo czyta książkę w swoim pokoiku na górze.

Miała na imię Ala.

Nie była dla mnie.

Nie zauważała mnie.

Nie miałem szans.

„Przejdziemy się?”, zapytała Sabina, wskazując na las.

„Na pożegnanie”, powiedziała.

Poszedłem. Do lasu. W krzaki. Po prostu zrobić to, o czym pomyśleliśmy oboje. Nie będę zrzucał na nią winy. Gdybym nie chciał, nie zostałbym nad rzeką. I tyle. Tymczasem trafił, że została poczęta Andrea... Mała, ruda, ruchliwa, wszędzie jej pełno. I bardzo mi się podoba, w przeciwieństwie do jej matki. Jest moją córką. To wszystko. No to już wiesz. I pewnie nie chcesz więcej wina?

Wyciągnęłam w jego stronę pusty kieliszek. Nalał.

– Fajnie, że masz córkę.

Może powinnam się oburzyć, że przywłókł małą tutaj, mimo że nie załatwiliśmy jeszcze spraw spadkowych? Może zezłościć, że celowo chce mnie zmiękczyć, przywołując obraz osiemnastoletniej Aliny? Pięknie opowiadał, niemal się wzruszyłam. Może nawet wzięłabym tę jego spowiedź za dobrą monetę, gdyby nie fakt, że pamiętałam doskonale o jednym takim miglancu, który łągał w żywe oczy aż do samego ołtarza.

– Więc co zamierzasz? – zapytałam.

– Dużo zależy od ciebie – odparł.

Tego się nie spodziewałam.

– Nie rozumiem.

– Czy wyrazisz zgodę, żeby Andrea zamieszkała w Zastawnie? Żebyśmy zamieszkali tu we trójkę?

– Skąd ta delikatność? – zakpiłam. – Czy pytałeś mnie o zgodę, zapraszając stado znajomych, mocno zainteresowanych bronią należącą obecnie do mecenasa? Robisz, co uważasz za stosowne, Tomasz, więc pozwól na to również mnie. Notariusza załatwiłam na wtorek. Mam nadzieję, że w tym czasie nie będziesz musiał identyfikować w Niemczech kolejnego potomstwa? Załatwmy sprawę i zajmijmy się firmą. Kiedy wyjdziemy na prostą, pomyślimy, co dalej.

– Racja. Opowiesz mi, co się dzieje w „Anieldruku”?

Jeśli moja przemowa go dotknęła, nie dał tego po sobie poznać.

– Dzieje się, Tomasz. Myślę jednak, że pogadamy o tym jutro. Powinniśmy zajrzeć do papierów. Powiem w skrócie: ktoś wyprowadził z firmy ponad milion złotych, a może więcej. Jesteśmy na dobrej drodze, by stracić dwóch strategicznych klientów. Mamy w firmie konia trojańskiego. Jestem jutro w „Anieldruku” o dziewiątej, w biurze wuja. Czekam na ciebie. A teraz idę na górę.

Starannie złożyłam koc, którym byłam przykryta, i odłożyłam go na fotel. Pusty kieliszek zaniósłam do kuchni. Tomasz siedział, obracając w dłoni swój. Czuje się niepewnie, oceniłam stan jego uczuć. Boi się. Opowiedział mi o Sabinie, nie usłyszał opinii. Traci grunt pod nogami.

– To jak? – zapytał mimo wszystko. – Andrea może tu mieszkać?

Gdyby chodziło wyłącznie o małą, odpowiedziałabym „tak”. Jasne, że tak! Ale chodziło również o niego. A niech się jeszcze trochę pomęczy! Za wszystkich facetów, którzy zostawiają przed ołtarzem! Albo przywożą mi dzieci!

– Masz pokój na dole, możesz nim dysponować – powiedziałam. – Czekam o dziewiątej w drukarni. Dobranoc.

A reńskie było naprawdę dobre.

7–8 MAJA 2011

Wszystkiego najlepszego, wujku. Wiesz, że szczerze ci tego życzę? – Ścisnęłam wujka Staszka na ganku jego dworku w sobotę poprzedzającą imieniny. – Bądź zdrow i szczęśliwy, jak do tej pory.

– Życz mi biegających po podwórku małych krzykaczy – wszedł mi w słowo. – Jakiejś malutkiej dziewczynki albo chłopca. Tego właśnie pragną moje stare oczy.

– Mówisz i masz! – roześmiałam się, patrząc na drogę. – Chyba widzę samochód Aldony.

Imieniny wujka Staszka stanowiły żelazny punkt w peregrynacjach mojej rodziny do Zastawna, podobnie jak przypadające na początek października imieniny cioci Anieli. Nie przypominam sobie, abyśmy odwiedzali wujostwo w święta Bożego Narodzenia czy na Wielkanoc. W dorosłym życiu zdecydowałam o tym samodzielnie, nierzadko przedkładając te wizyty nad spotkania z rodzicami, co zresztą doprowadzało mamę i tatę do szewskiej pasji. Byli zazdrośni.

– Czy ty naprawdę nie możesz spędzić z nami całych świąt, chociaż w tym roku? – marudziła mama, myśląc zapewne, jak niewdzięczną istotę wychowała, wykarmiła własną piersią, a teraz przyszło się jej nią dzielić z jakąś tam Anielą, której nigdy nie chciało się mieć dzieci. – Chociaż wiadomo, Dobrowolscy kupią lepsze prezenty, przyniosą lody do łóżka, zrobią kulig...

Z perspektywy czasu coraz bardziej skłaniam się do wersji, że wbrew zrzędzeniu mama była zadowolona z mojej nieobecności. Miała przy sobie Aldonkę, która nigdy nie zdradziła rodziców dla wujostwa. A ja spędzałam w Zastawnie całe wakacje, co moi najbliżsi przyjmowali z ulgą. Choć w pewnym momencie zauważyli niebezpieczeństwo. Za późno. Miałam już własny rozum, a do wujostwa byłam szczerze przywiązana.

– Mamo, tato, na drugi dzień świąt jadę do Zastawna.

– Ale...

– Jadę.

– Rób, jak uważasz. Skoro tak ci źle w domu... – nadymała się mama.

Na początku dawałam się nabierać na te tanie chwytły, *sierdceszczypatielnyje* zagrywki, branie pod włos. Tłumaczyłam, że to nie tak, że wujostwo są sami, bez dzieci, i będzie im przyjemnie. Aż w końcu, zmęczona wymyślaniem wymówek, wyartykułowałam wprost: „Mamo, tato, ja ich kocham”.

– Alinko, nie mydl mi tu moich starych oczu. Twoje dzieci chcą zobaczyć – powiedział wuj szeptem, bo focus mojej siostry wtoczył się właśnie na podwórko, by zająć miejsce na wyłożonym kostką parkingu nieopodal płotu.

Wzdłuż ciała skrywającego małą dziewięcioletnią fasonkę, o której istnieniu nie zdążyłam jeszcze poinformować wujka Stacha, przebiegł przyjemny, ciepły prąd. Moje dziecko. Nagle poczułam się bezpiecznie, otulona bliskością, istnieniem Zastawna, unoszącą się w powietrzu akceptacją, mimo że na podwórku lądowały właśnie dwa niebezpieczne, nieprzewidywalne statki kosmiczne z innego, stresującego świata. Samochód Aldony i Miłosa i auto rodziców.

– Ciocia, ciocia! – krzyczała Tosia, biegnąc w moją stronę i niemal potykając się o własne nogi.

Choćbym nie chciała, choćbym nie wiem jak nienawidziła tego dziecka, które było

dzieckiem Miłosza, ono nie pozwalało się odrzucać i ignorować.

– No chodź na rączki. Ciocia weźmie. – Mała poszybowała w górę. Poklepała mnie otwartą łapką po policzku i złożyła na nim wilgotny pocałunek. – Masz, wujku, małego krzykacza. – Przekazałam gospodarzowi w powietrzu najmłodszego, osiemnastomiesięcznego gościa.

– Tosieńko! – Podrzucił ją raz i drugi do góry, a później spojrzał na mnie z uśmiechem. – Nie wykręcisz się, Aluś.

Byłam szczęśliwa. I tak niewiele dzieliło mnie od urzeczywistnienia tego szczęścia. Bez względu na wynik rozmowy z Remkiem, bez względu na to, czy powiadomię go o ojcostwie, czy nie, będę wygrana. Moim zapleczem było Zastawno i wuj. Za miesiąc miałam podejść do egzaminów po drugim roku psychoterapii, po którym czekał mnie wypoczynek na wsi. Pod koniec grudnia urodzę, potem się zobaczy. Life wcale nie jest brutal i full of zasadzkas. Jest piękne! A ja będę miała dziecko!

– Wujku, jestem w ciąży! – wyszeptalam.

Na szczęście nie upuścił małej, chociaż gdyby był mniej wygimnastykowany, nie skoordynowałby ruchu wyciągniętych do góry ramion z nagłym odwróceniem głowy w moją stronę.

– Poważnie? – Postawił Tosię na ziemi.

– Żartuję.

– To wspaniale! – nie dał się nabrać.

– Staszku, wszystkiego najlepszego. – W naszym kierunku podążała mama z bukietem różowych gerber.

– Cześć, mamó – spróbowałam się przywitać.

– Już tu jesteś? – Spojrzała przelotnie. – Stasięńku, kolejnych rocznic i dużo zdrowia! – Rzuciła się wujowi w ramiona z wylewnymi życzeniami.

– Dziękuję, Krysio. Dziękuję, Waldku. – Gospodarz wyraził wdzięczność za przybycie.

– Chodźmy do salonu.

Całą gromadą skierowaliśmy się do domu.

– Rodzice wiedzą? – usłyszałam pytanie.

– Jeszcze nie.

– Rozumiem. I tak się cieszę – wyszeptał mi wujek do ucha, próbując zachować kamienną twarz. – Kiedy?

– W grudniu. Na święta.

– Zaraz po przyjęciu idę malować pokój na górze! Dla dziecka. – Niby żartował, ale wiedziałam, że mogę potraktować to zobowiązanie dosłownie. – A Remek już wie?

Jak widać, wiedza wujka na temat moich spraw sercowych była nieaktualna. Czyżbym po rozstaniu z Remkiem nie przyjechała się wypłakać do Zastawna? Robiłam postępy.

– Potem ci wszystko opowiem... – zaczęłam, ale przerwała mi mama.

– Co tak szepczecie? Dalej, dalej, do stołu – komenderowała.

Stół ugiął się od przysmaków.

Zrazy wołowe z kaszą gryczaną i bigosem traktowane były jak stały punkt programu.

Nie mogło zabraknąć marynowanych grzybów, kiszonych ogórków i ryb. Drapieźnych szczupaków, pokonanych przez wujka Stacha, najlepszego, jak go nazywałam „wędkarza w Soplicowie”, niewielkich okonków w panierce i smażonych srebrzystych karasków. Ryb wszelakich, pieczonych i wędzonych we własnej wędzarni. Nie wspomnę o staroświeckich sałatkach z wyhodowanych ręką sąsiadki nowalijek. To niewyobrażalne, ale mieliśmy przed oczami własną sałatę spod folii, pierwsze rzodkiewki, szczypiorek. I, do licha, nie polane „ą, ę”

oliwą z oliwek, jedynym prawomyślnym tłuszczem, który wspiał się ze społecznych nizin toskańskich i prowansalskich na drobnomieszczańskie polskie salony. Sałata z rzodkiewką pływały w śmietanie, diabli-wiedzą-ile-procentowej (też roboty sąsiadki, niestety bez pozwolenia, bez zachowania unijnych norm i innych ekologicznych bzdur), za to nadzwyczaj dobrej. Ukoronowaniem uczyty był kaloryczny tort kawowy z kremem i puchar lodów, które pochłaniałam z ochotą odwrotnie proporcjonalną do nastawienia Aldony, gotowej w obliczu mojego apetytu ograniczyć się do skubania chipsów z suszonych jabłek, przywiezionych w razie czego.

Czyli w razie gdyby zgromadzone na stole dobra zagrażały jej życiu. A niewątpliwie zagrażały. Za dużo tłuszczu, cholesterolu, białka, za mało wszystkich dobrych składników, które uratują nas przed nagłą i niespodziewaną śmiercią. Uchowaj nas, Panie.

– Ciociu, kiedy psyjdziesz do mnie? – Tośka, mimo niespełna dwóch lat, wypowiadała się pełnymi zdaniami.

Pożegnałyśmy się.

– Jutro. Kiedy się wyśpisz. Dobrze?

Znając psychologię małego dziecka, wiedziałam, że percepcja malucha w tym wieku nie pozwala pamiętać niczego dłużej niż kilka minut. Mogłam jej obiecać cokolwiek.

– Dobrze – odparła. – Psynieś mi lizaka ze słoneczkiem. Ziółtym.

Lizaki ze słoneczkiem stanowiły moją tajną broń w walce o jej serce.

– Przyniosę. Cześć, mała! – zdążyłam zawołać, zanim Aldona wyrwała mi córkę z rąk. Może za kilka miesięcy będę już miała własną?

– Mów! – Wuj usadził mnie na kanapie natychmiast po odjeździe gości. – Jak to się stało? Co na to Remek? Jak się czujesz? Jaki ja jestem szczęśliwy!

Odpowiadałam systematycznie, pławiąc się w jego zachwycie. Dwa miesiące temu, stało się przez przypadek, Remek nie wie, ale mu powiem (chwilowo nie zdradziłam, że już nie jesteśmy parą), czuję się dobrze i cieszę się z radości wuja.

Od tej chwili nie byłam już traktowana dobrze. Byłam traktowana bardzo dobrze, niemal noszona na rękach. W niedzielę wujek wywiesił hamak, abym w cieniu lipy mogła oddawać się błogiemu lenistwu, usmażył mi na śniadanie moje ulubione placki ziemniaczane. Dostałam zakaz zmywania, sprzątania, podnoszenia rąk do góry, zbliżania się do kotów, denerwowania się (miałam przestać dzwonić do rodziców i Aldony?). Kiedy nadszedł niedzielny wieczór, wujek nie mógł odejść od samochodu, udzielając instrukcji, jak mam omijać dziury i płynnie zmieniać biegi w drodze do Wrocławia.

Wracałam na stryszek spokojna i szczęśliwa, pewna, że mając takie wsparcie, na pewno dam sobie radę. Pozostało jedynie zastanowić się, co powiedzieć Remkowi. Na podjęcie decyzji miałam jeszcze kilka dni.

13 MAJA 2011

Dobrze wyglądasz – powitał mnie, wstając od stolika w kawiarence „Na Zapleczu”. – Jesteś taka promienna! Widać nasze rozstanie ci służy – dodał. O dziwo nie poczułam się urażona, choć nie wątpiłam, że uwaga miała wywołać we mnie poczucie winy. – Mimo wszystko dziękuję, że zechciałaś się ze mną spotkać.

Był oficjalny i, wydawało się, wyniosły. Pożałowałam swojej decyzji. Chęć wyjawienia prawdy o ciąży słabła. Zaczynała szukać najbliższego kąta, żeby się ukryć.

– O co chodzi? – zapytałam.

Zanim zdążył odpowiedzieć, przy stoliku pojawił się uprzejmy kelner z kartą.

– Może pan to zabrać. Poproszę tylko świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy – zamówiłam, oddając menu.

– Sok? – zdziwił się Remek. – Nie zamawiasz wina? Jesteś samochodem?

– Nie, człowiekiem – odpowiedziałam wyświechtanym dowcipem. – Po prostu chcę cię wysłuchać. Powiedzmy, że na trzeźwo. Skoro już się tutaj pofatygowałam.

Powoli nabierałam pewności, że Remek nie usłyszy o dziecku.

Siedział naprzeciwko i patrzył mi w oczy. Musiałam przyznać, że w ciągu dwóch lat naszej znajomości wyprzystojniał i stał się bardziej męski. I, niestety, wciąż mnie pociągał.

– Alinko, nie bądź taka wojownicza. Proszę – nadał głosowi aksamitny ton. – Naprawdę nie zrobiłem niczego złego. Jak możesz przypuszczać, że mógłbym być w stosunku do ciebie nielojalny? Przecież kocham tylko ciebie.

Skoro tak mnie kochasz, dlaczego nie warowałeś pod moimi drzwiami z gitarą i nie śpiewałeś serenad?, myślałam, patrząc na jego spokojną twarz. Dlaczego ograniczałeś się do kolaborowania z Moniką i szukałeś jej pośrednictwa? Czy nie lepiej byłoby schować źle pojętą godność do kieszeni i po prostu się pojawić, nawet jeśli konsekwentnie odrzucałam esemesy? A ty grzecznie się ode mnie wyprowadziłeś i na nowo zamieszkałeś w przepastnym domu rodziców, gdzie czekał wygodny pokój z łazienką. Znudziło ci się wchodzenie na piąte piętro bez windy w starej kamienicy czy miłość do mnie nie była warta aż tak dużego poświęcenia?

Gapił się na mnie oczami zganionego psa rodem z amerykańskich kreskówek.

– Wielokrotnie próbowałam się z tobą skontaktować, ale nie odbierałaś. Chciałem ci wytłumaczyć... Żebyś zrozumiała, że Klaudia to moja była dziewczyna, jeszcze z liceum. I tyle. A że ją pocałowałem? Nic nieznaczący gest.

– A tak naprawdę, dlaczego zależało ci na naszym spotkaniu? – przerwałam to żenujące tłumaczenie.

– Wyjeżdżam do Włoch, na dwa lata. I mam nadzieję, że pojedziesz ze mną. Alu, nigdy nie przestałem cię kochać...

Jakoś trudno mi było uwierzyć. Ani ton, ani mimika nie wydawały się przekonujące.

– Nie będę przecież przez całe życie woził się z wycieczkami – ciągnął, jak dobrze wyuczoną kwestię. – Ojciec załatwił mi praktykę w mediolańskiej firmie, u swojego kontrahenta. Produkują tkaniny tapicerskie. Gdy wrócę, zostanę współnikiem ojca. Czas, żebym się ustatkował, ożenił. Stać mnie będzie na utrzymanie rodziny, ciebie...

Czy to oświadczyń?, zdumiałam się szczerze. Pytanie czyje? Remka czy jego rodziny, która pragnie stabilizacji dla syna. Może koleżanka z liceum nie sprawdziła się jako kandydatka na żonę?

– Remigiusz... Nie rozumiem.
– Chciałbym, żebyś pojechała ze mną do Mediolanu. Może nawet pobralibyśmy się we Włoszech? – zaczął fantazjować. – Pamiętasz, ojciec był tam kiedyś konsulem. Spełniłbym marzenie rodziców.

– A ty? – Czułam się coraz bardziej niezręcznie.
– Alinko, ja również o tym marzę. Wyobrażasz to sobie? A kiedy z czasem przejąłbym firmę starych...

– ...żylibyśmy długo i nieszczęśliwie – odpowiedziałam.
Cóż za infantylizm! Czy on sobie wyobraża, że nagle padnę mu w ramiona i pozwolę się traktować jak puzzel w rodzinnej układance? Pytanie, które właśnie przyszło mi do głowy, mogło wiele wyjaśnić.

– To ojciec kazał ci się ożenić?
– Skąd ten pomysł? – zachnął się, ale zmiana wyrazu twarzy i charakterystyczne machnięcie rękami utwierdziły mnie w przekonaniu, że mam rację. – Ala, ja cię kocham i pragnę z tobą być! – Nie pozwolił sobie przerwać. – Może zamówię butelkę chianti? – Próbował rozluźnić atmosferę alkoholem i przywołać tokańskie wspomnienia.

– Dziękuję, nie piję. Mam sok – powiedziałam.
Niepotrzebnie. Powinna się domyślić, że Remek coś podejrzewa. Powinna skojarzyć, że przepytuje Monikę.

– Czy chciałabyś mi o czymś powiedzieć? – zapytał.
Zabiję moją przyjaciółkę!, zgrzytnęłam bezgłośnie zębami.
– Nie, dlaczego? – szłam w zaparte. Zapragnęłam jak najszybciej opuścić lokal.
– Nie pijesz. Jesteś rozdrażniona. Dobrze się czujesz?
Nie potrafił zadać fundamentalnego pytania, a ja postanowiłam mu tego nie ułatwiać.
– Doskonale. Będę się zbierać.
– Czy ty... Czy jesteś w ciąży?

Nagle wyobraziłam go sobie jako ojca mojego dziecka i przed oczami stanął mi pokój w Mediolanie, a w nim ja, oczekująca przybycia męża z pracy w fabryce tkanin obiciowych. Gdy nałożył się na tę wizję obraz młodych państwa Kańskich (Remek, ja i Haneczka) w pokojach na pierwszym piętrze willi Kańskich seniorów, musiałam przerwać projekcję przyszłości. To się nie ma prawa wydarzyć!

– Nie. Skąd ci to przyszło do głowy?
– Myślałem... Słyszałem, że byłeś u Kulczyckiego.
Być może to nie Monika była źródłem informacji o mojej ciąży. Rodzice Remka mieli najwyraźniej szeroko rozpostarte czułki.

Dopiłam sok i podniosłam się z krzesła. Położyłam pieniądze na stole.
– Będę już biegła do domu.
– Alu, przemyśl to jeszcze. Wpadnę do ciebie po moje książki. Mogę zadzwonić?
– Wyślę ci je pocztą.
– Zadzwonię za jakiś czas, dobrze? – powtórzył, przytrzymując moją rękę.
– Jak chcesz.

Było mi niedobrze. Odruch wymiotny powstrzymało na moment rześkie wieczorne powietrze, które, niestety, przyniosło za chwilę smród samochodowych odchodów. Opanowując zawroty głowy, pobiegłam za róg, by zwrócić sok pomarańczowy do najbliższej studzienki.

Na szczęście Remkowi się nie śpieszyło.

17 CZERWCA 2013

Od dwóch godzin siedziałam w firmie, przeglądając papiery i bezskutecznie starając się znaleźć rozwiązanie zagadki, która kosztowała mnie i Tomasza ponad milion złotych. Jak do tej pory. Mój pozał się Boże wspólnik uganiał się właśnie po Wrocławiu, załatwiając sprawy formalne związane z nagłym pojawianiem się na firmamencie Andrei.

Nijk nie mieściło mi się w głowie, że trzydziestoilustamletni bezdzietny kawaler z nienacka wszedł w posiadanie – a jeżeli to brzydtko brzmi: stał się szczęśliwym ojcem – dziesięcioletniej dziewczynki, która nagle miała pozostać z nim na zawsze. Na zawsze, ponieważ jej mamusia znudziła się wychowywaniem córki i postanowiła, jak kukulka, podrzucić ją tatusiowi, oddając się rozkoszom podbijania Ameryki Południowej u boku kolejnego mężczyzny życia. Jakkolwiek dostrzegałam również humorystyczny aspekt sytuacji, i tak nie potrafiłam pojąć, jak można za pomocą podpisania przed polskim konsulem w Niemczech dokumentu zostać ojcem. Z wszelkimi konsekwencjami tego faktu.

Dzisiaj Tomasz rejestrował Andreę w urzędzie stanu cywilnego, zmieniał jej nazwisko w akcie urodzenia na własne, być może nawet zapisywał ją do szkoły. Wyglądało na to, że młoda na razie zamieszkała z nim (a w związku z tym i ze mną) w Zastawnie, choć z horyzontu nie zniknęła kwestia podzielenia się firmą i dworkiem. Jak to jednak zrobić, gdy posesja wujka dotyka parceli z „Anieldrukiem”, a on sam zawsze uważał obie za integralną całość?

A co, jeśli się okaże, że przekręt jest większy niż na milion?, pomyślałam z trwogą, powracając do penetrowania dokumentów i gapiąc się w faktury i sprawozdania finansowe jak sroka w gnat. A jeżeli już straciliśmy płynność finansową (przypomniałam sobie termin, który często powtarzał Marcin) i nie będziemy mieli z czego zapłacić dwuosobowej załodze? Nie spłacimy rat leasingowych, rachunków za prąd, wodę i inne media? Wyjście będzie tylko jedno – dom pod młotek, a ja sama do Wrocławia.

Odsunęłam od siebie niepokojącą myśl, że muszę skontaktować się z panem Rakiem, właścicielem mojego stryszku.

„Proszę nie zamieszczać ogłoszenia o sprzedaży, jestem zainteresowana, odezwę się”, odpisałam, kiedy poinformował mnie o decyzji pozbycia się mansardy.

To było tydzień temu. Dlaczego wciąż milczałam? A może on już dawno znalazł kupca?

Gdzie bym się wówczas podziała?, pomyślałam z trwogą. Naprawdę nie mam gdzie, przecież Zastawna nie może traktować jak prywatnej przystani. O mieszkaniu u rodziców nie warto nawet myśleć ani tym bardziej liczyć na jakąkolwiek pomoc, skoro wszyscy spodziewają się, że jednak podzielę się spadkiem z Aldoną. A może długami?, pomyślałam z przekąsem.

– Jestem – usłyszałam głos Tomasza, a po chwili ujrzałam go w gabinecie. – Przepraszam. – Podszedł bliżej i nieoczekiwanie pocałował mnie w policzek.

Przywołanej z otchłani trwogi, ten niespodziewany gest sprawił mi przyjemność.

– Zostawiłem Andreę w domu. Jestem do twojej dyspozycji. Raz jeszcze przepraszam.

Zanim zdążył usiąść w fotelu naprzeciwko mojego, sekretarka już biegła z zimną wodą mineralną dla „pana prezesa”, „bo przecież dzisiaj tak gorąco”.

– A może pan prezes życzy sobie jeszcze czegoś?

– Dziękuję. Proszę nam nie przeszkadzać, pani Wando. – Głos Tomasza stwardniał. –

A na przyszłość: proszę nie tytułować mnie w ten sposób, a zwracać się tak do pani Dobrowolskiej.

Kobieta wyszła, próbując ukryć zdziwienie, a on puścił do mnie oko.

– Dlaczego? – zapytałam.

– Alu, dopóki się nie dogadamy, prowadzimy tę firmę razem. A jak pokazuje doświadczenie ostatniego tygodnia, a pokaże zapewne i kolejnych, będziesz tu częściej niż ja. Przekazuję ci berło, bo ci ufam. A propos, kiedy notariusz? Twój tato nie zmienił zdania?

– Mam nadzieję – odparłam, pozostając pod wrażeniem deklaracji o zaufaniu w stosunku do mojej skromnej osoby. – Nie rozmawiałam z nim ostatnio, ale myślę, że wytrwa w postanowieniu. Notariusz jutro o siedemnastej.

– Oczywiście będę.

– No chyba.

Tkwiliśmy nad papierami, szukając luki. Bez sukcesu. Wyliczenia, rzędy cyferek, daty przelewów, wartości faktur wydawały się w porządku. Winien – ma, ma – winien. Wszystko się zgadzało.

– Patrz! – wskazał Tomasz. – Przecież wygląda na to, że „Impax” i „Dolmed” zapłaciły. Dlaczego nie widzimy tych pieniędzy?

– Zerknij na pierwsze osiem cyfr rachunku. I na cztery ostatnie.

– Są w porządku.

– A czternaście środkowych? Zauważyłeś?

– Matko Boska! Przecież to inne konto! Ale nie, wskazuje na „Anieldruk” jako na właściciela. I adres też się zgadza. To nasze. Jakies inne konto? A może podkonto? Nie rozumiem...

– Tomasz, ktoś założył rachunek, posługując się danymi drukarni. Prawdopodobnie wujek nie miał o niczym pojęcia. Trzeba być mistrzem spostrzegawczości, by się w tym połapać.

– Cholera. – Wstał i zdenerwowany zaczął krążyć po gabinecie. – Kto, do cholery! Kto?!

– Może powinniśmy zawiadomić policję? – zasugerowałam.

– Zaczekaj. Sprawdzimy przelewy i zorientujemy się, ile jesteśmy do tyłu.

Otworzył drzwi do sekretariatu.

– Pani Wando, proszę zawołać pana Marcina. Natychmiast.

– Dlaczego po niego posłałeś?

Za zlecenia był odpowiedzialny Kowalewski.

– Marcin, paradoksalnie, jest znacznie lepiej zorientowany w temacie. Poza tym pan Zdzisław był ostatnio dziwnie zestresowany. Mógł się pogubić w buchalterii.

– Co masz na myśli? Że maczał ręce w oszustwie?

– Nie, chyba nie. Raczej obawia się, że straci robotę, a to odbiera mu rozum. Facet się gubi.

– A Marcin?

– Zastępuje go, więc wie wszystko. Co, dla kogo i ile robimy. I ile powinniśmy dostać za nasze usługi. Faktury i przelewy są u pani Iwony.

Marcin, który właśnie pojawił się w drzwiach, jak zwykle emanował pewnością siebie, uprzejmością i spokojem. Nie miałabym nic przeciwko temu, by po raz kolejny oprowadził mnie po zakładzie, pomyślałam.

– Jestem – oznajmił. – W czym mogę pomóc?

Tomasz wskazał mu fotel.

– Poprosimy o zlecenia klientów z ostatniego półrocza – zaczął. – Chcielibyśmy dowiedzieć się, czy wywiązaliśmy się z nich w terminie, czy nie było reklamacji, upustów,

rabatów. Słowem wszystko.

– A płatności? – wtrąciłam.

Tomasz dał mi gestem znać, żeby nie drażyć tematu.

– O to zapytamy księgową. Może pan być gotów za powiedzmy... pół godziny?

– W każdej chwili. Mam je zebrane w segregatorze. Mogę przynieść zaraz. – Marcin podniósł się z fotela.

– W takim razie zajrzę do pana za dziesięć minut.

Nie omieszkałam zauważyć, że Marcin, wychodząc z pokoju, zerknął na mnie i delikatnie się uśmiechnął.

Tomasz był wobec niego stanowczo zbyt obcesowy, a przynajmniej oficjalny. Postanowił osobiście odebrać zlecenia. Chyba zauważył ten uśmiech. Albo może mi się wydawało?

– Będziemy porównywać zlecenia z płatnościami, tak? – zapytałam, gdy zostaliśmy sami.

– Owszem. Cholera wie, ile wyciekło na to drugie konto. Aż się boję sprawdzać.

– No ale jeśli kasa jest na trefnym rachunku, możemy ją przecież podjąć. W końcu formalnie konto należy do firmy!

– Ala, tylko jeśli ostał się chociaż jeden grosz! Myślę, że złodziej już je opróżnił.

– Matko jedyna!

– Na razie sprawdzmy, ile nam buchnięto. Potem będziemy dochodzić kto.

Gdy wtargnęliśmy do biura księgowej Iwony, ta cisnęła słuchawką. Zupełnie jakby coś ją oparzyło.

– Proszę sobie nie przeszkadzać – skwitował Tomasz kąśliwie.

– Właśnie skończyłam. To z domu, syn się źle poczuł – postanowiła się wytłumaczyć.

Jak można wykorzystywać zdrowie dzieci do takich tanich kłamstewek?, zżymałam się w myślach, patrząc, jak z twarzy naszej księgowej znika pewność siebie.

Pani Iwona pozbierała się szybko. Widać mijanie się z prawdą, nazywane przez gruntownie wykształconych i obytych snobów konfabulacją, miała we krwi. Nie licząc starych, dobrych i poczciwych leuko- i erytrocytów.

– Panie prezesie, właśnie robię sprawozdanie za zeszły miesiąc – obwieściła.

Przez telefon?, miałam ochotę zapytać.

Ta kobieta nie przypadła mi do gustu od początku znajomości. I to nie dlatego, że kleiła się do Tomasza w sposób, którego nie zauważyłby wyłącznie niewidomy (zgodnie ze słowami Moniki). Nigdy w życiu nie pozwoliłabym sobie być zazdrosną o faceta. Po prostu księgowej „Anieldruku” wystawała słoma z butów. Baba była nieokrzesana, prostacka i wyobrażała sobie zbyt wiele. Teraz też nie zwracała uwagi na moją obecność, gapiąc się na Tomasza jak cielę na malowane wrota. Kłapała przy tym buzią, karmiąc go jałowym gadulstwem na temat nawału obowiązków i znaczenia własnej osoby w drukarni.

– Pan Stanisław zawsze życzył sobie dodatkowo zestawienia kosztów przypisanych do sprzedaży na drukach F-4 i F-5, które wprowadził Marcin w tym ISO, i... – mełła ozorem jak najęta.

Jeśli Tomasz jej nie przerwie, osobiście oberwę jej łeb!, trafił mnie szlag.

– Proszę przygotować zestaw faktur do zleceń za ostatnie półrocze – zdecydował. – I kopie przelewów na firmowe konto. Krótko mówiąc: sprawdzić, czy klienci zapłacili za druk.

Pani Iwona sprawiała wrażenie oburzonej.

– Oczywiście, że zapłacili! – wykrzyknęła. – Przecież to ja jestem, to znaczy: byłam, za czasów pana prezesa Dobrowolskiego odpowiedzialna za windykację. Upominałam się osobiście, gdy któryś klient nie płacił. Wszyscy płacili! Musieli!

– A „Impax” i „Dolmed”? – Spojrzenie Tomasza dzgnęło jak sztylet. – Wie pani coś na ten temat?

– Nie mam pojęcia – odparła. Szybko i pewnie. – Nie dotarło do mnie w ciągu ostatnich kilku miesięcy żadne zlecenie z tych firm. Ostatnie spłynęło pod koniec ubiegłego roku. Płacili w terminie, nie musiałam windykować. To dobrzy płatnicy.

Brzmiało to dość sensownie, odpowiedzi były pewne i rzeczowe. Jednak w obliczu problemów (nagle najście prezesa i tej, jak jej tam?, młodej Dobrowolskiej) wzmogła czujność. Nawet przestała podrywać Tomasza, zarówno ciałem, jak i spojrzeniem. Coś tu jest na rzeczy, pomyślałam, skoro instynkt samozachowawczy bierze górę nad babskimi odruchami.

Pani Iwonka zrobiła minę absolutnie uczciwej księgowej.

– Na jakiej podstawie monitorowała pani płatności? – atakował pytaniami Tomasz.

– Przecież wystawialiśmy faktury z podaną kwotą do zapłaty... – zachnęła się, wyjaśniając fakt oczywisty.

– Kto je wystawiał?

– No przecież ja! – podniosła głos.

– Czy na fakturze zawsze podaje pani konto do wykonania przelewu?

– Oczywiście. Zawsze.

– W takim razie proszę o tegoroczne faktury wystawione na „Impax” i „Dolmed” – zarządził chytrze.

Pani księgowa się nie dała.

– Przecież już raz mówiłam, że w tym roku nie wystawiałam im żadnych faktur. Nie drukowaliśmy dla nich.

Tomasz nie przestawał drążyć. Z zaciekawieniem obserwowałam, co z tego wyniknie. Najwyraźniej pani Iwonie nie wierzył.

– Proszę mi pokazać wszystkie tegoroczne faktury.

– Mam je wydrukować?

– A są tylko w wersji elektronicznej? – Popatrzył zdziwiony.

– Taaak. Od kilku miesięcy wystawiamy wyłącznie e-faktury...

– Niebawale! A co, gdyby system nawalił? Stracilibyśmy dane, prawda? Naprawdę nie robiła pani wydruków?

Księgowa pokręciła głową. Podeszła do komputera i wzięła do ręki myszkę.

– Mam je tutaj. W folderze „e-faktury 2013”.

Kursor przeszukiwał ekran.

– Nie widzę... – Tomasz wodził za nim wzrokiem.

– Ja też nie! – Pani Iwona wyglądała na przerażoną. – Matko jedyna, nie ma go!

Zniknął! Pan chyba nie myśli...

Tomasz przejął myszkę i odsunął się od biurka.

– Proszę odejść od komputera i usiąść tutaj! – nakazał nieznoszącym sprzeciwu tonem, skinąwszy ku bocznemu stolikowi. – Ma nam pani coś do powiedzenia?

– Nie mam pojęcia, jak to się mogło stać! Przepraszam... Przed dwiema godzinami jeszcze był! – zaklinała się. – Ba, przed dziesięcioma minutami! Kiedy dzwoniłam do „JUST-u” w sprawie niezapłaconej faktury! Kiedy państwo weszliście...

– A mnie się wydawało, że wtedy dzwoniła pani do domu. Syn ponoć gorzej się poczuł – zauważyłam z satysfakcją.

Pani Iwona zaczynała się pocić.

– Ach, prawda! Wtedy rzeczywiście rozmawiałam z nianią. Przepraszam, mam tyle spraw na głowie! I jeszcze zniknięcie tego folderu! Ale on przecież musi się znaleźć, prawda? – Popatrzyła z nadzieją. – Tyle faktur przepadło! – biadoliliła.

Pewnie spodziewała się współczucia.

Tomasz siedział w milczeniu. Nie przerywał monologu. Milczałam również ja, nie chcąc mu mącić w przyjętej strategii postępowania z babą.

Pani Iwona nie przestawała gadać jak najęta.

– Już wiem! Mogę przecież odtworzyć wszystkie faktury od początku roku! – roześmiała się nerwowo, serwując nam genialny pomysł. – Wezmę z produkcji zlecenia i obdzwonię klientów. Przecież oni mają duplikaty! Trochę to potrwa (bagatela, kilka tysięcy zleceń!), ale sprawa się wyprostuje i będziemy mieli porządek w papierach!

Chyba w folderach!, pomyślałam.

Tomasz analizował każde jej słowo. I słusznie, do wojny trzeba się starannie przygotować. Sama nie miałam pojęcia, jak należy postąpić. Niewątpliwie folder zniknął w bardzo dogodnej dla złodzieja chwili, pozbawiając nas możliwości skontrolowania obiegu dokumentów i weryfikacji płatności. Katastrofa. Wobec nie najlepszej kondycji „Anieldruku” mogliśmy przypuszczać, że na trefne konto, zapewne wyczyszczone do dna, trafiły wcale niezłe sumki.

– Pani Iwono... Dzisiaj może iść pani do domu.

Zaskoczone byłyśmy obie. Księgowa się rozplakała.

– Ale ja to naprawię! Przepraszam! Ja potrzebuję tej pracy, mam chore dziecko! – wykrzykiwała, pozwalając płynąć potokom łez.

Tomasz pozostał nieugięty.

– Nikt jeszcze pani nie zwalnia. Po prostu dzisiaj nie mam dla pani zajęcia. Muszę zająć się pani komputerem.

– To się zdarzyło po raz pierwszy! – spazmowała.

Po raz pierwszy ukradłam kilka milionów złotych, pomyślałam sarkastycznie, przypominając sobie przypadkowe spotkanie u notariusza, od którego wychodziła po usankcjonowaniu transakcji zakupu domu. Czyżby za pieniądze „Anieldruku”?

Podnieśliśmy się z Tomaszem jak na komendę.

– Wyjaśnimy tę sprawę – obiecał pan prezes. – Proszę się nie fatygować – powstrzymał panią Iwonę, sięgającą w stronę komputera. – Ja go zamknę.

Sprawiała wrażenie zawstydzonej.

– Ale... Mam tam kilka prywatnych plików. Chciałabym jej zlikwidować...

– Niestety, to niemożliwe. Proszę jutro stawić się w pracy zgodnie z grafiką.

– Będę – wpadła mu w słowo, zapinając guziki zakietu. – Gdybym była potrzebna...

– Mamy pani numer.

Za księgową zamknęły się drzwi.

Tomasz wyglądał na zamyślonego. Nachylił się nade mną.

– Co o tym sądzisz? – zapytał. – Winna? Umyślnie zlikwidowała ten folder? Przecież bez faktur i kont trudno będzie dojść prawdy. I w ogóle zorientować się, na ile nas rąbnięto...

– Może ma współnika? – dołożyłam swoje. – Nie mówiłam, bo nie było okazji, ale w ubiegłym tygodniu spotkałam naszą księgową u notariusza. I sekretarkę, panią Wandę. Wydaje mi się, że kupiły na spółkę jakąś nieruchomości.

– No proszę. Nie spodziewałbym się... Jeśli zabrały kasę i nie od razu ją wydały, można będzie ją odzyskać. Na razie jednak musimy założyć, że to nie one.

– To co, dzwoniemy na policję?
– Jeszcze nie, Alu. Najpierw oszacujmy straty. Wołam informatyka. Na serwerze powinny być kopie wszystkich wykonywanych operacji. – Rozwinął myśl, gdy ujrzał mój barani wzrok. – Wujek swego czasu zadbał o te sprawy. Może się uda rozwikłać zagadkę szybciej, niż nam się wydaje. – Sięgnął po telefon.

Zanim zdążyłam docenić jego geniusz, pojawił się Marcin.

– Orientuje się pan może, czy jest dzisiaj informatyk? – zapytał Tomasz. – Potrzebuję kopii dokumentów księgowych.

Marcin spojrzął na zegarek.

– Powinien być do trzynastej... A nie, przepraszam, dzisiaj nie. Sebastian będzie jutro. Ale może ja mógłbym pomóc?

– A ma pan dostęp do kopii zapasowych?

– Tylko w obecności Sebastiana. Nikt poza nim i ścisłym kierownictwem nie ma prawa wstępu do serwerowni. Ochrona danych. Ja sam zaglądam do kopii dokumentów przechowywanych na zapasowym dysku wyłącznie raz do roku. Przed audytem ISO, kiedy muszę przeprowadzić audyt wewnętrzny.

– Panie Marcinie, niech zatem informatyk zgłosi się do Aliny i do mnie jutro z samego rana. Do tego czasu niech nikt nie wchodzi do serwerowni i niczego nie rusza. Proszę mi przynieść klucze.

– Teraz?

– Tak będzie najlepiej.

– Czy coś się stało?

– Proszę po prostu przynieść te klucze. – Tomasz zirytował się wreszcie. – Czy produkcja przebiega bez zakłóceń?

– W zasadzie tak... Chociaż są drobne problemy z dostawcami. „Camel” odmówił realizacji zamówienia na taśmę, dopóki nie uregulujemy należności za ostatnią dostawę, „Zuber” podobnie. Za dwa tygodnie zabraknie nam i taśmy, i farby drukarskiej.

– Nie płacimy im?

– Niestety. Podobno nie ma pieniędzy.

– Kto tak twierdzi?

– Pani Iwona. Mówiłam, żeby poinformowała panią Alinę, ale jak widać...

– Dziękuję. Czekam na klucz. Zaraz przejdziemy się na produkcję. Pięknie, kurwa, pięknie! – Tomasz przeczeszał palcami włosy.

Aż dziw, że właśnie w takim momencie, kiedy dopadła nas trauma problemów, pomyślałam, że to bardzo przystojny facet.

Idiotka! Mało: idiotka. Kretynka.

– Zbiera się naszej pani Iwonce, oj zbiera! – podsumowałam trzy ostatnio poznane fakty, dochodząc do siebie po kontemplowaniu urody Tomasza. – Zniknięcie faktur, zakup domu, dezinformowanie właścicieli w sprawie problemów „Anieldruku” z zapłatą za zakupy...

– Na to wygląda... Muszę iść na produkcję, Alinko. Nie masz już na dzisiaj dosyć? Chcesz iść do domu?

W pierwszej chwili ucieszyłam się z propozycji (myśli o mnie, chce, żebym wypoczęła po trudnych rozmowach), lecz po chwili uświadomiłam sobie, że właśnie próbuje odesłać mnie do Andrei, która siedzi sama i Bóg wie co wyczynia. A kolejna przekorna myśl kazała mi się przeciwstawić tej jawnej manipulacji. Świnia! On teraz wcielił się w rolę detektywa, później firmowego pana i władcy, gdy ja tymczasem obejmę funkcję niańki sprowadzonego z Niemiec dzieciaka!

Odetchnęłam, zważyłam i zmierzyłam korzyści i straty wynikające z pozostania w firmie lub powrotu do domu, i wybrałam to drugie. Przecież nawet słowem nie wspomniał o zajmowaniu się Andrea, napomniałam się. Nic mi się nie stanie, jak pojedę z młodą do miasteczka, ogarniemy kilka sklepów i jakieś słodkie lody w kawiarence. Zadzwonię do Moniki, skontaktuję się z tatą przed jutrzejszym notariuszem. A poza wszystkim, jak to w czerwcu – słońce pieści, całuje, czasami nawet kąsa. Luz.

– Chętnie – zgodziłam się skwapliwie, choć chwilę wcześniej miałam zamiar się podroczyć. – Kiedy wrócisz? – Co ja gadam? Zupełnie jak żona do męża! Zupełnie zwariowałam! – To znaczy... – poprawiłam się. – Chciałam zapytać, co mam powiedzieć Andrei. Gdyby była ciekawa.

– Zadzwonię do was – odpowiedział.

Odniosłam wrażenie, że uśmiechnął się pod nosem.

Pewnie mu się wydaje, że mnie przejrzał. O nie! Jeszcze daleko do usidlenia! I nie jestem żadną mamuszką!

– Dobrze. Pamiętaj o notariuszu. Nie umawiaj się z nikim na jutrzejsze popołudnie.

– Nie muszę. Chętnie wrócę do domu. Zerkniesz na małą?

– Możesz się nie obawiać. Mam siostrzenicę, wiem, z czym się je małe dziewczynki.

– Dzięki. – Podszedł i pocałował mnie w policzek. – Uważaj na siebie! – zawołał, gdy opuszczałam gabinet. – Wyglądasz tak słodko, że jeszcze ktoś zechce cię zjeść!

Głupek. Ale miły głupek.

Mam nadzieję, że nikt w firmie nie słyszał słów pana prezesa.

„Andrea? Wracam. Masz ochotę na pizzę czy hamburgera?”, wysłałam esemesa w drodze do portierni.

Nie odpowiedziała.

– Andrea? – zawołałam, wchodząc do domu. – Jesteś?

Głucha cisza.

Nie było jej ani na parterze, ani na piętrze. Nie wylegiwała się w ogródku. Mój domek na drzewie również świecił pustkami.

Zaczęłam intensywnie myśleć.

Cholera, tylko nie to!, zakląłam, gdy wyobraźnia podpowiedziała plażę nad rzeką.

Rzuciłam wszystko i pognałam na brzeg.

14 MAJA 2011

Powiedziałas mu?”, Monika obudziła mnie esemesem.

Niestety, podejrzenia o kolaborację pomiędzy Remkiem a nią przestały wreszcie pozostawać w sferze domniemań. Wiedziała o moim spotkaniu w kawiarni, tyle że nie ode mnie. Byłam na nią zła – za to, że przejawia niezdrowe zainteresowanie nieswoimi sprawami, denerwuje mnie, a co za tym idzie również i dziecko, a przede wszystkim jest niełojalna w stosunku do starej przyjaciółki. Co z tego, że Remigiusz jest najlepszym kumplem jej Radka? Czy rozstanie z facetem ma oznaczać koniec babskiego porozumienia dusz? O nieba, co za absurd! Monika i Radek planują ślub, więc jest jasne, że spotkam się z Remkiem na weselu, ale po wczorajszym tête-à-tête w kawiarni postanowiłam, że spotkanie odbędzie się na moich zasadach. Remek nigdy nie dowie się o ojcostwie. I nie pozwolę Monice wściubiać nosa w moje życie, nawet w tak zwanej dobrej wierze. „Dobrymi chęciami piekło wybrukowane”. Wyświechtane porzekadło nabrało sensu.

Nie odpisywałam, żeby dać sobie ochłonąć i nie wywalić: „A co ciebie to obchodzi?”. Po kilku ponaglących esemesach, również pozostawionych bez odpowiedzi, przyleciała, by posypać głowę popiołem.

– Mogę wejść? – wydarła się na całą klatkę schodową, bębniąc w drzwi jak na pożar.

Ciążę przechodziłam na śpiocha i apatycznie. Zamykała mi oczy, zatykała uszy, wyłączała zmysły na kilkanaście godzin na dobę. Ale łomot zapowiadał, że jeśli zaraz nie zareaguję, drzwi wylecą z zawiasów.

– Zaraz – odparłam sennie, przecierając oczy i macając w poszukiwaniu kawałka szlafroka, by się okryć.

Nieprzytomna, nie usłyszałam, kto się dobija, więc spodziewałam się raczej listonosza z poleconym ze skarbówki albo Straży Miejskiej w Pcimiu, która akurat miała szczęście złapać mnie w sidła zastawione w postaci radaru z kamerą i postanowiła ukarać mandatem wysokości dwustu złotych za przekroczenie prędkości. Równie dobrze mógł to być właściciel mieszkania, pan Rak, który właśnie nabrał ochoty na sprzedaż stryszku i przybył powiadomić mnie o dwutygodniowym wypowiedzeniu. Albo poczciwy sprzedawca jajek od kur biegających z Twardyszewa czy głodny i niedopity samotny bezdomny, stęskniony za papierosem i paroma złotymi na „coś do jedzenia” (czytaj: „coś do picia”).

Spojrzałam przez wizjer i wszystko stało się jasne.

– Wejdz. Spałam jeszcze. – Wycofałam się na łóżko i przyłożyłam głowę do poduszki. – Jeżeli przyszedł rozmawiać o ojcostwie Remka... – zaczęłam.

Przysiadła w fotelu.

– Przepraszam cię, Alu. Z całego serca. Nie powinnam się tak dopytywać i... sprawiać wrażenia, że zależy mi na pewnych rozwiązaniach...

Znienacka spadł na mnie grad przeprosin. Z wrażenia aż szerzej otworzyłam oczy.

– O co ci chodzi? – nie mogłam powstrzymać pytania. – Opracowaliście z Remkiem jakiś nowy cudowny plan uzdrowienia sytuacji? A może zaprzęgliście do pomocy Radka?

– Zrobię kawę. Można? – zapytała Monika, wstając z fotela i kierując się w stronę wnęki kuchennej.

– Zrób.

Było mi wszystko jedno. Jeżeli ona ma zamiar mną manipulować, spotkanie zakończy się wkrótce.

– Zaszłam w ciążę z facetem, który już dla mnie nie istnieje – zaczęłam, gdy kawa wjechała na stół. – Kiedyś owszem, myślę nawet, że go kochałam. Ale już nie. Rozstaliśmy się dwa miesiące temu i już nigdy nie będziemy razem. A że pod koniec naszej znajomości okazało się, że będę miała dziecko? To uczciwe zadośćuczynienie za ostatnie dwa lata. Powiedziałam Remkowi, że nie jestem w ciąży. – Postawiłam na szczerość. – I tak ma pozostać. Jeżeli ci to nie odpowiada, to wybaczone, ale lepiej będzie, jeśli przynajmniej chwilowo przestaniemy się spotykać.

– Co ty mówisz? To są wasze sprawy. Chodzi mi o coś zupełnie innego...
Spojrzałam pytająco.

Czyżby Remek zapłodnił również jakąś inną kobietę? Czy długi język mojej nielojalnej przyjaciółki sprawił, że w sprawę mediacji naprawdę wtrącił się jej narzeczony?

– O co zatem? – nie rozumiałam.

– Pobieramy się z Radkiem pierwszego września. Chcielibyśmy prosić ciebie i Remka na świadków. Sytuacja jest trochę niezręczna...

Natychmiast poniechałam fochów.

– Gratuluję! Bardzo się cieszę! Skąd ten pośpiech? Czy też jesteś...

Nie zdążyłam dokończyć zdania.

– Nie. Ojciec Radka jest bardzo chory, więc chcielibyśmy zdążyć... No wiesz, zanim...

– Rozumiem.

– Zgadzasz się? – powróciła do meritum.

– Oczywiście, kochana! Przyjdziemy obie – zapewniłam, poklepując się po brzuchu.

– Remek nie będzie ci przeszkadzał?

– Będzie – odparłam zgodnie z prawdą. – Ale przeżyję.

Tak oto po rozmowie z Moniką moim jedynym zmartwieniem był wyłącznie fakt, że podczas ślubu i wesela będę musiała znosić niechciane towarzystwo. Przyszłość jawiła się optymistycznie i pogodnie. Gdybym wówczas mogła przewidzieć, co przyniosą kolejne miesiące, chyba poszłabym do kościoła i znalazła kawałek wygodnej podłogi, by rzucić się krzyżem i prosić o przepędzenie czających się za płotem demonów...

Na razie jednak na dworze mały się maj, kwitły konwalie i bzy, a ja bujałam się jak wańka-wstańka pomiędzy gabinetem, bliskimi końca zajęciami na psychoterapii, stryszkiem i Zastawnem, szczęśliwa, spełniona, zadowolona z poruszającej się w brzuchu fasolki, bez Remigiusza (jak mogłam kiedyś kochać takiego snoba, którego zadowala praktyka w fabryce tkanin obciowych, fuj!), bez obaw o przyszłość. Do przodu!

Na kolejną wizytę do doktora Kulczyckiego trafiłam jako ostatnia pacjentka w kolejce. W wiszącym w poczekalni telewizorze akurat dobiegał końca serial po wiadomościach, włączyły się reklamy. Mimo otwartych okien w pomieszczeniu panował zaduch. Po odsiedzeniu swego na niezbyt wygodnym krzeselku zaczynała mnie nieco męczyć lędźwiowa część kręgosłupa. Wierciłam się, nie mogąc sobie znaleźć miejsca.

– Pani Dobrowolska. Alina.

Doktor osobiście wystawił głowę z gabinetu. Gestem zaprosił mnie do środka.

Jakoś nie zauważyłam wyjścia mojej poprzedniczki.

Po rutynowym badaniu ułożyłam się grzecznie na kozetce, oczekując na USG. Zmęczona, nieco już o tej porze śpiąca, pragnęłam jedynie usłyszeć jedno proste zdanie: „Wszystko w porządku”.

Kulczycki posmarował mój brzuch mokrą, lepką cieczą o konsystencji gęstej galarety i zaczął jeździć głowicą po lekkiej wypukłości.

– No i jak? – zapytałam, zaniepokojona nieco przedłużającą się ciszą.

– Wszystko w porządkuuu... – przeciągał samogłoski, wpatrując się w ekran. – Myślę, że zobaczy pani dzisiaj coś ciekawego... Chce pani poznać płeć dziecka? – Zaskoczył mnie pytaniem.

Czy chce? Bardzo chce! O Boże! Zaraz się dowiem!

Wzruszona, z trudem opanowałam łzy.

Odpowiedziałam, żeby nie zauważył, jak mnie to poruszyło.

– Tak, panie doktorze – odparłam. Szybko i krótko, byleby tylko nie pokazać po sobie emocji. – Córka?

– Skąd pani wie? Zazwyczaj trudno jednoznacznie stwierdzić, że dziecko jest płci żeńskiej, bo mężczyźni wcale nierzadko ukrywają swoje, hm, atrybuty (co za subtelne określenie!). Ale w tym przypadku nie ma wątpliwości. Będzie pani miała córkę. Możecie myśleć o imieniu.

Możemy myśleć o imieniu. My. Ja już pomyślałam, Haneczko. Ja już wiem.

Palce aż rwały się, żeby wybrać numer wujka Staszka. Z kim, jeśli nie z nim, mam podzielić się wspaniałą wiadomością? Komu wykrzyzczeć, że urodzi się Haneczka? Zanim jednak znalazłam w kontaktach literę S, oczy zatrzymały się na Remku. Jeszcze nie wykasowałam go z listy...

Może jednak zadzwonić? A jeżeli czeka na ten telefon? No, może niezupełnie czeka, ale jeślibym zadzwoniła, kto wie? W końcu zapytał, czy jestem w ciąży.

Klik. Sześć, zero, ileś tam, pięć, cztery, dwa, dwa zera i trójka.

Buuuu... Przerwa. Głos. „Przepraszamy, nie ma takiego numeru”.

Wysłuchałam kilku takich buuu..., przerw i głosu. I dotarło do mnie, że rzeczywiście nie ma już takiego numeru. I tyle.

Nie ma, Haneczko. Nie ma takiego numeru, nie ma takiego pana. Nie ma Remka. Nie ma tatusia.

Zegarek pokazywał prawie dwudziestą drugą. Zrezygnowałam z dzwonienia do Zastawna i zdecydowałam się na spontaniczny wyjazd. Zafunduję wujkowi zaskoczenie, wieść o płci mojego dziecka!

Rzeczy same pakowały się do toreb. Jeszcze wyłączyć prąd, sprawdzić, czy są zakręcone kurki od gazu i woda. I wio do Zastawna!

To będzie wieczór!, myślałam, zajmując miejsce za kierownicą. Zatrzymam się w delikatesach i kupię czekoladę z migdałami i czerwone wytrawne wino. Dzisiaj wyjątkowo napiję się i ja. Jeden kieliszek nie zaszkodzi ciężarnej, a nawet wspomogę wytwarzanie czerwonych krwinek!

Jak pięknie wygląda wieczorny Wrocław... Cudo! Do samego Zastawna zachwyciałam się wszystkim, co zdołały pochwycić moje oczy. Księżyc, słabiutki poblask niedawnego zachodu słońca, drzewa przy drodze, światła samochodów, barwy lata.

Wjeżdżając na podwórko, nie mogłam się doczekać przekazania wiadomości o Haneczce.

– Wujku! – zawołałam, wybiegając z samochodu wprost w jego ramiona. Wyszedł przed dom, zaalarmowany warkotem silnika. – Będę miała córkę!

Zagarnął mnie ramionami, ukochał, nie pozwalając odetchnąć. Miał łzy w oczach. Zupełnie jak ja u doktora Kulczyckiego.

– To wspaniale! Cudownie! Idziemy do domu! – zakomenderował.

– Wujku, ten dzisiejszy dzień zapamiętam na zawsze!

Jego spojrzenie przeszło mnie na wylot.

– Ja też, Aliś. Ja też...

Zupełnie jak kiedyś.

Mimo pozorów normalności, jakie wujostwo starali się zachować, szóstym zmysłem wyczuwałam niekorzystne wibracje. Ciocia siedziała na swoim krześle przy stole, w kuchennym fartuchu, wujek wyglądał, jak gdyby właśnie wrócił z wędkowania. A przecież rytuał wspólnego biesiadowania przy stole musiał mieć odpowiednią oprawę. Poddawał się określonym zasadom... Jednym słowem, w Zastawnie od zawsze obowiązywał estetyczny wygląd (umyte ręce, uczesane włosy) i pogodny nastrój, pozwalający zdrowo zjeść i strawić oraz miło spędzić czas w rodzinnym gronie.

Roboczy fartuch cioci i gumki na nogach wujka były jak z innej bajki.

– O co chodzi? – zapytałam wreszcie, nie domyśliwszy się powodu niecodziennej sytuacji. – Gdzie jest Kananga?

Na pewno coś się stało psu! Kananga, trzyletni olbrzym rasy rhodesian ridgeback, trafił do Zastawna ubiegłego lata, przekazany na przechowanie przez znajomego, pana Damiana, dopóki ten nie powróci z kolejnej ze swych wypraw do Kenii. Miał stamtąd przywieźć towarzystwo dla Kanangi, jako że podobno rhodesiany lepiej chowają się w parach. Niestety, nie przywiózł. Ba, nawet nie raczył wrócić, wybrawszy życie w Kenii na stałe, u boku tamtejszej Polki, którą poznał, pokochał i poślubił w ciągu miesiąca. Teraz, szczęśliwi, wspólnie prowadzili pensjonat, wysyłając od czasu do czasu pocztówki z zachodzącym na czerwono nad Afryką słońcem i zapraszając do Kenii „starego druha Stacha i tę jego papuzkę nierozłączkę Anielcię, która ugotuje mu tu w Afryce coś polskiego, co nie jest bananem”. Nie zapominali również o „Alince, jego oczku w głowie, którą zawsze traktował jak córkę, choć córki nie ma i mieć nie będzie, ponieważ jest już skapcaniałym starym grzybem”.

Kananga trochę tęsknił, ale wygłaskany, dożywiony i połączony dobrym traktowaniem stopniowo wchodził w rolę psa państwa Dobrowolskich. Mimo że gdy zachciało mu się stanąć na tylnych łapach, przewyższał wzrostem człowieka, serce miał łagodne, usposobienie wesołe. Szczekaniem odstraszał intruzów i witał pożądanymi gośćmi.

O dziwo nie usłyszałam dziś tego odgłosu ani razu. Mimo że przyjechałam już jakiś czas temu.

– Co z Kanangą?

Ciocia wstała zamaszycie i odwróciła się do mnie plecami, ukradkiem ocierając łzy. Wujek nie ruszył się z miejsca. Wsparł brodę na dłoniach i spojrzał mi w oczy.

Znałam mowę ciała, znałam wujka. Miał mi do zakomunikowania coś ważnego.

Kananga nie żyje!, przeraziłam się.

– Wszystko z nim w porządku, Alinko. Zapędziliśmy go do szopy, żeby nie szczekał. Bardzo był dzisiaj podniecony.

– Wujku, co się dzieje?

Uświadomiłam sobie, że skoro wszystko dobrze z psem, minorowy nastrój musi wynikać z czegoś innego.

Wuj podszedł i położył mi ręce na ramionach, a ja wstałam i pozwoliłam się przytulić. Rozplakałam się, choć nie miałam pojęcia, z jakiego powodu.

– Wujku... Nie ty i nie ciocia, prawda?

– Ciocia, Alinko. Niestety.

Wypuścił mnie z ramion. Otarł łzy i przygarnął żonę, która stała jak posąg, zapatrzona

w jeden punkt.

Dopiero teraz zauważyłam, jak jest gorąco. Mimo parnego wieczoru wujek napalił w kominku. Dlaczego? Oddałam się idiotycznym dywagacjom, żeby choć o kilka sekund odsunąć złe wiadomości.

– Nie będziemy cię oszukiwać, Alinko. Niestety... – Wujek z trudem powstrzymywał łzy. – Cóż... Powiem najprościej. Anielka ma raka. W poniedziałek idzie do szpitala na operację.

– To dobrze! – ucieszyłam się bez sensu. – Dobrze, że tak szybko – dopowiedziałam. – Wytną i będziemy się leczyć, ciociu. – Wstąpiła we mnie nadzieja. Trzeba wujostwo podtrzymać na duchu! Wcześniej wykryty rak daje szansę na wyleczenie, a dobre nastawienie pomaga w terapii. – Damy radę!

Tamte sobota i niedziela w Zastawnie przebiegły na jałowym biegu, bez tajfunów, tornada, Niagary łez, huśtawki nastrojów, psychicznego umierania. Spokojnie porozmawialiśmy o chorobie, o zaatakowanym jelicie grubym, o niedobrych wynikach. Wujek wziął się w garść, pozwalał sobie nawet na uśmiech, dobry (choć wymuszony) nastrój, ciocia zaś przygotowywała się do szpitala. Zadałam o jej manikiur i pedikiur, nie zapominając o zaopatrzeniu w ciekawe i lekkie książki. Wspieraliśmy się solidarnie, wrzucając okruchy optymizmu do wspólnego worka nadziei i miłości. Gdy w poniedziałek wujek odpałił mercedesa i zapakował do niego swoje dwie, jak lubił mówić, „dziewczyny”, mieliśmy wrażenie, że jedziemy na wycieczkę.

– Staszku... – zagadnęła ciocia. – Ty wiesz, że może bym i pojechała do Damiana?

– Do Kenii? – Wujek omal nie zakrzuszył się ze zdziwienia.

– O ile wiem, on tam właśnie mieszka – odparła z olimpijskim spokojem.

Spieranie się w takiej chwili z chorą byłoby grubym nietaktem.

– Jasne! Oczywiście, Anielku! Że też nam to wcześniej nie przyszło do głowy!

– Przyszło, przyszło. Tyle że pewien pan imieniem Stanisław bardzo się sprzeciwiał.

– Już ja z nim porozmawiam! – Uderzył się w piersi. – I przekonam go, że nie miał racji. Pojedziemy, gdy tylko wydobrejesz. I gdy skończy się pora deszczowa.

Słuchałam tych przekomarzanek z tylnego siedzenia.

Ależ oni są młodzi duchem! I jak się kochają!, myślałam.

Widziałam, doceniałam, podziwiałam, zazdrościłam im, nie widząc u swego boku żadnego faceta, z którym za kilkadziesiąt lat mogłabym czuć się równie dobrze. Mimo choroby i niepewnych rokowań.

Operacja przebiegła zgodnie z planem. Zaatakowana część jelita została wycięta, a wraz z nią zwyrodniałe komórki rakowe.

Na zmianę z wujkiem przynosiliśmy rekonwalescentce lekkostrawne przysmaki, ratujące poharatany przewód pokarmowy, ułatwiające powrót do zdrowia. Twarz cioci nabrała rumieńców, wyniki, jak twierdzili lekarze, „się stabilizowały”. „Nasza” Anielcia powolutku chodziła już do ubikacji o własnych siłach, wszystko wydawało się powracać do normy. Zaczęliśmy się nawet zastanawiać z wujkiem nad zasadnością chemioterapii.

Postanowiłam zapytać o nią profesora Bądka.

Tego dnia wuj Stach musiał pilnie służbowo wyjechać do Niemiec, więc siedziałam na oddziale od rana.

– Kupiłaś mi kolorową gazetę? – zainteresowała się ciocia kolejnym numerem tygodnika. – Wspaniale – doceniła moją inicjatywę, odbierając plotkarskie pisemko.

– Ciociu, tu jest sok marchwiowy, a tutaj rogalik. – Przekazałam jej wiktuały. – Wskoczę na chwilę na korytarz, żeby zadzwonić. Nie będziesz się nudziła?

Roześmiała się i ręką wskazała na drzwi.

- Idź już, idź! Marudzisz tylko i nie pozwalasz mi zapoznać się z najnowszymi plotkami!
- Zaraz będę. – Pomachałam na pożegnanie.

Gdy weszłam do jego pokoju, profesor jadł kanapkę i nie zamierzał przestać. Gestem wskazał mi fotel.

- Przepraszam, zaraz mam kolejną operację. Co panią sprowadza?
- Dziękuję, że zgodził się pan profesor ze mną porozmawiać... – zaczęłam. Kadzenie miało wyrażać moją nieskończoną wdzięczność z powodu udzielonej audiencji. W końcu rozmawiam z panem życia i śmierci cioci Anieli. – Chciałabym się dowiedzieć czegoś o stanie zdrowia Anieli Dobrowolskiej.
- Rozmawiałem wczoraj z jej mężem – stwierdził, przetykając kolejny kęs drugiego śniadania, które z pewnością musiał spożyć przed kolejną operacją.
- Czy ja również mogłabym usłyszeć...

Przeżuwanie ustało na chwilę.

- Powiem zatem wyraźnie. Pani Dobrowolska ma raka jelita grubego. Niestety, choroba została zidentyfikowana zbyt późno i doszło do przerzutów do wątroby. – Jego słowa docierały do mnie jak przez mgłę. – Operacja jelita przebiegła pomyślnie, ale przerzuty pozostały. Są wielkości orzechów włoskich.
- I nic się z nimi nie da zrobić? – Załamał mi się głos.
- Przykro mi. – Ugryzł kanapkę.

Odpychałam od siebie sens tych słów, oznaczających wyrok.

- Ile czasu...
- Z mojego doświadczenia wynika, że nie powinno to potrwać dłużej niż dwa miesiące, ale równie dobrze miesiąc. O ile oczywiście nie nastąpi krwotok wewnętrzny, co jest możliwe w każdej chwili.

Zrobiło mi się niedobrze. Zaraz wrócę do cioci, która właśnie czyta sobie plotki z życia gwiazd, i będę udawać, że za kilka dni wrócimy do Zastawna na rutynową rekonwalescencję. A później hajda do Kenii!

Twarz profesora nagle zaczęła się rozmywać i nikać w przestrzeni gabinetu.

- Proszę podać tej pani ...zinum.

Nazwy leku nie dosłyszałam. Straciłam kontakt ze światem.

Obudziłam się po chwili na korytarzu, na twardej ławce. Coś uwierało mnie w plecy.

Z oddali dochodził czyjś cichy szept.

- Dobrze się pani czuje? Już dobrze?

Ponownie przeniosłam się w zaświaty, skąd przywołał mnie nagły hałas.

- Szybciej! Z drogi! Trzymaj ten wenflon, nie widzisz, że wypada?!

Korytarzem pędził tabun słoni, popychając skrzypiący szpitalny wózek.

- Na blok!

Na szczęście po chwili wszystko się uspokoiło. Gdy otworzyłam oczy, po korytarzu przesuwały się pacjentki w szlafrokach, przemierzając długą drogę pomiędzy salą chorych a łazienką. Wypatrywałam cioci Anieli, przerażona, jak mam rozmawiać z kimś, komu pozostał zaledwie miesiąc życia.

Zwlokłam się z twardej ławki.

Cioci nie zastałam w łóżku.

- Przepraszam – zwróciłam się do pięciu pozostałych chorych. – Czy ta pani wyszła może do ubikacji?

Popatrzyły po sobie niepewnie.

- Tę panią zabrano...
- ?
- Miała wielkie bóle i straciła przytomność. Niech pani zapyta lekarza. Mówili, że coś tam pękło...
- Jezus Maria! Boże Przenajświętszy!

Rozejrzałam się po sali, szukając pomocy.
Choć w głębi duszy czułam, że nie nadejdzie.

- Dobrze się pani czuje? – Podeszła do mnie kobieta z sąsiedniego łóżka, gdy zachwiałam się i opadłam na ciociną poduszkę.
- Tak, tak. Po prostu zakręciło mi się w głowie, zaraz przejdzie – tłumaczyłam, bezskutecznie próbując powrócić do pionu. – Czasem miewam takie napady duszności...

Pielęgniarka, która weszła tymczasem, by zrobić zastrzyk pacjentce pod oknem, nie wyglądała na wyrozumiałą. Widok osoby z zewnątrz, na dodatek zalegającej na łóżku chorej, chyba ją zszokował.

- Co pani tu robi! – krzyknęła. – Proszę natychmiast opuścić salę!
- Już... – Z trudem uniosłam się na łokciach. – Czy mogłaby mi pani udzielić informacji o stanie zdrowia...
- Proszę pani! – przerwała mi ostro. – Pani stąd wyjdzie, a ja będę udawać, że nikogo nie widziałam.
- ...pacjentki Anieli Dobrowolskiej? – nie odpuszczałam.
- Informacji udziela wyłącznie lekarz. I tylko rodzinie – burknęła. – Może pani ewentualnie zajrzeć do siostry oddziałowej. O ile będzie w pokoju pielęgniarek.

Dalsza dyskusja z kobietą w bieli zaopatrzoną w zestaw strzykawek wydawała się bez sensu. Może nieznana mi oddziałowa okaże się bardziej sympatyczna? Nagle nabrałam przeświadczenia, że wiadomości, które od niej uzyskam, będą jeśli nie budujące, to przynajmniej pozytywne.

Nie myliłam się. Ciocia pozostawała wśród żywych, a na sali operacyjnej lekarze próbowali opanować kryzys. Choć nikt nie potrafił przewidzieć, czy chora przeżyje interwencję chirurgiczną, a jeśli nawet – czy przetrwa kolejnych kilka godzin. Nie pytałam o rokowania, o nich wiedziałam już od profesora. Góra dwa miesiące.

- Dobrze się pani czuje? – zostałam zapytana już po raz trzeci dzisiejszego dnia. – Podać środek uspokajający?

Pokręciłam przecząco głową, szukając jednocześnie w torebce telefonu.

- Wujku, tu Alina. Ciocia ma krwotok, jest operowana – wyrzuciłam z siebie jednym tchem. – Jesteś już w drodze? Dobrze. Uważaj na siebie. O mnie się nie martw, daję radę.

Poczułam się lepiej, gdy lekarz po operacji przekazał mi dobrą nowinę. Sytuacja została opanowana, a ciocia po podleczeniu zostanie wypisana do domu.

Oboje z wujkiem wiedzieliśmy, co oznacza ten cudowny powrót do Zastawna, więc modliliśmy się w duchu, by chora nie domyśliła się prawdy o nieuchronnym końcu. Po kilku dniach przewieźliśmy ją do domu, podłączoną do kroplówki, pokancerowaną wenflonami, wymizerowaną, ale szczęśliwą.

- Jak tu pięknie! – wzruszała się na widok znajomych kątów. – Jakie cudowne kwiaty! Kananga, daj pani spokój! – Słabą dłonią odtrącała psie awanse. – O, i słoneczniki w wazonie! Już? Tak długo mnie nie było?

Kolację przygotowaną przez sąsiadkę, panią Cecylię, „specjalnie w intencji zdrowia pani Anieli”, zamierzaliśmy zjeść w salonie. Aby zapełnić wazony kwiatami, wujek wyciął w pień

zagon słoneczników, kwaterę begonii bulwiastej i rabatę werbeny. Opłaciło się. Pomieszczenie wyglądało jak przedłużenie ogrodu, a wszechobecne aromaty były na głowę paryskie perfumerie.

Tyle że ciocia niemal nic nie jadła. Odkroiła kawałek bitki wołowej, spróbowała odrobinę grillowanego łososia, nałożyła sobie ociupinę duszonych warzyw.

– Jedz, Anieliś. Musisz teraz jeść – zachęcał ją mąż, zatroskany tym brakiem apetytu. – Jesteś słaba, potrzebujesz wzmocnienia.

Spoglądała na niego z miłością.

– Tak, tak, będę... Tylko trochę później. Teraz już nie mogę.

Szybko spostrzeżliśmy, że męczy ją siedzenie przy stole, choćby i przez kilka minut. Uciekała nam do łóżka, zapadając się w poduszki i szybko wpadając w objęcia Morfeusza. Rozłożyliśmy w salonie kanapę, by mogła spędzać tu z nami jak najwięcej czasu, nawet wówczas, gdy spała. Wujek nie odstępował jej na krok, od łóżka odchodząc wyłącznie, gdy zaczynała kręcić się i wybudzać. Nie chciał, żeby zauważyła, jak wpatruje się w jej twarz, próbując ją zapamiętać na zawsze...

Nigdy nie dowiedziałam się, czy ciocia zdawała sobie sprawę z pozostałego czasu. Z każdym dniem coraz bardziej umęczona, z każdą godziną bardziej uciekająca w drzemki, odlatująca w przestrzeń dnia lub nocy, mimo wszystko trwała na posterunku życia wbrew bólowi, apatii, żółtacze atakującej białka oczu, które z każdą chwilą nabierały głębszego odcienia pomarańczy. Wciąż żyła, wbrew logice, która jak wysłannik kostuchy musiała jej podpowiadać najgorszy scenariusz. Musiała wiedzieć, musiała czuć, więc dlaczego nie chciała z nami o tym rozmawiać?, zastanawiałam się nieraz już po jej odejściu. Nieustannie snuła plany wyjazdu do Kenii i aranżowała zmiany w ogrodzie, patrząc przed siebie szklanym wzrokiem, który widział już inny, daleki świat.

Zgodnie z zaleceniem szpitalnych lekarzy zgłosiłam ją w hospicjum.

– Proszę się nie opierać – przekonywali, widząc, że przyjmujemy sugestię ze zdziwieniem i niesmakiem. – Tam pracują doświadczeni onkolodzy, wiedzą, co to kontakt z chorymi wymagającymi opieki paliatywnej. Zawsze będziecie mogli skorzystać z fachowej pomocy. Będzie państwu potrzebna.

I była, szybciej nawet, niż sądziliśmy. Ciocia szarpały torsje, doszło rozwolnienie. Nie była w stanie utrzymać żadnego posiłku.

Doktor przyjechał z kroplówką. Zrobił zastrzyk, uśmierzając gwałtowną reakcję organizmu jeszcze w trakcie wizyty. Do kuchni przeszliśmy, gdy ciocia, wyczerpana walką o przeżycie, zasnęła.

– Proszę nas nie oszukiwać – błagał wujek, wpatrzony w medyczną wyrocznię naprzeciwko. – Jak długo to potrwa? Jak długo ona wytrzyma?

– Nie potrafię państwu odpowiedzieć – usłyszeliśmy wyuczoną kwestię, tak często powtarzaną rodzinom terminalnie chorych. – Nikt nie wie, ile mu pisane. Ja również nie jestem pewien, czy dojadę dzisiaj szczęśliwie do domu. Jeśli jednak miałbym cokolwiek wyrokować...

Wyteżyliśmy wszystkie zmysły.

– Białka oczu są pomarańczowe, a chora nawiązuje słaby kontakt... – Doktor zawiesił głos. – Bądźcie przy niej. Jeżeli będzie potrzebna morfina, proszę dzwonić.

Tej nocy ciocia nie umarła. Przeżyła również następną. Kiedy jednak kolejnego dnia wstałam po parnej, męczącej nocy i pobiegłam do ciocinego łóżka, musiałam zawołać na pomoc wujka.

Ciocia leżała na boku bez ruchu. Małeńka i wątła, jakby przez noc jej ciało skurczyło się o połowę.

– Co się stało?! Aniela? Aniela!

Otworzyła oczy.

– Co takiego, co? – Spod powiek wychynęły poóółkłe białka.

Żyła.

– Jesteś, kochanie... Jak dobrze! – Wuj Stach usiadł na skraju materaca.

Zamknął to, co pozostało jeszcze z jego Anieli, w ramionach. I kołysał, kołysał, kołysał...

Była z nami przez cały dzień. Zjadła odrobinę łososa z folii, półtorej łyżeczki gotowanych buraków, poskubała kalafiora. Na brokuł popatrzyła z odrazą.

– Nigdy tego nie lubiłam – stwierdziła. – Nie wiem, dlaczego się zmuszałam do jedzenia. Teraz już nic nie muszę...

Pod wieczór, po kilkugodzinnym polegiwaniu i posypianiu, ożywiła się. Jak ptak, który po raz ostatni wznosi się do lotu. Jak człowiek czujący, że od wiekuistej szczęśliwości dzieli go zaledwie kilka chwil. Czyżby chciała mi coś powiedzieć?

– Tak, ciociu? – Podeszłam, wezwana skinieniem.

– Kiedyś będziesz miała dziecko, Alinko – wyszeptła z trudem. – Wtedy twoje życie odmieni się, i dobrze. Ja marzyłam o tym przez całe życie. Niestety...

Przeżywała swe porażki na nowo.

– Ale w prezencie od losu dostałam ciebie. I życzę ci wszystkiego, co najlepsze, choć już tego nie zobaczę – dodała chrapliwie.

– Co ty mówisz, ciociu! – zareagowałam gwałtownie, udając, że nieuchronne nie nastąpi nigdy.

– Jestem zmęczona, Alinko. Chcę spać...

Zamknęła oczy, zanim zdążyłam odpowiedzieć.

– Wujku, wstawaj! – Delikatnie potrząsnęłam ramieniem wuja Stacha godzinę później. Przysnął, zmęczony nieustannym czuwaniem. Tymczasem ciężki oddech cioci Anieli przeszedł w charkot. Nie było sposobu, aby ją dobudzić. – Chyba jest niedobrze...

Chora łapała powietrze ze świstem, nieregularnie. Co jakiś czas rżenie ustawało, lecz wówczas nagle cisza boleśnie dzwoniła w uszach.

– Wezwę księdza – powiedział nagle wujek beznamiętnie. Jakby zapowiadał, że właśnie ma zamiar iść się ogolić.

– Jeśli sobie życzysz...

Nie miałam zamiaru uczestniczyć w ceremonii. Myślałam wyłącznie o cioci Anieli. O jej krótkim urywanym oddechu, o tym, że leży na prawym boku, niezmiennie, od kilku godzin, o nocy, która nas czeka. O tym, czy ją boli, czy ma świadomość, czy czuje strach i samotność przed przekroczeniem linii...

– Zostańcie z Bogiem – pożegnał nas ksiądz.

Zostaliśmy z nią. Żeby pomóc jej umrzeć.

Nie potrafię spokojnie myśleć o tamtej nocy, o wylanych łzach, kochanej twarzy, niewiele większej od dziecięcej piąstki, o grymasach świadczących o toczonej w głowie walce życia ze śmiercią. Nie wiem, jak przeżyłam dramat liczenia oddechów przypadających na liczbę bezdechów, patrzenia, czy uda się po raz kolejny, być może ostatni, zaczerpnąć powietrza. Łapała je do trzeciej nad ranem, zaciągała się jak nałogowiec dymem z papierosa. Pod koniec ziajała, próbując ostatkiem sił napełnić płuca choć jednym haustem.

– Alu, obudź się. Już po... – Ocknęłam się gwałtownie. – Ciocia... – zawiesił głos. – Aniela nie żyje.

Siedziałam jak skamieniała. Wujek płakał, przycupnąwszy na krawędzi łóżka. Przez

kilka minut przeżywaliśmy naszą rozpacz osobno.

Ciocia Aniela była już spokojna.

– Myślałem... Miałem nadzieję.

– Ja również.

– Co teraz, Alinko?

Nigdy wcześniej nie widziałam go tak bezradnego.

– Chyba trzeba zadzwonić do zakładu pogrzebowego. Może do lekarza, żeby stwierdził zgon? Nie wiem. Dowiem się przez pogotowie.

Po godzinie zwłoki cioci zabrał długi, czarny samochód.

Zostaliśmy z wujkiem pośrodku pustego pokoju, zagapieni bezmyślnie na puste łóżko i kropłówkę.

– Nie rozumiem, Alinko. Dlaczego tak się stało?

– Nie wiem, wujku. Muszę się położyć.

– Taaak. Prześpij się chociaż trochę, jutro pomyślimy. Gdybyś czegoś potrzebowała...

– Dobranoc, wujku, śpij dobrze. Do jutra.

17 CZERWCA 2013, POPOŁUDNIE I WIECZÓR

Dobiegłam do brzegu, nerwowo rozglądając się na wszystkie strony w poszukiwaniu Andrei lub śladów jej bytności.

Rzeka płynęła leniwie, skrząc się w świetle słońca. Liśćmi przybrzeżnych krzewów i przechylonym w stronę koryta tatarakiem poruszał lekki wiaterek. Panujące od ponad dwóch tygodni upały spowodowały obniżenie poziomu wody, która ustępowała powoli miejsca coraz bardziej rozległym piaszczystym wyspom, anektowanym przez stada ptaków. Taki widok cieszył oczy i napawał spokojem, tyle że, niestety, nie przybyłam tu po to, by podziwiać przyrodę. Szukałam zaginionej Andrei, a mój niepokój rósł z każdą chwilą. Telefon małej nie odpowiadał, Tomasza również.

Latałam w tę i we w tę wzdłuż brzegu, wypatrując czegoś, co mogło świadczyć o obecności dziecka. Jeżeli mimo zakazów przyszła się wykąpać, nie zostawiła na plaży koca, ręcznika ani innych drobiazgów.

Po raz kolejny wystukałam numer tatusia Andrei, by ponownie usłyszeć informację o braku możliwości połączenia. Ja tu coraz bardziej wściekłam uganiam się za jego córką, a on czujnie wyłącza telefon! Super! Nie oczekiwałam wprawdzie, że małej przydarzyło się coś złego, ale nie miałam najmniejszej ochoty na odpowiedzialność. A było nie było Andrea powinna właśnie pozostawać pod moją opieką. I dopóki nie połączę się z Tomaszem, powinnam szukać zguby.

Zatrzymałam się na chwilę i zastanowiłam, gdzie ja bym poszła na jej miejscu.

– Mówiła o rzece. Wspominała, że jest mistrzynią szkoły w pływaniu – myślałam głośno. – Ale tu jej nie ma. I żadnych dowodów na jej obecność...

Postanowiłam zawrócić do domu.

Wystukałam numer Moniki. Odebrała natychmiast.

– Cześć, siostrze. Możesz rozmawiać? – zapytałam, by rozwiać wątpliwości, czy aby nie przerywam sesji psychoterapeutycznej.

Nagle zatęskniłam do kanapy i pacjentów. Praca w gabinecie wydała mi się ciastkiem z kremem w porównaniu z problemami biznesu, tropieniem złodzieja i poszukiwaniem zaginionej dziesięcioletki.

– Mogę gadać – odparła, choć niezbyt entuzjastycznie.

Pewnie ma mi za złe, że ostatnio niezbyt często się odzywam, pomyślałam.

Sama bym miała.

– Moni, jest problem...

Milczała przez chwilę. „Wiem, wiem, ty zawsze dzwonisz z problemem, ale co poradzić, mów”, wisiało w powietrzu.

Myliliam się. Tym razem moja przyjaciółka nie zamierzała odgrywać roli księdza w konfesjonale.

– To jesteśmy we dwie...

Przez chwilę na łączach panowała cisza. Obie wstrzymywałyśmy się z wypowiedzeniem kolejnego zdania, czekając na drugą stronę. Mimo zaginięcia Andrei i lęku o małą zdecydowałam się zapytać pierwsza.

– Co jest? Michalina chora? Mówiłaś coś o nowym domu, o zamianie z teściową? Nieaktualne?

– Na szczęście z Michasią wszystko w porządku. Ale masz rację, znowu rozbijam się

o rafę zwaną teściową. To dłuższa historia. Kiedy będziesz we Wrocławiu?

Musiałam się zastanowić.

– Jutro po południu mam przekładane już dwa razy spotkanie u notariusza w sprawie ostatecznego przejęcia spadku, a w środę pacjenta o dwunastej trzydzieści – myślałam głośno.
– Wiesz co? – Podjęłam szybką decyzję. – Jutro po notariuszu. Wpadniesz do mnie? Ja też mam dla ciebie co najmniej dwie „dłuższe historie”.

– Nie mam z kim zostawić Michasi, Radka chwilowo nie ma. Możesz zajechać do mnie?

– Chętnie. Zwłaszcza skoro niebawem przeprowadzka...

Zareagowała natychmiast zmianą tematu.

– Alinko, dzwonisz ze sprawą. O co chodzi?

Rozmowa trwała już jakiś czas, a dzieciaka nie było. To nie najlepsza chwila na dogłębne wprowadzanie przyjaciółki w zagadnienie.

– Gdzie byś szukała zaginionej w Zastawnie dziesięciolatki? – zapytałam.

– Pracujesz dla policji czy rodziny zaginionej? – odpowiedziała pytaniem, nawiązując do naszego udziału w śledztwie dotyczącym poszukiwania siedmiolatka we Wrocławiu przed półtora rokiem.

– Nic z tych rzeczy. Ta dziewczynka to gość Tomasza. Wróciłam z firmy i zastałam pusty dom. Miała zakaz wędrówek nad rzekę.

Monika wczuła się w rolę psa śledczego. Możliwości posypały się jak z rękawa.

– Mogła przysnąć. Sprawdziłaś w pokojach, ogrodzie, w domku na drzewie, w hamaku?

– Nie ma.

– Rower. Może wybrała się na wycieczkę rowerową?

– Poza wujowym dużym rowerem nie mamy innego.

– Może zaaateem... – myślała na głos, przeciągając słowa. – Udała się do miasteczka na lody? Ma pieniądze?

Odpowiedziałam zgodnie z prawdą, że nie mam zielonego pojęcia.

– Poza tym droga do Zastawna prowadzi przez las – dodałam, kalkulując szybko, czy Andrea została obdarzona odwagą Czerwonego Kapturka i nie obawia się przemierzać lokalnej kniei.

– A jeżeli skręcimy w lesie w prawo, zgodnie z drogowskazem... – Monika wpadła na nowy trop. – ...trafimy do stadniny koni Gąsiorówko. Czy tak?

– Jesteś genialna! – wykrzyknęłam z zachwytem.

Co dwie głowy, to nie jedna.

Spodobała mi się dedukcja śledczej Moniki. Wydawała się logiczna i dawała nadzieję na zakończenie akcji poszukiwawczej. Wcale nie tak dawno sama bywałam częstym gościem w stadninie, gdzie ujeżdżałam pocziwą Balbinę, piękną rudą kasztankę o niezmiernie łagodnym usposobieniu. Nie mogła mieć innego, skoro wybierał ją dla mnie wujek, nieustannie zamartwiający się o swoją ukochaną dziewczynkę.

– Wystarczy, że ty jesteś łobuziara. Koń ma być spokojny i opanowany – twierdził. – Jeszcze tego brakuje, żeby zrobił ci krzywdę!

Dlaczego właściwie zaniechałam tych wizyt?, zastanawiałam się, idąc drogą pomiędzy drzewami. Może by znowu spróbować?

Telefony Andrei i Tomasza nadal pozostawały wyłączone.

Zabiję go!, złorzeczyłam w duchu. Nieodpowiedzialny tatuś! I ją też! Smarkata! Oberwie, jak tylko się znajdzie.

Przemaszerowałam kilkaset metrów przez las i skręciłam w dukt prowadzący do stadniny.

Mimo upału między drzewami panował przyjemny chłód. Gęstwina bukowych liści rozpościerała się jak szczelny parasol, nie dopuszczając promieni słońca do poszycia, które pozostawało miękkie, zielone i wilgotne, pachnące „olejkiem leśnym” (kupowanym przeze mnie do samochodu), wzbogacone o aromat owocujących jagód i malin. Gdyby nie potrzeba szybkiego zidentyfikowania miejsca pobytu poszukiwanej Andrei Krukowskiej, na pewno pochyliłabym się nad tym leśnym poletkiem...

Jeszcze dwieście metrów, a skończy się przecinka i ukaże licząca ponad trzy hektary polana, na której państwo Wilczyńscy ulokowali stadninę.

– Alina, Alina! – usłyszałam krzyk.

Dochodzący z boku tętent końskich kopyt niemal wbił mnie w przydrożne krzaki. Zachowując resztki instynktu samozachowawczego, odskoczyłam w kierunku drzew; równowagę udało mi się zachować wyłącznie dzięki zdrowemu błędnikowi. Z kierunku, z którego dochodziło wołanie, galopowało na rudej kasztance nieduże dziewczę z powiewającymi warkoczami w kolorze ginger. Machała do mnie wolną od wodzy dłonią.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, koń zniknął. Przyśpieszyłam kroku, zastanawiając się nad karą dla młodej za samowolne oddalenie się od domu i przysporzenie mi stresu.

W kieszeni zadzwieczał telefon.

– Alinko, dzwoniłaś? Przepraszam, ale rozładował mi się telefon – tłumaczył się Tomasz. – Wszystko w porządku?

– Owszem – odparłam, uspokojona widokiem całej i zdrowej Andrei.

– Na pewno? – nie dowierzał. – Brzmisz mi jakoś dziwnie...

– Na pewno. Andrea wreszcie się znalazła. Jesteś mi winien dobrą kolację, a jej niezłanianie. Czekam w domu.

– Ale o co chodzi...?

Przerwałam połączenie i poszłam zgarnąć małolatę.

Ciekawe, jak mam nawrzeszczyć na to roześmiane stworzenie?, myślałam, patrząc, jak Andrea gna ku mnie biegiem, a później przeprosza za popełnioną zbrodnię, kajając się szczerze i bijąc w wątłe piersi. Machnęłam ręką, wymierzenie kary pozostawiłam jej ojcu. W końcu rodzinne sprawy Tomasza to nie mój cyrk i nie moje małpy. Niech tam się tatuś z młodą układa. Ale kolację, rekompensującą utratę nerwów, postawić musi! I basta.

– Wracamy do domu – zdecydowałam.

– Pójdę się przebrać. Zaczekasz?

– Nie, skądże! Pozwolę, żebyś znów się gdzieś zawieruszyła – skomentowałam pół żartem, pół serio. – Jasne, że poczekam. Leć.

Wracałyśmy leśną drogą, zatrzymując się raz po raz przy jagodach i malinach. Prosto z krzaka.

– Nigdy jeszcze nie jadłam czegoś takiego! – zachwycała się Andrea, pakując do buzi granatowe kuleczki. – To bardzo dobre!

– Jesteś głodna?

– Trochę.

– To idziemy szybciej. Zamówimy pizzę.

– Musisz podjąć jakąś decyzję w związku z Andreą – powiedziałam do Tomasza, kiedy mała po kolacji poszła do swojego pokoju. – Jak sobie wyobrażasz wasze dalsze życie? Ty

masz do obskoczenia dwie firmy, a ona dopiero dziesięć lat i ogromny temperament. Na mnie nie licz. To, co zdarzyło się dzisiaj, nie powtórzy się, i tyle. Nie zamierzam ganiać za twoim zaginionym dzieciakiem, choćby nie wiem jak był sympatyczny. Zostanę w Zastawnie do czasu, gdy podzielimy się spadkiem i podejmiemy decyzję, co dalej z firmą. Potem wracam do Wrocławia, do pacjentów. Prawdę mówiąc, tęsknię.

– Ale przecież myślałaś o prowadzeniu firmy... – próbował zakpić, ale oczy miał smutne.

A może mi się wydaje?

– To chyba nie był dobry pomysł – odparłam. – Zresztą sam tak uważałeś – wypomniałam próby skłonienia mnie do oddania firmy. – Niemniej jednak nie możemy pozwolić, żeby nas okradano, i musimy wytropić sprawcę oszustwa.

Tomasz wyglądał na zmartwionego.

– Tym bardziej że „Anieldruk” ma zobowiązania. I wobec kontrahentów, i fiskusa – zaczął.

– Wiem, co to znaczy, Tomasz – przerwałam. – Nie miej mnie za ostatnią idiotkę, dobrze? Wbrew pozorom ostatnio sporo się nauczyłam. I daruj sobie ten mentorski ton, bo to ja próbuję wpłynąć na ojca i ja zauważyłam różnice w numeracji kont. A ty na razie wyciągasz ciężarówkę z rowów pod Aachen i przywozisz mi do Zastawna nową lokatorkę, zamiast siedzieć na dupie i zajmować się drukarnią.

– Alu, masz absolutną rację.

Pan psycholog zastosował zręczny chwyt. Przyznał rację rozmówcy, aby uspić jego czujność.

Nie ze mną takie numery!

– W czym niby? – zapytałam zadziornie. – Że traktujesz mnie jak idiotkę czy rozpraszasz się na duperele, zamiast poważnie zająć się schedą po wujku?

– Niepotrzebnie się unosisz, Alinko. Masz rację w sprawach dotyczących „Anieldruku”. Trzeba je pozalatawać, bo w końcu wymkną się spod kontroli. Wiesz, dzisiaj po południu zorientowałem się, że firma ma zaległości wobec ZUS-u. Jutro termin zapłaty, a kasa pusta.

Przestraszyłam się nie na żarty. Oto spełnia się czarny scenariusz. Przypomniałam sobie trefny rachunek.

– Sprawdziłaś to drugie konto? – zapytałam z nadzieją, że zostały tam jeszcze jakieś resztki.

– Ba! Uwierzyli w banku na słowo, że jestem spadkobiercą, nawet zablokowali, ale nie powiedzieli, jaki jest stan. Dowiem się po przyniesieniu aktu poświadczenia dziedziczenia, czyli jutro. To znaczy: razem przyniesiemy. Dostaniemy go od notariusza, prawda? – upewnił się.

– Tato ma przyjechać na siedemnastą trzydzieści – potwierdziłam. – Mam nadzieję, że nie zmienił zdania.

– A może lepiej sprawdzić? Zadzwoń do niego.

Nie wyobrażałam sobie wprawdzie nagłego zwrotu akcji, choć gdyby mama wszczęła napoleońską kampanię w celu zmiękczenia morale mojego ojca i namówiła go do pomieszczenia nam szyków, moglibyśmy znaleźć się w sytuacji nie do pozazdroszczenia... Wszystkie problemy firmowe dałoby się pokonać, byle byli klienci i zlecenia. Jednak oni potrzebują pewności, że zarządzający drukarnią (czytaj: ja i Tomasz) są prawowitymi właścicielami. Jeśli odejdą, można składać broń i przygotowywać do sądu wnioski o upadłość.

– Nie wiem, Tomek... – zastanawiałam się głośno. – Może lepiej załatwić rzecz osobiście, w cztery oczy? Pójdiesz jutro rano sam do firmy.

– Nie ma sprawy. I tak mam dorwać informatyka i sprawdzić, czy na serwerze są

kopie faktur.

– O ile ktoś ich tymczasem nie zniszczył. – Nagle zaświtała mi w głowie czarna myśl.
– Jeżeli tak, niech się boi albo Marcin, albo Iwona. O problemie wiedzą wyłącznie oni.

Tomasz zerknął na zegarek.

– Cholera! Już za późno! Jest dwudziesta trzecia – zaklął pod nosem.

– Na co za późno?

– Na ściągnięcie informatyka. Psiakrew, trzeba go było łapać po południu!

– Przecież nie pracował?

– I co z tego? – zdenerwował się. – Przyjechałby i sprawdził od razu. A teraz rzeczywiście może być pozamiatane. Te cholerne faktury przepadły na amen!

– Nie pozostaje nam nic innego, tylko poczekać do świtu. Będziesz pilnował drukarni od siódmej.

Tomasz chwycił za telefon.

– Panie Bogumile, tu Krukowski. Mam prośbę – rozmawiał po chwili z ochroniarzem „Anieldruku”. – Proszę nie wpuszczać na teren zakładu nikogo. Od teraz aż do mego pojawienia się jutrzejszego ranka. Jego też nie – usłyszałam odpowiedź na pytanie po drugiej stronie.

Domyśliłam się, że cieć szuka wyjątków od reguły.

– Nikogo, zrozumiał pan? Zaczynamy od siódmej. Nie interesuje mnie, że pan Kozłowski musi wprowadzić skuter do garażu! Niech czeka przy bramie, razem ze wszystkimi. Zresztą mam nadzieję, że nikt nie będzie czekał. Przyjdę kilkanaście minut wcześniej.

– Dzisiaj, Ala, co za młot! – odetchnął Tomasz, próbując odtajać po rozmowie z panem Bogumiłem. – Myślałem, że niereformowalny jest wyłącznie Kowalewski, ale widzę, że plaga głupoty i zwierzęcego uporu dotyka również niższego personelu...

– Już dobrze, nie wkurzaj się – uspokajałam, widząc, jak trudno mu zapanować nad nerwami. – Lepiej pomyśl, co zrobisz z Andreą, zanim znowu rozlezie ci się po okolicy.

– A co ja mam z nią zrobić? – zapytał łamiącym się głosem. Spojrzał na mnie błagalnie. – Przecież są wakacje, a na mojej głowie i „Anieldruk” i „Agos”, do którego też w końcu muszę zajrzeć. Pawłowi, mojemu wspólnikowi, też należy się urlop. Jest zły i wcale mu się nie dziwię.

– Trzeba się było zastanowić, gdy brałeś Andreę od Sabiny.

– Byłem w szoku! Wiadomość o dziecku spadła na mnie jak grom, pomyślałem...

Właściwie to nie myślałem. Skoro zostałem ojcem, muszę się nią zająć, to oczywiste. Właściwie dlaczego nie? Przecież nie powodzi mi się źle, utrzymam ją bez problemu. Tylko skąd miałem wiedzieć, że to taki obowiązek na co dzień? Masz jakiś pomysł? Przecież nie przestanę pracować, bo mam dziecko!

Zrobiło mi się go żal. Na szczęście Andrea nie zdążyła mnie do siebie zrazić, wręcz przeciwnie, czułam do niej coś w rodzaju sympatii. To jednak automatycznie nie oznaczało zobowiązań, chociaż pomóc mogłam.

– Słuchaj – zaczęłam przemowę godną wychowawczynie na wywiadowce. – Mogę ci podsunąć kilka książek o psychologii dzieci i młodzieży, ale zanim do nich zajrzysz... Priorytetem jest bezpieczeństwo. I opieka pod twoją nieobecność. Nawiasem mówiąc, rozmawiałam w stadninie z dziewczyną, która chętnie podejmie się opieki nad małą przez kilka godzin dziennie. Co ty na to?

– Doskonały pomysł! – zachwycił się. – Cena nie gra roli!

– Nie bądź taki hojny! – studziłam entuzjazm. – Dziesięć złotych na godzinę. Tyle chce. Dać ci do niej numer?

– Jasne! Zaraz zadzwonię!
– Opanuj się, jest jedenasta. Poprosiłam, żeby była tu jutro od dwunastej do siódmej wieczorem. Wtedy już wrócimy od notariusza. I będziesz mógł się zastanowić, co dalej, ósmoklasisto – zażartowałam. – Oczywiście w kwestii Andrei.

Zobaczyłam, jaką ma minę, i postanowiłam przywrócić go rzeczywistości.

– Na mnie nie licz. Po notariuszu jadę do Wrocławia. Będę przyjeżdżać w miarę możliwości codziennie, do czasu, aż wyprostujemy sprawy firmowe. Mam pacjentów i swoje życie, i na razie nie zamierzam niczego zmieniać. A teraz pozwól, że się położę. Jestem zmęczona.

– A może, zanim zbankrutujemy i nalewki wuja pójdą pod młotek, masz ochotę na małego drinka?

– Nawet tak nie żartuj, Tomasz. Idę do siebie. Nie zapomnij o Lenzionie. Tak się nazywa nasz pan notariusz – dodałam złośliwie. – I dzięki za kolację. Nie masz zobowiązań. Zjadłam wszystko, co zrobiłeś, i jestem usatysfakcjonowana. Dobranoc.

Odezwał się, gdy byłam już na schodach.

– Alu, a może jednak zostaniesz na chwilę?

Odwrociłam się.

Wstał z krzesła i zrobił kilka kroków w moim kierunku. Niewiele brakowało, a nie pozostałabym spokojnie na półpiętrze. Przed oczami miałam jego marzycielsko-uwodzicielski uśmiech, rękę w kieszeni, a wokół siebie stado wściekle atakujących feromonów.

Mimo wszystko się oparłam. Pomogła mi śpiąca za ścianą Andrea, czający się za rogiem notariusz i cholera wie co jeszcze. A może odezwały się stare fobie?

– Dobranoc, Tomasz. Jutro ważny dzień, trzeba się wyspać – wygłosiłam formułkę. Bardzo poważnym tonem.

– Musisz jutro jechać do tego Wrocławia? – usłyszałam, kiedy znikiałam za rogiem korytarzyka na piętrze.

– Muszę.

Tak właśnie uważałam.

Wzywały mnie obowiązki.

18 CZERWCA 2013

Krzętałam się po kuchni, mając jeszcze pod powiekami resztki mocnego, głębokiego snu.

Tomasz zapukał rankiem do drzwi mojej sypialni, by zasygnalizować swoje wyjście do firmy. Zegarek pokazywał szóstą trzydzieści, nieludzką godzinę, możliwą do zaakceptowania wyłącznie przez piekarzy, hodowców bydła, które trzeba świtem nakarmić, albo pielęgniarki w szpitalach, budzące pacjentów, żeby zmierzyć im temperaturę. Mimo usilnych prób nie zasnęłam ponownie, więc zeszłam na dół i zaparzyłam kawę.

W kuchni panował półmrok. Odsunęłam zasłonkę, otwierając widok na ogród.

Na liściach skrzyła się poranna rosa, ale słońce szybko wznosiło się coraz wyżej. Na grządkach niepodzielnie panowały nasturcje, po płótkach wspinał się pachnący groszek, malwy otwierały na świat kolorowe pąki. Dlaczego, przyglądając się rozkwitającemu czerwcowemu ogrodowi, który rozdawał uroki na lewo i prawo, obdarowując nadmiarem barw, kształtów, zapachów, nie czuję niczym nieskrępowanego szczęścia?, zastanowiłam się. Dlaczego nic mnie nie cieszy?, zagryzłam pytanie zimną parówką, której nie chciało mi się podgrzać. W czym ugrzęzłam? Gdzie się znalazłam? Kim się stałam? Spadkobierczynią firmy, która może runąć niebawem? Współwłaścicielką wujkowo-ciocinego dworku, który dzielę z Tomaszem i z jego córką? Psychoterapeutką niepotrafiącą pomóc samej sobie?

We Wrocławiu czekał gabinet, w kalendarzu miałam zapisanego na jutro pacjenta.

Chcę wracać. Ta myśl sprawiła, że poczułam ucisk w gardle. Chcę wsiąść do samochodu, przejechać dwadzieścia cztery czy pięć kilometrów, minąć wrocławskie przedmieścia, obsadzone hurtowniami, galeriami handlowymi, hipermarketami. Atrybutami dużego miasta. Tęskniłam za kanapą ze stadem poduszek, za niewielkim skwerem za rogiem kamienicy, za pobliską kawiarnią „Ptasie Radio”. Za kawałkiem przestrzeni znanej, miejskiej i swojskiej. Zastawieńskie siedlisko, tak ważne i kochane w czasach, gdy pulsowało życiem, nagle straciło blask. Okna wydawały się zbyt małe, zasłony za ciemne, kanapy i fotele – pretensjonalne. Domostwo z niewiadomych powodów nie budziło skojarzeń z przytulnością. Zamiast wzbudzać we mnie tęsknotę – przygnębiało.

Wysłałam do ogrodu z filiżanką kawy i nadzieją odpędzenia toksycznych myśli.

Rozsiadłam się w zielonym wiklinowym fotelu, przy stoliku z terakotowym blatem.

Na grządkach wokół centralnego klombu owocowała czerwona i biała porzeczka, stadko pliszek obsiadło krzewy różanecznika.

– Będziemy łapać motyle? – Fala wspomnień przywołała postać wujka Staszka, zbliżającego się z siatką na patyku. – Popatrz, Alinko – tłumaczył. – Gdy złapiemy bielinka w siatkę, nie w rękę, nie uszkodzimy mu skrzydeł. Rozumiesz?

Zerknęłam na zgniecionego motyla, upolowanego przed chwilą, i poczułam wielki żal, że los w mojej osobie tak się obszedł z biednym stworzeniem.

– Nie płacz. – Wujek starał się mnie pocieszyć. – Tego motylka wypuścimy (jakimś cudem wzniosł się jeszcze do lotu). Ale następne już łapiemy w siatkę, dobrze?

Ile ja miałam wtedy lat? Jakies pięć, sześć? To niemal ćwierć wieku temu!

Matko jedyna, jak dawno!, przeraziłam się własnych myśli. Nagle byłam samotna i nikomu niepotrzebna, jak starzec, który próbuje odnaleźć sens życia we wspomnianiu przeszłości. Wujkowy dworek, miejsce dziecięcej szczęśliwości i odradzania się po kolejnych życiowych klęskach i smutkach, nie pozwalał uciec od przeszłości i w sobie tylko znany sposób krępował mój umysł.

– Cześć, Ala. – Andrea podbiegła od tyłu, wytrącając mnie z zamyślenia. – Patrz, ile tu motyli! – wykrzyknęła zdumiona widokiem dziesiątek bielinków atakujących kwiaty rosnącej w trawie koniczyny. – Będziemy je łapać? Jeśli nie chcesz, to nie musimy, tylko nie płacz... Dlaczego płaczesz?

Zanim udało mi się opanować, minęła chwila.

Co mam ci powiedzieć, mała? Że nagle wzięło na wspominki starą, samotną babę, opuszczoną przez Boga i ludzi? Że nie układa mi się z facetami i nie nadaję się do życia z partnerami, a związki prędzej czy później ulegają destrukcji? Że gdyby Opatrzność zechciała być łaskawsza, siedziałabym teraz tutaj z Haneczką i może łapałabym z nią te cholerne motyle? Wujek Staszek pstrykałby zdjęcia, a ciocia Anielcia smażyła placki ziemniaczane? A co ja robię? Pilnuję dzieciaka Tomasza... Przepraszam za słowa, nic do ciebie nie mam. A twój ojciec najwyraźniej próbuje mnie podrywać, ponieważ jestem mu potrzebna. Jako opiekunka do dziecka, może nawet żona i matka? Stara panna, niegdyś pozostawiona przed ołtarzem, bez widoków na stały związek, świetnie nadaje się do takiej roli. Może nawet powinnam być Tomaszowi wdzięczna? Jest doskonałą partią. Przystojny, w dobrym męskim wieku, trochę ode mnie starszy, ale nie za bardzo, mądry, zamożny i rekomendowany przez wujka, który zawsze stawiał na jakość. Wprowadziły niespodziewane komplikacje w twojej postaci, ale może to i dobrze. Kto wie, czy będę jeszcze kiedykolwiek w stanie błogosławnym, a takie gotowe, do tego miłe i sympatyczne dziecko to skarb. Najlepiej będzie, jak podziękuję Bogu za ten niespodziewany uśmiech losu!

Gdy tylko udało mi się cokolwiek dostrzec przez zasłonę z łez, popukałam się w głowę. Durna stara!, pomyślałam. Tylko się ośmieszam przy dzieciaku.

Przecież Andrea nie jest niczemu winna.

– Lubię sobie czasami popłakać, mała – wytłumaczyłam. Córka Tomasza popatrywała na mnie niepewnie. – Wiesz, wujek mi się przypomniał i takie tam... No, już dosyć! W spiżarni powinna być stara siatka na motyle. Pójdziemy poszukać? A przy okazji przygotujemy śniadanie, okej?

Biegła przy mnie w podskokach, jak sarenka przy dorosłej łani, gadając, jaka jest głodna, i wypytyując o siatkę, której odnalezienie na szczęście nie sprawiło problemu.

– Oto i ona! Bierz i leć do ogrodu. Zrobię jajecznicę. Lubisz?

– Ale bez szynki! – zdążyła krzyknąć, zanim zniknęła w gęstwinie. – I nie smaruj mi bułki masłem!

Jajecznica bez szynki, pieczywo bez masła. Niebawem poznam kompletną instrukcję obsługi! Dowiem się, jakie kupować pieczywo (kto wie, czy teraz mam odpowiednie?) i sery. Czy ona lubi sałatki? A może woli kawał mięsiwa? Nauczę się zaplatać jej warkocze, myć włosy, prowadzić na jazdę konną cztery razy w tygodniu. Pilnować, karmić, spełniać oczekiwania (dzieciak ma wakacje).

Nie.

Chwyciłam za telefon.

– Tomasz?

– Zaczekaj sekundę, przepraszam. Tylko wyjdę na korytarz.

Połączył się po chwili.

– Alinko! – usłyszałam błagalny ton. – Czy mogłabyś posiedzieć z Andream do południa? Muszę działać szybko, zanim oszust zdąży zatrzeć wszystkie ślady. Wyobraź sobie, że w serwerowni nie ma kopii naszych faktur!

– Rozumiem, że widziałeś się już z informatykiem.

– Niestety, był w firmie przede mną. Sądzę, że ktoś zdążył go powiadomić. Wygląda na to, że i on jest zamieszany w cały proceder.

– Nie uważasz, że mimo wszystko powinnam pojawić się w firmie? – zapytałam grzecznie, bez uderzania w górne C.

Co on sobie wyobraża, prosząc mnie o zajmowanie się dzieckiem, gdy sam nie ma na to czasu? Czy ja jestem niańką Andrei?, zbuntowałam się w duchu. Nie zauważyłeś, że oskubywana właśnie przez oszustów firma należy również do mnie?

Tomasz brnął dalej.

– Ale co wtedy z Andream? Znowu gdzieś się zawieruszy. Aluś, poradzę sobie, ale proszę, zostań z nią ostatni raz! Wynagrodzę ci to.

„Ostatni raz”? Rozłączyłam się. Egoista, jak każdy facet. Jakim cudem wydał mi się przystojny, ułożony, mądry?

– Andrea! – wrzasnęłam na jego córkę. – Chodź do kuchni! I posłuchaj... – Rozpoczęłam przygotowania do pozostawienia jej w domu. – Może jeszcze jajecznicy?

Odmówiła.

– Idę do firmy – oznajmiłam. – Przez kilka godzin posiedzisz sama, w dworku albo w ogródku. W salonie masz telewizor, pokażę ci, gdzie są płytki z filmami. Żadnych wypadów do lasu, stadniny ani tym bardziej nad rzekę! Rozumiesz?

– Ale miałyśmy dzisiaj iść na konie...

Ona robi mi wymówki!

– Andrea, naprawdę muszę. W południe przyjdzie opiekunka, ale do tej pory... Obiecuj, że nie będziesz grandzić i nigdzie nie znikniesz!

– Dobrze. Chyba ktoś puka do drzwi. Słyszysz?

Rzeczywiście, dobiegł nas dźwięk kołatki.

Kogo diabli niosą?, zastanawiałam się, przemierzając się.

Spodziewałam się listonosza, komornika, Cyganów sprzedających patelnie, sąsiada z wiadomością, że nasza stara wiśnia zwała się do jego ogrodu, ale doznałam miłego zaskoczenia.

– Monika? I Michalina? Nie może być, dziewczyny! Co się stało? Radek wyrzucił was z domu? – pokrzykiwałam, ściskając moją przyjaciółkę. – Chodź do ciotki! – Wyjęłam Michasię z wózka.

– Nie przeszkadzamy?

– Skądże znowu! Wręcz przeciwnie. Bardzo się przydadcie!

– Jestem – przywitałam się z Tomaszem w gabinecie wuja. – Mów natychmiast, co z tymi fakturami! Poza tym, że ich nie ma.

Spodziewałam się pytania o Andream i reprimendy za pozostawienie małej samej w domu. Ale nie. Nie odważył się i nie zapytał, chociaż wyraz twarzy miał jednoznaczny.

– Nie ma faktur, nie ma kopii – zaczął. – Żeby mieć cokolwiek, musimy prosić klientów o duplikaty. Tylko wtedy będziemy wiedzieć z całą pewnością, na jakie konto wpływały pieniądze.

– Wiem. Nie musisz mi przypominać. Kto obdzwoni klientów? Podejrzana księgowa czy

informatyk?

– Już się zastanawiałem. Ponieważ możemy mieć zaufanie wyłącznie do siebie, to zadanie dla nas.

– O ludzie! – Moja wyobraźnia ruszyła z kopyta. – Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nie martw się, nie będziemy dzwonić do wszystkich. Weźmiemy na cel tych największych. „Impax”, „Dolmed” i paru innych. Mam wrażenie, że nasz złodziej to nie detalista.

– Nie ma co czekać. Siadamy do telefonów? – zaproponowałam. – Masz listę klientów?

– Taaak. A co z Andream? – nie wytrzymał.

Miałam ochotę odesłać go do domu, ale z dziewczynkami i tak została Monika, chwilowo zarzuciłam więc drażnienie tematu pod tytułem „opieka Tomasza nad córką”. Lepiej popchnąć firmowe śledztwo, za kilka godzin załatwić sprawę u notariusza, a wieczorem zasnąć na własnej wrocławskiej kanapie, ukołysana do snu szumem z rzadka przejeżdżających ulicą samochodów. Oczywiście po ułożeniu w łóżeczku Michalinki do snu i obgadaniu z jej matką palących i mocno zawikłanych kwestii mieszkaniowych. Nie dowiedziałam się dokładnie, o co chodzi, ale najwyraźniej obie panie Stalińskie, starsza i młodsza, znowu nijak nie mogły się dogadać. Śpieszyłam się do firmy, więc po prostu zostawiłam Monikę na posterunku (spadła mi jak z nieba!) i nie zgłębiałam meritum sprawy. Miałam nadzieję na poznanie sytuacji dzisiejszego wieczoru. U mnie na stryszku. We Wrocławiu. W domu!

– Nie martw się, nie jest sama – powiedziałam. – Przyjechała moja koleżanka z córką. Powinieneś ją pamiętać. Ta sama, którą podrywałeś na imprezie z kumplami od ściągania broni ze ścian – wyzłośliwiłam się. – Odwołałam dziewczynę ze stadniny, ale pamiętaj, że to nie jest rozwiązanie na dłużej. A teraz dawaj listę firm i zaczynamy dzwonić! Ja zostanę tutaj, ty możesz przenieść się do Kowalewskiego. Nie będziemy sobie przeszkadzać. Aha, pamiętaj o notariuszu. Siedemnasta trzydzieści.

– Pamiętam, Alu – powiedział miękko. – Jesteś na mnie bardzo zła?

A nie powinnam? Bo jestem kobietą, psychoterapeutką? Nieprawda. Jestem matką urodzonego przedwcześnie martwego dziecka! I do tego nieudacznicą, porzuconą przez faceta przed ołtarzem!

– Nie jestem na ciebie zła – powiedziałam. – Po prostu zaraz po Lendzionie wyjeżdżam do Wrocławia. Do domu. Ale wrócę i pozłatwiam sprawę.

– Myślałem, że dzisiejszego wieczoru pójdziemy z twoim tatą do restauracji na obiad. Albo zjemy kolację w dworku.

– Innym razem, Tomasz. Dziś zrób kolację córce i poczytaj jej na dobranoc.

– Alusiu... – Jakbym słyszała wuja Stacha! – Jak chcesz. Mimo wszystko będę na ciebie czekał w Zastawnie. Będziemy czekali z Andream.

Zabrzmiało to groźnie.

– Kiedy przyjedziesz ponownie? – zapytał.

– Nie wiem. Jutro mam na pewno pacjenta, później sprawdzę grafik. W każdym razie gdyby wydarzyło się cokolwiek niepokojącego, dzwoń. A teraz do telefonów! Ja biorę firmy od A do K, okej?

– Dobrze. Ala...? – zawahał się, jakby chciał dodać coś jeszcze.

Postanowiłam mu nie ułatwiać zadania.

– Idę do biura Kowalewskiego – zakomunikował, rejterując.

– Spotkamy się u notariusza. I idź wreszcie, bo nigdzie nie zadzwonię!

Podszedł i cmoknął mnie w policzek, niebezpiecznie graniczący z szyją.

– Już mnie nie ma. Wszystko będzie dobrze.

- Nie wątpię – odparłam, starając się utrzymać pokerową twarz.
- Gdybyś czegoś potrzebowała... – Przystanął w progu.
- Tak, naturalnie. Znam do ciebie numer.
- Alu... – Zanim zamknął za sobą drzwi, raz jeszcze wypowiedział moje imię. –

Powodzenia.

Tylko nie to!, pomyślałam. Nie on, nie ten facet! W dodatku ma córkę. Nie! Do roboty!

– Dzień dobry, tu Alina Dobrowolska, firma „Anieldruk”. Czy mogę prosić z księgowością?

– Bardzo ci dziękuję, tatuś, że nie robiłeś problemu z testamentem. I przepraszam, ale nie mogę teraz dłużej z tobą porozmawiać.

Na ulicy, przed biurem notariusza Lenziona, towarzyszył nam Tomasz, szczęśliwy, bo wreszcie zaopatrzony w oczekiwany od kilku dni akt poświadczenia dziedziczenia. Ten ważny dla klientów „Anieldruku” glejt, regulujący raz na zawsze sprawy spadku po wujku Stachu i zarządzanie firmą. Wynikało z niego jednoznacznie, że oboje z Tomaszem jesteśmy w równych częściach współwłaścicielami drukarni i mamy prawo podejmować wszelkie dotyczące jej decyzje. Mogliśmy z otwartą przyłbicą stanąć przed niedowiarkami i udowodnić, że firma trwa i trwać będzie, ponieważ zależy wyłącznie od nas obojga. A my chcieliśmy, aby tak się stało.

Tomasz naturalnie również wyraził tacie wdzięczność i oddalił się dyskretnie w stronę auta, aby pozwolić nam ustalić na osobności kwestie przyszłego spotkania.

– Alu, nie musisz mi dziękować. Oboje wiemy, że spadek nie mnie się należał.

Kwestionowanie testamentu i tak by nic nie dało, a tylko mogło zaszkodzić. Rozmawialiśmy przecież. Jesteś w końcu moją córką. Może teraz, po śmierci wujka, będziesz bardziej pamiętała o ojcu?

Ewidentnie uderzał w wysokie tony.

Nagle zrobiłam się czujna. Sparzyłam się na mojej rodzinie już tyle razy, że ponowne danie wiary ot tak któremukolwiek z jej członków graniczyłoby z cudem.

– O co ci chodzi, tatuś? Chcesz czegoś ode mnie? Powiedz, zanim zacznę się domyślać. Chodzi o Aldonę?

– Córeczko, zostawmy to wreszcie, Tomasz na ciebie czeka, nie mamy czasu. A sprawa wymaga dłuższej rozmowy. Spotkasz się ze mną we Wrocławiu? Może jutro, pojutrze?

– Chodzi o Aldonę? – powtórzyłam.

Niech sobie nie myśli, że uda się mnie zbyć!

Ojciec zastanowił się przez chwilę.

– W pewnym sensie dotyczy to nas wszystkich, Aldony również, chociaż nie ona jest najważniejszą osobą w sprawie – wygłosił krótki speech. – Naprawdę zależy mi, by z tobą porozmawiać. Bardzo proszę – zaakcentował ostatnie słowa głębokim spojrzeniem w oczy.

Czułam przez skórę, że to coś ważnego.

– Dobrze, tato. Zadzwoń jutro i się umówimy. Może być?

– Będę czekał.

Podeszłam do czekającego przy samochodzie współnika.

– Przepraszam. Tata miał do mnie dwa słowa.

– Naprawdę musisz jechać teraz do Wrocławia? – Głos Tomasza był jak skarga rannego jelenia.

– Przyznaj, że zależy ci na upojnej nocy z Moniką? – pół żartem, pół serio

skomentowałam jego zabiegi. – Nic z tego. Ona wraca ze mną. Jest mężatką, nawiasem mówiąc, obciążoną dzieckiem. Ale skoro i ty masz dziecko... W końcu wiesz, że to nie przeszkoda.

Co ja wygaduję!, zrugalam się w myślach.

– Ala, czułbym się zaszczycony, gdybyś od czasu do czasu była o mnie choć trochę zazdrosna – odparł śmiertelnie poważnie. – No cóż, mimo wszystko wiem, że nie w tym rzecz. Spojrzałam pytająco.

– Zapętlilem się, przepraszam – wycofał się czym prędzej.

Wjeżdżaliśmy właśnie na podwórko.

– W czym zatem? – docisnęłam, zanim zdążył wyłączyć silnik.

– Nie czas na takie pogaduchy. Patrz, biegnie Andrea! Postaraj się wrócić jak najszybciej – zakończył.

Udałam, że nie pojęłam intencji życzenia, wypowiedzianego tonem aksamitnym i pełnym uczucia. Mój głos brzmiał jak głos starszego księgowego, składającego prezesowi raport z rocznego bilansu.

– Oczywiście przyjadę. W końcu musimy rozwikłać sprawę defraudacji i wyprowadzić „Strandruk” na prostą. A tymczasem dawaj sobie radę sam. I nie pozwól złodziejowi wyciągnąć kolejnej kasy!

Monika z Michasią czekały już z zapakowaną walizką w pobliżu klombu. Pobiegłam do dworku po swoją i nie mając ochoty na rozdzierające sceny pożegnania, odpaliłam silnik mini.

– Do zobaczenia, Andrea! – Machaliśmy małej przez otwarte okna. – Tomasz, daj znać, gdy wpadniesz na jakiś trop!

Wieczór przyniósł falę chłodniejszego powietrza, które powoli wypierało gorączkę dnia. Podśpiewując pod nosem i postukując miarowo w pedał gazu, prowadziłam autko w stronę cywilizacji.

– Zatrzymamy się na zakupy? – Na horyzoncie pojawiło się centrum handlowe.

Wystarczyło pół godziny, byśmy taszczyły torby pełne żarcia i picia na piąte piętro, wciągając jednocześnie zmęczoną o tej porze Michasię, walizki z ciuchami i kilka rachunków wyjętych ze skrzynki na dole.

– Sprawiliam ci tylko kłopot, Alinko. Przepraszam. – Monika swoim zwyczajem zaczęła się tłumaczyć, gdy tylko padłyśmy na kanapę.

Byłyśmy jak juczne wielbłądy po kilkudniowej wycieczce na pustynię.

Odpowiedziałam natychmiast, gdy tylko udało mi się złapać zgubiony na schodach oddech i uratować płuca przed wyrwaniem ich z ciała.

– To raczej ja powinnam czuć się winna, że nie zostałyśmy w Zastawnie. Ale jutro mam pacjenta. Poza tym miałam ochotę zostawić Tomasza i Andreę. Z nimi byłam jak w zaklętym kręgu, traciłam kontrolę nad życiem. Potrzebuję dystansu. Kilku dni. Potem zabiorę ciebie i Michasię na wieś. Dobrze?

– Ala, wyprowadziłam się z domu dokładnie z tego samego powodu! Radek zaczął wykonywać dziwne ruchy, których totalnie nie rozumiem. W tej chwili jestem na niego tak wściekła, że mam ochotę się z nim rozwieść! Muszę spojrzeć na wszystko z boku, z daleka.

– To może byśmy się rozpakowały i umyły po podróży? – poddałam myśl, spoglądając na sterty rzeczy, na Michasię, która zdążyła przysnąć na podłodze z misiem w objęciach.

Lepkie ręce aż wołały o wodę i mydło.

– I może otworzymy okno?

Na początku poruszałyśmy się jak muchy w smole, jednak już po chwili solidarnie

przygotowywałyśmy stryżek na pogaduchy. Najpierw świeże powietrze i przeniesienie Michaliny z podłogi na materac na antresoli. Kolejne czynności przebiegały bez słów. Ja pakowałam jedzenie do lodówki, Monika układała córeczkę. Ja nalałam domestosa do muszli klozetowej, ona przetrzała zlew i wyjęła naczynia ze zmywarki. Ja pokroiłam chleb na kanapki i posmarowałam masłem, ona wzięła się za darcie pekińskiej na sałatkę o roboczej nazwie „wrzucaj wszystko, co masz pod ręką”. Dekorowałam gotowe kanapki listkami roszonek, podczas gdy moja przyjaciółka polewała sałatkę sosem zrobionym z jogurtu, majonezu, octu winnego i mieszaniny ziół ogrodowych, wymiecionych z szuflady znajdującej się w szafce przy lodówce. Razem rozłożyłyśmy na stoliku serwetki w sowy. Zapaliłam kilka świeczek o zapachu lawendy, a Monika zajrzała na antresolę, by sprawdzić, czy Michasi nie jest za ciepło, za zimno, czy nie spociła się, zbyt nie zbliżyła do krawędzi i zaraz nie spadnie. Jednym słowem – czy da nam trochę posiedzieć w ciszy, czy zaalarmuje głosem syreny strażackiej, ustawionej dwa i pół metra nad naszymi głowami. Na szczęście, po dniu spędzonym na powietrzu, dziecko spało jak zabite, pozwalając opiekunkom dobrać się do butelki z winem.

Od strony otwartego na oścież okna wiało aksamitnym, chłodnym powietrzem, z odtwarzacza dochodziły dźwięki francuskich ballad Caliego. Pierwszy łyk taninowego czerwonego płynu przyjemnie rozszedł się po ciele.

– I co zrobić z tak miło rozpoczętym wieczorem? – zapytałam rozanielona, przyjmując na kanapie pozycję zbliżoną do horyzontalnej.

– Wysłuchać swojej biednej koleżanki. Zapomniałaś? – nie omieszkała przypomnieć Monika.

Usiadłam porządnie (z wyprostowanymi plecami, piersią wysuniętą do przodu, głową uniesioną do góry) i przyjąłam wyczekującą pozę.

– Nie wygłupiaj się! Ja naprawdę mam kłopot z Radkiem.

– Pardon, ale tak się cieszę, że tu jestem! Trudno mi się powstrzymać od wygłupów, ale ty po prostu mów i nie kończ, zanim nie wyrzucisz z siebie wszystkich toksycznych zlogów zgromadzonych w ciele i umyśle. Pozwól płynąć słowom. Niech wymiotają myśli i pozwolą im krążyć po tym pokoju. Mów, siostrze. Skończyłam.

Monika miała oczy jak spodki.

– Ala, czy ty coś brałaś? W ogródku posiałaś marychę? Gadasz jak nawiedzona.

– Nie nawiedzona, tylko zadowolona! I gotowa cię wysłuchać. Mów.

Jeszcze przez chwilę spoglądała niepewnie, ale w końcu (po drugim kieliszku) przeszła do rzeczy.

– Matka Radka – relacjonowała – postanowiła, jak wiesz, zamienić się z nami na mieszkania. Miała zająć nasze dwupokojowe, a my wylądować w jej willi. Zamianę postanowiła przeprowadzić notarialnie, formalnie, żeby, jak często powtarzała, „nikt do nikogo nie miał pretensji”. Znasz ją – dodała kąśliwie. – Przecież „na stare lata nie potrzebuję już luksusu, ogrodu, salonów. Wystarczy mi kącik i radość z waszego szczęścia”. I zawracanie gitary synalkowi trzy razy dziennie.

Nastąpiła opowieść, którą już częściowo znałam. Radosław (Monika mówiła tak o mężu zawsze, gdy była wkurzona) bez przerwy latał do matki, która ni z tego, ni z owego zaczęła odczuwać potrzebę stałej pomocy i nieustającego towarzystwa. Faktycznie, okazało się, że trochę podupadła na zdrowiu (trochę, a nie totalnie), więc synuś stał się niezbędny. Najpierw raz, dwa razy w tygodniu, potem codziennie. A teraz pozostaje pod telefonem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Babsko dzwoni, kiedy chce, a on do niej lata jak z pieprzem.

– Myje jej okna, robi zakupy! – Moja przyjaciółka nakręcała się z każdą chwilą bardziej. – Cholera wie, co jeszcze nastąpi. A na dodatek ta małpa nastawia go przeciwko mnie.

– Nie przesadzasz? – wtrąciłam.

– Nie! – wykrzyknęła. – Ostatnio mi powiedział, żebym była dla niej miłsza, bo ona stresuje się w moim towarzystwie! Jesteś to sobie w stanie wyobrazić? Że niby ja ją stresuję! Nie odzywała się przez chwilę, próbując odzyskać oddech.

– Żałuję jak cholera, że się zgodziłam na tę zamianę! Zamroczyło mnie, i tyle! Do głosu doszła pazerność. Oczami wyobraźni zobaczyłam Michasię w ogródku... No i te stare, piękne wnętrza! No, zaćmienie umysłowe! Jak mogłam uwierzyć w dobre intencje tej baby?

Nie do końca rozumiałam, ale grzecznie zaczekałam, aż wzburzona Monika dokończy wątek.

– Aż wreszcie, gdy doszło do spraw notarialnych, szanowna mamusia nagle zaniemogła jeszcze bardziej! Wymyśliła, że owszem, załatwimy wszystko, ale później. Natomiast teraz po prostu się do niej wprowadzimy, bo ona wymaga opieki! Dżisus! Trzymajcie mnie wszyscy święci, bo zacznę gryźć ściany albo zabiję babę!

– No dobrze. A co na to Radek?

– Właśnie w tej chwili wnosi nasze rzeczy do dwóch sypialni na górze. W willi na Biskupicach.

– I ty się na to zgodziłaś?

– Ja mu zakazałam!

– Nie rozumiem...

– To bardzo proste. Zrobił to, czego zażądała ona, jego „mamcia”, nie licząc się z moim zdaniem! Tylko tyle i aż tyle. Co ja mam robić? Może pomóc mu się pakować, a od jutra pokornie zamieszkać z jego matką?

Gdyby to był mój chłop, już by nie żył, pomyślałam. A przynajmniej mielibyśmy już za sobą ostatnie spotkanie.

– Zaczekaj – myślałam głośno. – Przecież mieszkanie, z którego Radek w tej chwili wyprowadza meble do matki, jest wasze?

– Nnno tak... – zaczęła niepewnie. – Na kredyt.

– Chryste Panie! Wreszcie pojmuję! Kupa kasy do spłacenia! Trzeba by komuś wynająć, niech pracuje.

Monika ożywiła się nagle.

– Przechowasz mnie przez jakiś czas? Nie będę przeszkadzać, obiecuję. Nie ma takiej opcji, żebym wprowadziła się do teściowej. Nigdy!

Nigdy to ja nie widziałam przyjaciółki tak zdeterminowanej. Dolałam jej wina.

Słuchałam tych wynurzeń i zastanawiałam się intensywnie, co poradzić moje przyjaciółce. Zachęcałam ją do kontynuowania opowieści, aby odsunąć moment, w którym poważnie zapyta, co dalej, niestety, czas mijał, na dworze zapadała ciemność bez księżycy i gwiazd. A mnie zniemacka dopadły własne problemy.

Czyżby zmieniała się pogoda? Instykt gospodyni Zastawna podsunął mi obraz ogrodu, potrzebującego deszczu. Ze wstydem uświadomiłam sobie, że od śmierci wuja Stacha ani razu nie zainteresowałam się ani grządkami, ani domem. Gościłam się jak w hotelu, czynności porządkowe ograniczając do ślania łóżka i przemywania toalety. Poniekąd byłam usprawiedliwiona, bo trudno uważać za własne miejsce na ziemi przestrzeń, po której płączemy się we trójkę – Tomasz, Andrea i ja. Potrzeba rozstrzygnięć okazywała się coraz bardziej paląca. A gdyby tak mimo wszystko podzielić majątek? Firma dla niego, dla mnie dom? Nie, nic

z tego, zbyt wiele niewiadomych. W jakiej kondycji jest drukarnia? Czy nie zmierza do nieuchronnego bankructwa? Może trzeba będzie sprzedać dworek, żeby ją ratować, tylko czy warto ją ratować w ogóle? Tomasz ma własne duże mieszkanie we Wrocławiu i własny biznes, ja zawsze mogę wziąć kredyt i wykupić stryszek, podobno na sprzedaż (muszę natychmiast skontaktować się z Rakiem!, przypomniałam sobie). Mam zawód, w którym potrafię się realizować, utrzymałabym się, choć kokosów raczej bym nie zrobiła... A gdyby tak założyć optymistyczny scenariusz? Silna firma, przynosząca zyski, powrót zdefraudowanych pieniędzy na konto, dworek na współwłasność? Czy wówczas łączyłabym w jakikolwiek sposób swoją przyszłość z Zastawnem? Mieszkanie na stałe, zajmowanie się „Anieldrukiem”, dojazdy do gabinetu na terapię? Najprościej byłoby nie dzielić. Nieraz odnosiłam wrażenie, że Tomaszowi takie właśnie rozwiązanie odpowiadałoby najbardziej. Nie podejrzewałam ani jego, ani wuja o ukartowane działanie, chociaż zdawałam sobie sprawę, że ten pierwszy chętnie widziałby nas jako parę. Nic z tego, jeszcze nie czas na swatanie. Nie przekroczyłam jeszcze trzydziestki. Tomasz jest przystojnym facetem, niewątpliwie wartym grzechu. Tylko co z tego, że mnie intryguje, skoro go nie kocham?

Od rozstania z Szymonem minęło już kilka miesięcy, podczas których żyłam normalnie, bez uczuciowych porażek, łez, tęsknoty i poczucia pustki.

– Ala, uważaj, bo niedługo rzucanie facetów wejdzie ci w krew! – przestrzegają z troską Monika.

– Nic na to nie poradzę, koleżanko, że na reset wystarcza mi zaledwie parę dni – odpierałam zarzuty, wzruszając ramionami. – Chyba wystarczająco długo nacierpiałam się po Miłoszu? Nie będę umierać po każdym kolejnym niepowodzeniu!

– Dobrze, już dobrze. Mam tylko nadzieję, że...

– ...wreszcie trafi kosa na kamień – kończyłam jak zawsze.

– Musi się znaleźć ten jedyny! – Tę kwestię wygłaszałyśmy unisono, ze śmiechem.

Gonitwę myśli w mojej głowie przerwało jak najbardziej oczekiwane:

– I co mam teraz zrobić?

Skupiłam się, próbując wyartykułować coś sensownego. Znałam techniki doprowadzania człowieka z problemami do samodzielnego podjęcia decyzji i obrania własnej drogi, ale do licha! Oto siedzi przede mną moja najbliższa kumpela, a nie pacjentka! A na antresoli śpi spokojnie jej dziecko!

– Powiem ci, laska, ale nie będziesz zadowolona... – Zdecydowałam się otworzyć usta. Monika cała zamieniła się w słuch.

– Gdyby ten twój Raduś był moim Radusiem, tobym go w te pędy wysłała do mamusi na zawsze. Ale najpierw wróciłabym do waszego mieszkania. Zamknęłabym drzwi i nie oglądała ani Radka, ani teściowej. I poszukałabym sobie dobrego adwokata.

– Rozwód? Po pierwsze, to ona pożyczyła nam trzysta tysięcy, żebyśmy mieli, jak się wyraziła, „własny kąt”. Musiałabym ją natychmiast spłacić! A w najlepszym wypadku – musielibyśmy zrobić to solidarnie. A po drugie... – zawahała się.

– Nie słuchasz mnie, przyjaciółko. Powiedziałam: dobrego adwokata. Podpisywaliście jakieś papiery, jak braliście od teściowej pieniądze? – zapytałam, tknięta nagłym przeczuciem.

Monika unikała mego wzroku.

– Niczego nie podpisywaliśmy...

- A jak Raduś przydusił mamusię, żeby wysupłała tę kasę? Co jej obiecał?
- Co takiego? – Monice zabrakło tchu.
- Poszłście do dewelopera oboje?
- Radek wszystko załatwiał.
- Chcesz powiedzieć, że nie podpisywałaś aktu notarialnego?

Monika była blada jak prześcieradło.

– Kupował z matką. Powiedział mi, że mieszkanie i tak będzie naszą wspólną własnością, a mama jest potrzebna przy finalizacji zakupu jako gwarant...

Zabrakło mi słów.

– Widziałaś akt notarialny? – zadałam pytanie ostatniej szansy.

Siedziała ze zwieszoną głową, z trudem panując nad łzami. Odpowiedziała cichutko:

– Podobno jest u teściowej. Z powodu tej pożyczki...

Nie było o czym gadać. Oto moja przyjaciółka boleśnie zdała sobie sprawę, że mieszkanie, które dotąd uważała za własne (choć niespłacone), jest najprawdopodobniej własnością mamusi jej małżonka. A ona sama nie ma do niego jakichkolwiek praw.

Przez chwilę nad kanapą unosiła się cisza, przerywana jedynie brzęczeniem komarów. Gdyby myśli potrafiły fosforyzować, nad moją głową pojawiłby się wykrzyknik, nad głową Moniki – znak zapytania. Oba potężnych rozmiarów.

Skierowałam się do kuchennego kąta.

– Kawa? – zapytałam po prostu.

– Aha.

– Nie martw się. Coś się wymyśli. – Wsypałam do młynka czekoladowe ziarenka. –

Najważniejsze, że już wiesz, na czym stoisz. Możecie z Michasią zamieszkać tutaj albo w Zastawnie...

– Stoję? – rozryczała się wreszcie. – Ala, ja leżę! Martwym bykiem! Mogę wylądować pod mostem, a Radek...

Postawiłam na stole parującą kawę i spróbowałam ogarnąć sytuację. Sensowne wsparcie było potrzebne Monice najbardziej ze wszystkiego na świecie.

– Nie znam prawa i układów między wami, ale wydaje mi się jednak, że Radek nie może wyrzucić ciebie i dziecka ot tak z mieszkania, nawet jeśli należy ono do jego matki. Ani zmusić cię do zamieszkania z teściową. To absurd! Zresztą... Wciąż jesteście małżeństwem. I macie Michasię. Ciągle jeszcze możecie się dogadać!

– Wyrazy szacunku, pani detektyw. – Monika była pełna szczerego uznania dla moich umiejętności dedukcyjnych i marnego obycia w kwestiach prawnych. – Widzę, że nabierasz kwalifikacji w firmie...

– W razie gdybyś potrzebowała porady, powiedz. – Machnęłam ręką. – Mam w Zastawnie kogoś, kto ci pomoże.

– Nowego adoratora? – próbowała zażartować.

– Bardziej by się chyba nadał dla cioci Anieli! – wybuchnęłam śmiechem. – To przyjaciel wuja Staszka, pan Smólski. Ten, który dostał w spadku broń i znaczki.

– Co ja mam zrobić, Ala? – powróciło jak mantra.

– Posłuchaj... – Właśnie przyszedł mi do głowy pewien pomysł, który natychmiast postanowiłam wcielić w życie. – A czego na pewno nie chcesz robić?

– Nie chcę mieszkać z teściową, nie chcę, żeby Radek ciągle tam jeździł, nie chcę, żebyśmy się kłócili – wyrecytowała.

– To zapisz te swoje oczekiwania na kartce i przedstaw je Radkowi, kiedy już się z nim spotkasz. Spokojnie. I nie reaguj nerwowo, gdy będzie próbował ci przerywać. Sama

tego nie rób, jeśli spróbuje cię przekonać do zamieszkania z teściową. Niech sobie pogada. Opanuj twarz, nie strzelaj min na słowo „mama”, choć znam twoją teściową i wiem, że to rzeczywiście niełatwe. A na koniec oznajmij mężowi, co postanowiłaś.

– A co postanowiłam?

– Dziewczyno! – Powoli traciłam cierpliwość. – Że wracasz do domu, a on ma ci sprowadzić rzeczy, które wywiózł na Biskupice. Zrozumiałaś?

– Tak.

– To dobrze. Masz Michalinę i robisz to również dla niej. A gdyby Radek się uparł albo zaczął stawiać warunki i uzależniać wasze dalsze zgodne pożycie od twoich ustępstw, zastanowisz się, co dalej.

Monika wpatrywała się w fusy na dnie filiżanki.

– Masz klucz od domu? – zapytałam na wszelki wypadek.

– Mam.

Uff! Jedna z nielicznych dobrych wiadomości!

– Radek dzwonił?

– Dzwonił. Nie odebrałam.

Druga.

– To teraz otworzę wino porzeczkowe, które robiła jeszcze ciocia Aniela, i posłuchamy sobie pani Houstonowej. Może być?

– Aluta! Co ja bym zrobiła bez ciebie? – Monika uderzyła w wysokie tony.

– To samo, co ja bez ciebie.

Nalałam. Wino lśniło głęboką czerwienią, przypominającą chianti. Szybko wyszukałam odpowiednią stronę w Internecie i zaczęłam czytać opis odpowiadający porzeczkowej poezji cioci Anieli.

– Słuchaj, bo to jakby o naszym trunku. – Zmobilizowałam przyjaciółkę do skupienia uwagi. – „Skoncentrowany trunek o ciemnej sukni (sukni!) i bogatym bukicie. Pierwsze nuty skórzane i cygarowe, nieco drapieżne...”. Spróbuj! – zachęciłam. – „...potem ustępują miejsca powidłowym i balsamicznym”. Czujesz, jak ten balsam spływa na twoje zbolące serce? „Surowy garbnik łagodnieje w trwałym finale”. Czujesz? – dopytywałam.

– Zaczekaj! – śmiała się. – Do finału jeszcze trochę, z pół butelki. Dobrze jak nie wiadomo co, bez względu na garbnik i balsamiczne nuty! – chichotała coraz głośniejsze.

– I na tę ciemną suknię!

Monika przerwała zniemacka. Zerknęła na antresolę, na której posapywała Michalina.

– Zawieziesz mnie jutro do domu? – zapytała.

– Mogę do dwunastej. Później sesja.

– Zgoda. Dzięki, Ala. Myślisz, że my z Radkiem... Że nam się jeszcze uda?

Zależało jej, a mnie zależało na niej. I choć miałam sporo wątpliwości, udzieliłam jedynej odpowiedzi, jaką chciała usłyszeć.

– Jasne. Uda się wam na pewno. Od jutra wszystko będzie lepsze. Obiecuję.

No, może trochę przesadziłam... Niewątpliwie przyczyniły się do tego kolejne kieliszki drapieżnej zawartości flaszki. Na szczęście już wkrótce obietnice bez pokrycia odpłynęły w niebyt na kanapie przysypanej stertą poduch. Zapadłam w balsamiczny sen.

19 CZERWCA 2013

Jeżeli po odwiezieniu do domu obu pań miałam nadzieję na spokojny dzień, kolejne kilka godzin rozwiało ją doszczętnie. Po raz kolejny okazało się, że plany i ich realizacja to dwa niezależne byty, rzadko kiedy podążające tą samą drogą.

Prawdę powiedziawszy, z radością pozbyłam się na jakiś czas i Moniki, i Michalinki.

Rozgrzanymi upałem ulicami podążałam do gabinetu na spotkanie z niewiele ode mnie starszą Małgorzatą. Przychodziła do mnie od kilku tygodni, traktując sesje terapeutyczne jako czas na zwierzenia, opowieść, jak twierdziła, „o pospolitym, trudnym, nudnym i mało satysfakcjonującym życiu żony zapracowanego męża”. Już podczas pierwszego spotkania zorientowałam się, że potrzeba jej głównie dobrej przyjaciółki od serca, chętnej na babskie pogaduszki i ponarzekać na wszystkich chłopów świata, którzy postanowili uprzykrzyć byt doczesny swoim biednym partnerkom – żonom i kochankom. Mimo wzniosłych słów, które padały z jej ust – o braku samorealizacji, niedocenieniu przez małżonka, uczuciowej pustce – pustkę, niestety, dostrzegałam w niej samej. Jej problem polegał na sprzeczności oczekiwań. Z jednej strony przez całe swoje dorosłe życie dążyła do małżeństwa, stabilizacji i zabezpieczenia finansowego, z drugiej, gdy już udało jej się stanąć na ślubnym kobiercu, zaczęła odczuwać wynikające z nowej sytuacji ograniczenia.

Problem stary jak świat, który prawdopodobnie nie zostanie rozwiązany nigdy.

A przynajmniej tak długo, jak długo będzie istniała ludzkość.

„Godzina zwierzeń” dobiegła końca. Chwilowo dobrze nastrojona do świata pani Małgosia sięgnęła do portmonetki po stówkę.

– A może, pani Alinko, umówimy się kiedyś na kawę? – zaproponowała.

Odmówić. Kodeks etyczny zabraniał mi na szczęście kontaktów z pacjentami. Kawa z panią Małgorzatą? Nie, ta kobieta nie nadawała się na moją koleżankę.

– Rozumiem – odpowiedziała, wyraźnie zawiedziona. – To kiedy następne spotkanie?

– W przyszłym tygodniu, o tej samej porze. Jeżeli to pani odpowiada.

Pożegnałyśmy się serdecznie.

Włączyłam telefon, który w czasie terapii miał wolne. Sygnalizował przyjęcie dwóch połączeń: jednego od taty, drugiego od Miłosa.

Coś się musiało stać!

Adrenalina podskoczyła ponad normę.

Tato, owszem, miał dzwonić, ale Miłosz, z którym nie kontaktowałam się od lat?

Zaczął od ojca. Odebrał od razu.

– Dzwoniłeś?

– To co, spotkasz się ze mną, córeczko? Najlepiej jak najszybciej. Możesz teraz?

Zdenerwowałam się nie na żarty.

– Tato, powiedzże, o co chodzi! Dzwonisz ty, dzwoni Miłosz. Przecież to nie jest normalne. Ktoś jest chory?

Po niedawnym pogrzebie wujka byłam przewrażliwiona.

– Nic nie wiem o telefonie Miłosa... – Tato zawiesił głos. – Ale ja muszę z tobą porozmawiać.

– Dobrze. Możesz do mnie przyjechać? Będę sama, nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Zastanowił się przez chwilę.

– To może kiedy indziej? Dzisiaj wolałbym w kawiarni. Wiesz, tej niedaleko ciebie,

zapomniałem, jak się nazywa. Jestem w pobliżu.

– „Ptasie Radio” – przypomniałam mu nazwę mojej ukochanej kawiarenki, do której i tak miałam ochotę się wybrać, chociaż niekoniecznie w towarzystwie taty. – Będę za dwadzieścia minut, właśnie zakończyłam sesję. Zaczekasz?

Oczywiście, zaczeka. Cieszy się, że znalazłam czas, i zamówi sobie kawę, a ja może bym zjadła lunch? Mają tu dobre tosty z serem i jajeczkiem na gorze. A do tego sałatkę.

Okej, wybiorę coś z karty, choć niekoniecznie tosta. Być może zdecyduję się na hummus, a zresztą zaraz będę, to pogadamy.

Nie uściśliłam, co to za specjał. Niech sobie tatuś pomyśli. Przynajmniej nie będzie się nudził, czekając.

Do „Ptasiego Radia” trafiłam o czternastej, gdy najlepsze miejsca były już zajęte przez stałych bywalców, pracowników okolicznych biur, młodszych i starszych mieszkańców okalających skwer kamienic. Z ulgą opadłam na fotel pod oknem, czujnie zajęty przez tatę. W powietrzu unosiła się atmosfera rodem z Tuwima, na ścianach, wśród malowanych malw, fruwały ptaki. Odnowione techniką przecierki meble kołysły oczy i duszę zgaszoną zielenią i przybrudzoną bielą. Jeżeli dołożyć do tego powyciągane ze strychów fantazyjne lampki, serwetki z ptasimi aplikacjami, kolorową tapicerkę mebli, chciało się usiąść i pozostać w tym wnętrzu na zawsze.

– Cześć, tatuś. Co się dzieje? – przywitałam się, przerzucając szal przez oparcie fotela.

– Najpierw zamówienie.

W kwestii fundowania jak zawsze pozostawał nieugięty.

– W takim razie wezmę hummus – zdecydowałam.

– Dziecko, czy to nie jest czasem jakiś nawóz? – zaniepokoił się.

Postukałam palcem w menu, przyzwyczajona do ludzkich reakcji na moje wybory w lokalach.

– Widzisz? Hummus to pasta z ciecierzycy i tahini.

– Wiem już zatem prawie wszystko. A to tahini to co?

Chyba nic wielkiego się nie stało... Skoro ma dobry humor?

– Pasta sezamowa. Zamów i spróbuj. Z pitą.

– Alina! – Teatralnie podniósł głos. – Nie dość, że ten, jak mu tam, to jeszcze jakaś...

– Pita, tatuś. Pita. Nie przejmuj się. Ja zamówię, ty zapłacisz.

– Tak będzie najlepiej – odetchnął.

Ciekawe, kiedy ten dobry nastrój się skończy. Chyba ojciec nie umówił się ze mną w celach wyłącznie gastronomicznych?

– Zaczniźże wreszcie! – ponagliłam go, gdy mimo upływu połowy godziny nadal rozprawialiśmy o pogodzie, urlopach wszystkich znajomych, lecie, kwiatach w ogrodach, aż w końcu zesłiśmy na politykę.

Zebrał się w sobie.

– Alinko, trudno mi o tym mówić...

Nie przerywałam. Musi się przełamać. Moja mina wyrażała niemą zachętę. Byłam w tym dobra.

– Jestem zmuszony rozstać się z twoją matką.

Ciężar gatunkowy wypowiedzianego zdania był tak ogromny, że omal nie zadławiłam się resztką pity. Wybałuszyłam oczy.

– Nie mówisz poważnie?! – W ostatniej chwili stłumiłam okrzyk.

– Niestety, córeczko.

– Masz kogoś?

Pytanie ledwie przeszło mi przez gardło. W końcu siedziałam naprzeciwko własnego ojca.

Roześmiał się, a ja poczułam ulgę.

– Nieee! Broń Boże! Marzę wyłącznie o tym, by nie mieć nikogo, jeżeli rozumiesz, co mam na myśli. A zapewne rozumiesz... – mówił do siebie, a do mnie niejako przy okazji. – ...bo znasz swoją matkę. Krystyna jest dobrą kobietą...

I dlatego zamierzasz ją porzucić, tatusiu? Logiczne.

– ...ale na swój sposób. Nie zawsze się z nią zgadzałem, ale zawsze trzymaliśmy wspólny front. Gdy jednak wyszła ta sprawa z tobą, Miłozem i Aldoną... Koszmar! Cała ta sytuacja przekonała mnie, że ślub mojej starszej córki to chocholi taniec na twoim weselu. Nie dyskutowałem, Aldona była w ciąży. Ale zapłaciłaś za to zarówno ty, Alinko, jak i ja.

Palila mnie ciekawość, jakąż to walutą płacił mój rodzic? Czekałam na martyrologiczne wyznania, zastanawiając się, w którym momencie zacznę mu współczuć.

– Nigdy nie pogodziłem się, Alinko, z twoją krzywdą i tym, co ci zrobiliśmy – ciągnął. – Pokochałem Tosię, to prawda. Ale ty wymknęłaś mi się z rąk. Zresztą nastąpiło to dużo wcześniej... – zamyślił się. – Matka była zapatrzona w Aldonę, a ja, jak jakiś głupi, słuchałem jej bezkrytycznie. Chcę, żebyś wiedziała, że żałuję. I między innymi dlatego muszę na jakiś czas rozstać się z Krystyną. Pragnę pożyć sam, by podejmować własne decyzje, bez nacisków. A nie wiem, czy twoja matka potrafi pozbyć się maniery zarządzania ludźmi...

– Gdzie będziesz mieszkać, tato? – zadałam proste pytanie.

Nie miałam ochoty wnikać w naturę stosunków małżeńskich.

– Jeśli mogłabyś przytulić mnie u siebie przez kilka dni...

Moja mina mówiła widocznie sama za siebie.

– Potem sobie coś znajdę – zreflektował się.

– Dobrze, tato. Jeżeli nie przeszkadza ci spanie na kanapie. A teraz zamów mi lampkę wina.

LIPIEC 2011

Bóle dokuczały mi coraz bardziej.

Leżałam spokojnie, starając się głęboko oddychać, by zażegnać napierające na dół brzucha fale niepokoju.

Zrelaksuj się!, nakazywałam sobie w myślach. Nie ruszaj się! Zaraz przejdzie.

Próbowałam się uspokoić, wyobrażając sobie łąkę pełną kwiatów, ludzi zbierających muszelki na brzegu morza, oświetlony promieniami słońca szczyt Giewontu, obrazy impresjonistów w paryskim muzeum d'Orsay, leniwy nurt rzeki w Zastawnie...

Niestety, mimo starań skurcze nie zamierzały odpuścić. Bałam się drgnąć, żeby nie dopuścić do eskalacji bólu, który zwiastował zbliżające się nieszczęście. Po godzinie zdałam sobie sprawę, że bez pomocy lekarza nie dam rady.

– Wujku... Wstań, proszę, źle się czuję.

– Tak? – Ocknął się.

Patrzył nieobecny wzrokiem, niepewny miejsca i czasu.

Może wydawało mu się, że wołam go do łóżka cioci?

Po chwili, przypominając sobie, że jesteśmy sami, a jego Anielcia mieszka w lepszym ze światów, posmutniał. Spojrzał pytająco.

– Wujku, mam skurcze. Chyba muszę jechać do szpitala – powiedziałam cicho, usiłując opanować przerażenie.

Odrzucił kołdrę, gotów do natychmiastowej pomocy.

– Zaraz zadzwonię po karetkę... Albo nie, sam cię zawiozę – zmienił zdanie. – A może jednak wezwę pomoc? – Miotał się po pokoju.

– Spokojnie – uspokajałam, zgięta przez kolejny atak bólu.

Wobec jego paniki moje zabiegi, żeby ochłonąć i doprowadzić się do jako takiej równowagi, wzięły w łeb. Przysiadłam na tapczanie.

– Dzwon do doktora Kulczyckiego – poprosiłam. – I powiedz mu, że mam skurcze co sześć minut. – Wzięłam własne sprawy we własne ręce.

– Już to robię! – Wujek biegał z kąta w kąt, szukając komórki. – Ale ja nie mam do niego numeru! – wykrzyknął.

– Podaj mi telefon, proszę.

Szczęśliwie dodzwoniłam się od razu, a Kulczycki natychmiast wezwał mnie na swój dyżur.

– Mam nocną zmianę – oświadczył.

Gdy wuj Stach opanował się nieco i spakował torbę zgodnie z moimi instrukcjami, mogłam się wreszcie skupić na odliczaniu kilometrów dzielących nas od szpitala.

Atak paniki nastąpił dopiero na miejscu. Gdy skupiłam się na sobie i Haneczce.

– Są skurcze, ale postaramy się je opanować – uspokajał doktor Kulczycki. Siedział przy moim łóżku, delikatnie poklepując moją dłoń. – Dziecko trochę nam się rozigrało, ale mam nadzieję, że wszystko wróci do normy. Proszę spokojnie poleżeć pod kroplówką, spróbować zasnąć. Wyciszmy akcję porodową.

Zdenerwowałam się nie na żarty.

– Jak to, ja rodzę?!

– Proszę się nie niepokoić i stosować do moich zaleceń. Odwiedzę panią za godzinę.

Zostałam sama, wysiłkiem umysłu i ciała próbując wyciszyć emocje i doprowadzić

do uspienia atakujące skurcze. „Dziecko już słyszy, ale tylko bijące serce matki i pracę jej układu pokarmowego”, przypomniałam sobie przeczytany w Internecie opis drugiego trymestru ciąży. „Wyraźnie reaguje na światło, dźwięki, dotyk i ruch. Śpi przez szesnaście do dwudziestu godzin na dobę. Jego sen nie zawsze pokrywa się z porą odpoczynku matki. Może się zdarzyć, że najbardziej aktywne będzie w nocy. Dzięki powstałym kilka tygodni temu kubkom smakowym dziecko potrafi rozróżnić smak wód owocowych. Uszy, przylegające wcześniej do główki, teraz odstają. Dziewczynki mają wykształcone narządy płciowe: jajowody, pochwę, macicę, u chłopców powiększają się zewnętrzne narządy płciowe. Dziecko ma około piętnastu centymetrów i waży niespełna dwieście gramów. Jego mózg posiada taką samą liczbę komórek nerwowych jak mózg dorosłego człowieka...”

Nie daj się, mała panienko!, szeptałam bezgłośnie, uświadomiwszy sobie, że noszę w sobie już nie fasolkę, nie kilka czarno-białych kresek składających się na obraz USG, lecz miniaturę samej siebie.

Skurcze wyciszyły się nieco, a ja zapadłam w kojący sen, zacierający koszmarnie przeżycia ostatnich trzech godzin. Do łóżka podchodziły kolejne pielęgniarki, przekładając mnie z boku na bok, by wbić w mięsień w tylnej części ciała kolejny zastrzyk. Liczba ukłucь wydawała się nieco zaskakująca, ale przytłumiona środkami farmakologicznymi zdolność odczuwania, reagowania na bodźce była bliska zeru. Mówiąc kolokwialnie, miałam wszystko gdzieś. Kolejny zastrzyk? Proszę. Obrócić się na drugi bok? Dlaczego nie? Poprawić wenflon, ponieważ stary ledwo się trzyma? Jasne!

Poddawałam się władzy ludzi w białych fartuchach, którzy nagle pojawili się przy mnie i z zaskakującą szybkością wirowali wokół mojego łóżka. Byłam śpiąca, więc zasnęłam.

Morfeusz musiał tulić mnie długo i mocno, bo ktoś starał się mnie dobudzić z wielką determinacją.

– Słyszysz mnie pani? Czy pani mnie słyszy? – Głos docierał i oddalał się natychmiast. Nie odbierałam sygnałów.

– Odpływa! – Głos wydawał się przestraszony. – Nie reaguje!

Słyszałam wszystko, postanowiłam więc unieść powieki. O co tu chodzi? Co się wokół mnie dzieje?

– Mamy ją! Budzi się!

Ubrani na biało ludzie najwyraźniej czekali na ciąg dalszy.

Dlaczego właściwie nie dają mi spać?, pomyślałam leniwie, gapiąc się na rozmazane twarze.

Przed ponownym niebytem powstrzymała mój organizm adrenalina.

Siłą woli opanowałam niemoc i poszukałam wśród widowni doktora Kulczyckiego.

Tylko on mógł mi odpowiedzieć na najważniejsze pytanie. Wyobraźnia podpowiadała najgorsze, ale nadzieja wciąż trwała na posterunku.

– Panie doktorze... – Błagałam spojrzeniem o dobre wiadomości. – Wszystko w porządku?

Kiedy polecił wyjść z sali pozostałym, domyśliłam się, że nie jestem już w ciąży.

Był delikatny, rzeczowy, ja ponoć dobrze rokowałam na przyszłość. Wy tłumaczył, że nie udało się zatrzymać akcji porodowej. Straciłam przytomność, trzeba było zrobić cesarskie cięcie, ale operacja skończyła się pomyślnie, choć tylko dla mnie. Dziecko w tym wieku nie ma szans na przeżycie. Jestem młoda, organizm szybko się zregeneruje. Nic nie stoi na przeszkodzie, abym miała kolejne dzieci.

– Czego pani życzy – dodał.

Zalecił, by pacjentka, czyli ja, dużo teraz spała i wypoczywała pod opieką bliskich.

– Kogo mam zawiadomić? Męża? Rodziców? Kogoś innego?

Nie odpowiedziałam, ponieważ myśli nie chciały przekształcić się w słowa.

Kolejne godziny wydawały mi się niewarte przeżycia, nie mówiąc o dniach i miesiącach. Remek nigdy nie dowie się, że miał zostać ojcem, i nigdy już nie pozna prawdy o zmarłej córeczce.

A co by było, gdybym przed dwoma miesiącami podjęła inną decyzję? Co by się stało, gdybym mimo wszystko poinformowała Remigiusza o ciąży? Może wówczas Haneczka by żyła? Może los pokarał mnie za pychę i kreowanie przyszłości bez wiedzy i woli wszystkich zainteresowanych? Może... Gdyby...

– Proszę nikogo nie zawiadamiać, panie doktorze – oznajmiłam mu swoją decyzję po długim milczeniu. Nie popędział mnie, uszanował mój ból. – Gdy poczuję się lepiej, zadzwonię sama. Dziękuję. Aha, a co z moją córeczką? – zapytałam szeptem.

– Może pani odebrać ciało – odpowiedział. – I pochować dziecko. Ale najważniejsze, żeby pani doszła do siebie – dodał, wstając z krzesła. – Proszę mnie wzywać zawsze, kiedy będę pani potrzebny.

Zostałam sama.

Przeszukiwałam listę kontaktów w komórce, ale nie mogłam zdecydować, na którym się zatrzymać. Mama, tata, Aldona, Remek – nie wchodzili w rachubę. Monika odbywała podróż przedślubną do Wenecji. Wujek Stach?

Dopadł mnie nagły niepokój. Zadzwoiłam po pielęgniarkę.

– Siostrze, czy nie ma gdzieś w pobliżu starszego pana, który mnie przywiózł? – zapytałam pełna najgorszych przeczuc.

– Zobacz go pani niebawem. Zemdłał, biedaczysko, ale sytuacja jest już opanowana. Właśnie mierzymy mu ciśnienie. Dostał środki uspokajające.

Nie musiałam długo czekać. Wujek Stach delikatnie uchylił drzwi do mojej izolatki. Gdy zobaczył, że nie śpię, podszedł i pogładził mnie po dłoni.

– Cicho, Aliś. Cichutko...

– Wujku, to się nie wydarzyło, prawda? – Rozpaczliwie szukałam nadziei. Po moich policzkach płynęły łzy. – Jestem nieszczęśliwa! – zanosilałam się od płaczu.

– Alinko... – płakał razem ze mną, nie wypuszczając mojej ręki. – Jutro będzie lepiej – pocieszał.

– Obiecujesz? – Oczekiwałam pewności.

Nie odpowiedział. Odsunął przyszłość na później.

– Śpij, dziecko. Będę przy tobie. Tylko śpij i odpoczywaj. Musisz być zdrowa. Pozostałaś mi przecież tylko ty... – Zastanowił się przez chwilę. – I Tomasz.

Odplynęłam, zanim wyszedł.

21 CZERWCA 2013

Tato, mój nowy lokator, cieszył się ze swojej nowej kwatery jak dziecko. Bardzo się starał, by sprawiać jak najmniej kłopotu, a nawet być przydatnym we wspólnym gospodarstwie. W pierwszej kolejności pedantycznie poukładał ubrania na półce w szafie, którą mu wskazałam, zajął również część niewielkiej półeczki w łazience. Ustawił buty w kącie przedpokoju. Po kolacji zabierał się do zmywania, rano biegał po świeże pieczywo i nabiał.

– Jak tu ładnie! – chwalił, krążąc po niewielkiej przestrzeni i zwiedzając każdy kąt. – Tak dawno u ciebie nie byłem, że zdążyłem zapomnieć o twoim talencie do urządzania wnętrz.

– Nie przesadzaj.

Czułam się niezręcznie, chodząc w glorii jego komplementów i pochlebstw, ale rzeczywiście próbowałam sobie przypomnieć, kiedy odwiedził moje bocianie gniazdo po raz ostatni. Musiało to być ładnych kilka miesięcy temu.

Mimo że stosunki z rodzicami po ślubie Aldony uległy radykalnemu ochłodzeniu, a z mamą i siostrą nawet zamrożeniu, tacie zdarzało się czasem zbaczać z utartych ścieżek i zbłądzić w stronę stryżku młodszej córki. Choć i wówczas głównie, aby namawiać mnie na pogodzenie się z rodzicielką.

Pozostawało mieć nadzieję, że tym razem będzie inaczej. Tato nie zastosował chyba wybiegu z małżeńskim rozstaniem, aby sugerować przygięcie karku albo ponownie wałkować kwestie spadku po wuju. W tej sprawie będę nieugięta, postanowiłam. Aldona nie wykazała w wiadomej sprawie choćby cienia skruchy, nie usłyszałam nawet zwykłego „przepraszam, ale...”. Jej hardość i pewność siebie zdumiewały, nie ulegając osłabieniu w miarę upływu lat. Nie widziałam powodu, żeby dzielić się z nią spadkiem. Wystarczyło, że podzieliłam się Miłozsem.

– Mówię poważnie – dotarły do mnie słowa taty. – I bardzo ci dziękuję za przechowanie. Od poniedziałku zabiorę się do poszukiwania czegoś do wynajęcia. A może słyszałaś o jakiejś okazji?

Byłam przerażona własnym brakiem zaufania do ojca. Naprawdę pragnęłam mu pomóc, uwierzyć w historię nagłego pogorszenia stosunków z mamą i potrzebę opuszczenia domu, ale nie potrafiłam. Jakież to niecny plan uknuła moja rodzinka, żeby mnie ogołocić z... Właśnie, z czego? Może chodzi im o Zastawno? W najgorszych przeczuciach dostrzegłam Aldonę z Miłozsem i Tosią w dworku. Przysłowiowy koń trojański miał w moich wyobrażeniach twarz taty, wysłanego, żeby zbadał teren, a może nawet się rozlokował. Skoro kradzież narzeczonego przebiegła w atmosferze ogólnego przyzwolenia i braku skrupułów, dlaczego nie spróbować z domem? W końcu Alina, ta samotna Alina, która nie potrafi sobie ułożyć życia, kiedyś się z tym pogodzi, ulegnie. Zrozumie, że dom jest bardziej potrzebny rodzinie niż samotnej kobiecie i równie samotnemu Tomaszowi. Który, nawiasem mówiąc, ma eleganckie mieszkanie we Wrocławiu.

– Nie słyszałam o niczym podobnym, tato – odparłam. – Ale damy ogłoszenie. Coś się znajdzie.

Przyglądał mi się długo i przenikliwie, zastanawiał nad sformułowaniem kolejnego zdania. Z nadzieją czekałam, że wyzna prawdziwy powód swojej obecności na stryżku.

Zaczął mówić przy drugiej kawie.

– Bo wiesz, Alinko, nie powiedziałem ci wszystkiego...

Olaboga! Co jeszcze?

– Tak naprawdę sytuacja w domu stała się nie do wytrzymania.

Zamieniłam się w słuch.

– Jaka jest matka, wiesz, Aldona zaś to jabłko, które spadło niedaleko jabłoni. Obie razem są jak huragan Katrina albo i jeszcze coś gorszego. Musiałem to znosić od ślubu twojej siostry, bo najpierw ta jej nieudana ciąża, potem urodziła się Tosia. Potem przez jakiś czas było dobrze. Do chwili kiedy Aldonie przestało układać się z Miłozem. To znaczy kiedy on przestał robić wszystko pod jej dyktando.

Patrzcie państwo, Miłoz się zbiesił! Dziwnym trafem nie potrafiłam współczuć siostrzyczce. Patrzyłam na tatę bez drgnienia powiek, oczekując dalszego ciągu. Przyznam, że z odrobiną satysfakcji.

– Nie będę się rozwodził, Alinko, i powiem wprost. Miłoz zbiera manatki. Chce się wyprowadzić. A matka z Aldoną szaleją i próbują wciągnąć mnie w swoje gierki.

„Porozmawiaj z nim, nie rozmawiaj z nim, powiedz coś Alinie, może ona z nim porozmawia, przecież jest psychologiem, a właściwie to niech on sobie idzie, pewnie ma jakąś babę, ty sobie też możesz iść, skoro bierzesz jego stronę”, podpowiedziała mi wyobraźnia.

– Słowem: obłąd. A jeszcze... – kontynuował. – Klóć się, bo nie mają mieszkania, a na naszym drugim piętrze im niewygodnie. Powinni kupić sobie większe, tylko nie mają pieniędzy. Nic by się nie stało, gdyby Alina pomyślała o chrześnicy i podzieliła się z siostrą spadkiem. Ty powinienes ją namówić, ponieważ ona z nami się nie liczy – relacjonował domowy jazgot na jednym oddechu.

A więc jednak. Koń trojański.

– Tato, przestań! – przerwałam. – Przykro mi, że podjąłeś się tej misji. Od razu ci powiem, że będzie to misja nieudana.

– Jakiej znów misji, córciu? – zdumiał się szczerze. – Powiedziałem im, że się wyprowadzam. A dopóki się nie uspokoją, moja noga nie postanie we własnym domu!

Wyrzuciwszy z siebie emocje, opadł ciężko na oparcie kanapy.

– Nie skarzę się, Alinko, ale ostatnio trochę szwankuje mi serce i nadmiar wrażeń nie jest wskazany. Nie wiem, co będzie dalej – ciągnął cicho, zapatrzony w pustą filiżankę po kawie. – Ale wierz mi, tak się nie da żyć. Jeszcze raz przepraszam cię za wszystko.

Usiadłam obok niego i niezgrabnie objęłam ramieniem. Nie poruszył się. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

– Wierzę ci, tatuś – przerwałam ciszę. – Podpisałeś przecież co trzeba u notariusza, wykazałeś dobrą wolę, więc chcę ci wierzyć. Pomogę ci znaleźć jakiś ką, uspokoisz się trochę. Życie samo przyniesie rozwiązanie. Powiedz mi jeszcze tylko, jak się ma Tosia? Nie widziałam jej od pogrzebu wujka.

– Chyba w porządku. Pyta o ciebie. Ostatnio chorowała na oskrzela, Aldona siedziała z nią w domu przez trzy tygodnie. Cóż, ciągle kłótnie rodziców nigdy nie wpływają dobrze na dziecko. Mam tego wszystkiego dość.

Ja również chwilowo miałam powyżej kokardy rewelacji z rodzinnego domu. Na szczęście tato zaczął zbierać się do firmy, a ja postanowiłam pozałatwiać kilka spraw. Skoczyć do galerii, pooddychać miastem, oderwać się od problemów. Należało mi się wytchnienie.

Żegnając się z tatą, poinformowałam go o późniejszym powrocie.

– Może wpadnę do Moniki. Weź drugi klucz i nie czekaj na mnie. I nie martw się. Na wszystko można znaleźć lekarstwo.

Pocałowałam go na do widzenia. Odniosłam wrażenie, że rozmowa uspokoiła go nieco.

Odczuwałam gwałtowną potrzebę znalezienia się na dworze, zaczerpnięcia świeżego powietrza, które po przelotnym deszczu zawierało sporą dawkę ozonu. Wsunęłam na nogi baleriny i zbiegłam szybko po schodach. Na dole zaciągnęłam się zapachem mokrej ulicy.

Za rogiem otworzyło się już „Ptasie Radio”. Mój stolik przy oknie był wolny. Usiadłam tak, aby móc obserwować uliczny ruch.

- Poproszę o kawę i gazetę – zamówiłam stosownie do pory dnia komplet używek.
- Już podaję, pani Alinko.

I to była dobra odpowiedź. Sympatyczny głos Alka, kelnera, przewidywalny dźwięk, równie miły jak głos śpiewającej Sade, wpływał kojąco na skołataną emocje. W piątkowe przedpołudnie – w sam raz.

Byłam w swoim prywatnym rajku. A piankę na kawie zdobiło czekoladowe serduszko.

- Czy mógłbym zaproponować coś jeszcze?

Sezon ogórkowy dawał się we znaki dziennikarzom i czytelnikom. Ci pierwsi nie mieli o czym pisać, drudzy – czego czytać.

Podniosłam głowę znad gazety, z ulgą przerywając studiowanie cen owoców na wrocławskich targach i relacje z pobliskich kąpielisk. Zgodnie z naszą narodową skłonnością do ciągłego narzekania i krytykanctwa redaktorzy oraz ich rozmówcy utyskiwali na zmienną pogodę, mieli za złe, że słońce za mocno grzeje albo że za dużo deszczu. Przewidywali kiepskie zbiory, żalili się na wszechogarniającą drożyznę i brak perspektyw na pozytywne zmiany w domu i zagrodzie. Gdybym zechciała przyjrzeć się sobie, pewnie również zauważyłabym, że nie odbiegam od stereotypu Polaka marudy. Ale naturalnie ja to oddzielny temat. Ja mam powody do ciągłego dołowania się i narzekań. Życie mnie nie oszczędza, nieustannie ktoś mnie krzywdzi, poniża, próbuje wbić w kompleksy. Traciłam narzeczonych, dziecko, ciocię, wujka, nie miałam w nikim oparcia (o Monice się nie mówi). Nikt mnie nie kocha.

Kotłujące się w mojej głowie bzdury sprawiły, że roześmiałam się zniecka. Za oknem pojawiło się słońce, mokre chodniki wydychały parującą mgiełkę. Miasto łapało oddech.

- Zaproponować? – powtórzyłam. – Sama nie wiem. – Zeszłam na ziemię, krainę nonsensu pozostawiając za sobą. – Może i tak. Jeszcze jedną kawę?
- Smakowała? – zagadnął, zamiast dyskretnie wynieść się do kuchni.
- Była perfekcyjna – pochwaliłam. – Gdzie się pan nauczył malować serduszka na spienionej śmietanie? Bardzo ładne i pogodne.

Kurtuazyjna rozmowa zeszła na Paryż, praktykę w dużej włoskiej restauracji „Dolce Vita” i nabyte tam umiejętności. Zainteresowana barwną relacją, przywołującą miasto moich snów, przeżyć i w dalszym ciągu marzeń, wskazałam Alkowi miejsce przy stoliku. Skorzystał. A ja milczałam, bojąc się spłoszyć nastrój, jego fascynację Paryżem, który najwyraźniej kochał i dopieszczał teraz każdym słowem.

- Ależ się rozgadałem! – przerwał nagle, przypominając sobie o zamówieniu.
- Nie, skąd! – zaprzeczyłam gwałtownie, żalując przerwane wątki i wspomnień. – Ja również bardzo lubię Paryż, a nawet bardziej niż bardzo. Alina. – Spontanicznie wyciągnęłam dłoń ponad blatem. – Możemy sobie mówić po imieniu?
- Olgierd – przedstawił się pełnym imieniem, wstając z krzesła. – Bardzo mi miło.

Zniknął w kuchni, pozostawiając mnie przy stoliku z klimatem, zapachem i smakiem Paryża. Wprawdzie mój Paryż był nierozzerwalnie związany z Szymonem, ale nawet wspomnienie byłego faceta nie mogło zaburzyć sentymentów i uczucia do miasta, które rozkochało w sobie każdego gościa w kilka minut i nie pozwalało mu przestać o sobie myśleć, dopóki ten przyjedzie po raz kolejny. Byłam tego najlepszym przykładem.

Alek postawił przede mną filiżankę z dwoma ząbującymi się serduszkami.

– To dla ciebie. Na koszt zakładu.

Spojrzałam pytająco.

– Naprawdę. Wypij za Paryż. Mamy naprawdę dobrą kawę – dodał konspiracyjnym szeptem. – Do zobaczenia.

Powróciłam do lektury gazety i do ogórkowego artykułu, ale nie potrafiłam się skupić. A przecież chłopak po prostu pożegnał się do następnego razu. I tyle.

– Czy mogę prosić o rachunek? – zaczęłam krzątającą się wokół stołów kelnerkę. – Nie widzę pana Alka...

– Już niosę. Alek ma dzisiaj egzamin – powiedziała szeptem, jak gdyby zdradzała wielką tajemnicę. – Siedem pięćdziesiąt. – Położyła rachunek na stole.

Nie ośmieliłam się zapytać o szczegóły. A zresztą co mnie to obchodziło?

Wyszłam na ulicę. W twarz uderzyła mnie fala gorącego powietrza, więc postanowiłam na kilka godzin ukryć się w przepastnych przestrzeniach centrum handlowego. Do terapii z udziałem Kolskiego mam mnóstwo czasu, stwierdziłam i nagle pożałowałam, że umówiłam się z nim dopiero na dziewiętnastą. Cóż, nasz klient, nasz pan. Zapewne ten mój obrabia teraz bardzo ważną zawodową działkę i jest bardzo zajęty. A gdyby tak zadzwonić i przesunąć wizytę?, kombinowałam jak koń pod górę. Im wcześniej zacznę, tym więcej pozostanie mi czasu, by wpaść do Moniki i sprawdzić, czy jeszcze się z Radkiem nie pozabijali.

Wykręciłam numer.

– Alina Dobrowolska – przedstawiłam się, gdy usłyszałam znajomy głos. Mogłam przejść do ofensywy. – Czy moglibyśmy spotkać się nieco wcześniej? Znajdzie pan czas?

Nie byłam przygotowana na prostą odpowiedź twierdzącą. Spodziewałam się raczej odmowy, dąsów, objawów niezadowolenia. A tymczasem...

– Bardzo chętnie.

– Doskonale! – wykrzyknęłam zaskoczona. – O której godzinie może się pan pojawić?

Zerknęłam na zegarek. Była trzecia po południu.

– Prawdę mówiąc, będę miał z tym problemy... – Nie rozumiałam. – Zwicznęłam nogę w kostce. Planowałam doczłapać jakoś do gabinetu, ale w takich okolicznościach, kiedy prosi mnie pani o przysługę... – Co za kpiarski ton! – Również pozwolę sobie mieć prośbę.

– Tak?

Co też on może mieć na myśli?

– Czy moglibyśmy odbyć sesję w moim mieszkaniu? Bardzo proszę. Ze względu na moje inwalidztwo – dokończył z udawanym smutkiem w głosie.

Intensywnie myślałam nad odpowiedzią. Czy wysiłek wart jest stówy? Czy chce mi się do niego jechać? I czy w ogóle mogę prowadzić terapię w domu pacjenta, jeśli nie jest on obłożnie chory?

– Dobrze – zgodziłam się, uznając zwicnięcie kostki za obłożną chorobę. W końcu ma kłopoty z poruszaniem się, ja zaś mogłam do niego dotrzeć.

– Cieszę się i czekam.

Podał adres.

Dojazd zajął mi prawie pół godziny. Wciąż niepewna decyzji co do domowej sesji, starałam się nie myśleć. Zagłuszałam wyrzuty sumienia i wątpliwości. Czy stawka za godzinę to odpowiednia taksa za usługi dla takiego krezusa?, przemknęło mi przez głowę, kiedy zaparkowałam przed zamkniętym osiedlem dla Naprawdę Zamożnych Ludzi. I czy jestem dla niego odpowiednią terapeutką?, powróciło jak mantra. Może jednak lepiej się wycofać?, myślałam gorączkowo, wysiadając z samochodu. Dam dyla, i tyle! Polecę Kolskiego starszemu

koledze, na przykład mojemu pryncypałowi doktorowi Kownackiemu, usunę się po angielsku, podziękuję za współpracę.

Żeby odwlec chwilę podjęcia decyzji, zapaliłam papierosa i wciągnęłam dym, tak że zawirował świat. Chwilowy zamęt w głowie powstrzymał dźwięk telefonu.

– Pani Alina? Widzę pani auto na zewnętrznym parkingu. Otwieram bramę pilotem, proszę wjechać do środka. Miejsce numer dwa, obok mojego. Dla gości. Drzwi na klatkę schodową otworzy portier.

Chyba powinnam być zachwycona. Mój pacjent jest naprawdę zamożnym facetem. Mieszka w strzeżonym i obsługiwanym przez portiera kondominium, dysponuje aż dwiema kwaterami dla samochodów... Ciekawe, jakie tajemnice skrywa jego mieszkanie?

Nie zawiodłam się. Chata zaprojektowana została wprawdzie minimalistycznie, ale ten minimalizm był bardzo gustowny i drogi. Nie jestem w stanie powiedzieć, skąd i za ile pan Piotr Kolski nabył drogą kupna (miałam nadzieję) meble godne paryskiego Centrum Pompidou i ozdobił ściany obrazami, których z pewnością nie musiał się wstydzić przed koneserami sztuki nowoczesnej. Faktem było, że efekt powalał na kolana. Weszłam do pięknego, nowoczesnego, przestronnego wnętrza, o którego funkcjonalność nie warto było pytać. Do opisanie przestrzeni zabrakło mi słów. Jasno, miękko, czysto, elegancko, stylowo i artystycznie. Uśmiechnęłam się w duchu, przypomniawszy sobie poranne peany taty nad stylizacją mojego skromnego stryszku. *Oh là, là!* Całe moje mieszkanie zmieściłoby się zapewne w tutejszej łazience, a kuchnia... Wyglądała jak plac boju dla tuzina kucharzy podejmujących zmagania w telewizyjnym show. I jak ja mam niby prowadzić w takim otoczeniu terapię.

– I jak się pani podoba w moich skromnych progach? – zapytał po zaprezentowaniu całości. – Nie ukrywam, że ten wystrój jest powodem do dumy. W końcu zaprojektowałem to wszystko samodzielnie.

– Bardzo pięknie. Nigdy dotąd nie miałam okazji oglądać wnętrza o tak dopieszczonych szczegółach. Ale panie Piotrze... – Postanowiłam wprowadzić moje przemyślenia w czyn, zanim jeszcze zasiądziemy w przepastnych fotelach skupionych wokół szklanego stołu. – Nie wydaje mi się, żeby udało nam się skutecznie przeprowadzić sesję w takich warunkach. Przepraszam, wydawało mi się, że będę mogła rozmawiać swobodnie w domu pacjenta, ale się myliłam. Widocznie brakuje mi praktyki. Pójdę już. Oczekuję pana w moich skromnych progach. O ile wciąż pan pragnie rozwiązania problemu.

– Pani Alu. – Kolski przytrzymał moją rękę na klamce drzwi wejściowych. – Czy w takim razie, zamiast godzinnej terapii, przyjąłaby pani zaproszenie na lampkę wina?

– Równie wytwornego i drogiego jak wszystko wokół? – Nie opanowałam złośliwości.

– Mam w lodówce bełta z Grójca. Chcesz? – błysnął dowcipem, przechodząc na ty.

– A masz piwo? – zrewanżowałam się natychmiast.

– Coś się znajdzie. Zostaniesz na trochę?

– Muszę zapytać moje autko, czy trafi samo do domu – kontynuowałam konwencję.

– Nie martw się, znajdzie się sposób i na nie.

– Skoro tak mówisz...

– Zostań. Zamówiłem dobrą zapiekankę.

– Dla kogo?

– Dla ciebie i dla mnie.

– Nie obawiałeś się odmowy? – wkurzyłam się.

A Kolski autentycznie się przeraził.

– Nie, skąd! Zaledwie miałem nadzieję. Ala, proszę cię! Tylko o godzinę, dwie. Zjemy, napijemy się czegoś, pogadamy. Obiecuję: zero problemów psychologicznych. Dzisiaj podejmuję

cię jak zwykłą znajomą. Usiądziemy? – Zerknął w stronę wygodnej szarej kanapy.

LIPIEC/SIERPIEŃ 2011

Wujek zgodził się, by skremowane ciało Haneczki pochować obok cioci Anieli.

Komplikacje po cesarce przytrzymały mnie w szpitalnym łóżku przez blisko miesiąc. Opuściłam je już w sierpniu, kiedy słońce szybciej kryło się za chmurami, a poranki po świętej Ance stawały się coraz chłodniejsze. Wciąż obolała, wsparta na wujkowym ramieniu dreptałam w kierunku mercedesa, by dalszą rekonwalescencję odbyć w Zastawnie. Wizyta rodziców, zaskoczonych ciążą młodszej córki (mama, po przekroczeniu mojej izolatki: „Dlaczego nie powiedziałaś nam, że jesteś w ciąży?”), przebiegła szybko i nieprzyjemnie, w atmosferze wymówek i niezadowolenia. Po raz kolejny okazałam się niewdzięczną istotą, która przedkłada „dalszą rodzinę” nad „absolutnie najbliższą” w tak ważnej sprawie. Leżałam osłabiona na szpitalnych poduszkach, zasłuchana w maminy słowotok, i nie miałam siły przypomnieć jej, że już w ciąży nie jestem i nie chce mi się dyskutować na temat informowania kogokolwiek.

Miałam dość. Przynajmniej na dzisiaj.

– Idźcie już sobie, dobrze? – powiedziałam, gdy mama usiłowała złapać oddech. – Jestem zmęczona – dodałam na usprawiedliwienie.

Chciałam się ich pozbyć, by dłużej nie słuchać oskarżeń, słów fałszywego współczucia, podszytego zazdrością.

Podnieśli się z krzesel i zbliżyli do drzwi. Zamknęłam powieki, udając, że odpływam w sen.

– Masz pozdrowienia od Aldonki z rodziną – usłyszałam z progu.

Teraz przyjechał po mnie wujek.

– Niczym się nie martw, Alinko, wszystko załatwione. Ceremonia może odbyć się jutro, pojutrze, kiedy będziesz chciała i mogła. Zdecydujesz, czy zaprosić kogoś, czy też...

Uświadomiłam sobie, że zajęta własnymi myślami przestałam go słuchać. Kto i co załatwił? Kogo zaprosić?

– W każdym razie zakład pogrzebowy czeka na sygnał.

Matko jedyna, jak mogę być aż tak rozkojarzona!

– Oczywiście, dziękuję, wujku. Naprawdę czuję się całkiem dobrze. Za dzień, dwa wyprawimy Haneczce pogrzeb... – Łzy same napłynęły mi do oczu.

– Najważniejsze, dziecko, żebyś odzyskała zdrowie...

Droga do Zastawna upłynęła nam w milczeniu. Wujek koncentrował się na prowadzeniu auta i ruchu ulicznym, ja wpatrywałam się w migający za oknem krajobraz. Na polach piętrzyły się łany dorodnej kukurydzy, zalegały sprasowane bele zboża, z daleka przypominające porozrzucane żółte piłki, pracowały kombajny. Im bliżej było Zastawna, tym większy odczuwałam niepokój.

– Co zrobiłeś z Kanangą? – zapytałam, przerywając ciszę.

Dotarło do mnie, ile czasu wujek spędzał przy moim szpitalnym łóżku. A psisko budziło respekt, więc nie miał ochoty zajmować się nim żaden z sąsiadów.

– Pozostaje pod opieką Tomasza. Chłopak przyjeżdża codziennie, karmi go, a przy okazji zagląda do firmy. Na śmierć zapomniałem cię uprzedzić, że właśnie jest w domu. Przepraszam.

– Nie szkodzi, wujku. To ładnie z jego strony, że ci pomaga.

Nie śmiałam narzekać i stroić fochów z powodu obecności Tomasza w Zastawnie,

aczkolwiek spotykać się z nim nie miałam ochoty. Dziwnym trafem pojawiał się zawsze w chwilach moich największych życiowych porażek, kiedy byłam słaba i zdołowana. Ale nie byłam ślepa. Wujostwo od zawsze sprzyjało nam jednakowo – kochali nas, hołubili, zaganiali do stada – ale co z tego, skoro ja zawsze znajdowałam dziurę w płocie, by uciec? Gdy jeszcze żyła ciocia, próbowali nas swatać, lecz nie robili tego nachalnie, nie próbowali sztuczek poniżej pasa. Nie pozwoliłyby im na to wrodzona delikatność i kindersztuba. A jednak Tomasz nie przestawał się kręcić w pobliżu, mimo że odtrącałam go bez litości. Był świadkiem zbyt wielu moich porażek, facetem zbyt idealnym, żeby mógł być prawdziwy. By mógł zostać moim przyjacielem, chłopakiem, kochankiem, a co dopiero mężem! Ustawiłam pomiędzy nami mur, zanim zdążyłam poznać człowieka. Może byłam zazdrosna o uczucia wujostwa, może podświadomie traktowałam ewentualny związek jak kazirodztwo? Tomasz chciał porozmawiać, lecz zawsze słyszał „nie”.

– Zaraz po kolacji Tomasz rusza do siebie – dodał wujek.

Doskonale wyczuwał moje emocje.

Postawiłam go w niezręcznej sytuacji. Oto Tomasz, zajmujący się Zastawnem, podczas gdy gospodarz warował przy moim łóżku, będzie musiał wyjechać, ponieważ ja nie toleruję jego obecności.

– Tylko jeśli zechce, wujku – odparłam. – W dworcu jest wystarczająco dużo miejsca i dla mnie, i dla niego. Wcale nie musi wyjeżdżać.

Może mi się wydawało, ale chyba wujek Stach mocniej nacisnął na pedał gazu...

Tomasz przywitał nas oboje kolacją. Na mnie czekał pokój z rozłożonym łóżkiem i czystą pościelą, litr lekko gazowanej wody mineralnej (skąd wiedział?), a nawet bukietik nasturcji z lawendą na nocnym stoliku.

Dzięki takiemu przyjęciu rozmowa, wieczorna krzątanina, dobiegająca z kąta pokoju muzyka rozproszyły żal, smutek, przygnębienie, koszmar ostatnich dni. O dziwo potrafilismy cieszyć się wspaniałą rybną zapiekanką z żurawiną i czuć jej smak, moczyć usta w pucharach z portugalskim białym winem, pozwalając mu zasumieć w głowie, wspominać ciocię Anielę i jej najlepsze na świecie wołowe bitki z sosem grzybowym. Wznosiliśmy toasty za to, co minęło i co jeszcze przed nami.

– Trzeba ci jeszcze czegoś, Alinko?

Jak widać, mogłam liczyć na specjalne usługi przed samym snem.

– Pomogę ci – usłyszałam głos Tomasza i poczułam jego ręce na poduszce. – Dobrze się czujesz?

Zasnęłam spokojna, ukołysana wszechobecną miłością, beztroska, zawieszona w czasie i przestrzeni. Zanim sen wciągnął mnie w otchłań, ktoś pogłaskał mnie po włosach, zostawiając na skroni ciepły pocałunek.

Obudziłam się z jego wspomnieniem. Łatwiej mi było z nim spacerować z wujkiem nad brzegiem rzeki, słuchać fragmentów *Pana Tadeusza*, pielic grządki dali. Wiedziałam, że muszę się pozbierać i że ktoś dba o to z góry. Ten ktoś, kto pocałował mnie tamtego wieczoru na dobranoc.

Pytałam o to kto za każdym razem, kiedy chodziłam na cmentarz. Do cioci Anieli i do Haneczki.

Odpowiedzi nie było.

22 CZERWCA 2013

Niepokoilem się o ciebie, Alinko.

Tato uniósł głowę znad poduszki, chociaż starałam się otworzyć drzwi najdelikatniej, jak potrafiłam.

– Nie śpisz? – zapytałam idiotycznie, spoglądając maślanym wzrokiem, wskazującym na spożycie alkoholu.

U Piotra nie było go mało.

– Tatuś, mówię ci, jaki piękny wieczór! Przeszłam na piechotę chyba połowę Wrocławia! – emocjonowałam się ponadgodzinnym spacerem, który odbyłam wbrew woli Piotra. Za nic nie chciał mnie wypuścić z domu samej.

– Proszę, Ala, zostań – błagał, gdy uparłam się wyjść. – Prześpisz się w sypialni dla gości do rana. Nie mogę cię odwieźć z powodu tej cholernej kostki! Dzwonię po taksówkę. – Chwycił za telefon. – Co ci się stało? Dlaczego tak nagle postanowiłaś wyjść? Zrobiłem coś nie tak?

Począł do przedpokoju i zatarasował ciałem drzwi.

– Ależ skąd! – pokrzykiwałam radośnie, niezdarnie naciągając bluzkę i wsuwając stopy w baleriny. Dlaczego jestem prawie naga i bosa?, przemknęło mi przez głowę. Narzuciłam na ramiona lnianą marynarkę.

Pasowała. Znaczy nie zdjęłam z wieszaka okrycia gospodarza.

– Mam ją – zadowolona z własnej nie-wąt-pli-wej trzeźwości stałam przed lustrem w pełnym rynsztunku, gotowa do wyjścia. – Idę! – zdecydowałam. – Odsuń się od drzwi!

– Ala, na dole czeka taksówka. Skoro rzeczywiście koniecznie musisz wracać, kierowca odstawi cię pod dom. Zrobisz tak, prawda?

Zgodziłam się dla świętego spokoju. Skoro taki muszę spełnić warunek, aby poczuć zapach pięknej czerwcowej nocy, niech i tak będzie.

– Bardzo panu dziękuję – odmówiłam grzecznie taksówkarzowi. – Nie skorzystam. Mam jeszcze coś do załatwienia – powiedziałam do właściciela stojącego przy krawężniku mercedesa z napisem TAXI.

– Ale pan Kolski prosił...

– Pan Kolski prosił, a ja dziękuję – oświadczyłam raz jeszcze, starając się zachowywać nadzwyczaj kulturalnie. – Idę na spacer.

Przemierzałam puste ulice, wdychając zapach miasta nocą, wchłaniając wilgoć zbliżającego się poranka, wylapując dźwięki zaczynających pracę śmieciarek. Spoglądałam w nieliczne okna, w których paliły się światła.

Jezus Maria, miałam zadzwonić do Moniki!

„Co u ciebie, przyjaciółko?”, wysłałam nieco spóźnionego esemesa. „Chyba mnie ktoś śledzi. Słyszę za plecami jadący samochód”.

„To Piotr!”, napisałam w kolejnym, już spod drzwi mojej kamienicy. „Cały czas jechał za mną wynajęty taksówkarz. Świnia”.

Wspinaczka na piąte piętro bez windy podziałała jak łagodny prysznic, wydobywając na wierzch część moich szarych komórek, chwilowo przywalonych przez wieczorne alkoholowe trzęsienie ziemi. Przypomniałam sobie, że zakwaterowałam na kilka dni tatę, który właściwie o tej porze (czwarta godzina!) powinien spać, i cichuteńko wzięłam się do przekręcania klucza w zamku.

A wówczas on podniósł głowę znad poduszki i stwierdził, że się o mnie martwił. A ja idiotycznie zdziwiłam się, że nie śpi.

A mogło być tak przyjemnie...

Niespodziewana wizyta u Kolskiego, teraz już Piotra. Nic mnie nie obchodzi, że z pacjentem nie można się bratać, przechodzić na ty, bo nie jest to zgodne z jakimś tam kodeksem czy czymś takim, zbuntowałam się. Chwilowo mam to gdzieś, a tak właściwie to mam to gdzieś i na dalszą metę, bo Piotr nie wymaga psychoterapii. Właściwie wcale nie wiem, dlaczego do mnie przyszedł. Wcale nie potrzebuję jego stowy za godzinę! Spędziłam fajny, niespodziewanie rozrywkowy wieczór, pojadłam, popiłam, posłuchałam supermuzy z niezłym gościem... O nieba!, przypomniałam sobie, zakończyliśmy ten wieczór w łóżku! A co tam, jesteśmy dorośli. W końcu ile można się umartwiać, kłopotać, borykać, męczyć, dręczyć (może ktoś wymyśli jeszcze jakieś synonimy do dołowania się?), jeśli życie jest takie piękne!

Pod warunkiem, że we własnym domu nie czeka na człowieka tatuś z wymówkami...

– Połóż się, Alinko, na górze. Przygotowałem ci pościel.

Spojrzałam na niego z wdzięcznością. Nie było wymówek. Było łóżko.

– Tatuś, nie wiesz, gdzie jest woda gazowana? – zdobyłam się na ostatnie pytanie przed zapadnięciem w zasłużony sen.

– Postawiłem obok łóżka. Śpij dobrze.

– Okej. A u ciebie wszystko gra? – zadałam kolejne idiotyczne pytanie.

– Wyśpij się, córuś.

Życzenia taty widocznie płynęły prosto z serca, bo spełniły się co do joty. Przespałam dniówkę, a pewnie nie odmówiłabym sobie kolejnych kilku godzin, gdyby po mieszkaniu nie rozszedł się smakowity zapach żurku. Żurek jest na zakwasie z mąki żytniej, biały barszcz z pszennej, powtórzyłam w głowie lekcję cioci Anieli, wykładaną zawsze, ilekroć pytałam ją o tę różnicę.

– Ala! – niecierpliwiła się, kiedy pytanie padało po raz kolejny. – Siadaj i słuchaj! – Usadzała mnie na taborecie naprzeciwko. – Żurek i żytnia, biała barszcz i pszena. Zapamiętasz? Ż-ż i b-p.

Uśmiechnęłam się w duchu do wspomnień. Tato ugotował żurek. Zapach ńcił. Jedyna zupa, którą potrafił ugotować. Ale za to jak!

– Cześć! – krzyknęłam z antresoli. – Która godzina?

Mimo wszystko jakoś dziwnie – zupa na śniadanie...

– Pierwsza z kawałkiem. Jak się czujesz?

A jak się miałam czuć po tak udanym wieczorze? Na wszelki wypadek uniosłam głowę nad poduszkę, by sprawdzić, czy aby nie pojawi się pulsowanie połączone z uściskiem kleszczy. Nic takiego się nie wydarzyło, mimo kilkakrotnego potrząsania. Wstałam, starając się nie uderzyć głową w sufit, i ostrożnie zeszałam na dół po schodkach. Byłam bezpieczna i bardzo głodna. Na lekko chwiejnych nogach powędrowałam do łazienki, kiwając dłonią tacie krzątającemu się w okolicy kuchenki.

– Będziesz jadła? – zapytał, spodziewając się raczej, że wyrażę zapotrzebowania na alka-prim.

Odpowiedziałam, starannie artykułując każdą głoskę:

– Oczywiście. Zrobiłeś z jajeczkiem?

– I ze śląską z cebulką. Przysmażoną na smalcu ze skwarkami – dopowiedział

resztę przepisu. – Wykąp się, a ja zejdę do sklepu po chleb. Może jednak zajrzeć do apteki?

Odmówiłam stanowczo. Miałam powoli dość zajmowania się moim potencjalnym kaczem, który w tym momencie nie stanowił większego problemu. Wyparł go moralniak.

Spałam z nim, o matko! Ja z nim spałam!, grzebałam w zakamarkach pamięci, starając się odtworzyć przebieg wypadków. Kojarzyłam, że Piotr był czuły i delikatny. Podobał mi się, ja chyba jemu też...

Odmówiłam mu psychoterapii. To było pewne. Nie zostałam u niego – to drugi fakt. Ktoś śledził mnie do samego domu. Taksówkarz!, przypomniałam sobie.

Otworzył się kolejny kanalik pamięci.

Jadłam jakąś zapiekankę, piłam wino... O tym ostatnim raczej wolałabym zapomnieć. Piotr pokazywał mi mieszkanie, było bardzo gustowne i podobało mi się; oczami wyobraźni widziałam obrazy, Piotra i mnie samej było jakby mniej. Zjedliśmy, on włączył muzykę. Nie, muzykę włączył wcześniej, zanim zasiedliśmy do zapiekanki. Leciały *Cztery pory roku* Vivaldiego. Zaraz, zaraz, on chyba czytał wiersze... Czy to możliwe? Czy teraz ktokolwiek jeszcze czyta kobiecie poezję?

Piotr miał stare wydanie wierszy Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego z połowy lat pięćdziesiątych, które i ja kilka lat temu kupiłam w antykwariacie. Czytał jeden z moich ulubionych kawałków, *O mej poezji*. Znałam go na pamięć.

*Moja poezja to są proste dziwy,
to kraj, gdzie w lecie
stary kot usnął pod lufcikiem krzywym
na parapecie.*

Nie tak źle, skoro udaje mi się odtworzyć całą ostatnią zwrotkę, pomyślałam.

Gdybym jeszcze przypomniała sobie wiersz Asnyka *Między nami nic nie było*, którego tytuł nabrał dla mnie w obecnej sytuacji nowego znaczenia, byłabym usatysfakcjonowana. Czy ja przypadkiem nie naobiecowałam czegoś Piotrowi? A może umówiliśmy się na kolejne spotkanie?

Zanim tato wrócił ze sklepu, wyskoczyłam spod prysznicza i złapałam za komórkę. Jak przewidywałam, sygnalizowała kilka nieodczytanych wiadomości. Przejrzałam listę nadawców i w pierwszej kolejności otworzyłam list od Piotra.

„Wiem, że dotarłaś do domu. Życzę Ci miłej soboty, a sobie równie miłej niedzieli z Tobą. Dziękuję za cudowny wieczór i jeśli mogę być choć trochę nieskromny, wyrażę radość, że udało Ci się w moim towarzystwie rozluźnić i odpocząć od trosk i stresów. Mnie również było cudownie, jak nigdy dotąd z żadną kobietą. Do zobaczenia, Alinko. P.”

Boże. Było mu cudownie. Jak nigdy. Czy on przypadkiem ze mnie nie kpi?, pomyślałam i jednocześnie skarciłam się w duchu za stereotypowe myślenie o sobie jak o kobiecie upadłej. Co z tego, że uprawiałam seks z niemal nieznanym mi facetem, dziwką nie jestem!, zbuntowałam się, bo mimo wyemancypowania i odebranego wykształcenia tak się właśnie czułam.

Postanowiłam chwilowo wyprzeć ze świadomości niewygodne myśli. Zerknęłam do treści drugiej wiadomości. Pochodziła od Moniki i na szczęście nie wzbudzała we mnie jakichkolwiek wyrzutów sumienia.

„Mieszkamy z Michalinką w domu i nie dajemy się Radkowi. Nie udało mu się jeszcze

wywieźć kanapy, więc mamy na czym spać. Odmówiłam przeprowadzki do teściowej, ale Radek jeszcze walczy. Będzie musiał wybierać, czy poprzeć mnie, czy mamcię. Do cholery, przecież ma dziecko! Trzymaj się, M.”.

Trzeci esemes został wysłany z nieznanego numeru.

„Alu, pozwoliłem sobie napisać”. Po wstępie nietrudno się było zorientować, że to ktoś znajomy. „Proszę, przeczytaj do końca”.

Zaciekawiona, dobrnęłam do ostatniej linijki.

„Wiem, co o mnie myślisz, i zdaję sobie sprawę, że możesz mi odmówić, a chcę Cię prosić o spotkanie. Nie ma ono nic wspólnego z Aldoną. Właśnie wyprowadziłem się z domu. Miłosz”.

– Idiota! – wymamrotałam pod nosem.

Czego on może chcieć?, próbowałam dociec powodów. Nieważne. Czegokolwiek sobie życzy, i tak nie może liczyć na audiencję! Jego szansa przepadła w kościele przed ołtarzem ponad pięć lat temu.

Otworzyłam czwartą, ostatnią wiadomość. Od Tomasza.

„Węszę po papierach i wydaje mi się, że ktoś majstrował zdalnie przy kontaktach. Potrzebny nam ekspert, dobry fachowiec od namierzenia gnojka. Znasz może kogoś we Wrocławiu? Postaraj się, Alinko, jak najszybciej, zanim złodziej wyprowadzi całą kasę. Czekam na Ciebie w Zastawnie. Tomasz. Oczywiście Andrea też”.

– Jestem, córeczko! – z zadumy wyrwał mnie głos taty. – Nakroję chleba i siadamy do żurku. A gdybyś się nie najadła, kupiłem jeszcze lazanię.

– Dzięki, tato, dzięki – odparłam odruchowo, zagapiona bezmyślnie na pudełko z zapiekanką. – Kupiłeś kwiaty? – zdumiałam się.

Spojrzał na wiązankę, jakby zobaczył ją po raz pierwszy.

– Nie. Leżała pod drzwiami. To chyba dla ciebie. – Wyciągnął bukiet w moim kierunku. – Ładne.

W papierze tkwiły identyczne jak poprzednio pomarańczowe nasturcje, ozdobione gałązkami lawendy. Pomiędzy liśćmi umieszczono liścik.

„Nie wiem, czy poprzedni bukiet Ci się spodobał. Jeśli nie, to przepadłem z kretesem, bo ten jest taki sam. Mam jednak nadzieję, że i on mimo wszystko sprawi Ci nieco radości”.

– Od kogo, Alinko? – zainteresował się tato, rozpakowując siatkę z zakupami.

– Nie mam pojęcia.

– Mhm... Nie chcesz, to nie mów – nie dociekał. – Idę umyć ręce. Matka mi pisała, że Miłosz wyprowadził się z domu! – zawołał z łazienki.

– Wiem.

– Co dzisiaj robisz? – zagadnął.

No tak, będzie mnie próbował nakłonić do kontaktu z Aldoną.

Niedoczekanie!

– Mam kilka pomysłów na popołudnie, tatuś. A ty co planujesz? – odbiłam piłeczkę.

– Idę obejrzyć jedno mieszkanie, o którym dowiedziałem się w sklepie. Myślałem, że pójdziesz ze mną...

Wizja wyprowadzki taty była zachęcająca.

– Czemu nie? – zadeklarowałam pomoc. – Dzisiaj, najpóźniej jutro jadę do Zastawna. Mamy z Tomaszem coś ważnego do załatwienia – dodałam, widząc pytanie w jego oczach. – Aha, nie skontaktuję się z Aldoną – dodałam. – Uprzedzam, gdybyś jednak miał taką nadzieję.

23 CZERWCA 2013

Nigdy bym nie przypuszczała, że upłynie zaledwie dzień od, hm, spotkania z Piotrem, a zabiorę go na wieś.

Okazały land cruiser mojego pacjenta grzecznie podążał za moim mini, doskonale znosząc niewygodę i nierówności końcowego odcinka drogi. Spoglądając we wsteczne lustro, z nutką zazdrości obserwowałam, jak terenówka kołysze się miękko, podczas gdy ja podskakuję za kierownicą, nierzadko uderzając głową w sufit. Po raz kolejny dochodziłam do wniosku, że dojazdy do Zastawna zmuszą mnie wreszcie do zmiany samochodu na coś o funkcjonalności czołgu. Już nieraz mini był ratowany przez okolicznych mieszkańców przed utonięciem w kałużach lub ugrzęźnięciem w błocie, ale na szczęście udawało się go wyciągnąć, zanim pograżył się po dach. Unia Europejska zadbała, by nasi sąsiedzi rolnicy poruszali się po polach traktorami olbrzymimi, wartymi kilka milionów złotych, dla których wydobycie mojego samochodziku stanowiło trudność porównywalną z uratowaniem matchboxa.

Dzisiaj z całą pewnością wygodniej by mi było zająć pozycję pasażera w potężnym cruiserze i spoglądać z góry na migający za oknami krajobraz, jednak jazda w dwa samochody miała zasadniczą zaletę. Nie musiałam rozmawiać z Piotrem. Sama potrzeba zatelefonowania do niego po wspólnie spędzonym wieczorze nie należała do przyjemności, jednak nie przyszedł mi do głowy żaden inny pomysł na rozwiązanie problemu. Skąd nagle miałam w sobotę wytrzasnąć informatyka?

Po wiadomości od Tomasza długo zastanawiałam się, do kogo zapukać z prośbą o pomoc. Znałam wprawdzie, i to dość dobrze, jednego machera od komputerów, ale rozstałam się z nim trzy miesiące temu. Nie, Szymon nie wchodził w rachubę. Zresztą z tego, co wiedziałam i co między innymi było powodem naszego rozejścia się, znalazł pracę w dużej niemieckiej firmie w Monachium, zabierając z sobą kontakty do kolegów informatyków. Jedyną osobą, która przysłała mi na myśl, był Piotr. Miał przynajmniej liczne grono znajomych.

– Naprawdę nikogo nie znajdziesz, Tomasz? – upewniłam się, kończąc niepokojącą rozmowę o firmie.

– W tej chwili nie. Bartek, mój informatyk z „Agosa”, wyjechał na urlop, a poza nim nie mam nikogo zaufanego. Zawsze możemy zgłosić sprawę na policję, wolałbym jednak jeszcze trochę powęszyć na własną rękę.

Nie przeciągałam rozmowy.

– Poszukam kogoś. Dam ci znać.

Wyszukawszy numer Piotra na liście kontaktów, z westchnieniem nacisnęłam niebieski przycisk.

– To ja, Alina.

Moralniak dał znać o sobie. A jeżeli się z nim przespałam? Niepewność i wstyd podpowiadały, żeby przerwać połączenie.

Piotr nie pozwolił.

– Cieszę się, że dzwonicz! – zareagował radośnie. – Jeszcze raz dziękuję za wspólny wieczór. Dostałaś esemesa?

– Owszem. Dzwonię do ciebie z prośbą...

Miałam nadzieję, że uda mi się uniknąć rozważań na temat wczoraj.

– Zamieniam się w słuch. Jeśli tylko potrafię, pomogę.

Nie podobał mi się ten ton zadowolonego z siebie faceta, który dużo może, dużo daje

i prawdopodobnie dużo wymaga. Może nawet czegoś oczekuje?

- Szukam dobrego informatyka – zakomunikowałam bez wstępów.
- No to trafiłaś w dziesiątkę!
- Znasz kogoś?

Przez chwilę na łączach zapadła cisza.

- Nawet bardzo dobrze.

Czekałam na dalszy ciąg.

- Co miałby robić?
- A kto to taki? – zadałam pytanie.
- Ktoś bardzo zręczny, a na dodatek świetny fachowiec. I zrobi wszystko, czego

będziesz chciała.

Rozmowa zaczynała pęcznieć od aluzji, a nie o to chodziło. Czułam się jak pokerzysta, naprzeciwko którego usiadł mocny przeciwnik. Blefuje? Ale w jakim celu?

Piotr oprzytomniał pierwszy.

– Dobrze, Ala. Mów, w czym rzecz, zanim zapętlimy się w tych podchodach do reszty. System ci padł w „Anieldruku”?

Jezus Maria, co ja mu wczoraj nagadałam?

Tak czy siak potrzebowałam informatyka. Raz kozie śmierć. Powiem, ile muszę.

- Mamy z moim współnikiem problem. Opowiadałam ci o firmie. Poważny.

Zawiadomimy policję, ale na razie próbujemy na własną rękę i w związku z tym potrzebny nam dobry informatyk. Tomasz powiedział mi dzisiaj, że ktoś zdalnie grzebał przy serwerze, cokolwiek to oznacza. Masz kogoś zaufanego, kto potrafiłby namierzyć sprawcę zamieszania?

Tym razem nie usłyszałam szybkiej i pewnej odpowiedzi. Piotr się zamyślił. Nie popędzałam go. I tak w tej chwili nie miałam innego wyjścia.

– Myślę, że mogę podjąć się tego zadania, Alu – doczekałam się odpowiedzi. – Żarty na bok, skoro chodzi o firmę. Już tłumaczę. – Przeszedł do konkretów. – Ten fachowiec od komputerów to ja. Wiem, wiem – powiedział natychmiast, abym nie zdążyła zareagować. – Znasz mnie jako architekta, ale we Wrocławiu lepszego hakera nie znajdziesz. Ot, takie zdolności – zakończył ironicznie. – Kupujesz usługę?

- Naprawdę byłbyś w stanie?

- A co, nie wyglądam?

- Cześć, Andrea!

Mimo braku miejsca mała nie rezygnowała z prób wpakowania się na moje kolana.

Oba auta właśnie zaparkowały na podjeździe przed dworkiem.

– Wychodź, mamy małe kotki! Łajba ma dzieci! – krzyczała podniecona Andrea, ciągnąc mnie w stronę ganku. – A tato nie pozwala mi ich zabrać do domu – pożałowała się. – Mówi, że się nie zgodzisz.

– Zaraz, zaraz! A pytał mnie o to? – nie wytrzymałam. – Zaczekaj, muszę się przywitać. – Powstrzymałam impet, zdejmując z ramion ręce małej.

Andrea wczepiła się we mnie na wysokości talii. Nie było wyjścia, pociągnęłam ją do Tomasza i Piotra, którzy zdążyli już wymienić uścisk dłoni.

- Widzę, że już po prezentacji? Przywiozłam hakera – oznajmiłam. – Ponoć jest dobry.

- Naprawdę?

Szelmowski uśmiech wywołał nieplanowany rumieniec na mojej twarzy.

- Nie sprawdzałam – odparłam, pozostając w konwencji.

Czy on wreszcie zaprzestanie tych aluzji?

Tomasz przyglądał się tej słownej żonglerce w milczeniu.

Z opresji wybawiła mnie jego córka.

– Idziemy do kotków?

Kocia rodzina usadowiła się pod schodami przy wejściu. Panowie zniknęli za drzwiami, a my pozostałyśmy z pięciorgiem małych kociąt, przycycanych do matki.

– Zobacz! Ten mi się podoba najbardziej. – Andrea wskazała na szaro-białego burasa, poplamionego gdzieś rudością, z niesymetrycznie rozłożonymi pręgami.

– Ten też jest ciekawy. – Spojrzałam na białego z szaro pręgowanym ogonem i ciemnymi łatkami na głowie.

– Już bym chyba wolała tego rudego... – Poglaskała kudłatą złotą drobinę, odepchniętą przez silniejsze rodzeństwo. – To co? Mogę je zabrać do domu? Proszę! – Złożyła dłonie w modlitewnym geście.

A co mi właściwie zależy? Zgodzę się, to zapracuję na wdzięczność małej, zaliczę duży plus. Tyle że Tomasz ma inne zdanie. Czy wolno mi podejmować jakiegokolwiek dotyczące jego dziecka decyzje bez konsultacji?

Wahałam się wystarczająco długo, by wpatrzona we mnie Andrea poczuła niepokój.

– Wezmę je do siebie, nie będą przeszkadzały – zapewniała błagalnie.

„Mówiłam ci, żebyś tego nie robiła”, przypomniałam sobie karcące słowa Aldony, gdy dawałam prezenty Tosi podczas moich wizyt u rodziców.

„Nie huśtaj tak Antoniny, zrobi jej się niedobrze. Tośka, chodź do mamy, musisz coś zjeść. Alina, kończcie malowanie, mała musi iść spać”.

To niekończące się zrzęczenie mojej siostry, byleby tylko zepsuć przyjemność nam obu! Aldona nie potrafiła utrzymać nerwów na wodzy, gdy w jej pojęciu zdradzała ją jej własna córka. Tosia zadowolona, Tosia zainteresowana, Tosia zapatrzona w ciotkę Alinę jak w obrazek. Jej despotyczna matka wymagała, by wszyscy ulegali jej zachciankom, a wydarzenia toczyły się wyłącznie po jej myśli. Niby mieszkała u rodziców, ale sprawowała rządy absolutne nie tylko na swoim drugim piętaku, ale i w całym domu. Zawsze była piękna i w swoim pojęciu zasługiwała na poddańczą miłość męża. Dobrze mu tak!, pomyślałam mściwie.

Nauczyłam zatem śmiać się z Tosią po kryjomu, robić „tak pan jedzie po obiedzie”, kiedy Aldony nie było w pobliżu, grzeszyć i grandzić przy każdej nadarzającej się okazji. Nie zdarzało się ich może zbyt wiele, jednak nawet te nieliczne sprzyjały obopólnej miłości. Mimo że to nie ja byłam matką Tosi.

Niestety, nie byłam niczyją matką.

– Mimo wszystko powinniśmy zapytać tatę – stwierdziłam, patrząc na Andree.

– Och, dziękuję! Dziękuję! – zawisła na mojej szyi. Wyczuła moje intencje bez pudła. – Jesteś... Kocham cię!

Zanim się obejrzałam, już gnała do domu.

Zostałam ze stadem kociąt sama.

„Jestem w Zastawnie z Piotrem i Tomaszem. Pozwoliłam Andrei na koty w domu, nie uzgadniając tego z jej ojcem. Idziemy do firmy szukać defraudanta. Co u ciebie i Michalinki? A.”, wystukałam na komórce.

„Jesteś pewna, że dobrze robisz? Koty? Piotr i Tomasz razem? Radek walczy i nie chce odpuścić. Stanę okoniem, jestem tego pewna jak nigdy dotąd. Szukam rozwiązania. Trzymaj się. M.”.

3 WRZEŚNIA 2011

Ma na imię Szymon i jest przyjacielem Radka – obwieściła Monika, popijając sok z antonówek na tarasie w Zastawnie. Przyjechała, by porozmawiać o niedalekim ślubie. – No, może nie tak bliskim jak Remek. Spodoba ci się.

– Nie musi mi się podobać. Wystarczy mi brak Remka u mojego boku – odparłam zadowolona, że nie będę zmuszona stać ramię w ramię z moim byłym.

Kiedy tuż po świętach Bożego Narodzenia Monika z Radkiem poprosili nas na świadków, nic nie wskazywało, że za kilka miesięcy przestaniemy być parą. Wtedy jeszcze nie byłam w ciąży, nie straciłam dziecka, nie gryzły mnie wyrzuty sumienia z powodu zatajenia przed Remkiem informacji o Haneczce. Później jednak sama myśl o spotkaniu się z nim na ceremonii ślubnej przyjaciół napawała mnie lękiem. Monika zareagowała alergicznie.

– Nie ma mowy, Alina, obiecałaś! Nawet o tym nie myśl! – ucinała wszelkie dyskusje. – Czy ty sobie wyobrażasz, że mogłabym oddać swój los w ręce innej druhny? Może wezmę Mańkę?

Cóż, siostra Radka ucieszyłaby się z pewnością...

Pogodziłam się wreszcie jako tako z sytuacją, choć w głębi duszy asystę takiej pary traktowałam jako zły prognostyk dla małżeństwa przyjaciółki. Niestety, próby nakłonienia Radka do zmiany drużby spełzły na niczym. Nawiasem mówiąc, upór pana młodego w tej kwestii, skądinąd zrozumiały, również nie rokował najlepiej. Przyszły mąż Moniki okazywał się mało skłonny do kompromisów.

Problem rozwiązał się sam, kiedy Remek otrzymał propozycję pracy w Portugalii. Pierwszy wrześniowy weekend, na który zaplanowano ślub, musiał spędzić w podróży służbowej do Argentyny. Bezpieczna odległość, nawet biorąc pod uwagę poprawiny. Nie miał szans się pojawić.

– To bardzo fajny gość – kontynuowała Monika prezentację Szymona, puszczając mimo uszu moje uwagi o Remku. – Jest informatykiem w firmie Radka. I naszym prywatnym serwisantem – zażartowała.

Miałam wyrzuty sumienia, że nie pomagałam jej dostatecznie w przygotowaniach do ślubu. Wylizując się z ran po stracie Haneczki, tkwiłam w Zastawnie. Odczuwałam strach przed jakąkolwiek aktywnością – przed wyjazdem do Wrocławia, przed znalezieniem się w tłumie, patrzeniem na zadowolonych z siebie, śpieszących się ludzi. Z każdym dniem bardziej zapadałam się w siebie i własne nieszczęście. O ile, patrząc z perspektywy czasu, żałowałam straconych chwil, które powinnam poświęcić przyjaciółce, o tyle wówczas znajdowałam sobie tysiące usprawiedliwień. Ocknęłam się dopiero po wizycie Moniki, na dwa tygodnie przed ślubem, kiedy suknia była już kupiona, wymierzona, dopasowana, a dodatki czekały na półce w szafie. Catering i tort weselny zostały obstalowane, sala zarezerwowana, didżej wziął nawet zaliczkę. Młoda para czekała już tylko na dosłanie ostatnich gadżetów: ozdób na samochód i wizytówek na stoły.

– Jadę do Wrocławia – zakomunikowałam wrześniowego ranka przy śniadaniu.

Miałam już umytą głowę i podmalowane oczy.

– Ładnie wyglądasz, Alinko – powiedział wujek, widząc mnie w letniej sukience, a nie w ciocinym szlafroku, jak zazwyczaj. – Cieszę się, że wracasz do żywych. Może cię zawieźć?

– Dam radę, wujku – zdecydowałam, gotowa wsiąść do samochodu po raz pierwszy od niemal dwóch miesięcy.

Spotkanie ze stryżkiem wymagało nie lada odwagi. Skrzynka na listy niemal pękała w szwach od pisemek reklamowych i niezapłaconych rachunków. Paprotka (i kilka innych słabszych roślin) umarła z pragnienia, w pokoju panował zaduch. Po porządnym wietrzeniu i pobieżnym ogarnięciu mieszkania skontaktowałam się z Moniką.

– Jestem we Wrocławiu. Przepraszam, że dopiero teraz. W czym mogę ci pomóc?

Moja wspaniała przyjaciółka jak zwykle nie pomyślała o sobie. W jej głosie usłyszałam niekłamną radość.

– Wiedziałam, że wiadomość o Szymonie postawi cię na nogi! Mnie zostaw w spokoju, a sobie kup sukienkę na ślub i wesele. Chcesz, żeby pobiegać z tobą po sklepach?

Nie drażyłam tematu zastępczego świadka. Oczywiście dobrze się stało, że obowiązki Remka przypadły w udziale komuś innemu, ale to nie wizja nowego druzby sprawiła, że odżyłam. Po prostu żaloba wypaliła się do końca, a ja ekspresowo budziłam się do życia.

Niebawem sukienki wisiały już na wieszakach, czekając na wielkie entrée, ja zaś brałam udział w przygotowaniach do ślubu i wesela, idących pełną parą. Woziliśmy się z Moniką od sklepu do sklepu w poszukiwaniu niebieskiej podwiązki, która miała zapewnić szczęście małżeńskie, załatwialiśmy fryzjera, kosmetyczkę, bukiet ślubny. Wspólnie z Kaliną i Baśką dekorowałyśmy samochód młodej pary, tworząc na masce wymyślne kompozycje ze wstążek, kokardek, waniliowych różyczek. Dzięki wypadowi do Zastawna i ogłoszeniu z kwiatów połowy wujowego ogrodu i dwóch hektarów okolicznych łąk sala weselna tonęła w bukietach żółtych rudbekii i rudych aksamitek. Słoneczne złociste dzielnicy przeplatały się z nawłociami, prezentującymi dumnie kwiatostany. Całości dopełniały odcienie purpury – od różu wysokich sadźców po głęboki fiolet astrów. Kwiaty ogrodowe zapewniały sali weselnej obfitość barw i zapachów, a niewielkie bukietniki polnych kwiatów dodawały jej lekkości. Wspięliśmy się na wyżyny sztuki florystycznej.

Po załatwieniu spraw ziemskich należało jeszcze pojednać się z Opatrznością.

Przystąpiłam do komunii świętej i z oczyszczoną duszą, po odbytej pokucie i włożeniu do torebki kartki potwierdzającej sakrament spowiedzi, po wizycie u fryzjerki i nieprzespanej nocy poprzedzającej sobotę trzeciego września, wstałam gotowa świadczyć na ślubie Moniki i Radosława.

Nie myśl o tym!, odganiałam uparte myśli o własnej porażce przed trzema laty, która mimo wysiłków nie pozwalała o sobie zapomnieć. To nie twoja uroczystość!

Kiedy zajechałam pod kościół, na ceremonię czekała już część gości. Wytworne panie i eleganccy panowie, z bukietami kwiatów i napięciem na twarzach, wypatrywali samochodu z młodymi. Dołączyłam do tej gromadki, próbując się zorientować, czy jest wśród niej wciąż niepoznany Szymon. Taksowałam nielicznych samotnych młodych mężczyzn.

Byle nie ten!, skrzywiłam się na widok facecika w niedopasowanej marynarce. Jest niższy ode mnie! Ale tamten przystojniak... – Zawiesiłam oko na jakimś rozkojarzonym egzemplarzu, który oprócz miłej powierzchowności miał dużo osobistego uroku. Mimo pozornego spokoju nie przestawał spoglądać w stronę, z której miał nadjechać samochód z oblubieńcami.

– Są! – rzucił ktoś najbardziej spostrzegawczy.

Czy tak samo reagowano, gdy zbliżaliśmy się do kościoła razem z Miłoszem?

Po chwili Monika wysiadała z auta w cudownie białej sukni „na syrenkę”, a ja, opanowawszy niepokój, pomagałam jej wytaszczyć się w całości. Odebrałam od niej ślubny bukiet, poprawiłam welon. Kiedy z drugiej strony wysiadł Radek, dostrzegłam u jego boku „rozkojarzonego”.

– Poznajcie się. Szymon, Ala – dokonał szybkiej prezentacji przyszedł pan młody.

Wymieniliśmy życzliwe spojrzenia. Nie było czasu na konwenanse, należało dopełnić formalności w zakrystii.

– Jak się czujesz? – szepnęłam do Moniki i nie czekając na odpowiedź, zadałam pytanie świadczące o odpowiedzialności za ceremonię: – Macie obrączki?

Radek poklepał się po piersi, sprawdzając, czy pudełeczko z najważniejszym atrybutem zbliżającej się uroczystości znajduje się na miejscu.

– Są – odparł uspokojony.

Powoli, mając na uwadze niewygodę sukni z welonem, wyszliśmy z zakrystii, by po chwili zająć z góry upatrzone pozycje figur na szachownicy dzisiejszej ceremonii. Radek ze świadkiem udali się pod ołtarz, ja towarzyszyłam Monice w drodze przed kościelne wrota, gdzie czekał na nią jej ojciec.

Rola trzymającej welon drużyny odpowiadała mi nadzwyczajnie. Schowana za panną młodą, byłam pod ręką, a jednocześnie nie zwracałam na siebie uwagi.

– Pozwól, Alinko, że przejmę córkę – usłyszałam podczas ostatnich zabiegów przed finałem.

– Oczywiście.

Weszliśmy do kościoła.

Przodem kroczyła Monika, nieziemsko piękna w syreniej bieli, której skrawek miałam zaszczyt trzymać. Panna młoda z ojcem u boku, eleganckim i pełnym godności mężczyzną w ciemnografitowym garniturze z bordowym fularem i taką samą poszetką w kieszonce. Najwyraźniej zdenerwowanym przed najważniejszym wystąpieniem w swoim życiu.

Czy mój ojciec też tak przeżywał?, nie potrafiłam pozbyć się kąśliwych myśli.

Oboje tkwili w tym, co miało się wydarzyć za chwilę. Oboje się tego obawiali, mieli tremę. Zauważyłam, że starszy pan puścił do córki oko, Monika zaś zamrugała powiekami, aby opanować niepokój, zatrzymać czające się w kącikach kropelki łez. Dała ojcu znak do rozpoczęcia marszu w stronę ołtarza.

Skoncentrowałam się na trzymaniu welonu. Byle się tylko nie rozplakać, nie dać się ponieść, nie pozwolić się rozkleić *Arii z Suity D-dur* Jana Sebastiana Bacha!, modliłam się w duchu.

Rzewne dźwięki towarzyszyły nam podczas wędrówki przez główną nawę.

Przemierzaliśmy ją dostojnie i godnie, prowadzeni spojrzeniami gości zajmujących ławki po obu jej stronach, aż pod sam ołtarz, gdzie czekali już Radek, Szymon, ksiądz... Kochałam moją przyjaciółkę, życzyłam jej wszystkiego co najlepsze, ale ta muzyka, tak wzniosła, choć jednocześnie smutna... Zaciśnęłam zęby. O nie, Miłosz po raz drugi nie zepsuje ślubnej ceremonii!, postanowiłam. Tamto było w innej bajce, teraz pisze się historia Moniki!

– Czy chcecie dobrowolnie i bez żadnego przymusu zawrzeć związek małżeński? – usłyszałam głos księdza.

– Tak – odparł głośno pan młody.

Chce. Nie uciekł, nie wystawił jej na pośmiewisko, nie pokancerował na wiele lat. Dobrze!

Nagle spłynął na mnie spokój, przestały napływać łzy.

Monika zapewne również odpowiedziała twierdząco, bo nastąpił ciąg dalszy.

– Czy chcecie wytrwać w tym związku w zdrowiu i chorobie, w dobrej i złej doli, aż do końca życia? – Ksiądz nie odpuszczał. – Czy chcecie z miłością przyjąć i po katolicku wychować potomstwo, którym was Bóg obdarzy?

Poczułam ucisk w żołądku. Haneczka.

Zgromadzeni odśpiewali hymn do Ducha Świętego, kapłan zaś poprosił, aby młodzi podali sobie prawe dłonie, i przewiązał je końcem stuły. Wzruszeni, powtarzali za nim słowa przysięgi.

– Ja Radosław biorę sobie ciebie Monikę za żonę i ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz że cię nie opuszczę aż do śmierci...

Gapiałam się na nich, takich zapatrzonych w siebie, sobie oddanych i kochających, i nie potrafiłam opanować łez. Wytrysnęły spod moich powiek z siłą górskiego potoku.

Stałam za panną młodą jak posąg. Nie poruszyłam się, nie otarłam twarzy. Ani drgnęłam.

Opanowałam się nieco, dopiero gdy ksiądz zabrał stułę i przystąpił do błogosławienia obrączek. Na szczęście dla mnie powierzonych pieczy Szymona.

– Żono, przyjmij tę obrączkę jako znak mojej miłości i wierności, w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego...

Nastąpiła wspólna modlitwa, w intencji przede wszystkim młodych i ich szczęścia na nowej drodze życia.

Wyłączyłam się z dalszego ciągu ceremonii, aż do chwili gdy poczułam jakiś ruch i zobaczyłam Monikę z Radkiem odwróconych w stronę wyjścia. Pozostało mi puścić ich przodem.

Kościół wypełniły dźwięki marsza Mendelssohna.

Czyżby już po wszystkim?

Świeżo upieczeni małżonkowie zeszli po schodach, które przed półgodziną zawiodły ich przed ołtarz, a teraz miękko wprowadzały w nowe, wspólne życie.

Wrześniowa aura sprzyjała. Opuszczających ciemną nawę gości oślepiło słońce.

Jeszcze groszaki w powietrze, jeszcze tylko je pozbierać, pomóc z kwiatami...

Monika została żoną Radka.

Wszyscy myśleli już tylko o weselu.

23 CZERWCA 2013, CIĄG DALSZY

Porozmawiamy o tym później, Andrea. – Tomasz był wyraźnie zniesmaczony pomysłem przeniesienia kociej rodziny do domu. – I ty się zgodziłaś? Nie powinnaś aby najpierw zapytać mnie o zdanie? – Posłał mi karcące spojrzenie, gdy tylko przekroczyłam próg salonu. – Sześć kotów?!

– Niepotrzebnie się unosisz – odparowałam.

Takie fochy w obecności Piotra?, pomyślałam urażona.

Andrea wtuliła we mnie zapłakaną buzię.

– Wiedziałam, że on się nie zgodzi! Że cię nie posłucha! – zalewała się łzami. – Nie chcę już mieszkać z tatą! – krzyknęła, wybiegając z pokoju.

– Widzisz, do czego doprowadziłaś? – wściekłam się na Tomasza za postawienie sprawy na ostrzu noża. – Po pierwsze, nie załatwia się takich rzeczy przy dziecku – odparowałam. – A po drugie, fakt, że mieszkamy pod wspólnym dachem, nie upoważnia cię do traktowania mnie jak osoby, która będzie z tobą konsultować każdą decyzję.

Jeżeli jeszcze przed chwilą miałam zamiar rozwiązać kwestię kotów kolektywnie, w tej chwili było to niemożliwe.

– Zwierzaki mogą zamieszkać w mojej części domu – zdecydowałam złośliwie.

A niech ma nauczkę! Za to, że kłócimy się w obecności Piotra, z uciechą spoglądającego z fotela na rozwój wypadków.

Trzasnęłam drzwiami.

Rozszlochana Andree znalazłam na łóżku.

– Ala, chcę mieszkać z tobą! Tata jest niedobry! – łkała żałośnie mała manipulatorka.

– Cicho, cicho... – tuliłam ją, próbując jakoś opanować targające nią emocje.

Głęboki szloch przeszedł w płacz, by po chwili wygasnąć całkowicie.

– Masz chusteczkę. Wytrzyj oczka i posłuchaj. Mam plan.

Zaczerwienione oko zerknęło z nadzieją na kocią przeprowadzkę na pokoje.

– Może jednak spróbujemy zrobić wspólne podejście do taty? – zaczęłam, wcielając się w rolę doświadczonej matki. – Ale dopiero po wyjeździe pana Piotra, bo teraz musimy w bardzo ważnej sprawie pójść do drukarni i popracować. Ale wieczorem, kiedy zostaniemy sami, pogadamy spokojnie. Dobrze?

– A zostaniesz ze mną? Będziesz tu mieszkać?

Prośba w głosie Andrei nie pozostawiała miejsca na odmowę.

Zagrałam na zwłokę.

– Na pewno zostanę do jutra. Może nawet na dwa, trzy dni. Potem na trochę wyjadę. Ale wrócę. We Wrocławiu mam pracę, mieszkanie... Zabiorę cię kiedyś ze sobą i wszystko pokażę. Masz ochotę?

– Jasne!

– Ja będę w mieście, ale ty nie będziesz się nudzić. W Zastawnie latem jest naprawdę bardzo fajnie – ciągnęłam. – Można jeździć konno. No i masz domek na drzewie i ogród.

Podjęła temat.

– A wiesz, że poznałam Michała od sąsiadów i on jest bardzo miły. Jego tato pracuje w Niemczech. Wie nawet, gdzie mieszkałam do tej pory, bo był w Monachium! I powiedział, że weźmie jednego kota, chyba białego, który ci się podobał. Nie będziesz zła?

– Skądże znowu! – roześmiałam się z ulgą, że kryzys został zażegnany. – A teraz

wracamy do salonu i pokazujemy tacie, że wszystko jest okej.

A gdzie tam! Od nowa pozytywnie nastawiona, Andrea poderwała się z łóżka.

– Jadłam już śniadanie! – krzyknęła w progu. – Lecę do Michała, będziemy bawić się z kotami!

I tyle ją widziałam.

Gdy zjawiłam się w salonie, Tomasz, już spokojny, wstał z krzesła.

– Przepraszam cię, Alu. – Skierował się do kuchni. – Zapoznałem Piotra z problemem – rzucił przez ramię.

Jak widać, podczas nieobecności panowie zdążyli przejść na ty...

Zostałam z Piotrem sama.

– Widzę, że twój współnik to charakterny gość – zagadnął. – Czy wy...? – nie wytrzymał.

Nie pozwoliłam mu dokończyć.

– Łączy nas wyłącznie spadek po wujostwie. Dla ścis łości: po jego ciotce i moim wuju. To wszystko. Nie ma o czym mówić.

– Sorry. – Skrzyżował ręce na piersiach. – Od tej pory cisza. – Przyłożył palec do ust. – Nie było tematu.

– O czym tak szepczecie?

W salonie pojawił się Tomasz. Niósł dwie filiżanki.

– Wypijmy kawę i chodźmy do firmy – zaproponowałam. – Andrea jest u Michała.

Nie miałam ochoty na pogaduszki.

– A kto to jest Michał?

– To najbliższy kolega twojej córki – wyjaśniłam. – Mógł byś zainteresować się, z kim się dziecko spotyka podczas twojej nieobecności – dodałam uszczypliwie.

– Nie kłóćmy się, proszę. – Tomasz zmierzał do zgody. – Zatem kawa dla was. Ja muszę wydać dyspozycje córce.

Piotr przyglądał się tej rodzinnej sielance z zainteresowaniem.

– No, no... Taka zabawa to chyba nie dla mnie. Chyba żeby w pobliżu była jakaś mamusia – stwierdził, gdy Tomasz zniknął w korytarzu.

– Ale nie ma. Zresztą to nie mój problem. Zbieramy się. – Dopiłam resztkę kawy.

Okres letni nie należał do specjalnie obfitych w zamówienia. Firmy funkcjonowały na zwolnionych obrotach, dając wytchnienie maszynom i ludziom, którzy szli na zasłużone urlopy. Poniechaliśmy trzeciej zmiany, pracy wystarczało zaledwie dla jednej. Po ośmiu godzinach w „Anieldruku” zostawał wyłącznie portier, psy i magazynier przyjmujący dostawy, które pojawiały się o najróżniejszych porach. Czasami po godzinach pracowała jeszcze księgowka, gdy na przykład trzeba było pokonać spiętrzenia wynikające z naliczania wypłat, ZUS-ów czy VAT-u. W niedziele nie działało się literalnie nic. Nawet portier umierał z nudów.

Zgodnie z planem w pierwszej kolejności udaliśmy się do gabinetu księgowej.

– Tu jest hasło do komputera pani Iwony. – Tomasz podał zbitkę cyfr i liter.

Maszyna ruszyła bez problemu.

Staliśmy za plecami Piotra, który sprawnie przeglądał dane. Spodziewałam się kilkugodzinnej orki, jednak wystarczyło kilka minut.

– Nie ma żadnego rejestru faktur – zakomunikował nasz ekspert. – W każdym razie nie na tym komputerze.

Przeszliśmy do serwerowni. Zaopatrzony w hasła Piotr dokonał cudu i oto

dysponowaliśmy wszystkimi e-fakturami, jakie wyszły do klientów z „Anieldruku” od początku roku! Czyli od chwili, w której zaczęto korzystać z nowatorskiego systemu.

Obawy, że ktoś zdążył je wykasować, na szczęście się nie sprawdziły. Faktury tkwiły w rejestrze w kolejności ich wystawienia. Na oko nie brakowało żadnej.

– Najważniejsze, że są! – Piotr wyciągnął się zadowolony na krześle. Założył ręce za głowę. – Co teraz zamierzacie? Chcecie je przejrzeć?

– Znajdź faktury z maja, dla „Dolmedu” i „Impaxu” – poprosiłam. – Jeszcze raz sprawdzimy numery kont.

Co trzy pary oczu to nie jedna. Potwierdziły się wszystkie wykryte przez nas nieprawidłowości. Bez odpowiedzi pozostało jednak pytanie, jak złodziejowi udało się założyć drugie konto, tak by nie dowiedział się o tym wujek. Przecież do tego potrzebny był podpis właściciela. Elektroniczny...

– Co o tym myślisz? – zwróciłam się do Piotra.

– Na początek sprawdzilbym, ile faktur zostało wystawionych z tym innym numerem rachunku – zaczął. – I kto to zrobił.

– Z tego, co wiem, faktury wystawia wyłącznie księgowa – wtrącił Tomasz.

Piotr zerknął na ekran.

– Mogę jednoznacznie stwierdzić, że wszystkie rzeczywiście wyszły z komputera księgowej. I mają jej inicjały.

– To znaczy?

– Na przykład imię i nazwisko.

Pobladałam. Przypomniałam sobie wizytę u notariusza.

Czy dom zakupiony przez obecne u niego panie został nabyty za pieniądze „Anieldruku”?

– Czy to oznacza, że jest winna?

– Mogę jedynie stwierdzić, że były wystawiane na jej komputerze. Ale mógł to zrobić ktoś inny.

– Właśnie pozbyłam się wątpliwości... – westchnęłam ciężko.

– Zaraz, zaraz, nie tak szybko – powiedział Piotr. – Zauważyłem coś ciekawego...

Zamieniliśmy się w słuch.

– Zbadałem stempel, to znaczy czas powstania dokumentu. Te dwie faktury, o których mowa, zostały wystawione po dwudziestej drugiej. Czy to możliwe, żeby księgowa urzędowała tak długo?

W i tak skomplikowanej układance pojawiły się nowe niewiadome.

Po krótkiej dyskusji podzieliliśmy się robotą. Ja i Tomasz zajęliśmy się sprawdzaniem kont na ponad tysiącu dwustu fakturach i wyławianiu tych z kontem oszusta, Piotr zaś prześwietleniem komputera pani Iwony. Po co mu to było, nie miałam pojęcia, ale jego dotychczasowe sukcesy uwiarygodniły faceta w moich oczach. A poza tym, uświadomiłam sobie, taki zajęty i zaaferowany robotą wygląda naprawdę pociągająco...

– Ile znalazłaś? – Pytanie Tomasza oderwało mnie od faktur z pierwszych czterech miesięcy roku.

On obrabiał te od maja do dzisiaj.

– Nie mam żadnej.

– A ja dwanaście.

– Na ile?

– Dochodzę do półtora miliona. Zostało mi jeszcze kilka dni.

Szybko dokończyłam przeglądanie ostatniego tygodnia kwietnia, ale nie trafiłam

na żaden podejrzany dokument. Podeszłam do Tomasza i zjrzałam mu przez ramię.

– Cholera, jeszcze jedna! Na czterysta tysięcy! – wykrzyknął. – Szlag mnie chyba trafi!
Co za cholerny złodziej! Drapnął nas na dwa miliony! Idziemy na policję!

– Bez nerwów, zczekajcie – odezwał się Piotr sprzed ekranu. – Zdaje mi się, że coś znalazłem.

Spod biegających po klawiaturze palców na ekran spływały dziwne komunikaty. Nasz haker działał.

– Mam drania! Ktoś zainstalował u księgowej program do szpiegowania i wykradania haseł! Uzyskał dostęp do sprzętu, wyciągnął hasło do programu fakturującego i podpis elektroniczny właściciela firmy! Spokojnie założył lewe konto, a potem już tylko czekał na przelewy od klientów.

– Ale jak on to zrobił? – Nie mogłam wyjść z podziwu dla sprawności Piotra.

– Zdalnie, przez mejla. Wysłał do księgowej wiadomość. Wystarczyło, że ta ją otworzyła, by nasz mądrała miał jak na widelcu jej dane, co jest właściwie równoznaczne z danymi drukarni: informacje o adresie IP, rodzaju i wersji przeglądarki internetowej, jej dane geolokalizacyjne i historię odwiedzanych stron. Kliknięcie w link w owej wiadomości uruchomiło instalację złośliwego oprogramowania, które wykonuje tak zwane zrzuty ekranu, więc złodziej dostał gratis komplet tajemnic. Jest całkiem prawdopodobne, że księgowa wystawiała faktury z dobrym kontem, a złodziej via jej komputer – z trefnym. Zauważcie... – Wskazał na rejestr. – Te złe zawsze wystawiano wieczorem.

– Trzeba będzie sprawdzić, kto jest tak zaangażowanym pracownikiem... – wycedził Tomasz.

Piotr potwierdził skinieniem głowy.

Mimo mizernej, żeby nie powiedzieć: żadnej, wiedzy informatycznej postanowiłam się wtrącić.

– Czy mógłbyś zlikwidować to bandyckie oprogramowanie?

– Już go nie ma.

Zerknęłam na zegarek. Podczas śledczej działalności czas mijał szybko. Dochodziła piąta. Ssanie w żołądku przypominało mi o siedzącej w domu bez obiadu Andrei.

– Tomasz, mała chyba jest głodna.

– Zamówiłem jej pizzę.

– Może powinieneś do niej zadzwonić, sprawdzić, co robi? Pamiętasz kąpiel w rzece?

Chyba się zaniepokoił.

– Masz rację. Piotr, wystarczy na dzisiaj. No chyba że uważasz, że coś trzeba przeprowadzić niezbędnie?

– Myślę, że to wystarczy. Sprawdzicie jeszcze, kto pracował po godzinach, i zgłosicie sprawę na policji. Niestety, nie jestem w stanie namierzyć komputera użytkownika, który przesłał księgowej mejla z wirusem, ale niebiescy i owszem. Oczywiście pozostaję do dyspozycji, gdyby potrzebowali jakichkolwiek wyjaśnień. Teraz potrzebuję kilku minut na wykonanie pewnych drobnych zabezpieczeń waszej sieci. Gdyby nagle złodziejowi przyszło do głowy włamać się do serwerowni i zlikwidować dane. Licho nie śpi.

– Jesteś wspaniały! – nie wytrzymałam i uściskałam Piotra, gdy Tomasz pośpieszył przodem. Andrea alarmowała, że schodząc z domku na drzewie, otarła sobie łokieć.

– Naprawdę tak uważasz? – uśmiechnął się szelmowsko. Przyciągnął mnie do siebie i posadził na kolanie. – A on?

– Kto?

– Tomasz.

- Czyżbyś był zazdrosny, uciekający panie młody? – wypaliłam bez namysłu.
 - Zdarzyło mi się zaledwie raz.
 - Raczej trzy razy.
 - Muszę ci się do czegoś przyznać, Alinko. – Piotr spoważniał.
- Nastrój pogodnych przekomarzanek prysnął.
- Dałem się wkręcić. Tyle że teraz to nieistotne. Ważna jesteś ty.

- Muszę już kończyć. Niebawem się okaże, co zdecyduje.

Pukanie do drzwi wyzwoliło mnie od dalszej rozmowy z Moniką, komórkę zaś uratowało przed przegrzaniem.

Serdecznie współczułam mojej przyjaciółce sytuacji, w jakiej znalazła się wraz z Michalinką. Radek, z uporem maniaka nalegający na przeprowadzkę do „ciężko chorej” matki, miał znacznie lepszą pozycję przetargową. Monika nie dość, że zajmowała mieszkanie teściowej, to jeszcze była u niej zadłużona. A urocza starsza pani wykorzystywała okazję bez pardonu, postanawiając ulokować rodzinę ukochanego syneczka w pokojach opuszczonych przez córkę niewdzięcznicę, która uciekła przed nią do Anglii. Najwidoczniej potrzebna jej była darmowa siła robocza, do sprzątania i opieki.

– Próbowalas z nim rozmawiać spokojnie? – zapytałam, przerywając słowotok składający się z żalów i wymówek.

– Przynajmniej kilka razy dziennie! – odparła zirytowana. – Ale on jest głuchy na wszelkie rozsądne argumenty. W dodatku usprawiedliwia kombinacje teściowej rzekomą zamianą naszego mieszkania na willę! Przecież ona nigdy nie miała zamiaru tego zrobić! A ja głupia dałam się nabrać.

– A czym Radek tłumaczy swoje postępowanie? – drażyłam temat, próbując wyrobić sobie zdanie i sensownie doradzić.

– Mówi, że to tylko na jakiś czas, aż matka poczuje się lepiej. Że nawet jeśli będziemy musieli z nią pomieszkać przez kilka miesięcy, będzie to z korzyścią dla rodziny. Że w końcu Mańka też mieszkała z matką i było jej bardzo dobrze.

Nie mogłam już słuchać tych bredni. Mańka związała od tych luksusów za granicę. Teściowej Moniki nagle zabrakło towarzystwa do zarządzania, więc popadła w hipochondrię i szantażuje syna stanem swojego zdrowia. A ten się daje. Mimo całej mojej dobrej woli, mimo że Radek nie raz i nie dwa okazał się dobrym i troskliwym mężem, teraz nie byłam w stanie go bronić. Zły wpływ toksycznej mamusi dawał się zauważyć gołym okiem.

- No i co wymyśliłaś?

Przez chwilę na łączach panowała cisza. A potem nastąpiło głębokie westchnienie.

- Kazałam mu wybierać. Albo, albo.

Zważywszy na długość rozmowy i szarpiące Moniką emocje, nie musiałam pytać, gdzie obecnie znajduje się jej mąż. Po krótkiej przerwie wyartykułowała to sama zainteresowana.

- Pojechał do niej.

Wyznanie ją rozkleiło. Zanim zdołała opanować płacz, złość i rozzalenie, minęło ładnych kilka chwil.

Nie przerywałam, dając jej czas na uspokojenie. Niedziela, która zaczęła się w Zastawnie od szlochów Andrei, kończyła się równie obfitym potokiem łez, tyle że na odległość. Na szczęście po godzinnej darmowej terapii przez telefon moja rozmówczyni powróciła do równowagi i przeszła do opowieści o Michalinie. I właśnie w tym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

– Bądź konsekwentna, Radek się opamięta – dodałam jeszcze.

– Jesteś pewna? – uczepliła się nadziei.

Mój багаż doświadczeń z facetami wskazywał, że nie można być pewnym niczego.

– Oczywiście – potwierdziłam. – Podejmie słuszną decyzję.

– To ja, Alu. Nie przeszkadzam? – W drzwiach pojawiła się głowa Tomasza. –

Chciałbym pogadać o firmie. Masz jeszcze siły?

– Jestem trochę zmęczona, ale zaraz zejść.

– Tata pozwolił mi wziąć koty do domu! Będą w korytarzu, obok lufcika w drzwiach ogrodowych! – Zachwycona Andrea obwieściła radosną nowinę, gdy tylko pojawiłam się w salonie.

Na stole czekała kolacja. Przyznam, że zdążyłam polubić wprowadzony przez Tomasza zwyczaj. Mój wspólnik zapraszającym gestem wskazał mi krzesło cioci, do którego również przywykłam.

– Siadaj, proszę. Przyniosę zapiekankę.

Andrea zajęła miejsce przy dłuższym boku stołu. Nałożoną przez ojca porcję pochłonęła migiem.

– Mogę iść do kotków? – Stanęła w drzwiach.

Tomasz wcielił się w rolę ojca.

– A „dziękuję”?

Głośne „dziękuję” dobiegło nas z sieni.

– Przyznam, że jestem pod wrażeniem – pochwaliłam starania.

Spojrzał pytająco znad butelki z białym winem.

– Koty, kolacja, zabiegi wychowawcze...

Machnął ręką. Niewiele brakowało, a trunek zamiast do kieliszków trafiłby na stół.

– No cóż... Tak to jest, gdy nad rodzinną sielanką nie czuwa mamusia. – Wzruszył ramionami.

– Podśluchiwałaś.

– Tylko słyszałam.

Wolałam zmienić temat.

– Zapiekanka znakomita. Podobnie jak ty w roli kucharza i kelnera. Jesteś naprawdę dobry.

– Nie tylko w tym, Alinko. Przykro mi tylko, że nie znam się na komputerach tak jak Piotr. Dawno się znacie? – zapytał niby mimochodem.

– Niezbyt. Zwróciłam się do niego, ponieważ nikt inny nie przyszedł mi do głowy.

– Aha.

– Chciałaś porozmawiać.

– Owszem. Trzeba się zastanowić, co dalej – porzucił śliski temat. – Od jutra zaczynamy działać. Poza tym zbliża się dwudziesty piąty. Nie dość, że VAT-y, to jeszcze powinienem sprawdzić stany magazynowe, a poza tym wyjechać na dzień, dwa do „Agosa”, bo w końcu własna firma mi padnie. Pociągnęłabyś sprawę?

Chwilowo nie wybierałam się do Wrocławia. Próba odzyskania dwóch milionów była wystarczającym powodem, żeby zostać.

– Dlaczego nie? Przecież omówiliśmy z Piotrem dalszą strategię. Myślę, że sobie poradzę. Tylko co z Andrea?

– Zabieram ją z sobą. Ale miło, że pytasz. Może przeniesiemy się na kanapę?

Przyniosę kawę. Napijesz się?

Odgadywał moje myśli. Marzyłam o kawie, delikatnej muzyce, kolejnym kieliszku

białego wina. Jak widać, marzenia się spełniają...

– Kawa dla pani! – wybudził mnie z króciutkiej drzemki głos Tomasza.

W salonie robił nastrój Nat King Cole. Mój prywatny kelner postawił na stoliku filiżankę i kieliszek.

– Należy się nam nieco przyjemności po ciężkim dniu – stwierdził.

– O tak. A gdyby tak jeszcze na tym blacie leżały dwa miliony w stosownych nominałach...

– Znajdą się, Alinko. Przetrywamy. Przecież wuj Stach czuwa. Nie pozwoli, by firma przepadła.

Przede wszystkim nie pozwolę na to ja, pomyślałam.

Odzyskam pieniądze, utrzymam klientów i drukarnię, wujkowy powód do dumy, dorobek życia!, zawzięłam się. Choć niepokój o dalsze losy przedsięwzięcia wciąż mnie nie opuszczał.

Tomasz przysunął się bliżej i objął mnie ramieniem. Nie opierałam się.

– Sam nie wiem, skąd we mnie tyle spokoju – ciągnął.

– Ja równieeż – ziewnęłam przeciągle.

Pokonały mnie zmęczenie i wino. Odfrunęłam w sen.

24 CZERWCA 2013

Rankiem Tomasz zarządził naradę kadry.

Około dziesiątej wokół stołu konferencyjnego zgromadzili się szefowie działów. Zdecydowaliśmy, że nie ujawniając wyników dotychczasowego śledztwa, poinformujemy ich o wycieku dużych kwot i związanych z tym problemach z płynnością finansową. Na razie sytuacja zagrażała wypłatom dla pracowników i realizacji naszych zobowiązań za dostawy, ale w dalszej perspektywie mogła spowodować przerwy w produkcji. „Anieldruk” nie miał zgromadzonych w banku znaczących środków obrotowych, po które można byłoby sięgnąć w razie nagłej potrzeby. Comiesięczne zobowiązania wobec załogi wymagały ponad czterystu tysięcy złotych, inne również szły w dziesiątki, jeżeli nie setki tysięcy.

Taka skala doprowadzała mnie do bólu głowy. Nerwowo podliczałam należności za podatek od nieruchomości, energię elektryczną, benzynę, VAT (który, jak się okazało, nierzadko trzeba było odprowadzić, zanim zapłacił go klient). Afera z „Dolmedem” i „Impaxem”, w której konsekwencji firma mogła utracić zaufanie odbiorców, była jak gwóźdź do trumny. Rozniosła się stugębną plotką po branży i na efekty nie trzeba było długo czekać. Nasi główni dostawcy, „Camel” i „Zuber”, zażądali opłat za dostarczane taśmy i farby z góry. Katastrofa zbliżała się wielkimi krokami.

– Czy jesteśmy w komplecie? – upewnił się Tomasz.

Rozejrzałam się po twarzach. Najbliżej mojego współnika siedział wyraźnie zdenerwowany dyrektor Kowalewski. Obok niego usadowił się pan Krzysztof (jakże on ma na nazwisko?, usiłowałam sobie przypomnieć), nasz szef produkcji, dalej kierownik magazynu pan Łukasz. Po drugiej stronie blatu zajmowali miejsca: Marcin, jak zwykle elegancki i kompetentny, kadrowa Mirka i pani Iwonka.

Termosy z kawą stały już na stoliku pomocniczym.

– Proszę z nikim nie łączyć! – Tomasz wydał dyspozycje sekretarce.

Ciekawe, które to z nich?, kłębiło się w mojej głowie. A może żadne? Może to nie ktoś z kadry, a szeregowy pracownik? Wszystko się wyjaśni po sprawdzeniu rejestru wejść i wyjść.

Mój współnik przyglądał się zgromadzonym równie uważnie, licząc, że winowajca nie wytrzyma napięcia. Milczał przez długą chwilę.

– Jak państwo wiecie – odchrząknął wreszcie i przeszedł do meritum – „Anieldruk” ma ostatnio problemy. Nie muszę chyba państwu wyjaśniać, o co chodzi. Sprawa „Dolmedu” i „Impaxu” jest państwu doskonale znana, prawda?

Księgowa podniosła do ust filiżankę z kawą. Marcin nie przestawał bawić się długopisem.

– Dostawcy żądają płatności najpóźniej w dniu dostarczenia towaru, odbiorcy już rozglądają się wśród konkurencji. Czy ktoś z państwa domyśla się, z jakiego powodu? – Znacząco zawiesił głos, obdarzając zgromadzonych spojrzeniem godnym bazyliuszka.

Nie uszło mojej uwagi, że Kowalewski otarł chusteczką czoło, mimo że klimatyzacja pracowała pełną parą. Ręka mieszającej kawę kadrowej zastygła w pół ruchu.

– Nie? Zatem państwu wyjaśnię – przerwał ciszę Tomasz. – Ktoś wystawiał faktury, na których umieszczał numer lewego rachunku, przywłaszczając sobie wpływające nań pieniądze. I „Dolmed”, i „Impax” zapłaciły oszustowi. To jemu zawdzięczamy obecne kłopoty, a być może i kolejne. Nieufny rynek reaguje szybko. Jeżeli nie uporamy się z problemem w ciągu najbliższych dni, najprawdopodobniej nie przetrwamy.

W sali rozległo się zbiorowe westchnienie. Przemowa poruszyła wszystkich, ale nad niczyją głową nie zaświecił się napis „winny”.

– Dlatego proszę wszystkich państwa o pomoc. W grę wchodzi przyszłość drukarni, więc dołożymy wszelkich starań. Produkcja musi iść zgodnie z planem, realizacja dostaw i płatności terminowo. Nasz wizerunek i nasza misja – wszystko dla klienta – są ważne jak nigdy dotąd. Żadnych reklamacji, żadnej obsuwy. Żebyśmy z panią Aliną mogli zareagować, musimy być informowani o potencjalnych kłopotach na bieżąco. Jesteśmy dostępni w każdej chwili. Mam nadzieję, że się rozumiemy?

Usiadł w oczekiwaniu na reakcję.

W sali panowała cisza, przerywana jedynie skrzypieniem krzeseł, przrzucaniem kartek, wibracją czyjejs komórki.

Podjezany miał nerwy ze stali. Obecni, każdy na swój sposób, okazywali zdziwienie, niepokój, konsternację, niedowierzenie, ale nic nie odbiegało od normy.

Byłam pełna podziwu dla Tomasza za styl, w jakim przeprowadził spotkanie. Powiedział wszystko, jednocześnie nie ujawniając wyników naszego śledztwa. Wzbudził niepokój, nie powodując paniki. Zmobilizował do pracy, wytyczył cele. Genialne wystąpienie, szacunek.

– Masz kogoś na oku? – zapytałam, kiedy zostaliśmy sami.

– A gdzie tam! Pocili się wszyscy jednakowo, ale twarze mieli jak pokerzyści.

– Odniosłam takie samo wrażenie. Ciekawe, kto był w firmie tamtego wieczoru...

– Pójdiesz to sprawdzić, Alinko? – Tomasz zbliżył się do mnie na niebezpieczną odległość i przyciągnął do siebie.

– Dajże spokój, jeszcze ktoś wejdzie! – ofuknęłam go, ale się nie odsunęłam.

Był taki pociągający w roli szefa firmy, a ja, durna, łapałam się na to bez mydła.

– Jesteś śliczna. – Położył mi dłoń na ustach, nie pozwalając zaprzeczyć. – Zapewne słyszałaś to już nieraz, ale nigdy ode mnie. Nie pozwalałaś...

– Tomasz!

– Cicho, Alinuś.

Musiałam być cicho. Podczas pocałunku nie dało się inaczej.

– Chodzi o ten zeszyt? – zapytał pan Kazio, indagowany o rejestr wejść i wyjść pracowników.

– Nie wiem, panie Kazimierzu, czy o ten. – Wzięłam do ręki twardy skoroszyt formatu A5, gęsto zapisany nazwiskami. – Gdzie ma pan informacje, kto i kiedy wchodził do firmy od początku maja?

– Aaa! – pojął wreszcie, w czym rzecz. – Wszyscy mają takie płytki do odbijania (domyśliłam się, że chodzi mu o identyfikatory) i mnie nic do tego. Ale ja, tak na własny użytek, żeby mi czasem ktoś obcy z taką płytką nie wszedł, zapisuję w zeszycie. I kiedy wychodzi, też zapisuję.

– Jest pan boski, panie Kazimierzu! – wyraziłam szczerą radość z powodu skrupulatności dozorca.

– A czego pani potrzebuje? – zapytał, kiedy przysiadłam na twardym taborecie i wzięłam się do przeglądania zapisków.

Okazało się, że tamtego wieczoru na terenie drukarni przebywał pan Krzysztof, szef produkcji. Ogarnęło mnie podniecenie łowcy. Niestety, wkrótce musiałam wziąć pod uwagę również jego zastępcę Marcina, księgową i kierownika magazynu Łukasza! Co oni wszyscy,

do cholery, robili w firmie o tak późnej porze? Spać nie mogli czy mam do czynienia ze zorganizowaną bandą?

– Stało się coś, pani Alinko? Niedobrze, że zapisuję w zeszycie?

– Wręcz przeciwnie, panie Kazimierzu, zasłużył pan na premię! Dziękuję, dużo się dzięki panu dowiedziałam. Ten zeszyt chwilowo zabieram. Przyślę panu inny. Dobrze?

– A mógłbym tylko spisać telefon do szwagra? Jest na ostatniej stronie?

Roześmiałam się serdecznie i po chwili biegłam już z moim skarbem do biurowca. Wprawdzie nie udało się namierzyć sprawcy, ale krąg podejrzanych zawęziłam do czterech osób.

– Szef produkcji, Marcin, księgowa i kierownik magazynu – relacjonowałam Tomaszowi.

– Zawsze to coś – podsumował. – Na początek. Trzeba porównać z tą kopalnią informacji od ciecia daty wszystkich faktur. I ewentualnie wykluczyć albo potwierdzić, że pani Iwonka do późnej nocy naliczała VAT, Krzysztof z Marcinem siedzieli na produkcji z powodu jakiegoś nagłego zlecenia na wczoraj, a magazynier przyjmował pilną dostawę.

Śledztwo okazało się rozwojowe. Pozostało schować dudy w miech, zacisnąć zęby i zweryfikować każdą podejrzaną datę.

– Alinko, muszę pilnie pojawić się w „Agosie”. Produkcja wie, co ma robić, najpilniejsze sprawy finansowe załatwione. Masz tu spis wszystkich faktur z lewym kontem. Do roboty! I zadzwoń koniecznie, jeśli znajdziesz cokolwiek. A nawet jeśli nie znajdziesz. – Odgarnął z mojego policzka niesforny kosmyk.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, pocałował mnie po raz drugi dzisiejszego dnia. A ja po raz drugi nie zaoponowałam. W zakamarkach pamięci mignął Piotr nad ekranem komputera, deklarujący, że jestem ważna. Co za niepojęta siła pcha mnie ku temu facetowi?, przeleciało mi przez głowę.

Wtuliłam się w bezpieczne ramiona mojego współnika.

– Wrócę jak najszybciej – obiecał, całując mnie (po raz kolejny!) na pożegnanie.

– A ja dam ci znać. – Usiadłam za biurkiem.

Wystarczyła godzina, bym poznała sprawcę. Sięgnęłam po komórkę.

3–4 WRZEŚNIA 2011

Prowadził Szymon, ja zajęłam miejsce obok. Na tylnych siedzeniach pięknie przystrojonego citroena rodziców Moniki ulokowała się młoda para. Ogromny bagażnik z łatwością pomieścił naręcza kwiatów, starannie ułożone przez świadka.

Podczas składania życzeń krzątałam się wokół mojej przyjaciółki, uśmiechając się do wszystkich i poznając przy okazji jej rodzinę i znajomych. Wreszcie złożył je ostatni gość w kolejce, tłumek przed kościołem rozproszył się, a zaproszeni udali się do samochodów, by zdążyć do sali weselnej, zanim nastąpi moment powitania młodych przez rodziców.

Na leśny parking przed lokalem na obrzeżach miasta przybyliśmy pierwsi, zajmując miejsce specjalnie przygotowane dla nowożeńców. Do drewnianej chaty prowadziła aleja kasztanowców. Pojedyncze pożółkłe liście zwiastowały nadchodzącą jesień, ale słońce w ich gąszczu nie pozwalało zapomnieć o lecie. Szłam, robiąc uniki przed fotografem, rejestrującym zawzięcie każdy krok oblubieńców na nowej drodze życia. Spuszczałam wzrok, by oko aparatu nie dostrzegło zaczerwienionych powiek. Ukrywałam się za Moniką, do której dzisiaj należał pierwszy plan.

Tradycji stało się zadość. Radek przeniósł żonę (!) przez próg, oboje ucałowali bochen chleba i zaprosili gości do sali, gdzie czekał już didżej z palcem na przycisku.

Zabrzmiało *I have nothing* i młoda para ruszyła w przyszłość tanecznym krokiem.

– Proszę. – Kelner podsunął mi tacę wypełnioną kieliszkami z szampanem.

„Dziel ze mną moje życie, weź mnie taką, jaka jestem”, prosiła dramatycznie Whitney Houston, „weź po prostu moją miłość. Nigdy nie poproszę cię o zbyt wiele, nie potrzebuję spoglądać zbyt daleko w przód. Nie chcę iść tam, dokąd ty nie będziesz zmierzał, powstrzymywać już namiętności. Nie będę już od ciebie uciekać, bo nie mam gdzie się ukryć. Nie waż się odejść ode mnie, skoro nie mam już nic swojego...”.

Z zadumy nad barwami szczęścia obudził mnie Szymon.

– Teraz kieliszkami o ziemię! – wyszeptał konspiracyjnie. – Podaj Monice. – Przekazał mi przygotowany kieliszek z szampanem.

Szkoło rozbiło się na drobniutkie okruchy, zwiastujące powodzenie, i wśród burzy oklasków goście podążyli do sali jadalnej, by zaspokoić głód. Tam królowali już kelnerzy. Gwar rozmów zastąpił szcęk sztućców na talerzach. Biesiadnicy rzucili się na dewolaje, bitki wołowe, wieprzowe rolady z grzybami i inne kulinarne cuda.

Siedziałam obok Moniki, Szymon przy Radku.

– Zatańczysz? – zdobył się wreszcie na odwagę po kilku godzinach zabawy.

Nie zabiegałam o ten zaszczyt, nie zerkałam w jego stronę, nie zachęcałam wzrokiem, choć chłopak wyglądał na sympatycznego, zrównoważonego, miłego. Zauważyłam, że przyglądał mi się z zainteresowaniem, a kiedy poprosił do tańca, nie była to wyłącznie kurtuazja.

Wpadliśmy w wir weselnych zabaw, zgadywanek, rzucania ślubnym bukietem i muszką pana młodego, a jednocześnie przez cały czas nie spuszczaaliśmy z czujnych oczu nowożeńców. Szymon dbał o pełne kieliszki gości, ja bawiłam ich rozmową, mimochodem wprowadzając się w stan upojenia alkoholowego.

Didżej odpuścił dopiero około drugiej nad ranem, muzyka zwolniła. Miałam już po kokardę bankietowych atrakcji, byłam umęczona, spocona i śpiąca zasiadłam wreszcie na swoim miejscu za stołem, nagabywana o bruderszaft z kimś z rodziny Moniki czy Radka.

Ale gdy po raz kolejny pojawił się Szymon, nie odmówiłam.

Pary na parkiecie kołysały się teraz spokojnie, wyciszone i romantyczne.

- Dawno znasz Monikę? – zagadnął.
- A ty Radka?
- Też jesteś psychoterapeutką?
- Słyszałam, że twoja specjalność to komputery?

Wiele utworów, wiele pytań. Przyklejeni jedno do drugiego, zaspokajaliśmy wzajemną ciekawość. Dowiedziałam się, że Szymon lubi hot dogi, a nie cierpi kebabów. Zdradziłam, że nie mam dobrych relacji z mamą, ale chętnie ponownie wyjechałabym do Dubrownika.

Przytaknął. Nasze gusty czasem spotykały się, czasem rozchodziły, ale – być może pod wpływem nastroju chwili i muzyki – znajdowaliśmy wspólny język. Świtało już, gdy doszliśmy do wniosku, że w najbliższym czasie musimy spotkać się ponownie i dokończyć rozmowę.

Niedzielne trudne przedpołudnie i poprawinowy obiad przetrwałam z podniesioną głową, próbując nie dać się kacowi, zmęczeniu i kuszącej wizji znalezienia się natychmiast we własnym łóżku.

Pożegnałam się wreszcie z wytrwałą ekipą i wyszłam. W hotelowym holu natknęłam się na Szymona.

- Pamiętasz, że jesteśmy umówieni?
- Skontaktujemy się – odparłam.

Nie miałam najmniejszej ochoty na wyznaczenie terminu ani miejsca. Nie chciało mi się myśleć o czymkolwiek. Było miło i na tym poprzestałmy, myślałam. Przecież jeszcze miesiąc temu Haneczka...

Gdy jednak w poniedziałkowy poranek zobaczyłam na ekranie komórki numer Szymona, zmieniłam zdanie.

„Mogę do ciebie zadzwonić?”, pytał w esemesie. „Znalazłem tani lot do Dubrownika w połowie października. Może dasz się namówić?”

Trafił w dziesiątkę. Jako odtrutka na ostatnie wydarzenia Chorwacja była najlepsza. Remek może i był toksyczny, ale zaraził mnie całkiem miłą chorobą wirusową pod nazwą Bałkany.

Umówiliśmy się następnego dnia w „Ptasim Radiu”. Miła atmosfera, dobre jedzenie, fajny kelner.

- Cieszę się, że pojedziemy, Alinko. – Uśmiechnięty Szymon wyciągał do mnie rękę. Rozejrzał się po wnętrzu.
- Ładnie tutaj. Spójrz... – Wyciągnął wydrukowaną ofertę biura podróży. – Apartament nad morzem, z widokiem na Wyspy Elafickie, niedrogo. I żabi skok na starówkę.

Miejscówka była rzeczywiście fantastyczna. Właściwie co mi szkodziło pojechać? Zero zobowiązań, po prostu oddech po bolesnych przeżyciach.

- Co dla państwa? – zapytał kelner.

Szymon spojrzał pytająco.

- Dla mnie kawa i szarlotka z bitą śmietaną – wybrałam jak zawsze.
- W takim razie dla mnie to samo.

Z każdą chwilą było już tylko lepiej. Spotykaliśmy się z Szymonem i szczegółowo obgadywaliśmy podróż. Kiedy, co, jak, gdzie, czy mamy przewodniki, ile powinniśmy wymienić i czy w ogóle warto, bo przecież na miejscu też są bankomaty. Trzeba pamiętać, żeby zabrać

aparaty fotograficzne i koniecznie adres do Moniki i Radka. Przecież należy im się kartka z pozdrowieniami!

– Wiesz, wujku, na ślubie Moniki poznałam Szymona. Jadę z nim do Chorwacji – wypaliłam.

– No i?

– Jest fajny, ale nie myśl sobie. Po prostu nadarzyła się okazja do wyjazdu, to trzeba ją wykorzystać.

– Aliś, Aliś, przecież ja o nic nie pytam! – Wujek jak zwykle nie był natrętny. – Po tym wszystkim... Pewnie, że ci się należy! Jedź i odpocznij.

Błogosławieństwo zostało udzielone.

Zgodnie z rozkładem lotów stawiliśmy się na wrocławskim lotnisku. Stewardesa poinstruowała nas, jak należy się zachować podczas niespodziewanego lądowania na wodzie, kapitan zaś poderwał maszynę w górę i po kilku godzinach ujrzelśmy w dole zarys murów zaskakująco bajecznego z tej perspektywy Dubrownika. Oto za chwilę miałam osiąść w najcudowniejszym zakątku świata, tak odległym od własnego. Od miejsc, które ostatnio kojarzyłam z końcem życia, końcem świata, brakiem przyszłości, przygnębieniem.

– Zobacz, widać port! – Szymon wskazał na niewielką marinę z niezliczonymi łódkami. – Lądujemy.

O ile pobyt w Dubrowniku z Remkiem, Moniką i Radkiem wspominałam bardzo dobrze, o tyle tydzień z Szymonem okazał się fantastyczny. Przemierzaliśmy wąskie uliczki starówki, przysiadaliśmy w knajpkach, podziwiając Adriatyk z murów obronnych, chłonąc atmosferę średniowiecznych budowli, popijając litrami lokalne wino. Byłam szczęśliwa.

Odzyskiwałam spokój, nabierałam rumieńców, zapominałam o nieprzyjaznym losie. Aż w końcu wylądowałam w opiekuńczych, delikatnych i współczujących ramionach Szymona.

Wróciliśmy już jako para, choć wówczas bardziej liczył się seks i potrzeba odreagowania niż uczucie.

Mimo to wiedziałam, że trafiłam na porządnego faceta.

KONIEC 2011/KONIEC MAJA 2013

Właściwie to prawie nie ruszaliśmy się z Dubrownika – relacjonował Szymon, nalewając wszystkim po kieliszku gruszkowego likieru.

Powyjazdowe spotkanie u Moniki i Radka rozpoczęliśmy od degustacji kruskovaca, nie zamierzając jednak na tym poprzestać. Obok gruszkówki czekał na swoją kolej likier z orzechów, orahovac, a zaraz za nim goryczkowane maraskino z dzikiej wiśni. Podczas odlotu z Dubrownika żalowaliśmy szczerze, że nie wybraliśmy się tam samochodem z ogromnym bagażnikiem, do którego zmieściłoby się dużo więcej alkoholowych specjałów. Cóż, trzeba było ograniczyć chęci do kilku zaledwie marnych półlitrowek. Travaricę z ziół i winogron obowiązkowo zachowałam dla wujka, Szymon odłożył dla szwagra morełówkę kajsijevacę. Ale reszta dóbr stała właśnie na gościnnym stole naszych przyjaciół. Szczęściarze, podróż poślubną mieli jeszcze przed sobą!

– A my nie wytknęliśmy nawet nosa z Wrocławia... – poskarżyła się Monika.

– Kochanie, załatwiliśmy przecież sprawę naszego mieszkania – przypomniał jej Radek, gestem omiatając ponaddwudziestometrowy pokój i balkon, na który prowadziły otwarte drzwi.

Młoda żona patrzyła na niego z miłością.

– Wiem, Radusiu, przecież nic nie mówię. I co tam robiliście?

– Różne rzeczy. – Szymon znacząco zerknął w moją stronę. – Należę. – Sięgnął po orahovac. – Bardzo nam smakował w Chorwacji, prawda? – Z uśmiechem położył dłoń na mojej dłoni.

Musiałam się wtrącić i przerwać tę gęstniejącą atmosferę dwuznaczności i niedomówień. Kieliszki nie były duże, więc dawaliśmy sobie radę z ich zawartością w ekspresowym tempie, zagryzając przygotowanymi przez Monikę tartinkami, koreczkami i wymyślnymi bruschettami. Przy czwartej, może piątej kolejce język rozwiązał mi się na dobre. Takiego słowotoku nie powstydziliby się profesjonalny gawędziarz – ze swadą opowiadałam o pogodzie, widokach, zabytkach, legendach starego Dubrownika, przeplatając poważne tematy anegdotami z pobytu. Jak to zabrakło nam pieniędzy na zapłacenie rachunku w knajpie, jak to lokalna wróżka wywróżyła mnie i Szymonowi małżeństwo i trójkę dzieci, jak zepsuł się prom i musieliśmy spędzić noc pod gołym niebem na wyspie Lokrum. I tak dalej. Szymon od czasu do czasu dorzucał szczegóły.

Monika i Radek wydawali się zachwyceni.

– To może i my, Radeczku...? – Moja przyjaciółka skłonna była powtórzyć tę wyprawę. Jej mąż jakoś nie wydawał się przekonany.

– Kochanie, przecież umawialiśmy się na Majorkę. Prawda?

– No właśnie! – podchwyciła Monika. – Znajomi teściowej mają tam bungalow.

Udostępnią nam go za darmo. Wspaniale, co?

Mimo zaawansowanej degustacji wciąż jeszcze byłam zbyt trzeźwa, by zapytać Radka, co podczas ich podróży poślubnej będzie robiła jego mama. Niestety, moje obawy się potwierdziły. Przesiedziała ten czas na... Majorce, w sąsiednim domu. No, nie przeszkadzała przecież! Ani ona, ani Marysia, ani córka Marysi Zuzia. A Radusiowi na pewno było rażniej w otoczeniu rodziny...

Po kilku godzinach dobrej zabawy przy chorwackich trunkach rozpoczęła się kolaboracja w podgrupach. Radek i Szymon wynieśli się na papierosa na balkon, my z Moniką

postanowiliśmy wypalić swoje w kuchni, pod pretekstem zaparzenia kawy.

– Mów, mów! – Moja kumpela aż trzęsa się z ciekawości. Uśmiechnęła się na widok mojego zażenowania. – Nie powiesz mi chyba, że żyliście jak para znajomych?

– Szymon to fajny gość, naprawdę – zdobyłam się na głębokie wyznanie.

– Przecież widzę, że jesteście razem – drażyła. – Jak on patrzy na ciebie, dżisus!

I czym tu się tak podniecać, koleżanko?, przemknęło mi przez myśl. Radek, chociaż po ślubie, patrzy tak samo.

– To prawda, że się zbliżyliśmy... – starannie dobierałam słowa. – Dobrze nam się gadało, spędzało czas, a nawet te rzeczy. Mówiłaś mu o Haneczce? – zmieniałam temat.

– Przepraszam – odparła skruszona Monika. – Wymasknęło mi się, nie powinnam.

– Trudno. A zresztą kto wie, może to i dobrze?

Podniosłam kieliszek z czymś, co jaśniało miodową barwą.

Stuknęłyśmy się, odpędzając złe myśli i słowa.

– Ale mocne! – Monikę aż zatchnęło. – Co to było?

– Pewnie śliwowica – wytłumaczyłam, odetchnąwszy głęboko. – Siedemdziesiąt procent, nie w kij dmuchał. Trunek dla wytrwałych. Nie pamiętasz?

– O tak! Następnego dnia Remek leczył nas jakimś naparem z ziół czy czymś podobnym... Ups, przepraszam. Głupio mi się wyrwało.

– To już na szczęście zamierzchła przeszłość, przyjaciółko!

Chorwackie nalewki puszczały oko z ledwie napoczętych butelek. Szymon znajdował się w pokoju obok. A Remek? Kim był Remek? Już niemal zapomniałam!

Natomiast pamiętałam doskonale lekarstwo, którym ratowali nam życie nasi panowie podczas poprzedniego pobytu w Dubrowniku. Nie był to bynajmniej wyciąg z ziół zebranych przez ojców bernardynów, a ziołowo-winogronowa rakija travarica. Kuracja przebiegła pomyślnie, bo już w okolicy pory obiadowej mogłyśmy przyjąć pozycję horyzontalną.

– Zapraszamy piękne panie na pokoje! – rozległo się zza ściany.

Błady świt rozgonił wreszcie nadzwyczaj udaną imprezę.

Pierwszą, ale nie ostatnią z udziałem Szymona.

W ciągu kilku kolejnych miesięcy stopniowo nabierałam pewności, że trafiłam na odpowiedniego faceta. Zaryzykowałabym nawet twierdzenie, że na człowieka. Wiedział o Haneczce, ale nigdy nie zapytał. Wiedział, kiedy i jak leczyć moje jesienne smutki i zimowe frustracje. Byliśmy razem, choć nie wyznaliśmy sobie miłości, kochaliśmy się, nie rozmawiając o przyszłości, docenialiśmy spędzany razem czas, nie rozmieniając go na drobne, nie analizując możliwych scenariuszy.

Zapomniałam o nieszczęściach, zregenerowałam się.

– Wiesz, wujku, Szymon to delikatny, empatyczny mężczyzna. Myślisz, że to ten?

– Aliś, a skąd ja mam to wiedzieć? Tak czy inaczej, dobrze, że jest teraz.

Co niby ma oznaczać to „teraz”? zastanowiłam się przez chwilę. Czyżby mój mądry wuj Stach dostrzegł coś, co umykało moim oczom?

Święta Bożego Narodzenia spędziliśmy z Szymonem osobno, ale już Nowy Rok świętowaliśmy razem. Patrzyliśmy w niebo, na wybuchającą kolorową iluminację.

– Chciałem ci złożyć życzenia, Alinko, ale okazało się, że jestem okropnym egoistą. Myślę wyłącznie o sobie i o tym, czego pragnę – dobiegło mnie przez huk korków od szampana, obwieszczający nadejście nowego 2012 roku. – Więc złożę je sobie.

Na dalszy ciąg nie musiałam czekać długo.

– Życzę sobie, by mieć ciebie w kolejnym roku. I następnym. Chciałbym, aby los nadal mnie obdarowywał, tak jak dotąd. Kocham cię, Alinko.

No, zrobił na mnie wrażenie! I trącił najczulszą strunę, sprawiając, że musiałam zastanowić się nad własnymi uczuciami.

Nie pytał, nie czekał na deklaracje. Dał mi czas. Podniósł kieliszek z szampanem, pocałował mnie w policzek, a po chwili pociągnął w kierunku witających nowy rok ludzi.

Po kilku szybkich latynoskich rytmach puszczone wreszcie muzykę bardziej refleksyjną. Ive Mendes zaśpiewała *I don't wanna talk about it*, a Szymon doczekał się odpowiedzi. Nie chciałam dłużej dusić w sobie tego, co już od jakiegoś czasu próbowało znaleźć ujście. Padł ostatni szaniec.

– Ja też cię kocham – szepnęłam. – Nie złamiesz mi serca? – nawiązałam do słów piosenki.

– Nigdy. Jesteś kobietą mojego życia, Alinuś. Kochanie...

Głaskał moje włosy i całował spływające po policzkach łzy wzruszenia.

W lutym wyjechał na stypendium do Francji.

Nie protestowałam, rozumiałam, że to ważne. Szymon robił doktorat i niezbędne mu były konsultacje z francuskimi kolegami po fachu (nie można tego zrobić za pośrednictwem Internetu?). Kończyłam właśnie studia psychoterapeutyczne, przygotowywałam się do ostatnich egzaminów.

– W żadnym wypadku nie mogę jechać z tobą! – broniłam się jak lwica przed spędzeniem sześciu miesięcy w Montpellier, choć wizja pobytu w miejscu o dziesięć kilometrów oddalonym od Morza Śródziemnego była kusząca. Langwedocja to niemal Prowansja, myślałam. Lawendowe pola, kamienne domki, francuskie sery... Nęciły one i nęcił Szymon. Niestety, do końca kosztownych i wymagających studiów własnych pozostał jeden tylko semestr, którego nie zamierzałam odpuścić.

Ambitni byliśmy oboje.

Rozłąkę odbiliśmy sobie latem, podczas wspólnego wypadu do Paryża. Mój wspaniały przewodnik, z całkiem niezłą już znajomością języka, pokazał mi miasto, nakarmił widokami, atmosferą, napił francuskim winem. A w Ogrodach Luksemburskich wręczył pierścienek zaręczynowy.

– Będę najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, jeżeli zgodzisz się zostać moją żoną, Alinko. Bardzo cię kocham.

Kłęczał przede mną pod drzewami, chroniącymi nas przed sierpniowym upałem.

Czy mogłam się nie zgodzić? Konia z rzędem temu, kto nie ulegnie magii miejsca, szczerości wyznania. Wreszcie własnym uczuciom.

– Tak – odparłam po prostu, patrząc ze łzami w oczach na pierścienek z lśniącym ametystem.

Wróciliśmy jako narzeczeni. Ślub planowaliśmy na bliżej nieokreśloną przyszłość, gdy tylko on upora się z doktoratem, a ja wykonam pierwsze kroki jako świeżo upieczona psychoterapeutka.

Jesień przyniosła Szymonowi kolejny wyjazd do Montpellier, mnie nowych klientów. Święta Bożego Narodzenia spędziliśmy w Zastawnie, goszcząc Elwirę i Antka, czyli siostrę Szymona z mężem. Kiedy w kwietniu mój narzeczonej powrócił, już na lotnisku zaczął z wysokiego C.

– Alutek, chciałbym ci coś powiedzieć! – zawołał entuzjastycznie. – Dostałem niewiarygodną propozycję!

Mimo zapału, którym chciał mnie zarazić, dostrzegłam w jego oczach obawę. Strach ścisnął mnie za gardło.

– Francuzi chcą mnie u siebie na stałe. Na uniwersytecie.

Patrzyłam i wiedziałam, że klamka zapadła. Bez konsultacji ze mną.

- A co ty na to? – zapytałam.
- To dla nas doskonała okazja! – nie przestawał przekonywać mnie z entuzjazmem. – Może nawet się tam pobierzemy? Wyobrażasz to sobie? Ślub we Francji?

Moja wyobraźnia nie sięgała aż tak daleko. Bez wujka, bez przyjaciół? Zostawić Wrocław, strych, Zastawno, pacjentów?

- Szymon, ten pomysł wcale mi się nie podoba. Nie chcę wyjeżdżać na stałe – zdobyłam się na asertywność.
- Nie musimy podejmować decyzji od razu. – Szymonowi wypowiedzanie się w liczbie pojedynczej najwyraźniej sprawiało trudność. – Przemyslimy, pogadamy jutro, pojutrze. Na spokojnie.
- Ja jestem spokojna, kochanie. Ale niezależnie od wszystkiego wiem, że nie zostawię wuja Stacha samego. Rozumiesz?

Do końca naszego spotkania grał na zwłokę, odkładał decyzję. Obiecywał czekać, aż podejmę jedyną właściwą.

Spotkaliśmy się jeszcze raz.

Przeplakałam wcześniej całe przedpołudnie, zaklinając wszystkie wiatry, aby zaczęły mi sprzyjać i pomogły przekonać Szymona do pozostania. On przygotował (choć sądzę, że zrobiła to jego siostra) elegancką kolację z winem, którego prawdopodobnie nadużyłam. Przekonywał, prosił, w końcu obiecywał, że to tylko na kolejne pół roku. Po prostu chciał jechać. Czytałam to w jego oczach, gestach, tembrze głosu.

Ja nie chciałam.

- Aluś, bardzo cię kocham! Nie mogę jechać bez ciebie! – błagał o zmianę zdania.
- To nie jedź.

Ja też bardzo cię kocham i nie wiem, jak sobie poradzę!, nie pozwalałam myślom przeobrazić się w słowa.

- Pojadę. Zobaczę, jak jest, i się odezwę. Będziesz czekać?

Czułam się okropnie. Właśnie uczestniczyłam w pogrzebie niemal dwuletniego związku z facetem, którego wciąż darzyłam uczuciem, a który zdradził mnie dla pracy. Może to i lepiej, że nie dla kobiety, ale zdrada pozostaje zdradą...

- Odpuść sobie ten patos – odparłam przez łzy. – Rób, co musisz.

Zamiast zawinąć się i pobiec rezerwować bilet na samolot, Szymon przyciągnął mnie do siebie. Nie opierałam się, gdy rozpiął guziki przy mojej bluzce.

- Wiem, że jest ci ciężko z powodu moich wyjazdów – mamrotał, gładząc moje piersi, kiedy już po wszystkim leżeliśmy obok siebie.

Był to ostatni raz.

- Zobaczysz, wszystko się ułoży. Przygotuję dla nas miejsce, przyjedziesz. A jeżeli mimo wszystko się nie zdecydujesz, wrócę do Polski. Powiedz, że poczekaasz? – Zajrzał mi w oczy.

Zaczęłam się ubierać. Skrupulatnie dopięłam wszystkie siedemnaście guziczków. Zaczesałam do góry włosy, podmalowałam usta. Sprawdziłam, czy mam w torebce kluczyki od samochodu, choć po tej ilości alkoholu i tak musiałam wziąć taksówkę.

- Dobranoc, Szymon. – Odwróciłam się w progu.
- Odprowadzę cię na dół...
- Nie ma potrzeby. Znam drogę.

„Nie mogę zostawić wuja”, zaesemesowałam do Moniki. „To koniec. Czuję się fatalnie. A.”.

24 CZERWCA 2013 (CIĄG DALSZY)

W oczy wpadło mi kilka nieodebranych esemesów. Tato informował o wyprowadzce do wynajętego właśnie mieszkania, Miłosz po raz kolejny prosił o spotkanie. Monika żaliła się, że wojna z mężem przebiega jak po grudzie, kilka razy usiłował połączyć się Piotr. Była również wiadomość z nieznanego numeru.

Nadawcą okazał się właściciel stryżku.

„Pani Alino”, przeczytałam. „Nie mogę już dłużej czekać na pani decyzję i wystawiam mieszkanie na sprzedaż. Ale panią powiadamiam jako pierwszą. Jestem do dyspozycji. Władysław Rak”.

Miałam szczerą ochotę oddzwonić natychmiast, ale ważniejsze było szybkie podjęcie działań przeciwko złodziejowi. Najpierw telefon do Tomasza!

– Pani prezes? – W drzwiach gabinetu pojawiła się księgowa.

No proszę!

– Słucham? – zapytałam, wskazując jej krzesło.

Nie zareagowała.

– Mam do pani prośbę... – zaczęła. Spojrzała przez łzy. – Mój synek ma zapaść. Idę do domu!

– Proszę usiąść, pani Iwono. Tylko na chwilę – nalegałam. – Co się właściwie stało?

– Witek jest chory na fenyloketonurię i musi być na ścisłej diecie, a moja siostra straciła czujność i nakarmiła go ciastem! Karetka jest w drodze! – rozplakała się na dobre.

Sytuacja była absurdalna i nieprawdopodobna, ale jakie miałam wyjście? A jeśli kobieta mówi prawdę? I co mi przyjdzie z tego, że ją zatrzymam w zakładzie?

Odprowadziłam roztrzęsioną panią Iwonę do drzwi i zamówiłam kawę u sekretarki.

– Pani Wando, proszę przez piętnaście minut nie wpuszczać do mnie nikogo – wydałam dyspozycje, gdy pojawiła się z dymiącą filiżanką. – Jaki jest numer do portierni?

Bez słowa wskazała na leżący na biurku spis telefonów.

Przy najbliższej czystce wylatujesz z firmy pierwsza, niesympatyczna babo!, postanowiłam w duchu.

– Tu Dobrowolska. Alina Dobrowolska. Pan Kazimierz? – zapytałam, gdy po drugiej stronie podniesiono słuchawkę. – Mam prośbę – kontynuowałam. Na szczęście rozmawiałam z właściwym człowiekiem. – Proszę mnie poinformować, jeżeli ktoś z tych państwa... – podałam trzy nazwiska, bo pani Iwony już nie było – ...będzie chciał wyjść z zakładu. I proszę ich zatrzymać przy bramie.

Wystukałam wreszcie wiadomość do Tomasza.

„Mamy go. To Marcin. Tylko on się zgadza. Iwona nadal podejrzana, bo nie podoba mi się to, że dała nogę z drukarni pod pretekstem choroby dziecka. Chociaż mnie poinformowała. Co robimy? Zawiadamiamy policję? A.”.

Odpowiedź przyszła po dwóch minutach.

„Zatrzymaj Marcina pod byle pretekstem. Jedź do prokuratury i złóż zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa. Zabierz z sobą książkę wejść i wyjść, sfalszowane faktury, wyciąg z rachunku bankowego. Może jeszcze zdążymy zapobiec wyciekowi kasy z lewego konta. Powodzenia. Bardzo serdeczne i osobiste pozdrowienia. T.”.

Zebrałam się w sobie.

Przez głowę przelatywały mi różne scenariusze. Ja wyjdę, a winni przepadną

na zawsze. Wina Marcina była oczywista, ale czy miał on współnika? A jeśli tak, to kogo? Kim jest ten tajemniczy ktoś, kto wysłał do księgowej mejla z trefnym załącznikiem? A może to tylko kamuflaż? Może wirus miał nam zamydlić oczy, a dane przekazała Marcinowi pani Iwonka?

Idiotka ze mnie. Pewnie znów dałam się nabrać.

– Wychodzę na chwilę do domu, zaraz wracam – zakomunikowałam sekretarce, nie chcąc zdradzać, jak długo może potrwać moja nieobecność w drukarni.

Zaopatrzona w stosowne dokumenty dotarłam do prokuratury, by po dwóch godzinach przesłuchania na okoliczność afery w „Anieldruku”, przekazaniu dowodów rzeczowych i podpisaniu protokołu o przyjęciu zawiadomienia opuścić szacowny budynek w towarzystwie policjanta i biegłego informatyka. I udać się z powrotem do firmy.

Minęliśmy portiernię, odprowadzani zainteresowanymi spojrzeniami kręcących się po placu pracowników. Dyskretnie spoglądając w okna, próbowałam dostrzec Marcina.

Jeżeli nawet zerkał na plac, nie dał się zauważyć.

– To jest ten komputer? – zapytał policyjny informatyk po wejściu do gabinetu księgowej.

– Tak. Proszę. – Wskazałam mu miejsce. – Sprawdzi pan na miejscu?

Rozsiadł się w fotelu, nie zdejmując kurtki.

– Spróbujemy... – Odpalił system.

– Kawa? – usiłowałam pełnić honory pani domu.

Odpowiedzi nie było, ale na wszelki wypadek osobiście przygotowałam dwie filiżanki.

Nie dowiedziawszy się, czy goście życzą sobie cukru albo śmietanki, zostawiłam ich samych.

– Będę w pobliżu – oznajmiłam w progu. – Gdybyście panowie czegoś potrzebowali. Nie raczyl się odwrócić, mocno zajęci hieroglifami na ekranie.

Wróciłam po godzinie, spędzonej na inspekcji drukarni. Produkcja była w toku, magazyn przyjmował dostawy, po placu kręciły się samochody wywożące nadrukowane taśmy i etykiety. Rozpoznawałam pracowników, całkiem niezłe orientując się w galimatiasie firmowej kołomyi. Żeby tak jeszcze zatrzymać złodzieja.

– Chyba go mamy, pani prezes – przywitał mnie policjant.

– To znaczy?

– Mamy dane komputera, z którego wyszedł mejl ze szpiegowskim oprogramowaniem. Koledzy już go szukają. Jak dobrze pójdzie, zatrzymamy właściciela jeszcze dzisiaj.

– Myślicie panowie, że to współnik Marcina Zdunowskiego?

– Wszystko na to wskazuje – potwierdził inspektor Zarzycki. Zaaferowana, dopiero zwróciłam uwagę na identyfikator. – Ale niczego nie da się arbitralnie stwierdzić bez przeprowadzenia śledztwa.

– A kiedy będą jego wyniki? I co z Marcinem? Jaka jest pewność, że nie ulotni się z kasą?

Oczami wyobraźni widziałam już ciągnące się latami procedury.

– Proszę się nie martwić i pozwolić nam działać – odparł inspektor. Wymienili z informatykiem uśmiechy. – Za mniej więcej godzinę otrzymamy z prokuratury postanowienie o wszczęciu śledztwa i postawieniu zarzutów, na razie Marcinowi Zdunowskiemu. Jego ewentualny współnik, jak pani już wie, jest właśnie namierzany. Pana Marcina zatrzymamy w areszcie, gdy tylko prokuratura wystąpi do sądu z wnioskiem o tymczasowe aresztowanie. Zajmiemy też jego indywidualny rachunek, na który firma

przesyłała mu wynagrodzenie.

– Czy to oznacza, że Marcin trafi do więzienia? – Wytrzeszczyłam oczy.

Procedura wydała mi się restrykcyjna.

– Do aresztu, droga pani. Oczywiście na co najmniej czterdzieści osiem godzin, a jeżeli po rozpoznaniu zarzutów sąd uzna to za stosowne, przedłuży ten okres do trzech miesięcy. Przyjechali! – Zarzycki dostrzegł przez okno wjeżdżający przez bramę radiowóz. – Czy może pani wezwać pana Zdunowskiego?

Wezwałam.

Mimo że ukradł nam dwa miliony, nie miałam ochoty patrzeć na jego twarz, gdy policja przystąpi do rutynowych czynności. Było nie było to jednak człowiek. Zapewne będzie odczuwał wstyd i zażenowanie.

Swoją drogą ciekawe, co go skłoniło do takiego numeru?

W tej samej chwili w drzwiach pojawił się Marcin.

– Jestem – powitał nas uśmiechem profesjonalisty. – Czym mogę służyć?

Odwrócona do okna nie wsłuchiwałam się w formułki recytowane przez panów z komendy podczas czynności operacyjnych. Nie mieściło mi się w głowie, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Marcinowi też chyba nie. Kiedy opuszczał mój gabinet, zobaczyłam jego zdziwione oczy.

Albo ma w rękawie nieznanego nikomu atut, albo zdążył już przelać nasze pieniądze na bezpieczne konto, pomyślałam. I nie zostawić śladu po tej transakcji...

Zatrzymanie specjalisty od ISO wzbudziło w firmie nie małą sensację. Zgodnie z zaleceniem inspektora Zarzyckiego milczałam jak głaz, nie udzielając informacji na temat afery żadnym zainteresowanym, którzy nagle zaczęli pojawiać się w moim gabinecie jak grzyby po deszczu.

Dopóki policja nie zatrzymała potencjalnego współnika Marcina, istniało prawdopodobieństwo, że ten kręci się po terenie. Chyba że właśnie ratuje synka z zapaści...

Pierwszy odwiedził mnie dyrektor Kowalewski.

– Pani prezes(!)... Czy Marcin wróci przed drugą zmianą? Miał dziś nadzorować produkcję.

Nie wdając się w wyjaśnienia, poinformowałam go o konieczności znalezienia zastępstwa. Nie tylko na dziś.

– Pan lepiej ode mnie zna ludzi, panie Zdzisławie – odparłam na lamenty, że nie ma kim obsadzić nagłego wakatu. – Proszę sobie poradzić, od tego pan jest. A od jutra kwestię stanowiska pana Zdunowskiego proszę konsultować z prezesem Krukowskim.

Przez kolejną godzinę do mojego biurka posławali między innymi szef magazynu Łukasz, brygadzysta z drugiej zmiany, a nawet sekretarka.

– Nigdy mi się ten Marcin nie podobał – wyszeptala konspiracyjnie, stawiając przede mną niezamawianą kawę.

Ty też mi się nie podobasz, pomyślałam z niechęcią.

„Marcin zatrzymany”, zredagowałam informację dla Tomasza. „Policja namierza właściciela komputera, z którego przyszedł mejl z wirusem. Mają poinformować o wynikach. Zabezpieczyli konto Marcina, ale jeszcze nie wiadomo, czy są na nim nasze pieniądze. Mam dzwonić do inspektora za dwie godziny. W firmie mały popłoch. Kiedy będziesz? Co u Andrei? A.”.

Odpisał natychmiast.

„Doskonale. Jestem z Ciebie dumny. Przyjadę jutro po południu. Andrea siedzi ze mną i rysuje jakieś widoczki dla Ciebie. Prosi o nakarmienie kotów. Pozdrawiamy Cię oboje bardzo serdecznie i tęsknimy. T.”

Uśmiechnęłam się do tego rodzinnego tonu. Ech, wujku, wujku!, pokiwałam głową na wspomnienie delikatnych prób zbliżenia mnie i Tomasza. Nie udało ci się za życia, to próbujesz jeszcze po śmierci?

Po raz pierwszy wspomniałam wuja bez ucisku w sercu, bez żalu, że go już nie ma. Poczulałam jego obecność.

Pójdę nakarmić kotkę, postanowiłam, podnosząc się z fotela. Należy się to i tej małej Pippi, uśmiechnęłam się w duchu, i przede wszystkim zwierzakowi. Jak długo nie widziałam Tosi?, przyszła refleksja. Nagle chwyciły mnie za gardło wyrzuty sumienia. Pewnie dziwisz się, mała, dlaczego ciotka cię nie odwiedza? Michalinę, swoją drugą chrześnicę, ostatnio też zaniedbałam, ale ta miała dopiero rok i było jej obojętne, kto przyniesie kolejne śpioszki. Ale czterolatka Tosia to co innego. Koniecznie muszę ją odwiedzić!

Pożegnałam firmę i podryfowałam w kierunku domu.

Wystarczyło, że przełożyłam nogę przez próg, a przywitały mnie kocie żale. Sara, kotka Andrei, niecierpliwie ocierała się o moje nogi, miaucząc nad pustą miską.

– Już ci daję, bidulko! – Pogłaskałam wycieńczoną karmiącą matkę po łebku.

Na posłaniu obok kłębiły się futrzane kulki, powoli otwierające granatowe oczka na świat.

– Masz. – Nalałam mleka i nasypałam do drugiej miski kociej karmy, wymieszanej z wyjętym z lodówki kawałkiem rozdrobnionej ryby. – Jedz na zdrowie, ty kocie nieszczęście!

Przeglądając się, jak kocica z apetytem pochłania zawartość miski, sama poczułam głód.

Lodówka nie wyglądała zachęcająco. Kilka plasterków nieco nadszarpniętej zębem czasu szynki, skrawek żółtego sera, w zamrażalniku włoszczyzna i pizza z dyskontu. To prawda, nie pomyślałam o zrobieniu zakupów, ale na myśl o tym, jak Tomasz odżywia Andreę, zrobiło mi się niedobrze. Mała zdecydowanie potrzebuje kobiecej, żeby nie powiedzieć: matczynej, ręki.

Kończyłam właśnie spisywanie listy zakupów przed wizytą w sklepie, gdy ktoś zadzwonił do drzwi.

– Cholera! – zakląłam pod nosem, ale otworzyłam z uśmiechem. Z drugiej strony mogła stać policja.

Stał Piotr.

– Przeszkadzam? – zapytał, patrząc w sobie tylko właściwy sposób. – Przepraszam, że się wprosiłem, ale nie odbierałaś telefonów. Mogę wejść?

– Oczywiście. – Opanowałam zaskoczenie.

– Właściwie to... – zaczął niepewnie. – Przyjechałem dowiedzieć się, co w firmie, a przy okazji... Może jesteś głodna? – niespodziewanie zmienił temat.

Omówiłam nie parsknęłam śmiechem. Zawsze mi się wydawało, że droga przez żołądek prowadzi do męskiego serca, ale, jak widać, w dobie równouprawnienia może być i odwrotnie. Trafił na dobry moment.

– Jeszcze jak! Masz obiad w bagażniku?

– W bagażniku nie, ale kilka kilometrów dalej, we francuskiej restauracji. Dasz się namówić?

Już się ubierałam. Ssanie w żołądku przybrało na sile. Knajpa francuska czy nie, byle dawali jeść!

Miejsce okazało się nadzwyczaj przytulne. Prowansalski wystrój sprawił, że w pierwszej kolejności zatęskniłam za moim stryszkim (który został właśnie wystawiony na sprzedaż),

a w drugiej za Szymonem i naszą podróżą do Paryża...

– Nie podoba ci się? – zapytał Piotr, dostrzegając zmianę na mojej twarzy.

– Przeciwnie, bardzo tu ładnie. Lubię takie francuskie klimaty. A zwłaszcza bukiety z lawendy z nasturcją – wykorzystałam chwilę.

Jeżeli nawet Piotr miał coś wspólnego z kwiatami na mojej wycieracze, nie dał nic po sobie poznać.

– Dobrze wiedzieć, Alinko – skomentował. – Przyda się na przyszłość. Może być ten stolik? – Wskazał miejsce odległe od baru i telewizora.

Błogosławiłam mędrca, który wymyślił przystawki, jakże przydatne podczas oczekiwania na danie główne. Zamówiliśmy roladki z łososia, czyli terrine z kremowym serkiem ziołowym i ogórkiem, które skropione cytryną zadziałały na podniebienie jak balsam. Danie główne było klasyką – kiedy po półgodzinie na stół wjechał filet mignon, który (wbrew nazwie kojarzącej się z rybą) okazał się polędwiczką wołową w sosie śliwkowym, wiedziałam, że nie tylko zaspokoję głód, ale zrobię to z największą przyjemnością. Przy crème brûlée odpuściły wszystkie dzisiejsze stresy i napięcia. Nie ma to jak odpowiednia dawka śmietany kremówki, żółtek i brązowego cukru! Piotr, zapraszając mnie do lokalu „Prowansja”, wiedział, co robi.

Kawa espresso, o dziwo, też smakowała Paryżem.

Przeznałam Szymona. Przede mną siedział Piotr.

– To dobrze, że policja zatrzymała tego oszusta – nawiązał do mojej relacji ze śledztwa w firmie. – Tę drugą osobę też znajduję. O ile już im się nie udało.

– Mieli dzwonić, ale jak do tej pory cisza.

– Pewnie zadzwonią jutro.

Targnął mną niepokój o pieniądze. W końcu nie chodzi o byle kilka stówek. Zniknęły nam dwa miliony!

– Przepraszam, Piotrze. – Zmartwienie wzięło górę nad przyjemnością pochłaniania francuskich smakołyków i zapijania ich równie francuskim winem. – Pozwolisz, że zadzwonię.

Sięgnęłam po komórkę i wstałam z krzesła. Żółta koperta na wyświetlaczu oznaczała wiadomość. Nie zawiodłam się, była z policji.

„Pani Alino”, pisał inspektor. „To, co robię, jest nieproceduralne, ale wiem, że czeka pani na informację. Zabezpieczyliśmy konto Marcina Zdunowskiego z państwa pieniędzmi. Odzyska je pani w najbliższym czasie. Proszę czekać na oficjalne powiadomienie. Norbert Zarzycki”.

– Piotr, zamów butelkę najdroższego wina! – wykrzyknęłam. – Ja stawiam! Kasa się znalazła! Szanowny pan Marcin nie okazał się złodziejskim mistrzem i trzymał wszystko na swoim koncie! Ulżyło mi, Piotrusiu, nie masz pojęcia jak! Dziękuję ci za poświęcony czas! Jesteś najlepszy! – Rzuciłam się, by go wyściskać.

Chyba go nieco zaskoczyłam, bo siedział sztywno jak kołek.

Czyżbym zrobiła coś nie tak?

– Bardzo się cieszę, Alinko, naprawdę. – Wciąż patrzył poważnie. – Zrobiłem to wyłącznie dla ciebie, bo jak ci ostatnio powiedziałem, nagle, ku mojemu zdziwieniu, stałaś się dla mnie bardzo ważna. Ale mam coś na sumieniu, o czym muszę ci powiedzieć natychmiast. Żebyś mógł ze spokojem spojrzeć ci w oczy.

Zmroziło mnie.

Oto mam przed sobą współnika Marcina, przyszła mi do głowy niedorzeczna myśl.

Chryste Panie!

Piotr okazał się egzemplarzem domyślnym.

– To nie ma nic wspólnego z firmą, Alinko... – Zastanawiał się, w jakie słowa ubrać

czające się w kącikach ust wyznanie. Postanowił skoczyć na głęboką wodę. – Kilka lat temu poznałem Miłosza...

No, to był wstrząs.

– Projektowałem wówczas budynek dla Wydziału Zdrowia Urzędu Miejskiego, a Miłosz został oddelegowany przez urząd do kontaktów z naszym biurem projektów. Zrobiliśmy kilka imprez, zakolegowaliśmy się. No i niedawno facet zwrócił się do mnie z nietypową prośbą. Na początku byłem zszokowany, ale w końcu postanowiłem mu pomóc.

Spojrzałam pytająco.

– Nie owijając w bawełnę, Miłosz opowiedział mi, co ci zrobił na ślubie i jak bardzo teraz tego żałuje. Pomyślał, że gdyby podesłać ci w charakterze pacjenta gościa, który zostawia kobiety w podobnych okolicznościach, być może zrozumiałabyś, że czasami tak się zdarza. A on dostałby od życia drugą szansę. Pamiętaj, wtedy cię jeszcze nie znałem. Odmówiłem dalszej współpracy już po pierwszym spotkaniu.

Nieprawdopodobne. Czy ja czytam harlequina, czy oglądam argentyński film?

Zebrałam siły.

– I ja mam w to uwierzyć? – zapytałam. – Nasza kolacja właśnie się zakończyła – dodałam lodowato.

Bez względu na intencje, Piotr przywołał właśnie jedno z najbardziej bolesnych przeżyć w moim życiu. Nic mnie nie obchodziły tłumaczenia, zapewnienia o niespodziewanym uczuciu, którym zapalał na pierwszym spotkaniu. Opuściłam lokal, wezwawszy wcześniej taksówkę.

– Dziękuję ci, w imieniu swoim i Tomasza, za to, co zrobiłeś dla nas w „Anieldruku” – wyrecytowałam, tym razem oficjalną formułkę, niemal nieprzytomna ze wstydu i żalu. – Mnie nie wolno oszukiwać, Piotrze. Wystarczył ten jeden raz. Proszę nie dzwoń i nie próbuj się ze mną kontaktować.

– Zastawno, Trzebnicka 49, proszę – powiedziałam do taksówkarza.

Z trudem powstrzymywałam łzy. Przed oczami miałam jeszcze twarz Piotra, naprawdę przystojnego, seksownego, inteligentnego faceta. Którego właśnie zostawiłam.

– Jesteśmy na miejscu. – Z zadumy wyrwał mnie głos taksówkarza. – Pani Alinka od pana Stacha, tak? – zapytał, odbierając należność.

– Tak.

– Proszę się tak nie martwić. Panu Stachowi byłoby przykro.

Nie wytrzymałam, rozryczałam się w głos. Taksówkarz pomógł mi wysiąść i znaleźć klucze w torebce.

– I proszę zamknąć za sobą drzwi. Będzie dobrze. Jutro też jest dzień.

Jakbym słyszała wujka! A może to był on w przebraniu?

Zapaliłam światło w sieni.

Kociska miauczały przeraźliwie, ale gdyby nie one, spędziłabym noc w ubraniu na sofie. A tak musiałam się zmobilizować i napęłnić im miski.

A później poszłam do łazienki.

25 CZERWCA 2013

Muszę wyjechać do Wrocławia – poinformowałam Tomasza telefonicznie po załatwieniu najpilniejszych spraw w firmie.

– Coś się wydarzyło? – zaniepokoił się. – Źle się czujesz? Wczorajszego wieczoru wydałaś mi się jakaś niemrawa.

Faktycznie, gdy zadzwonił po nieszczęsnym obiedzie z Piotrem, podskoki z radości były ostatnią rzeczą, na jaką miałam ochotę. Zdawałam sobie sprawę, że w kontekście odzyskania pieniędzy i zatrzymania Marcina przez policję moje zachowanie wyglądało nieco dziwnie, ale apatię i zmieniony przez płacz głos wytłumaczyłam zmęczeniem i psychicznym wyczerpaniem. Chociaż dzisiejszego poranka wzięłam się w garść i doprowadziłam do ładu, Tomasz nie dał się zwieść.

– Same dobre rzeczy, Tomek. Policja zidentyfikowała współnika Marcina, jego kumpla Aleksa – relacjonowałam. – Tego, który wysłał mejla do księgowej.

– Zatem pani Iwona odbierała w firmie prywatne wiadomości?

Rozumował prawidłowo.

– Niestety. Jak mi wytłumaczył policyjny informatyk, Marcin musiał zorientować się, co ją interesuje. A że synek naszej księgowej choruje na rzadką chorobę genetyczną, Aleks podesał jej liścik na temat fenylketonurii z załącznikiem. Proste. No ale teraz obaj panowie odpowiedzą przed sądem.

– Bardzo się cieszę, Alu. Rozwiązanie tej zagadki to głównie twoja zasługa. – Tomasz po raz kolejny wprowadził mnie w zakłopotanie. – W Zastawnie będę miał okazję okazać ci moją wdzięczność – stwierdził zagadkowo. – A teraz powiedz mi, co się dzieje? Dlaczego musisz wyjechać? Miałas zostać kilka dni.

Nie chciało mi się tłumaczyć, że muszę spotkać się z panem Rakiem, bo za chwilę stracę stryszek, że powinnam odwiedzić od półtora miesiąca chorą Tosię, że Monika czeka na wsparcie jak kania dżdżu. Tym bardziej nie zamierzałam opowiadać o Miłoszu, zadreńczającym mnie telefonami z prośbą o spotkanie, czy o ojcu, który w wynajętym pustym mieszkaniu poczuł się samotny.

– Muszę załatwić kilka rodzinnych spraw – odparłam ogólnikowo. – Postaram się szybko wrócić. Ucałuj Andreę. I jeszcze jedno, od razu po przyjeździe obsadź wakat po Marcinie. Kowalewski stale się dopytuje.

Tomasz po raz kolejny zapewnił mnie o radości z naszego rychłego spotkania, ale słuchałam tego niezbyt uważnie. Po kolacji z Piotrem miałam chwilowo dosyć deklaracji, adoracji i czułych słówek, które w każdej chwili mogły odpłynąć w niebyt.

– Pani Wando, dzisiaj mnie już nie będzie – zakomunikowałam sekretarce, opuszczając biuro. – Jeżeli pojawią się jakieś pilne sprawy, proszę dzwonić do mnie lub pana prezesa. On pojawi się w firmie po południu.

Na swoim piątym pięterku odetchnęłam głęboko.

Dzień był tak upalny, że nawet krótka podróż do Wrocławia sprawiła, że poczułam się brudna i spocona. Prysznic zdziałał cuda, muzyka spowodowała, że nareszcie odreagowałam, nie tylko ciałem, ale i duchem. Byłam w domu.

Rozsiadłam się na kanapie, by przemyśleć dzisiejszą agendę. Za godzinę spotkanie z właścicielem stryszku, potem bez zapowiedzi do mamy, by odwiedzić Tosię. Miłosza wstępnie poinformowałam o wolnej chwili w okolicach osiemnastej (no proszę, a tak się

zarzekałam!). A jeżeli tato miałby czas na zjedzenie ze mną kolacji w „Ptasim Radiu”, to czemu nie.

Dla Moniki nie wystarczyło czasu.

– Kochana, jestem u siebie, ale dzisiaj nie wydołę – zaczęłam od tłumaczenia, gdy odebrała telefon zaraz po pierwszym sygnale.

– Jesteś jakaś nieswoja. Coś się stało? – moja przyjaciółka zareagowała z wrodzoną sobie empatią.

Roześmiałam się. Najpierw Tomasz, teraz Monika. Czy oni mają szósty zmysł, czy ja rzeczywiście popadam w depresyjne zaśpiewy?

– Oj, dużo się działo, Mon. Dobrego, złego, miłego i denerwującego. Zgubiłam pieniądze, znalazłam je, zaczynałam mieć faceta, już go nie mam, jeszcze mam strych, ale być może już niedługo. Kręci się jak w kalejdoskopie.

– To może jednak wpadniesz? Pogadamy.

– Dziewczyno, nawet nie wiesz, jak chętnie bym poplotkowała, zobaczyła Michalinę, dowiedziała się, co u ciebie! A właśnie, jak przebiega twoja prywatna trzecia wojna światowa z Radosławem? Zdecydował się, czy woli Wielkanoc, czy Boże Narodzenie? Gdzie on teraz mieszka?

– Jeszcze u mamusi. Chociaż niedługo pewnie będzie musiał się przeprowadzić.

– Przyparłaś go do muru? Zrozumiał?

Monika milczała przez chwilę. Zorientowałam się, że przetyka łyzy.

– Nie – odparła cichutko. – Ale Maria i Zuza wracają do domu. Teściowa już nas nie potrzebuje.

– Co na to Radek?

– Jedzie po nie do Poznania. A potem pewnie wróci do nas.

Od chwili poznania prawdy o statusie mieszkania Monika unikała mówienia o nim „moje”.

Jej mąż jest kretyńcem!, pomyślałam. Zawsze był uparty, ale w tym przypadku nie chodzi przecież o postawienie na swoim. Najwidoczniej chłopina ma inne priorytety życiowe niż jego żona. Do cholery, przecież to, że ktoś jest dobry i zgodny, nie może być wykorzystywane przeciwko niemu! A już na pewno nie przez męża! On się zastanawia, z kim ma mieszkać? On kolaboruje za jej plecami, przeprowadza własną wolę, przenosi meble z miejsca na miejsce bez konsultacji z Moniką? Gdzie się podziały formułki wypowiedziane w kościele, które pomimo upływu dwóch lat jeszcze dźwięczały mi w uszach?

– Postanowiłaś coś?

– Nie mam co ze sobą zrobić.

– Nie o to pytam. Czy choć raz spróbował się nagiąć? Kochasz go?

Rozryczała się na dobre.

– Nie wiem. Ale on jest przecież ojcem Michasi! Nie poradzę soobieeee...

– Pamiętaj, zawsze masz mnie i kąt u mnie. Tyle że raczej w Zastawnie, bo jeszcze nie wiem, co będzie z piętrem. Dobre i to na początek, dopóki czegoś nie znajdziesz. Myślę, że będę mogła ci pomóc, nawet finansowo. Nie dzisiaj, może nie jutro, ale niebawem. Właśnie pokonujemy kłopoty w firmie i w niedalekiej przyszłości podzielimy się z Tomaszem majątkiem. Będę bogata! – zażartowałam, nie bardzo potrafiąc wyobrazić sobie taki stan rzeczy.

– Dziękuję. – Siąknęła nosem. – Muszę kończyć, Michaśka obudziła się i płacze.

Do usłyszenia.

Pierwsza rozmowa, pierwsze kłopoty.

W tej samej chwili zadzwonił domofon. Za drzwiami stał, punktualny jak zawsze przy pobieraniu czynszu, pan Rak.

– Witam szanowną panią! – Żwawy siedemdziesięciolatek wkroczył do przedpokoju. Jakby nie miał w nogach pięciu pięt.

– Bardzo proszę, panie Władysławie. – Wskazałam mu fotel. – Co mogę panu zaproponować? Kawy, herbaty? A może wody?

– Jak zawsze miła i piękna – skomplementował mnie dziadek staromodnie. – Poproszę o szklanekę wody. Gorąco dzisiaj nadzwyczajnie.

– A zatem... – zaczął, przelknąwszy kilka łyków. – Jak już pani mówiłem, zdecydowałem się sprzedać to mieszkanie. Ma pani prawo pierwokupu.

Siedział uśmiechnięty i zadowolony, jak gdyby co najmniej oznajmił, że zamierza mi je podarować.

– Ile pan sobie życzy?

Bez mrugnięcia okiem wymienił kwotę przynajmniej dwa razy wyższą od rynkowej.

Omam zakrzusiałam się sokiem. Może jeszcze dwa miesiące temu, kiedy nie miałam pojęcia o interesach, rozmowach biznesowych, negocjacjach, położyłabym uszy po sobie. W pierwszej kolejności zapewne zaczęłabym popłakiwać, dlaczego tak drogo, lecz w drugiej już szukała pieniędzy. Ale nie teraz.

Moja propozycja była niemal o połowę niższa.

– To wszystko, panie Władysławie, co mogę dać. Za to od ręki. Bo dobrze pan wie, że klientów na to bocianie gniazdko tak szybko pan nie znajdzie. I nie zapłacą tyle co ja.

– Ależ pani Alu! Toż to rozbój na prostej drodze! Pani proponuje grosze!

– Przejrzałam oferty na rynku. Pan również zna je doskonale, więc wie, że proponuję cenę realną.

Udawał, że się zastanawia. Wycierał twarz chusteczką, chleptał wodę. W końcu wstał.

– Niestety, pani Alu. Myślałem, że się dogadamy, ale widać niekoniecznie. –

Zamaszyście odstawił na stół pustą szklanekę. – Mogę opuścić najwyżej dwadzieścia procent. Sześćdziesiąt nie wchodzi w rachubę.

– Proszę się jeszcze zastanowić, panie Władysławie. – Podałam mu rękę na pożegnanie. – Połowa ceny i kupuję, choć raczej z sentymentu niż jakiegokolwiek innego powodu. Ma pan mój numer.

– Połowa, pani mówi? Gotówką?

– Gotówką! – zablefowałam.

Na koncie miałam półtora tysiąca.

– Niech będzie moja strata! – Wyciągnął dłoń, by przypieczętować transakcję.

– Na kiedy umawiamy się u notariusza? – przesłam do konkretów, zanim zaczął opowiadać o przodkach, którzy przed wojną wybudowali we Wrocławiu kilka kamienic.

– Przyszły tydzień? Tak, to dobry termin – na głos przekonywał sam siebie o słuszności decyzji.

– Będziemy w kontakcie. Może pan umawiać wizytę. Nie wybieram się daleko, dojadę.

W drodze do mamy wstąpiłam do sklepu z zabawkami w najbliższej galerii handlowej. Wyrzuty sumienia z powodu nieobecności w życiu Tosi wywołały potrzebę szybkiego złapania się za kieszeń. Byłam dziś jak ojciec po rozwodzie, odwiedzający dziecko kilka razy w roku – im dłuższa przerwa od widzenia do widzenia, tym droższy prezent. Z powodu braku własnego potomstwa, niewprawa w takich zakupach, oddałam się w ręce ekspedientki. Zgodnie z jej sugestią nabyłam futrzane stworzenie, które miało mówić w dwóch językach, jeść, pić i czegoś tam jeszcze chcieć. Za niewielkich rozmiarów pluszaka zapłaciłam

(o nieba!) cztery stówki, ale wyszłam z zapewnieniem, że Furby, bo tak się owo coś nazywało, zrobi furorę.

I zrobił. Tosia na widok pudełka z kosmaczem wyskoczyła z łóżka. Nawet na twarzy mamy pojawił się uśmiech.

– Ciociu, ciociu, ja zawsze chciałam takiego mieć! I do tego jest biały, a ja chciałam mieć białego! A mama mówiła, że już nigdy nie przyjdiesz – pożałowała się mała, wieszając się na mojej szyi. – A przyszłaś!

– Co Tosia robi w łóżku? Tato przekazywał, że cierpi na oskrzela, ale żeby tak długo? Mama odwróciła się do mnie plecami i podeszła do okna.

– Aldona niedawno odebrała wyniki – powiedziała cicho. Jak nie ona.

– Jakie wyniki?

– Tosia ma sarkoidozę.

– Matko jedyna, a co to takiego?

Tosia, umieszczona na ciocinych kolanach, zadowolona, przemawiała do Furby'ego aksamitnym głosem. Mama odwróciła się wreszcie.

– Napijemy się kawy? – zaproponowała.

– Teraz kawa? Mów natychmiast!

– Tosieńko, wracaj do łóżeczka. My z ciocią zaraz przyjdziemy. Dobrze?

– Ja chcę, żeby Alinka przyszła za cztery minuty. Za tyle, ile mam lat – zarządziła.

– Zaraz będę. – Pomachałam małej, znikając w kuchni.

– Słuchaj... – zaczęła mama. – Musimy się pośpieszyć. Ona zaraz zawoła.

Wyobraźnia szalała. Śmiertelna choroba, koniec świata, tragiczny scenariusz.

– Zaczęło się od zwykłego przeziębienia, potem przyplątało się zapalenie oskrzeli, które nie chciało przejść. Po kilku dniach na nóżce wykwitł rumień, takie bolesne zaczerwienienie. Pediatra leczyła infekcję, ale twierdziła, że ta plama to ślad po uderzeniu. Poszliśmy

do dermatologa, ten przepisał oxycort. Nic się nie zmieniło. Kuracja maścią nie pomogła, a Tosia wylądowała w szpitalu, gdzie okazało się, że ma guzki w płucach... – Mama

przerwała relację, żeby wytrzeć łzy. – I to jest właśnie sarkoidoza.

– To niebezpieczne? Dla życia, dla zdrowia?

– Lekarze mówią, że czasem przechodzi sama, a czasem nie. Dzieciak po prostu jest słaby, nie chodzi do przedszkola. Stale źle się czuje.

– Jak ją leczycie?

– Już po wyprowadzce taty... – Mama zmieniła się na twarzy, gotowa wybuchnąć płaczem. – Kupiłam porcję enbrelu na miesiąc. Za osiem tysięcy złotych. A będą potrzebne następne dawki...

– Pozwól, że zgadnę. Aldona i Miłosz nie mają pieniędzy.

– Ja niczego od ciebie nie chcę, Alu. Jakoś sobie poradzę. Może ojciec zgodzi się, żeby sprzedać działkę.

Nie dowierzałam własnej matce za grosz. Ani jej łzom, ani lamentom, co nie zmieniało faktu, że w jednej chwili postanowiłam pomóc Tosi.

Przed godziną zdecydowałam się na kupno strychu, teraz dojdzie osiem tysięcy (o ile na jednym miesiącu się skończy). I jeszcze Monika. Trzeba jak najszybciej podzielić spadek!

– Mamo, ja na razie nie mam żadnych pieniędzy. I nie będę miała, dopóki nie ustalimy z Tomaszem, co dalej ze spadkiem. Ale jakoś je wynajdę, wydobędę spod ziemi. Tyle że zrobię to dla Tosi. Nie dla Aldony.

Moja wiecznie pokrzykująca, zarządzająca, wszystkowiedząca matka jednej córki pogrzyżyła się w płaczu.

– Tak bardzo mi przykro, że życie nam się nie ułożyło! – załkała. – Nie utrzymujemy kontaktów! A wy z Aldonką, chociaż siostry, tak bardzo się nie lubicie!

Nie potrafiłam zdobyć się na współczucie. Przed moimi oczami w ekspresowym tempie przeleciały najróżniejsze obrazki, świadczące o dyskryminowaniu mnie i mało sprawiedliwym traktowaniu. Szczytem wszystkiego było bezproblemowe zaakceptowanie małżeństwa Aldony z Miłozsem. Na gruzach mojego szczęścia.

– Jak sądzisz, mam, czyja to wina? – nie odmówiłam sobie.

Obruszyła się szczerze.

– No jak to: czyja? Ciotki i wuja! Nie mieli własnych dzieci, to nam ciebie ukradli!

Krew odpłynęła mi z twarzy. Te ciągle oskarżenia bez pokrycia, usprawiedliwianie samej siebie, zawiść.

– Przepraszam, mam, nie mam ochoty słuchać tych bzdur po raz kolejny. Pójdę zajrzeć do Tosi.

– Zaczekaj, Ala... – Mama przytrzymała mnie za rękaw, nie wypuszczając z kuchni. – Wiem, że tato... Że się widujecie. Miłoz też się wyprowadził. Przekonaj tatę, żeby wrócił. Dziecko jest chore, Aldona to przeżywa. Ja też go potrzebuję.

No rzeczywiście! Najważniejsza jest Aldonka, a zaraz potem Krysia biedulka!

– Kiedy będą potrzebne pieniądze na lekarstwa dla Tosi? Teraz kupiłaś? To znaczy za miesiąc?

– Tak.

– Mała może na mnie liczyć. Idę, słyszę, że mnie woła. A z tatą musisz poradzić sobie sama. Całe życie nastawiałaś go przeciwko mnie i świetnie dawałaś radę. Teraz też sobie poradzisz. Przecież masz Aldonkę.

Bawiłam się z Tosią jeszcze przez ponad godzinę. Ale pokazowe cierpienie mojej rodzicielki obchodziło mnie raczej niewiele. Może kiedyś jakoś się jeszcze porozumiemy, myślałam, ale raczej nie miałam na to nadziei. Na jakikolwiek kompromis było za wcześnie.

Wizyta w domu rodzinnym pozwoliła mi podjąć decyzję odnośnie do Miłozsa. Mimo mojej niedawnej gotowości, by po raz pierwszy spotkać się z nim po naszym niedoszłym ślubie, zmieniłam zdanie. Gnojek jeden, zostawił chorą córkę i uciekł od odpowiedzialności!, wściekałam się w duchu. I jeszcze nakłaniał Piotra do podstępu!

„Nie spotkam się z tobą, Miłoz”, napisałam w esemesie. „Ani teraz, ani nigdy. Nie istniejesz. Zawsze brakowało ci przyzwoitości, nie masz jej i mieć nie będziesz. Wracaj czym prędzej do domu, a przynajmniej do Tosi. I nie kontaktuj się ze mną. A.”

Na liście oczekujących na spotkanie pozostał jeszcze tylko tato.

– Cześć, córeczko – przywitał mnie, kiedy podeszłam do stolika w „Ptasim Radiu”. – Co ci zamówić?

– Wszystko jedno. – Rozparłam się na krześle. Na sąsiednie rzuciłam torebkę. – Chcę mi się pić.

– Poproszę dwa razy szpaka i dwa razy sałatkę nicejską – zamówił.

No, no, takim go jeszcze nie widziałam. Ten gest, ta znajomość menu...

– To znaczy?

– Dobrze schłodzone różowe wino ze sprite'em i winogronami. Może być?

– Tato? Skąd takie pomysły?

– Próbowałam już kilka razy. Mieszkam niedaleko, czasem tu zachodzę. Może zajrzysz do mnie kiedyś?

Oho, wpływamy na niebezpieczne wody! Odetchnęłam głęboko i już miałam opowiedzieć o Tosi, kiedy kelner postawił na stole zamówione sałatki. Poczulałam aromat

tuńczyka i pomidorów.

– Smacznie pachnie. – Dopadł mnie nagły głód. Odwróciłam się do kelnera. – Olgierd? Jak egzamin?

– Dziękuję. Za kilka dni wyjeżdżam do Paryża, powłóczyć się ze sztalugami po Montmartrze. I oczywiście poćwiczyć robienie serduszek na kawowej piance – zażartował.

Chętnie odprawiłabym tatę i pogadała z Alkiem o Paryżu. Niestety, talerze z sałatką stały już na stole, a Alek był w pracy.

– Zajrzę, tatuś, kiedy wrócę do Wrocławia po załatwieniu spraw z Tomaszem. Teraz nie mam czasu, wpadam do miasta jak po ogień. Dobrze ci się mieszka?

Okazało się, że jest bardzo zadowolony.

Porzuciłam plan nakłaniania go do powrotu, zwłaszcza że wcale nie byłam przekonana do takiego rozwiązania. Jeszcze nie teraz.

Byłam ciekawa, czy wie o Tosi.

– Wiesz, że mała jest chora? – zapytałam wprost.

– Tak. I zdobędę pieniądze na lek.

– Długo tak zamierzasz? – Miałam na myśli mieszkanie poza domem.

– Nie wiem, Alinko. Zobaczę.

Trochę potrwało, zanim uwolniłam się od taty, który akurat miał mi „bardzo dużo do powiedzenia”. Kiedy wreszcie sobie poszedł, a do mojego stolika dosiadł się Olgierd, trzeba było zamykać.

– Mogę przysłać ci kartkę z Paryża? – zapytał, odprowadzając mnie pod kamienicę.

– Oczywiście. Adres widzisz. – Wskazałam na numer. – Mieszkania dwadzieścia sześć.

A moje nazwisko...

– Znam.

Nie wnikałam.

Czy będę tu jeszcze mieszkać, gdy przyjdzie listonosz?, zastanowiłam się przelotnie. Bo nazwisko będę raczej miała to samo...

26 CZERWCA 2013

Mamy kolejny pogodny czerwcowy dzień, słońce zostanie z nami do wieczora”, zapowiadała rozentuzjasmowana pogodyńka, za której plecami rozpościerał się widok na Jezioro Mikołajskie. „Spójrzcie państwo tylko na te zacumowane łódki zajmujące miejsca przy kei. Zaraz wyruszą w kierunku Tałt, może udadzą się na Śniardwy lub popłyną pohalsować na Beldany, by podążyć w kierunku południowych Mazur. Wprawdzie dzisiaj wiatr ma być niewielki, ale nie chodzi wyłącznie o wyścigi na wodzie. Opalanie na pokładzie też ma swój urok. Życzymy wszystkim żeglarzom śródlądowym wspaniałych wrażeń, a państwu, którzy jeszcze czekacie na urlop, dużo cierpliwości. Niebawem nadejdzie czas relaksu. Na otarcie łez kilka fotek z mazurskich jezior”.

Nie wyłączałam telewizora, zapatrzona w białe żagle na jeziorach, na łódki bujające się w portach, kormorany z wyspy na Jeziorze Dobskim. Rzut z góry, rzut z boku, kamera ogarnia Mikołajki (lokowanie produktu), omiata jadalnią „Rybka” (lokowanie produktu), pokazuje pływające jachty wynajęte w znanej na Mazurach wypożyczalni (lokowanie produktu). Mimo wyzieraającej zewsząd komercji i tak miło było zerknąć na wodę, chociaż już mniej sympatycznie żałować, że mnie tam nie ma. Może gdyby Szymon nie wyjechał do Francji... Zapewne siedzielibyśmy na jednej z takich łódek, gotując o tej porze wodę na kawę i smażąc jajecznicę na boczku. Podpłynęłyby do nas zachłanne, rozpuszczone przez żeglarzy zaborcze łabędzie i syczeniem wymusiły kawałki chleba. Wypłynęlibyśmy na silniku na jezioro, postawili maszt, podnieśli żagle...

Wizja wywołała bolesny skurcz serca. Gdy Szymon wyjechał, nie odbierałam telefonów, nie otwierałam esemesów. Ani gdy wujek jeszcze żył, ani po jego pogrzebie.

Powróciły ostatnie migawki sprzed wyjazdu.

– A ten Tomasz? Alinko, błagam cię, przemyśl raz jeszcze decyzję. Może zabierzemy wujka do Francji? – Szymon próbował wszystkiego.

Aż się roześmiałam.

– Jasne! A przy okazji jego firmę, dom i przyjaciół. Zdajesz sobie sprawę z tego, co proponujesz? To nonsens.

Wreszcie zniknął, a ja ignorowałam próby kontaktu. Tyle że nie potrafiłam zapomnieć.

Monika tym razem odpuściła. Nie żałowała Szymona tak bardzo jak jego poprzedników.

– Widać to wciąż nie ten, Alinko – przekonywała, widząc, że cierpię.

– Jak widać... – potwierdzałam, nie wdając się w rozmowę.

Wyłączyłam dźwięk, pozwalając niemym obrazom przemieszczać się po ekranie, a ustom prezenterów porannej telewizji poruszać się bezgłośnie.

Mimo ośmiogodzinnego snu odczuwałam zmęczenie i dziwną niemoc, która uniemożliwiała mi wstanie z kanapy i przejście kilku metrów w stronę ekspresu do kawy. To pewnie odreagowanie ostatnich emocji, usprawiedliwiałam sama przed sobą lenistwo ciała i nieznany dotąd ból wszystkich mięśni. Na szczęście kąpiel pomogła, a dwie filiżanki kawy sprawiły, że krew zaczęła krążyć żywiej.

– Trzeba to wykorzystać – gadałam do siebie. – I sporządzić listę spraw do załatwienia. Najpierw jeszcze jedna kawa! – zdecydowałam i nastawiłam ekspres na cappuccino.

Powinnam podciąć włosy i kupić klapki na wieś, przypomniałam sobie o starych, które kilka dni temu pogrzebałam w koszu na śmieci. Zapłacić rachunek za prąd i wodę, sprawdzić

terminy spotkań z pacjentami, umówić się z mecenasem Smólskim na przekazanie spadku po wujku, nie kontaktować się z Piotrem, Szymonem, broń Boże z Miłoszem! I załatwić kupę pieniędzy. Na stryszek, dla Tosi, może dla Moniki.

Zerknęłam do kalendarza. Do końca miesiąca żaden z moich stałych pacjentów nie reflektował na psychoterapię. Wiadomo, wakacje leczą słońcem, wodą i podróżami.

Otworzyłam komputer z mocnym postanowieniem wykonania przelewów za zaległe rachunki i zobaczyłam, że stan mojego konta skurczył się do ośmiuset czterdziestu złotych. No tak, Furby... Po uiszczeniu opłat zostało mi dwieście złotych i pusty bak mojego autka. Nerwowo dopiłam ostatni łyk kawy i zakręciło mi się w głowie. Cholera, nie jest dobrze! Fryzjerka musi poczekać, nowe klapki tym bardziej. Benzyny wezmę za pięć dych, byle dojechać do Zastawna i tam poważnie rozmówić się z Tomaszem. I naturalnie z Andream, która nieustannie nęka mnie esemesami i czeka, aż przyjadę. Muszę przywieźć temu rudzielcowi jakiś mały prezencik, postanowiłam.

Gotowa do działania gwałtownie poderwałam się z fotela i omal się nie przewróciłam. Coś ze mną było nie tak.

„Tomasz, czy w firmie wszystko w porządku?”, zaesemesowałam, spodziewając się złych wiadomości, którymi karmiłam się od półtora miesiąca.

Od wyjazdu Szymona. Od śmierci wujka. Od wybuchu afery w „Anieldruku”.
Od końca historii z Piotrem.

Odpowiedział natychmiast.

„Kasa będzie niebawem na naszym koncie. Teraz próbuję odzyskać panowanie nad klientami i produkcją. Przyjedź, porozmawiamy. Czekamy z Andream. Tomasz”.

To tak jak ja, pomyślałam, ale nie wysłałam kolejnej wiadomości.

Na tylne siedzenie mini wrzuciłam torbę z rzeczami, przeczesalam ręką włosy (zdecydowanie potrzebujące nożyczek), zapaliłam papierosa (cholera, znowu zaczęłam palić!), włączyłam piosenki francuskie (Szymon), które wyłączyłam po chwili. Miałam ochotę na coś bardziej neutralnego. Rod Stewart? Nie. Za bardzo przypominał o wujku. Sade? Odpad, słuchaliśmy jej z Remkiem. *Suita D-dur* Bacha? Nie będę się umartwiać. To może radio?

Wnętrze samochodu eksplodowało zgiełkiem muzycznej przebojowej sieczki. Wyłączyłam i resztę drogi przebyłam w ciszy.

– Alina!

Andrea znalazła się przy drzwiach od strony kierowcy, gdy tylko zaparkowałam na podwórku. Wywlokła mnie bez pardonu i zawisła na mojej szyi.

– Zobacz, jak urosły kotki! Już otwierają oczy! A mój pakuje mi się na kolana! – pokrzykiwała, ciągnąc mnie za rękę w kierunku domu.

W ostatniej chwili złapałam kupione w prezencie kocie miski.

Zostawiłam bagaże, olałam Tomasza, który zamiast w firmie czekał na ganku.

– Przepraszam, koty, siła wyższa! – krzyknęłam i znikłam w sieni.

– Chodź, pokażę ci Graua! Nazwałam go Grau, bo to po niemiecku szary. – Ruda kocia mama prowadziła rozczochraną kocią ciotkę (bo chyba nie babcię?) do rozmemłanego legowiska, w którym kłębiło się sześć futrzanych stworków.

Na widok Andrei jeden oderwał się od reszty i chwiejnie pomaszzerował w jej kierunku.

– On będzie mój – stwierdziła. – Bo ja go kocham. Chodź, malutki, jesteś ładny i miły. – Poglaskała lśniąca sierść.

– I co, dziewczyny? Jak inspekcja? – z zadumy nad kocią egzystencją wyrwał mnie głos Tomasza. – Andrea, może jednak pozwolisz Alince na chwilę rozmowy z tatusiem? –

zwrócił się do córki.

– Wieczorem, Tomasz. Pogadamy wieczorem. – Machnęłam ręką. – Chcesz, żebym teraz poszła z tobą do firmy? Bo jeśli nie, pobędę z małą.

Zostawił nas same.

Najpierw były koty, potem konie. Pod koniec dnia trafiłyśmy nad rzekę, pod moje drzewo. Było świadkiem tylu zdarzeń...

– Przychodziłam tutaj, gdy byłam mała. Taka jak ty teraz, wiesz? – Zapatrzyłam się na przelom rzeki. – Obserwowałam, jak sąsiad Głowacki łowi ryby, kąpałam się, a nawet wyciągaliśmy z wujkiem raki. Pamiętam, jak kiedyś, gdy byłam bardzo smutna, przyjechały do mnie koleżanki, które właśnie skończyły studia i obroniły prace magisterskie, żeby mnie pocieszyć...

– A dlaczego byłaś smutna? – Pytanie Andrei uświadomiło mi, że wkroczyłam na grząski grunt wspomnień, niezrozumiałych dla małej dziewczynki.

Przecież jej nie opowiem o moim nieszczęsnym ślubie.

– Ponieważ... – Szukałam odpowiedzi. – Bo nie zdałam egzaminu, mała. Dostałam dwójkę. To było dawno temu.

– Ale potem go zdałaś? – Mała nie zamierzała odpuścić.

– Nie, kochanie. Tego akurat egzaminu nie zdałam. I nie wiem, czy zdam go kiedykolwiek.

– Dlaczego? – zdziwiła się. – Nie potrafisz się nauczyć?

– Prawdopodobnie. Nie potrafię.

– Może ci pomogę?

Wobec tak szczerzej deklaracji musiałam się roześmiać.

Nie, mała. Nie pomożesz mi w ułożeniu sobie życia. Nie pomożesz mi kochać i być kochaną. I trafić na odpowiedniego faceta.

– Pomożesz mi przygotować kolację, kiedy tato wróci z pracy! Idziemy!

Dzisiaj Andrea, spragniona towarzystwa, zgadzała się na wszystko. Pobiegłyśmy do domu, by zasiąść do komputera. Jeden klik w bloga najpopularniejszego polskiego medialnego kucharza i na ekranie pojawiła się litania przepisów. Mięso, ryby, ryby, mięso, warzywa, makarony, ryże, słodkości.

– Ale tego dużo! – Andrea wpadła w zachwyt. – Co wybieramy?

– Może to? – Wskazałam na potrawę o nazwie „kedgeree”. – Fajna nazwa. I w sumie prosta rzecz. Łosoś i ryż, aha, i garam masala. Tylko skąd ją tu wziąć?

Przestudiowałyśmy skład przyprawy. Kmin rzymski (nie mamy), kolendra (mamy), czarny pieprz (łatwizna), kardamon (znajdzie się), liść laurowy, goździki, cynamon, chili, gałka muszkatołowa (luz). Niestety, okazało się, że składniki muszą być fachowo zmielone, prażone i nie wiadomo co jeszcze.

Trzeba było poszukać gotowej.

– Czy mają państwo garam masalę? – pytałam, obdzwaniając wrocławskie sklepy.

Rzutem na taśmę skontaktowałam się z Olgierdem z „Ptasiego Radia”.

– Mamy, Alu – usłyszałam. – Robisz kedgeree?

Pomknęłam do miasta, błogosławiąc pomysł, że wzięłam benzynę na dwie jazdy, a nie na jedną. Około dziewiętnastej, kiedy Tomasz wrócił z firmy, potrawa dochodziła. Łosoś był ugotowany, w wodzie po nim uprzyżyłam ryż z „gorącą mieszanką” (garam masala). Kroiłam gotowane jajka i siekałam pietruszkę, by połączyć je z ryżem, rozpuszczonym na patelni masłem i zeszkłą cebulką. Miałam nadzieję, że wśród domowych zapasów znajdzie się wino.

Nie zawiodłam się.

- To jest boskie! – zachwycił się pan prezes, popijając pierwszy kęs białym winem.
- Udało się! – Andrea puściła do mnie oko. – A wiesz, że po przyprawę byliśmy we... Przyłożyłam palec do ust, nakazując jej gestem, by nie zdradziła tajemnicy.
- Dla ciebie sok pomarańczowy. – Tomasz podsunął córce szklankę, udając, że nie

słyszysz.

– Andrea ma rację, Alinko. Udała się wam ta potrawa – potwierdził Tomasz, gdy mała po wieczornym dokarmieniu i dopieszczeniu kotów udała się do swojego pokoju. – Dziękuję za kolację, za twoje starania i w ogóle za wszystko – dodał ciszej, patrząc mi w oczy.

Gdybym powiedziała, że w tej chwili jest mi obojętny, minęłabym się z prawdą.

On mówił, ja milczałam. Było mi dobrze.

– Bardzo długo na ciebie czekałem – zakończył opowieść o wujostwie, o przyjazdach do Zastawna, do mnie. – Mam nadzieję, że nie masz mi za złe tej retrospekcji?

Rozglądałam się po salonie, podświadomie poszukując śladów obecności byłych gospodarzy. Kto wie, może ich duchy kryją się za kominkiem i podglądają?

– Pozwól, że przejmę to wino. Nie pijesz już, prawda? – Tomasz delikatnie odebrał ode mnie kieliszek i postawił go na stoliku. – Późno już. Idziemy spać? – zapytał, odgarniając z mojej twarzy niesforny kosmyk włosów.

Wziął mnie na ręce i zaniósł do pokoju.

27 CZERWCA 2013 – 23 SIERPANIA 2013

Po raz pierwszy w życiu cieszyłam się, że kolejka pacjentek do doktora Kulczyckiego odwlecze moją wizytę w gabinecie o dobre półtorej godziny. Niecierpliwa chęć poznania prawdy ustępowała strachowi przed jej poznaniem.

Usadowiwszy się wygodnie w fotelu w poczekalni, wzięłam się do studiowania kolorowych gazet. Pochłaniałam porywające informacje o kolejnych ciążyach, rozwodach, miłościach celebrytek i innych znanych z telewizji twarzy.

Obok czekała młoda kobieta z wyraźnym brzuszkiem, czule zagadywana przez męża. Jako że doktor Kulczycki cieszył się opinią dobrego położnika, większość jego pacjentek stanowiły te starające się o dziecko lub noszące już swój skarb.

Przekładałam kartki brukowców, udając zainteresowanie ich treścią. Przed oczami miałam Tomasza, który żegnając mnie przed wyjazdem do Wrocławia, po raz kolejny dopytywał o jego cel.

– Kochanie, naprawdę musisz? Zaczekaj do jutra, pojedę z tobą. Dzisiaj podpisuję nową umowę z „Impaxem”.

– Nie ma potrzeby, Tomeczku. Poradzę sobie. Zobaczę, jak mieszka Monika na strychu, zajrzę do Tosi.

– Ale przecież źle się czujesz. – Nie dawał za wygraną. – Boję się o ciebie. Te omdlenia...

– Nic mi nie jest – odparłam z udawanym optymizmem. – Wrócę wieczorem.

Uciekłam, obawiając się, że dostrzeże łzy czające się w kącikach oczu. Że się zorientuje. Historia Haneczki powróciła jak bumerang.

Powróciły i inne wspomnienia.

Szymon atakował, ale nie odpowiadałam. Piotr umarł dla mnie w chwili, gdy zdobył się na szczerość i ujawnił konspiracyjne z Miłozsem. A Tomasz?

Nie, nie uwiódł mnie tamtego wieczoru. Po kolacji z łososiem obudziłam się we własnym łóżku. Na tacy parowała gorąca kawa, stało sadzone jajko ze szczypiorkiem, na talerzyku leżała zawinięta w ruloniki szynka z majonezem i twarożek z rzodkiewką i śmietaną. A obok bukiecik nasturcji z gałązkami lawendy.

– To byłeś ty? – spojrzałam na żółto-fioletową wiązanekę.

– Ja. Jedz. Jesteś taka blada – przemawiał, głaszcząc moje włosy, po nocy przypominające wronie gniazdo.

Dłubałam widelcem, smarowałam świeżą bułkę masłem, okładałam ją szynką i serem, odsuwając chwilę, gdy będę musiała coś przełknąć.

Na szczęście po opiekuńczej kuracji Tomasza zaczęła mi wracać kondycja. Wywołane stresem przemęczenie poszło się paść.

– Dzisiaj konie? – proponowaliśmy zachwyconej Andrei wypad do stadniny.

Wcześniej odstąpiłam Monice piąte piętro i postanowiłam spędzić kilka tygodni w Zastawnie. Opalanie się nad rzeką, wizyta we wrocławskim zoo, wycieczka w góry, wyskok do aquaparku.

Drukarnia, podobnie jak ja, również dochodziła do normalności. Odzyskaliśmy płynność finansową, wypłaciliśmy pensje pracownikom. Podjęłam swoją część oszczędności zgromadzonych przez wujka, kupiłam stryszek i poczułam się dumną posiadaczką własnego kąta. Chwilowo zajętego przez moją przyjaciółkę.

I z każdym dniem bardziej angażowałam się w związek z Tomaszem.

– Pani Kowalewska! – Pielęgniarka zaprosiła do gabinetu pacjentkę przede mną.

– Czy ja też mogę? – zapytał towarzyszący jej facet.

Domyśliłam się, że to mąż.

– Proszę.

Nie ma odwrotu. Teraz moja kolej.

Zrobiło mi się niedobrze.

Ze strachu.

Uczucie było podobne do tego zapamiętanego jakiś czas temu.

– Alinko, chciałbym ci coś powiedzieć. Właśnie w tym miejscu... – zaczął Tomasz nad grobem wujostwa, gdzie wybraliśmy się w rocznicę śmierci cioci Anieli.

Tylko nie to!, przeraziłam się. Broń mnie Boże przed oświadczeniami na cmentarzu!, wpadłam w popłoch.

– Nasi kochani wujostwo nie żyją, ale my tak. I na pewno się nie pogniewają, jeśli zaproszę cię dziś wieczorem na dobrą kolację, a po niej na nalewkę wuja – zakończył nieoczekiwanie.

Roześmiałam się, uspokojona i zadowolona, że obeszło się bez osobistych wynurzeń. Skarciłam się w duchu za brak pokory.

A po kolacji, która czekała na nas na stole w domu, złożonej z wykwintnych dań z owocami morza, śródziemnomorskich sałatek i kilku lampek wina, położyłam się do łóżka.

I wcale mnie nie zdziwiło, że obok położył się Tomasz.

Był przy mnie następnego ranka.

Czyżbym odnalazła spokój?

– Pani Dobrowolska!

Weszłam do gabinetu, w którym zobaczyłam znajome przepierzenie z bladezielonym deseniem imitującym płasające plemniki.

Bez słowa zdjęłam majtki i ostrożnie ułożyłam się na ginekologicznym fotelu.

– Panie doktorze, chyba jestem w ciąży – oświadczyłam bez wstępow.

Zerknął spod oka i włożył rękawiczki. Nie pytał, nie przeprowadzał wywiadu.

Czekając na werdykt, gapiałam się w sufit.

Doktor zakończył badanie i pomógł mi zejść z fotela. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

Wciągnęłam majtki, przyglądałam sukienkę, przyczesalam włosy. Usiadłam naprzeciwko biurka.

Po chwili, która wydawała się wiecznością, usłyszałam:

– Rzeczywiście jest pani w ciąży. To pierwsze tygodnie. Dam pani skierowanie na badania, proszę je zrobić koniecznie. Na razie wszystko jest w porządku, ale w związku z pani wcześniejszymi problemami... Proszę na siebie uważać. Jestem do pani dyspozycji.

Gabinet opuściłam na miękkich nogach, szczęśliwa i niepewna jednocześnie. Na ulicy oparłam się o płótek, żeby nie upaść.

I w tej samej chwili pomyślałam, że nie powtórzę więcej starych błędów. Sięgnęłam po komórkę, żeby zawiadomić ojca dziecka.

Miał prawo wiedzieć.

Koniec

Toruń – Łubianka 2013